



CAROL SHIELDS

Przyjęcie u Larry'ego

Czymż jest potężny ten labirynt - ziemia?

Błądzeniem na oślepie od urodzenia.

„Refleksje po spacerze labiryntem w Hampton Court”

„British Magazine”, 1747

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Piętnaście minut z życia Larry'ego Wellera 1977

Przez pomyłkę Larry Weller wziął zamiast swojej czyjaś tweedową marynarkę od Harrisa i dopiero wsunąwszy rękę do kieszeni, zorientował się, że coś jest nie tak.

Ręka zapadła się w jedwabną próżnię. Pięć palców jęło gmerać w poszukiwaniu dobrze znanej zawartości własnej wytartej kieszeni: zmiętych kawałków chusteczek kosmetycznych, pięcio- i dziesięciocentówek, odcinków biletów na wszystkie filmy, które ostatnio oglądali z Dorrie. A także paprochów rozdrobnionych jak okruchy meteoratów, paprochów, których jakoś nigdy nie można się pozbyć, gdy się raz weźrą w szwy.

Ta kieszeń, obecna kieszeń, jest inna. Czysta, gładka czeluść. Szwy, które wymacał na dnie, nie były jego szwami. Koniuszki palców ślizgały się po przyjaznym jeziorze podszewki. Sięgnął do guzików. Skóra, prawdziwa skóra. I jeszcze coś, rękawy są o dobre dwa centymetry dłuższe, niż powinny.

Ta marynarka warta jest dwa razy tyle, co jego własna. Materiał, szwy. Widać, że oddawano ją regularnie do pralni. Co więcej, ramiona układają się w sposób świadczący, że w nocy wypoczywała na solidnym drewnianym wieszaku. Nad rzędem wyglansowanych butów. Przewietrzała swój tweedowy wątek i osnowę w czystym powietrzu.

Powinien był wrócić biegiem do kawiarni, zobaczyć, czy jego własna marynarka wciąż wisi przyduszona na oparciu jego krzesła, ale zrobiła się już za kwadrans szósta, Dorrie oczekuje go punkt szósta, jest godzina największego ruchu, nigdzie w pobliżu przystanku autobusowego.

A zresztą - przyszło mu do głowy - właściwie z jakiej racji? Marynarka jak marynarka. A bywalec Cafe Capri sam się na dobrą sprawę prosi, żeby ktoś mu świsnął marynarkę. To, co się zdarzyło, jest po prostu swego rodzaju wymianą.

Nie będzie się oglądał na autobus. Pójdzie piechotą. Spacerkiem. W tym nowym, ciepłym wdzianku od Harrisa. Wiosłując ramionami, wyrzucając je swobodnie w stawach. Prawe ramię do przodu, pach, lewe ramię zaraz od tyłu za nim. Będzie tak zamasyżuje żeglował. Rozczapierzy palce. Idzie waźniak, patrzcie na waźniaka.

Rękawy ocierały mu się lekko o wierzch dłoni, szorstkie, ale nie za szorstkie.

Zobaczył teraz, że guziki na rękawach są też skórzane, mniejsza wersja guzików przy połach, ale ten sam wzór, podzielone na ćwiartki jak placek pekanowy, tyle że cząstki nieco na siebie zachodzą. Czuło się pod palcem ich wypukłość, cztery krzyżujące się kwadranty skóry, ich kanty lekko faliste na wewnętrznej krawędzi. Faliste linie przecinały się pośrodku, dawały nura i znikwały w ciemnym centrum. Czarna dziura w guzikowym uniwersum. Zero, nul.

Kwadrant, słowo, które nie przebiegło Larry'emu przez myśl od jakichś dziesięciu lat, od lekcji geometrii w jedenastej klasie.

Marynarka utrzymana była w tonacji brązowej, z wyraźnym tłem piegowatych odcieni tabaczkowych i dyskretnymi pomarańczowawymi cętkami. Bardzo dyskretnymi. Nikt by nie powiedział: „Patrzcie, idzie facet w marynarce w pomarańczowe cętki”. Trzeba się przybliżyć o parę centymetrów, żeby je w ogóle dostrzec.

Pomarańczowy nie należał do ulubionych kolorów Larry'ego, przynajmniej nie w ubiorze. Pamięta, że miał pomarańczowe kąpielówki, kiedy chodził do liceum MacDonalda, z pewnością o parę numerów za duże, bo zawsze gnębiła go w tym okresie życia obawa, żeby jego przyrodzenie się nie odznaczało, wprost odwrotnie niż większość chłopców, którzy lubili się obnosić z tym, co mają. Skromność była ich cechą rodzinną, mamy, taty, siostry Midge, a kiedy skromność raz wejdzie człowiekowi w krew, to pozostaje na całe życie. Co innego Dorrie, która nie zamyka nawet drzwi łazienki, idąc się załatwić. Zupełnie inna tradycja rodzinna.

Miał także kiedyś pomarańczowe skarpetki, jaskrawopomarańczowe. Nie trwało to jednak długo. Bardzo szybko powrócił do białych. Białych sportowych skarpet. Do wyboru były skarpety z czerwonym szlaczkiem u góry, z niebieskim szlaczkiem albo w ogóle bez szlaczka. Nawet oferty jak Larry i jego przyjaciel Billy Herschel, którzy nie gustowali w sportach, chodziły na co dzień w takich grubych bawełnianych skarpetach. Kupowało je się w paczkach po trzy sztuki, a wytrzymały może tydzień, zanim robiły się w nich dziury. Myślało się zawsze, rany, co za taniocha, trzy pary skarpet za taką fantastyczną cenę!

Białe skarpety dominowały w życiu Larry'ego przez długi czas. Całą erę.

Normalnie nie zapinał marynarki, ale gdy tak teraz kroczył, przyszło mu do głowy, żeby zapiąć jeden z tych skórzanych guzików. Środkowy. Zapięcie było w sam raz, nie za ciasne na brzuchu. Facet musi być mniej więcej jego postury, średnia czterdziestka. Szczęśliwie dla niego, bo jeśli wziął starą marynarkę Larry'ego, którą może wyrzuci jutro do śmieci, to przynajmniej nie musi teraz paradować po Winnipegu w koszuli. Wieczory są jeszcze chłodne o tej porze roku. Zapowiadają także deszcz.

Wielu ludzi nie wie, że tweed od Harrisa jest właściwie nieprzemakalny. Można by myśleć, że takie grube wełniane sukno nasiąknie jak gąbka, ale faktem jest, że deszcz ześlizguje się po jego powierzchni. Wyjaśnił to Larry'emu zorientowany starszy gość, pracujący w dziale męskim u Hectora. Musiało to być, ile, dziewięć, dziesięć lat temu, zanim Hector przestał istnieć. Larry nie miał wątpliwości, że nie jest to tylko gadka reklamowa. Facet - nosił w klapie plaketkę z napisem „Sprzedawca roku” - opowiedział mu o specjalnie hodowanych owcach, które mają długi oleisty włos, odpychający wodę. Trzyma się to kupy, uznał Larry. Owce stoją dzień i noc na deszczu, włos je chroni.

Dorrie nalegała, żeby sobie kupił płaszcz nieprzemakalny khaki, ale teraz mu to niepotrzebne, jak ma tę tweedową marynarkę od Harrisa. Kto chce dźwigać na plecach taki ciężar, jak gdzieś idzie. A on dużo chodzi. Myśli, chodząc. Wyrzuca myśli w przestrzeń jak melodię, nadaje im dyskotekowy rytm.

„Nazywam się Larry Weller. Jestem artystą kwiaciarzem, mam dwadzieścia sześć lat i krocę teraz Notre Dame Avenue, w mieście Winnipeg, w kraju Kanadzie, w miesiącu kwietniu roku 1977, krocę, myśląc intensywnie. O tym, że jestem głodny, o tym, że jestem spóźniony, o tym, że będę się wieczorem kochał. I o tym, jak bosko się czuję w marynarce tego nieznanego faceta, tweedowej marynarce od Harrisa”.

Obok przemykały auta, dźwięczały klaksony, przejeżdżały co parę minut ciężarówki, przekrzykiwali się ludzie. Niezbyt spokojna dzielnica. Ale mimo całego tego hałasu Larry nie przestawał słyszeć cichego, posuwistego,

podskórnego szmerku. Słyszy go od dobrych kilku minut. Szu, sza, szu, sza. Wydobywa on się z osoby Larry'ego J. Wellera. Nie znaczy to, by Larry miał coś przeciwko temu. Prawdę mówiąc, nawet mu się to podoba. Ale Larry chciałby wiedzieć, co to za szmer.

Szuszcząc, minął sklep Potrójna Wartość, portugalski zakład pogrzebowy, Wielkiego Mike'a, gdzie w witrynach reklamowano ekwipunek narciarski po zniżonych cenach. W środku tłoczyli się ludzie w wiosennych strojach, w drelichowych kurtkach, rozkloszowanych spodniach, myślący już jednak o przyszłej zimie. Zamiast milej ciepłej plaży w głowie im śnieg. Rzeczą, którą Larry ceni u Dorrie, jest to, że żyje ona chwilą obecną. Kiedy pada śnieg, myśli o śniegu. Gdy idzie wiosna, myśli o kupnie nowych sandałów. To właśnie robi w tej chwili - kupuje sandały na wyprzedaży w Ekspresie Obuwniczym: dwie pary za cenę jednej. Larry wie, że na pewno już dawno wybrała, ale obiecała poczekać na niego z kupnem. Chce mieć pewność, że Larry'emu spodoba się to, co wybrała, chociaż dla niego sandały są tylko sandałami. Kombinacją rzemyków.

Dorrie umie liczyć pieniądze. Zbiera pięćdziesięciocentowe kupony z Ponderosy - dzięki takiemu kuponowi można zjeść zeberka z pieczonym kartoflem i sałatką za dolara sześćdziesiąt dziewięć centów. Albo też zasłyszysz gdzieś, że w następnym tygodniu ceny pantofli zostaną obniżone o połowę, i mówi do sprzedawcy w Ekspresie Obuwniczym:

- Niech pan posłucha. Nie mógłby mi pan zatrzymać tych pantofli do przyszłej środy, czwartku, żebym się załapała na tę obniżoną cenę?

Nagle świta Larry'emu w głowie, co to za szmer. To podszewka marynarki ociera się o jego ramiona, gdy tak idzie. Także podszewka rękawów ślizga się w górę i w dół po jego koszuli. Szmer przycicha, kiedy on zwolni. A robi się głośniejszy, kiedy podniesie rękę tak jak teraz i zamacha na przeciwną stronę ulicy do faceta, którego w ogóle nie zna. Facet odmachuje, usiłując sobie przypomnieć, kim jest Larry.

„Co to za gość tam idzie? Typ w tej ekstra tweedowej marynarce od Harrisa?”.

Prawdę mówiąc, nikt już nie nosi tweedów od Harrisa. Właściwie nikt ich nigdy nie nosił, w każdym razie nikt znany Larry'emu. Jest to niemal zabytek, coś jak kostium teatralny. A zaczęło się wszystko, kiedy Larry kończył College Rzeki Czerwonej (dyplom w zakresie sztuki kwiatowej) - na roku było dwadzieścia cztery dziewczyny i tylko ich dwóch chłopców. Promocję urządzano w stołówce, a nie w świetlicy i stroje miały być niezobowiązujące. Ale co to znaczy: niezobowiązujące? Garnitury czy co? Skończyło się tak, że dziewczyny przyszły w zwykłych sukienkach, natomiast chłopcy zdecydowali się na wizytowe spodnie i marynarki.

Matka wybrała się z Larrym do Hectora, w którego wierzyła, i tam zobaczyli ten tweed od Harrisa, gruzłowaty materiał wełniany, zarazem gładki i szorstki, ciężki, a jednocześnie lekki, wyglądający po pańsku, a w dotyku jak worek na zboże, z tymi króciutkimi włoskami sterczącymi wszędzie z osnowy. „Może pan w tym pójść na fetę do premiera” - powiedział sprzedawca. Larry nigdy dotąd nie słyszał o tweedzie od Harrisa, ale sprzedawca dowodził, że jest to strój klasyczny, który nigdy nie wyjdzie z mody. I że nosi się jak z żelaza. Matka dodała, że nie będzie na nim widać brudu, a sprzedawca oświadczył na zakończenie, że zrobi wszystko, żeby uzyskać dla nich dwudziestoprocentowy rabat, co przesądziło sprawę.

Larry nosi teraz tę tweedową marynarkę do dżinsów prawie codziennie do Świata Kwiatów, a nie widać na niej zupełnie śladów zużycia. Nigdy nie jest pognieciona, nigdy nie wygląda brudno. Przynajmniej tak się wydawało do dzisiaj, kiedy Larry przez pomyłkę wziął tę cudzą marynarkę. No, cóż! Okazuje się, że jest tweed od Harrisa i tweed od Harrisa.

Larry został artystą kwiaciarem przez przypadek. Dziwnym zrzędzeniem losu. Skończywszy szkołę, objął się przez parę tygodni, aż wreszcie matka zadzwoniła któregoś dnia do College'u Rzeki Czerwonej, żeby przysłał prospekt kursu naprawy pieców i kotłów ogrzewczych. Każdy ma teraz w domu centralne ogrzewanie, więc bez względu na koniunkturę będzie to dobry zawód. Ale widać ktoś w college'u przysnął, bo odwrotną pocztą przyszedł prospekt kursu kwiaciarnictwa artystycznego. Kwiaty zamiast kotłów. Matka Larry'ego, Dot, usiadła zaraz we wnąc sńiadaniowej i przeczytała broszurę od deski do deski. Przewracając strony, przytupywała nogą i kiwała głową do bluszczowej tapety, że tak, tak, kwiaciarnictwo artystyczne ma przyszłość.

Natomiast ojciec Larry'ego nie był bynajmniej zachwycony. Larry wiedział, co myśli - że kwiaciarnictwo to zawód dla dziewcząt, nie dla chłopców. Może jego jedynak ma skłonności homoseksualne i tak się to zaczyna przejawiać. Przyszedł ostatecznie na promocję Larry'ego w stołówce, nie wiedział jednak, gdzie podziąć oczy. Nawet kiedy pani Starr wręczała Larry'emu Różany Wianek, nagrodę za najlepszą średnią punktową, ojciec Larry'ego nadal siedział, zamiatając nosem podłogę.

Larry'emu zaproponowano od razu posadę w Świecie Kwiatów, gdzie pracuje do tej chwili. W październiku zlecono mu przygotowanie ornamentu kwiatowego na środek stołu bankietowego burmistrza. Ornament pokazano w telewizji, na kanale 13. Kiedy burmistrz wstał, żeby wygłosić mowę, na stole widać było wachlarz z kłosów pszenicy, gałązek eukaliptusa i młodych storczyków. Storczyków, rozumiecie! Oto na co idą pieniądze szarych podatników. Tyle że kwiaty się nie marnują, bo Świat Kwiatów prowadzi politykę posyłania ich do szpitali, jeśli klienci nie chcą ich zatrzymać po uroczystości. Jest to sieć sklepów kwiaciarskich obdarzona wrażliwością społeczną, kładąca również duży nacisk na profesjonalizm. Przykłada wagę do wyglądu swoich pracowników. Obsługa płci męskiej może nosić włosy do ramion, ale ani o centymetr dłuższe. Krawat jest do uznania, natomiast marynarka wymagana. Stąd Larry nosi w sklepie ten tweed od Harrisa.

Larry nie może się oprzeć myśli, jak w pracy będą wszystkim wyłazić oczy na widok takiej nowej, nowiutkiej marynarki.

A może nie, może w ogóle nic nie zauważą. On sam nic nie zauważył, zabierając ją z kawiarni, więc niby dlaczego mieliby zauważyć inni? A było tak, że podszedł do kontuaru zamówić swoje cappuccino. Nie żeby musiał je zamawiać, bierze codziennie to samo, podwójne cappuccino. Dawniej wpadał po pracy do baru na parę piw, ale Dorrie zaczęła się martwić, że wlewa w siebie takie ilości alkoholu. Była przekonana, że alkohol zabija komórki w mózgu. Wypalają się jedna po drugiej jak lampki na choince, tyle że nie można ich jak lampek wymienić.

- Może się przeczucisz na kawę - powiedziała.

Od tej pory Larry zaczął wpadać do Cafe Capri, które się mieści tuż za rogiem, koło Świata Kwiatów. Niepozorny lokal, ale wylansował w mieście cappuccino. Z początku nikt nie wiedział, co to jest, a niektórzy, jak rodzice Larry'ego, nie wiedzą do tej pory. Larry spróbował i teraz jest amatorem podwójnych cappuccino. Zaczynają mu parzyć, jak tylko go zobaczą wchodzącego w drzwi o wpół do szóstej.

Larry lubi sam rozpylać sobie cynamon. Lubi, żeby pokrywał równą warstewką całą powierzchnię pianki, nie żeby był ciapnięty jedną mokrą kupką pośrodku. Bierze pojemnik, ustawia poziomo jakieś pięć centymetrów na prawo od filiżanki i stuka dwa razy lekko w denko. Tworzy się mała chmurka cynamonu - widać ją niemal w powietrzu - i drobniutkie ziarenka dryfują równiutko do filiżanki. Pokrywają całkowicie kawę. Zupełnie jak ta burza piaskowa zeszłego lata, która pokryła każdy występ, każdy listek, każdy płatek petunii w Winnipegu równiutką warstwą mikroskopijnego pyłu.

Większość lokali sprzedających kawę przeszła na papierowe kubki, ale Cafe Capri używa nadal filiżanek i spodeczków z zielonymi obwódkami na krawędzi. Podnosi się taką filiżankę do ust i czuje, że ma ona grubość dostosowaną dokładnie do warg i języka. Klienci to cenią. Są tak wdzięczni za prawdziwe filiżanki i spodeczki, że po wypiciu kawy odnoszą sami naczynia na kontuar. To właśnie musiał zrobić Larry. Odniósł filiżankę, położył na kontuarze swoje pięćdziesiąt pięć centów, po czym wziął z krzesła marynarkę. Tylko że była to czyjaś marynarka. Albo może w tym czasie tamten facet wyszedł już z marynarką Larry'ego. Pomyłka bywa obopólna. Larry był pewnie zaprzątnięty myślą o spotkaniu z Dorrie, o wyprawie do kina, którą planowali na ten wieczór, po raz trzeci na *Maratończyka*, no, i o pójściu potem do niej. Członek drgnął mu w spodniach w przewidywaniu tego.

Z początku, kiedy zaczęli ze sobą chodzić, leżeli często na jej łóżku i ona mówiła:

- Będziemy się pierdolić, pierdolić, pierdolić bez końca.

- Musisz tak mówić? - zapytał ją w końcu Larry, kiedy się znali kilka miesięcy. - Nie możesz powiedzieć: kochać?

Zrobiła obrażoną minę. Jej twarz zmieniała wówczas kształt, szczególnie usta.

- Ty też mówisz: pierdolić - wytknęła Larry'emu. - Stale mówisz.

- Nieprawda.

- Nie opowiadaj. Ciągłe mówisz, że coś jest pierdolone. A słyszałam, jak kiedyś powiedziałeś: „Odpierdol się”.

- Może. Może i mówię, ale nie w sensie literalnym.

- Jakim?

Miała nierozumiejącą minę.

- Literalnym.

- Znowu te twoje słowa z college'u.

Larry zmierzył ją wzrokiem. Ona naprawdę myśli, że kursy sztuki kwiatowej to college.

Zeszli się właściwie przez pomyłkę. Larry wybrał się w Halloween z inną dziewczyną na zabawę kostiumową w Sali Świętego Antoniego. Dziewczyna przebrana była za pirata, miała przepaskę na oku, szpadę u boku, kompletny kostium. I narysowała sobie wąsy kredką do brwi albo czymś takim. Nie podobało się to Larry'emu. Patrzy człowiek i widzi dziewczynę z wąsami. Przebranie powinno oczywiście zmieniać, ale można się posunąć za daleko. Larry był tego wieczoru klaunem. Miał kłapiące buty, melonik, twarz pomalowaną na białą, ale zrezygnował z czerwonego nosa. Co komu może przyjść z czerwonego nosa? Przy stoliku siedziała inna dziewczyna, Dorrie, która przysła z koleżankami. Była przebrana za Marsjanina, ale tylko symbolicznie. Wiedziało się, kogo ma wyobrażać, ale tańcząc z nią, nie miał człowiek wrażenia, że tańczy z jakimś niesamowitym stworem pozaziemskim. Pozostawała sobą, szczupłą, zwrotną, przystojną dziewczyną, która przypadkiem nosi wypożyczony kostium Marsjanina.

- Kochasz tę Dorrie?

Pytanie takie zadał Larry'emu parę tygodni temu ojciec. Siedzieli na trybunie. Drużyna Jetów wygrywała jak zwykle i wszyscy wiwatowali jak szaleni. I wówczas ojciec, nie bardzo nawet odwracając do Larry'ego głowę, powiedział:

- Więc kochasz tę dziewczynę? Tę Dorrie?

- Co-o? - zapytał Larry.

Nie odrywał wzroku od bramkarza w masce i nagolennikach, potężnego jak japoński zapaśnik, wykonującego na lodzie coś w rodzaju samotnego tańca tupankowego, jakby dla odstraszenia ślizgającego się w jego stronę krążka.

- Czy ją kochasz? - powtórzył ojciec. - Słyszałeś mnie.

- Lubię ją - odrzekł Larry po paru sekundach.

- Ale jej nie kochasz?

- Chyba nie.

- Lubisz ją tylko?

- Tak. Bardzo lubię.

- Masz dwadzieścia sześć lat - rzekł ojciec. - Ja się ożeniłem z mamą, kiedy miałem dwadzieścia pięć.

Zabrzmiało to, jakby Larry nie dotrzymał terminu.

- Ta-ak - powiedział. - Dziecko ma dwadzieścia sześć lat i ciągle mieszka w domu.

Poczuł, jak zakłopotanie ścina mu kościstą twarz. Ale jakoś nie sprawiło mu to zakłopotanie przykrości. Było takie nieoczekiwane, przejmowało dreszczykiem, niesło niebezpieczeństwo. Miłość, miłość.

- To nie grzech, że mieszkasz w domu - odparł ojciec, patrząc w bok, lekko nastroszony. - Czy powiedziałem, że coś w tym złego?

Larry przebiegał tę rozmowę w myśli, idąc teraz Notre Dame Avenue, w ukradzonej tweedowej marynarce od Harrisa, przeglądając się w srebrnym zwierciadle swego ja. Materiał falował wokół jego pleców, przesuwał się za każdym krokiem w tę i we w tę na ramionach. Był jak żywy stwór. Coś żywego wewnątrz i na zewnątrz niego. Był jak mieszkanie. Larry mógł się wprowadzić w tę marynarkę, zamieszkać w niej. Założyć sobie telefon, sprawić komplet naczyń stołowych.

I w tym momencie uświadomił sobie, że kocha tę mądro-głupią Dorrie. Kocha. Kocha. Naprawdę kocha. Było to, jakby wpadł na ścianę gorąca, jakby wbił się w nią głową i rękami. Zaskoczyło go to, ale nie za bardzo. Można się zakochać, będąc samym, nie trzeba koniecznie stać obok tej osoby. Można się zakochać, idąc samotnie ulicą, z wiatrem dmącym w twarz, z gromadą przechodzących obok ludzi, których się nie zauważa, chociaż prawie na człowieka wpadają, nie zauważa, bo jest się w rodzaju transu. Zapomniał raptem, że Dorrie ma tę zbyt małą twarz otoczoną nadmiarem włosów, a jego przecież zawsze podniecały dziewczyny o większych twarzach, z nie za bogatymi włosami.

Spojrzał niespokojnie na zegarek. Wiedział, że Dorrie, z naręczem pantofli, będzie czekała przy kasie i będzie na niego wkurzona, ale tylko przez parę sekund, dopóki nie zobaczy tej jego marynarki. W mgnieniu oka zacznie sunąć dłońmi po materiale, obracać w palcach guziki.

Problem tylko, co będzie jutro. Marynarka i on nie dotrąją razem do jutra. Mógłby w niej pójść rano do pracy, ale nie może się w żaden sposób pokazać o piątej w Cafe Capri. Capnęliby go, gdy tylko stanie w drzwiach.

„Hej, panie, ta marynarka jest kradziona”.

„Chwileczkę, to tylko pomyłka”.

Pomyłka, która doprowadziła do następnej pomyłki, a ta doprowadziła do jeszcze następnej. Ludzie przez całe życie popełniają pomyłki, tyle pomyłek, że w końcu przestają one być pomyłkami, a stają się pozytywnymi i negatywnymi ładunkami popychającymi człowieka w przód lub w tył, stają się jego siłą napędową. Tak jak

szczęście i pech. Tunel, w który się wchodzi z otwartymi wszystkimi porami ciała. Kiedy tunel skręca, człowiek skręca wraz z nim.

Larry pamięta pacjenta, którego widział na oddziale przewlekle chorych szpitala miejskiego, kiedy poszedł tam z kwiatami po bankiecie burmistrza. Facet nie miał rąk ani nóg, tylko ich załączki wykwitające z ciała. Był jedną wielką pomyłką, jakby człowiekiem solniczką balansującym na krawędzi łóżka. Larry ustawił bukiet na stoliku koło łóżka, a facet pochylił się parę centymetrów, dotknął kwiatów czołem, potem je powąchał, potem wysunął język, polizał listki i płatki. Patrzył przy tym cały czas na Larry'ego, jakby miał zaraz do niego mrugnąć, ale nie mrugnął. Larry również polizał kwiaty. Stwierdził, że eukaliptus smakuje jak końskie lekarstwo. A orchidee nie mają w ogóle smaku.

Słońce zniżyło się już prawie zupełnie. Larry był teraz przy rogu, pół przecznicy od Ekspresu Obuwniczego. Obok stał wielki, pękaty pojemnik na śmieci z napisem: „Dbaj o czystość naszego miasta”.

Larry rozpiął tweedową marynarkę od Harrisa, zsunął ją szybko, zwinął w schludny, ciasny węzełek. Włożył go do pojemnika. Musiał go upchnąć. Nie wiedział, czy popełnia błąd, pozbywając się marynarki, i mało go to obchodziło. Musiał jej się pozbyć.

Momentalnie poczuł cały chłód wiatru, który się zerwał. Rozdał mu rękawy jak balony, tak że ni z tego, ni z owego Larry miał jakby nowiutkie, potężne mięśnie. Superman. Po czym wiatr się nagle obrócił i Larry, z koszulą przywartą płasko do piersi i ramion, zrobił się mały, skurczony. W następnej minucie był znowu cały nadęty. Potem znowu wyssany. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Najwietrzniejsze miasto w kraju, ba, na całym kontynencie Ameryki. Naprawdę najwietrzniejsze.

Wbite w niego było wiele par oczu, czuł, jak go przewiercają do skóry. Za krótkie dwie minuty jakiś gość wyłuska ze śmieci i włoży tweedową marynarkę od Harrisa. Ale w tym momencie Larry będzie już za rogiem. Będzie zmierzał ku następnej czekającej go przygodzie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Miłość Larry'ego 1978

Pewnej środy w zimie Larry wszedł do fryzjera na Sargent Avenue i kazał się ostrzyć.

- Na krótko - mruknął bez uśmiechu, tonem nie przypominającym jego zwykłego tonu.

Było to po dziesięcioletnim noszeniu włosów do ramion. Wszedł po półgodzinie ostrzyżony krótko nad uszami i z wygolonym karkiem. Nawet kolor jego włosów zrobił się inny, trudny do określenia. Wydawały się ciemniejsze, gęstsze, bez niuansów.

Drżał później z chłodu przez długie godziny, zubożony utratą włosów, pomniejszony w górnej części ciała, ale zarazem jakoś silniejszy, mężniejszy. W tej nowej fryzurze miał ochotę złożyć dłonie w pięści jak bokser albo skrzyżować ręce bohatersko na piersi. Stał przed lustrem w łazience, próbując nowych min, układając coraz to inaczej usta i brwi, starając się nadać sobie przyjazny wygląd.

Vivian i Marcie, które pracują z Larrym w Świecie Kwiatów, prześcigały się w komplementach. Vivian, kierowniczka sklepu, orzekła, że tak ostrzyżony wygląda młodziej i zdrowiej, co kazało się Larry'emu zastanowić, jak wyglądał przedtem. Ma zaledwie dwadzieścia siedem lat, nie powinno się to więc odbijać na jego wyglądzie. A może się odbijało? On sam uważał, że jest w niezłej formie, chodzi przecież na piechotę do pracy i z pracy, a w weekendy wyprawia się z przyjacielem Billem Herschelem na długie wędrówki po Birds Hill. Marcie dorzuciła, że w nowym uczesaniu jest bardziej „na fali”.

- Jest rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty ósmy - powiedziała. - Lata sześćdziesiąte dawno się skończyły.

Co ta może wiedzieć? - pomyślał Larry. - Siksa ma siedemnaście, osiemnaście lat.

Larry, mając dwadzieścia siedem lat, mieszkał wciąż z rodzicami, Dot i Stu, w ich parterowym domku na Ella Street, ale był to jego ostatni tydzień u nich, w piątek miał się wreszcie wyprowadzić. Oboje, Dot i Stu, przyjęli z aprobatą jego nowe uczesanie. Nie znaczy to, by skakali z radości i wymachiwali rękami. Skwitowali raczej sprawę z udaną obojętnością.

- Był na to cholerny czas - powiedział ojciec Larry'ego i zaczął się rozwodzić, ile to razy musiał czyścić z włosów i brudu zatykającą się wannę.

- Zrobiłeś się zabójczo przystojny - oświadczyła Dot i pomacała otwartą dłonią sprężynujące znów włosy Larry'ego. Minął szmat czasu, odkąd dotykała głowy syna, lata całe, prawdę mówiąc, i teraz nie mogła się od tego powstrzymać. - Jeżeli to wpływ Dorrie - powiedziała - to oby tak dalej.

W piątek po południu - wichura, zadymka - Larry i jego przyjaciółka Dorrie, oboje z rodzinami, pojechali do centrum, do Gmachu Sądów, żeby zawrzeć związek małżeński. Dorrie (Dora) Marie Shaw i Larry (Laurence) John Weller stali się państwem Wellerami, mężem i żoną. A w sobotę rano młoda para wsiadła do odrzutowca linii Air Canada i odleciała do Anglii, do Londynu.

Większość pasażerów na pokładzie była w dżinsach i swetrach, Dorrie natomiast wybrała na podróż nowy różowy kostium z materiału z domieszką sztucznego włókna. Żałuje tego - powiedziała Larry'emu w samolocie. Obcisła spódnica krępuje jej swobodę ruchów i nie pozwala się odprężyć, na przodzie porobiły się głębokie zagięcia. Powinna była sobie sprawić jedno z tych składanych żelazek podróżnych, jakie widziała na wyprzedaży. A

w ogóle kretyńka z niej, że nie wzięła wywabiacza do płam. Zanim doleczą do Anglii, plama na klapie żakietu tak się weźre, że nie da się nigdy wywabić. W samolotach dodają do jedzenia barwników, sos barwią na brązowo, żeby wyglądał apetyczniej i pożywniej. Powiedział jej to jeden ze sprzedawców w Manitoba Motors, gdzie Dorrie pracuje. Ostrzegął ją również, żeby nie piła podczas lotu napojów gazowanych. W samolocie ludzie puszczaają dużo gazów, poinformował ją. Ma to jakiś związek z ciśnieniem atmosferycznym. Faktem jest także, że jeden kieliszek alkoholu na ziemi równa się trzem w powietrzu. To ważna informacja.

Szkoda tylko, że nikt jej nie poinstruował, co włożyć na taką podróż. Nigdy nie leciała samolotem - Larry zresztą też - ale utwierdziła się czemuś w przekonaniu, że na podróż powietrzną należy się ubrać wizytowo, szczególnie kiedy się leci za granicę, tak jak oni do Anglii, do Londynu. W ogóle jest za swobodnym strojem - powiedziała Larry'emu - za czymś wygodnym, on to dobrze wie, ale wydawałoby się, że ludzie będą się starali ubrać elegancko na taką ważną okazję, czyż nie?

- Nie wszyscy są w podróży poślubnej - przypomniał jej.

W tym momencie włączyły się megafony i usłyszeli podszyty wesołością, konfidenyjny głos kapitana.

- Panie i panowie, zainteresuje was pewno wiadomość, że leci z nami w dzisiejszym rejsie świeżo poślubiona para. Gratulacje dla państwa Dory i Larry'ego Wellerów z Winnipegu w Manitobie.

Równocześnie wyrosła przed młodą parą stewardesa z butelką szampana i dwoma kieliszkami oraz bukietem kwiatów do klapy Dorrie, z życzeniami od Air Canada.

- Och! - pisnęła Dorrie. Oblała się pąsem, podskoczyła z emocji na siedzeniu. - To cudowne! Jak państwo się dowiedzieli? Pączki róż, uwielbiam młode róże! I niech pani patrzy, jak pasują do mego kostiumu. Jak marzenie.

- Mało nie umarłam ze wstydu - miała opowiadać dwa tygodnie później, po powrocie do Winnipegu, matce Larry'ego. - Założę się, że byłam czerwona jak burak. Wszyscy się na nas gapili, obracali się na siedzeniach, wstawali, żeby zobaczyć, jak wyglądamy, zaczęli klaskać i wiwatować. Szczęśliwa byłam, że jestem w tym nowym różowym kostiumie. I że Larry zmienił tę dawną fryzurę. Nowożeńcy!

Po szampanie Dorrie zaraz zasnęła z nogami podwiniętymi pod siebie, z głową opartą na ramieniu Larry'ego. Słodki aromat róż, które już zaczynały więdnąć, dryfował w półmroku przyćmionych świateł, pomruku głosów i równej usypiającej wibracji samolotu żeglującego po nocnym niebie.

Lekko wstawiony, zawieszony między dawnym a nowym dniem, między jednym a drugim kontynentem, Larry napawał się błogim poczuciem obecności u swego boku wyciszonej, zadowolonej towarzyszkii. Oboje wsiadali do samolotu na fali odpływającej ekscytacji, zmęczeni po ceremonii ślubnej i obiedzie weselnym w hotelu Delta, po przewożeniu rzeczy Larry'ego do mieszkania Dorrie. Byli nadto jakby puści wewnątrz - tak to odczuwali - po długiej, ekstatycznej nocy miłosnej, nagłym obudzeniu przez dzwonek budzika o wpół do szóstej, dopakowywaniu na gwałt rzeczy i zbyt wczesnym przybyciu rodziców Larry'ego, którzy ich mieli odwiedzić na lotnisko. Za dużo tego było do przetrwania. A tu jeszcze spotkały ich te niespodziewane honory w samolocie, jego i jego żonę, Dorrie. Żona, żonka. Larry szeptał to słowo we wzorzystą, nagumowaną tapicerkę siedzenia przed nim - żona.

Ogarnął go czad błogości, paraliżujący i niepokojący, więc Larry potrząsnął energicznie głową, żeby otrzeźwieć - tylko że w podnieceniu ostatnich godzin zapomniał o nowej fryzurze. Zamiast miękkich włosów odrzucanych w bok i lądujących powrotną falą na karku, zamiast ich znajomego, niosącego otuchę jedwabistego dotyku na policzku, poczuł tylko zimną nagość własnej czysto wygolonej szczęki, jakże głupio zastygłej, wydanej na pastwę malutkiej lampki nocnej nad głową.

Przed godziną tkwił w uścisku senności, teraz postanowił czuwać. Kryło się za tym postanowieniem coś na kształt melancholii i być może rodzaj staromodnej galanterii. Czuwanie zdawało się częścią jego nowych powinności, elementem roli, jaką wziął na siebie ledwie trzydzieści sześć godzin temu, stojąc przed urzędnikiem stanu cywilnego w Gmachu Sądów, pod okiem rodziny swojej i Dorrie. „Małżeństwa nie zawiera się pochopnie, zawiera je się z przekonaniem, z wzajemnym szacunkiem, z atencją”. Słowa te, stanowiące część świeckiej ceremonii ślubnej, otrzymali wraz z Dorrie wypisane na pamiątkowej karcie.

Jest teraz mężem, jego szczebiotliwa, niecierpliwa Dorrie, już nie przyjaciółka, tylko żona, osunęła się na jego pierś, twarz ma wilgotną, przepołowioną, zapieczętowaną snem. Larry czuje, jak jej ramię unosi się za każdym trzecim, czwartym oddechem, unosi i opada w nieregularnym skurczu, jakby jej sny stawiały ją w obliczu nowego, zaskakującego wyzwania, do którego dopiero musi przywyknąć.

Ze względu na nią będzie czuwał. Będzie jej strzegł, wyprostowany jak tylko się da na siedzeniu, żeby nie niepokoić jej uśpionego ciała. Będzie siedział z zaciśniętą po mężowsku szczęką, cierpliwy, pobłażliwy, z okiem wbitym równo w ciemność, żeby utrzymać na dystans czający się strach. Jedyne, co musi w tym celu zrobić, to wytrzymać spojrzenie tej twarzy majaczącej w czarnej szybcie okna kabiny, spojrzenie tego wygolonego, zalęknionego nieznajomego o świeżych rysach, którego profil mimo całej swojej chłopięcości przypomina mu, alarmująco przypomina - kogo?

Przypomina jego ojca, oto kogo.

„Wykapana mama” - mówili zawsze dawniej o Larrym Wellerze ludzie. Te same niebieskie oczy. Piegi na twarzy. Ruchy Dot. I te usta.

Larry nie przypomina sobie, żeby słyszał kiedykolwiek wzmiankę o swoim podobieństwie do ojca. Był synkiem mamusi. Spadkobiercą jej ciała, jej intensywności, jej ekstatycznych prywatnych przyjemności i smutków.

I oto teraz, w wieku dwudziestu siedmiu i pół lat, stwierdza, że w jego ciało wkradł się ojciec. Ta nienazwana część jego twarzy, miejsce, gdzie zawiasy szczęki sięgają koniuszka ucha - okazuje się teraz, co się kryło pod bujnymi włosami: fakt, że w jego ciele żyją geny ojca. Świadczą o tym nawet płatki uszu, ich mięsistość, ich ubarwienie. Jakie to ubarwienie? Malinowe, biegnące żyłkami ku policzkom, policzkom ojca, zaskakująco miękko wykrojonym w twardej męskiej twarzy.

Rumiana solidność ojca. Pojawiła się szokująco nagle i pozostała z Larrym przez całe dwa tygodnie jego i Dorrie podróży poślubnej. Natyka się na nią codziennie przy goleniu w lustrze kolejnego skromnego hotelu, w którym nocują. Cóż to za wybryk natury? Larry obraca oczy ostrożnie do lustra, podnosi wzrok na swoją twarz i oto stoi przed nim starszy pan, bardziej materialny, namacalny niż zwykły przebłysk dziedziczności. Ruchoma, obwisła skóra ojca wciśnięta w lustro, w pełni ukształtowana podobizna, ziewająca, z trudem unosząca zaspane powieki, w ubraniu roboczym z emblematem i nazwą fabryki autobusów Air-Rider na kieszeni, z szerokimi barami i plecami pochylonymi do przodu w piżamie Larry'ego, z wyciągniętymi dużymi czerwonymi dłońmi, z taką czy inną szramą na każdym palcu poranionym tapicerską robotą w warsztacie. I Larry słyszy wysoki, zrzędny głos ojca, wciąż podszyty lancashire'skim akcentem mimo dwudziestu siedmiu lat zamieszkiwania w Kanadzie.

Stu Weller. Mistrz tapicerski. Mąż Dot, ojciec Midge i Larry'ego.

To Stu wysunął pobłogosławiony przez Dot projekt, żeby zafundować młodej parze podróż po Anglii. Prezent ślubny ofiarowany bezceremonialnie i szorstko.

- To samo opłaciliśmy twojej siostrze, kiedy wychodziła za mąż.

Nieważne, że Midge po dwóch latach rozwiodła się z mężem. Okazało się, że Paul woli chłopców od dziewcząt.

Dorrie widziałaby chętniej miesiąc miodowy w Los Angeles albo może w Meksyku, w jakimś ciepłym miejscu, w pięknym hotelu koło plaży, ale jak można wzgardzić darmową wycieczką, z wszystkim opłaconym, biletami lotniczymi, noclegami, śniadaniem i obiadem, dwunastodniowym objazdem autokarem Sunbrite Tours aż do Gór Pennińskich na północy, potem do Krańca Łądu, południowo-zachodniego koniuszka Anglii, i z powrotem do Londynu na ostatnie trzy dni. Parę lat temu podobną turę odbyli Stu i Dot, prezent dla samych siebie na dwudziestą piątą rocznicę ślubu, „powrót do korzeni”, jak to określiła Dot, chociaż ich prawdziwe korzenie tkwią w północnym przemysłowym mieście Bolton, nie w falistych zielonych połaciach wsi angielskiej.

Kiedy Larry i Dorrie przybyli na miejsce, było tam naprawdę zielono, niewyobrażalnie zielono - jaskrawa, cieniowana zieleń, która przywodziła Larry'emu na myśl brukselkę. Przed wyjazdem wszyscy w domu kręcili głowami: „Co, jedziecie w marcu do Anglii? Czyście oszaleli?”.

I oto byli w Anglii, płynęli między zielonymi wzgórzami, spuszczała się w wąskie zielone doliny, zatrzymywali na parkingach zielonych średniowiecznych miasteczek, w których na przysadzisty autokar Sunrite Tours rzucały zielonkawy cień zamki o tęgich wieżach (przewyciężyli początkowe przerażenie jazdą lewą stroną szosy, z dudniącymi na nich z przeciwka innymi pojazdami).

Tura rozpoczęła w Londynie prowadziła na północny wschód. Przy wyjeździe towarzyszył im deszcz, po nim przebłyski oślepiającego ukośnego słońca, potem znowu deszcz chłuszczący gołe drzewa i żywopłoty, niosący natrętne, gwałtowne metamorfozy światłocienia, jak gdyby to sam dzień oferował coraz to nową wspaniałą ideę. Zatrzymali się w malowniczym jak z pocztówki miasteczku Saffron Walden, gdzie poprowadzono ich w szybki obchód starymi krętymi uliczkami i uraczono lunchem w herbaciarni Pod Jedwabistym Kotem. Dorrie dzielnie skonsumowała stek z zapiekаныmi cynaderekami, pozostawiając na talerzu jedynie przyzwoite resztki.

- Proszę zwrócić uwagę na belkowanie - pouczył ich przewodnik. Na imię miał Arthur, był tęgim londyńczykiem o szerokiej twarzy, chrapliwym głosie piwosza i sposobie bycia cierpliwego nauczyciela. - Koniec piętnastego wieku. Może wcześniej.

Dorrie zapisała informację w małym notesiku podróznym, który wyciągnęła z torebki: „Koniec piętnastego wieku”.

Larry'ego zaskoczył i rozczulił ten gest żony. Skąd ma ten notesik? Oprawny w czerwoną skórę, z wąskimi liniowanymi stroniczkami o pozłacanych brzegach. Dostała go pewno od którejś z koleżanek z Manitoba Motors, prezent na odjezdnym, Dorrie nie przyszłoby do głowy kupienie czegoś takiego, nie przyszłoby przez tysiąc lat. Wzruszył go widok Dorrie w pozie pilnej uczennicy, zastanawiającej się nad doborem słów, starającej się pisać drobno i schludnie. Fakt, że pomyślała o zapisaniu tego okrucha wiedzy - koniec piętnastego wieku - zarejestrowaniu go dla niego, na ich wspólne życie, poruszył klawisz czułości w jego sercu.

Ze szkoły pamiętał jednak, że wiek piętnasty to w rzeczywistości lata tysiąc czterechsetne - jakież to mylące! - i zastanawiał się, czy Dorrie to wie i czy nie należałoby jej tego uświadomić. Ale nie. Zamknęła już notesik, zakreśliła pióro. Podniósłszy na niego oczy, napotykając jego wzrok, posłała mu całusa, wydymając małe koralowe wargi.

Na pierwszą noc zakwaterowano wycieczkę w hotelu w Norwich (szesnasty wiek, następne historyczne belkowania), który miał przynajmniej przy jednej okazji gościć króla Edwarda VII z „przyjaciółką”. W ogródku przed hotelem kwitły przebiśniegi.

Kwiaty w marcu! Trwało dobrą chwilę, nim to dotarło do Larry'ego, nieprawdopodobieństwo tego zjawiska. Ale fakt! A u nich w Kanadzie jest dwadzieścia stopni mrozu. „Przebiśniegi” - zanotowała Dorrie w swoim notesiku, kiedy jej podano nazwę kwiatów.

- Przebiśniegi to tylko początek - powiedział im Arthur. - Nim dojedziemy do Londynu, zobaczą państwo żonkile.

Wycieczka, jak się okazało, była tylko w połowie obsadzona. Uczestniczyli w niej w większości emerytowani Nowozelandczycy i Australijczycy, oprócz nich para wiekowych Rumunów, którzy się cały czas trzymali za ręce.

- Same staruchy - szepnęła Dorrie do Larry'ego, marszcząc nos. Miała skłonność do wiecznego malkontenctwa. - Wszyscy oprócz nas są starzy i tłuści.

Była to prawda. Albo niemal prawda. Osiemnaścioro pasażerów, zarówno mężczyzn, jak kobiety, cechowało gąbczaste zaniedbanie ciała, przychodzące z wiekiem średnim. Siwe trwałe ondulacje żon, różowawe łysiny ich mężów, twarze w oprawkach okularów były w oczach Larry'ego dziwnie podobne, zwiotczałe, zatarte rysy, roztopione w rodzaj kitu.

- Założyłabym się, że my jedyni w tym towarzystwie pieprzymy się całą noc - zauważyła, rozglądając się, Dorrie. - W ogóle jedyni się pieprzymy.

- Prawdopodobnie - przyznał z uśmiechem Larry.

- Zauważ, że powiedziałam: pieprzymy. Nie: jebimy ani nawet pierdolimy.

- Gratuluję.

- Jestem teraz mężatką. Szacowną osobą.

- Aha! - Wciąż z uśmiechem.

- Sam jesteś aha!

W wycieczce uczestniczyła ponadto siwowłosa para małżeńska z Arizony. Spędzali w Anglii urlop sabatowy¹. Żona wypowiadała słowo „sa-ba-to-wy”, jakby sylaby były paciorkami nizanymi na sznurek. Wyjaśniła Dorrie, która nigdy nie słyszała o urlopie sabatowym, że poprzednim razem była z mężem, profesorem Edwardsem, w Tajlandii, a jeszcze poprzednim w Kalifornii, w Berkeley.

¹ Urlop sabatowy (ang. *sabbatical*) - płatny roczny urlop, przysługujący co siedem lat, m.in. profesorom wyższych uczelni, przeznaczony na studia, pisanie, podróże itp. (Wszystkie przypisy tłumacza).

- Traktujemy to jako okazję, żeby się odświeżyć raz na siedem lat - powiedziała. - A także dokonać obrachunku.

Codziennie wczesnym rankiem Arthur budził członków wycieczki w ich zimnych pokojach hotelowych pukaniem do drzwi i wypowiedzianym na wznoszącej się nucie „dzień dobry”.

- O Boże! - wzdychała Dorrie spod koców.

Larry, myjąc się i goląc, usiłował unikać twarzy ojca w lustrze, jego widmowej obecności wycierającej z zaparowanej tafli. Z pianą na policzkach starał się mrużeniem powiek odepchnąć jego wzrok. Zwykle mu się to udawało, nim się kompletnie ubrał w dwa swetry i kurtkę.

Oboje z Dorrie nieodmiennie zjawiali się ostatni w hotelowej restauracji, witani co rano tymi samymi żarcikami i docinkami. „O, nasi młodzi żonkosie!”, „Znowu spóźnieni!”, „Hurra dla państwa młodych!”. Dorrie osuwała się na krzesło, z wargami wydętymi z ukontentowania i zakłopotania, Larry zaś kwitował uśmiechem poklepywanie lub podniesione kciuki mężczyzn.

Na śniadanie podawano jaja, bekon, parówki, Dorrie jednak, która była „nie w sosie”, obywała się tostami i herbatą. Po śniadaniu uczestnicy wycieczki zajmowali miejsca w autokarze i wyruszyli do punktu docelowego dnia. Nowozelandczycy i Australijczycy - Heather i Gregory, Joan i Douglas, Marjorie i Brian, Larry nigdy nie mógł się rozeznąć w ich imionach - siadali z przodu i przerzucali się dobrotliwymi dowcipami, milknąc tylko, gdy Arthur zwracał uwagę na jakieś interesujące miejsce. Rumuni siedzieli z tyłu, zawsze na tych samych fotelach. Larry i Dorrie zajmowali miejsca w środku, Dorrie przy oknie, uważając, że jej się to należy, gdyż jest niższa od Larry'ego, a ponadto przy oknie mniej ją mdli.

Profesorostwo Edwardsowie siedzieli naprzeciwko nich, po drugiej stronie przejścia, z mapami i przewodnikami rozłożonymi na kolanach. „Nie chcemy nic przegapić” - powtarzała profesorowa. Miała swoje podejrzenia co do Arthura. Miglanc z niego, mówiła. Recytuje, zamiast komentować, pomija interesujące obiekty na szlaku. Zignorował pewne dwunastowieczne opactwo, oznaczone w przewodniku gwiazdkami. Profesorowa zamierzała po powrocie napisać o tym do centrali Sunbrite Tours.

- No, no, kochanie - mitygował profesor, głaszcząc ją po ręce.

Profesor Edwards kazał Larry'emu mówić sobie Robin. Zapytał go, czym się zajmuje zawodowo, jakie jest jego „pole działania”, więc Larry opowiedział mu o sieci sklepów Świata Kwiatów i o tym, jak trafił do zawodu po ukończeniu kursów sztuki kwiatowej w college'u w Winnipegu.

- A, botanika - skwitował informację profesor. - Czy też to ogrodnictwo?

Obrócił sztywno ciało w stronę Larry'ego, oczekując odpowiedzi.

- Trochę tego, trochę tego - odpowiedział Larry z namysłem. - Ale niezupełnie.

Profesor Edwards był socjologiem, zajmował się populacją, modelami populacji miejskiej. Jeśli chodzi o ogrody, jest kompletnym ignorantem - powiedział Larry'emu. Nie odróżnia pierwiosnka od lili. Nigdy go to nie interesowało. Nie miałyby zresztą na to czasu. Mieszkają z żoną w Tucson w bloku, zawsze mieszkali, więc nie było potrzeby uprawiania ogródka. Ale może kiedyś, jak przejdzie na emeryturę, może o tym pomyśli. Jako hobby. Człowiek musi się uczyć do końca.

- A może ja zajmę się socjologią jako hobby - powiedział Larry.

Powiedział to żartem, ale profesor Edwards się zachnął, zaskoczony.

Pewnego popołudnia autokar zatrzymał się przy pobrużdżonym polu, gdzie kiedyś stało rzymskie osiedle - zarysy jego domów, świątyń i placów publicznych zaznaczono ułożonymi na płask w trawie czerwonymi cegłami.

Dorrie przysiadła na narożniku fundamentów jakiegoś domu i zapisała w swoim notesiku: „Drugi wiek”. Podkreśliła dwukrotnie notatkę, po czym podniosła powątpiewająco wzrok na Larry'ego. Najwyraźniej trudno jej było uwierzyć, że na tym opustoszałym polu wznosiło się niegdyś prawdziwe miasto, rojne od żywych mężczyzn i kobiet.

Zimno jej - powiedziała Larry'emu. Ma dość na jeden dzień. Więcej niż dość. Później Larry wspominał tę chwilę znużenia - Dorrie przycupniętą na fundamencie starodawnego rzymskiego domostwa - jako dzielącą ich miesiąc miodowy na dwie części.

Dzień po dniu wożono ich od zamku do zamku, od kościoła do kościoła, od dumnej rezydencji do rozpadającej się dziesięcinnej stodoły², a pewnego ranka przegnano w drobnej szarej mżawce po średniowiecznych murach Yorku. Tego samego dnia oglądali w wielkim muzeum dawne monety, meble i narzędzia rolnicze, a także w olbrzymiej szklanej gablocie ponad pięćdziesiąt rodzajów nożyc do przycinania knotów w lampach. Historia - stwierdzał Larry - pozostawia mnóstwo osobliwych drobiazgów, po większej części bezużytecznych: dziwaczkich, idiotycznych cudeniek, narzędzi, które wzięły rozbrat ze swoim przeznaczeniem, zabawnych konceptów, poronionych innowacji, zaskakującą liczbę błędnych tropów.

² Dziesięcinne stodoły (ang. *tithe barns*) - stodoły, w których dziedzice gromadzili ziarno wpłacane im przez dzierżawców jako dziesięcina.

Ale tym, co intrygowało i zdumiewało Larry'ego w miarę, jak autokar zapuszczał się coraz dalej na północ, była angielska wieś. Zidentyfikował w końcu swoje niezwykle doznania jako wzbierające szczęście. Ta zieloność Anglii. Zdawało się, że nie ma ani jednego nie uprawionego skrawka tej wyspy, ani jednego splachetka ziemi tak nieurodzajnego czy narażonego na wrogie działanie natury, żeby nie było czegoś, co by się w niej nie zakorzeniło i nie rosło. Przewodnik Arthur żartował, że w przemysłowym Leeds nawet ptaki budzą się z kaszlem, ale i tam, pośród fabryk i osmolonych budynków, Larry wypatrzył zimowe pnie dębów i kasztanów. Mimo że bezlistne o tej porze roku, wystrzelając w górę między kominami w poczerwiałym powietrzu, zrobiły na Larrym wrażenie imponujących okazów, pełnych godności i aspiracji. Ze smutkiem przypominał sobie chude, skrofuliczne topole w Winnipegu, biedniutkie sosenki Banksa i karłowate świerczki, ich skromny roczny przyrost w trudnym klimacie, ich pokrzywione, niewydarzone kształty.

Ale jeszcze bardziej niż drzewa napełniały go zdumieniem angielskie żywopłoty. Ich cienista gęstość ciągnąca się przez całą Anglię, jakby malowana miękką kredką artysty. Czemu rodzice nie wspomnieli mu nigdy o tym zadziwiającym fenomenie, wśród którego wyrosli? Wszędzie żywopłoty: odgradzały uprawy od pastwisk, ześlizgiwały się po spadkach terenu, krzyżowały i znikały z pola widzenia pod niesfornymi kątami, oddziaływały jedną plamę zieleni od drugiej, tworzyły bariery między bydłem, owcami i stadkami gęsi. Żywopłoty są nieprzenikalne - wyjaśniał Arthur - nie przecisnie się przez nie owca, są równie skuteczne jak mury z kamieni czy płoty z drutu kolczastego, a niektóre mają korzenie sięgające setek lat.

W miasteczkach przycięte równo żywopłoty wytyczały, jak zielone roślinne szwy, granice między posesjami, zapewniając bezpieczeństwo i odosobnienie malutkim ogródkom. Bujne i kształtne, sprawiały wrażenie elementów cyzelowanej rzeźby, a gęsta płatanina ich gałązek okryta była już teraz, pod koniec łagodnej zimy, jasnym puchem świeżej zieleni. Pąki w marcu. Zdawało się to niemożliwością. Rozwijające się młode listki.

W kraju prawie nie widywało się żywopłotów, a jeśli już, to z pospolitej tawuły albo paprociopodobnej karagany, których prawie nie sposób utrzymać w przyzwoitym stanie. Ojciec Larry'ego ogrodził swoją posesję na Ella Street wysokiej klasy parkanem łańcuchowym - było to lata temu. Podobnie jak blacha aluminiowa, którą obił szczyt starego drewnianego domku, parkan świetnie spełnia swoją rolę, a konserwacji wymaga tyle co nic.

- Z czego są te wszystkie żywopłoty? - spytał Larry Arthura, odrzucając włosy, których już nie miał. - Chodzi mi o to, jakie to krzewy?

Artur nie wiedział. Znał strzępy historii, znał imiona królów i królowych, ale był londyńczykiem. O królestwie zieleni nie miał pojęcia.

W jaskrawo oświetlonej księgarni w Manchesterze Larry znalazł książkę o żywopłotach. Tkwiła w pojemniku z przecenionymi tytułami. Ponad sto źle zszytych ilustracji pouczało czytelnika o odmianach i zastosowaniu grabu, myszopłochu, wawrzynu, cyprysu, jałowca, lipy, głogu jedno- i dwuszyjkowego, ligustru, ostrokrzewu, cisu, karłowatego bukszpanu i jaworu. Jak je sadzić, jak pielęgnować, jakimi sposobami kontrolować ich rozrost. Jak niektóre gatunki można przeplatać innymi dla uzyskania silniejszych i dorodniejszych żywopłotów - nazywało się to przemysłne łączenie gatunków sznurowaniem. Larry studiował karty *Żywopłotów Anglii i Szkocji*, gdy autokar zawrócił w drogę powrotną na południe, ku Devonowi i Kornwalii. Po dniu czy dwóch potrafił rozróżniać z okna autokaru rozmaite odmiany. Zdumiało go, jak łatwo nabył tę umiejętność, ale zaraz przypomniał sobie wyróżnienie, z jakim ukończył kursy sztuki kwiatowej, oraz pochwalne wypowiedzi wykładowców, jednego o jego doskonałej pamięci, drugiego o zmyśle obserwacji.

Klucz do identyfikacji żywopłotów stanowiła ich faktura i gęstość, odcień zieleni i kształt rozwijających się listków. Larry powtarzał na głos nazwy dostrzeżonych gatunków, po czym zapisywał je na wewnętrznej stronicie okładki książki. Zapomniał w ostatnich dwóch, trzech latach o tej swojej ciekawości - że zawsze chciał wiedzieć rzeczy, które mu do niczego nie służyły.

Siedząca obok niego Dorrie była w ponurym nastroju. Tęskni do domu - mówiła. Nosem jej wychodzi towarzystwo starych przyków. Te ich przycinki przy śniadaniu, wiecznie ta sama śpiewka. Grają jej na nerwach, jeszcze trochę, a dostanie kota.

Tymczasem z każdym dniem robiło się coraz zieleniej. Któregoś ranka, w połowie dwutygodniowej tury, Arthur zelektryzował wszystkich, podrywając się ze swego miejsca na przodzie autokaru i wskazując długie, opadające pole żonkili.

- Czyż nie obiecywałem państwu, że zobaczymy żonkile w czasie tego objazdu?

Wszyscy rzucili się do okien, wszyscy z wyjątkiem pani Edwards, która smacznie spała z odrzuconą do tyłu głową i otwartymi ustami. Dorrie wyciągnęła z torebki swój notesik i na czystej stroniczce zapisała jedno słowo: „żonkile”. (Kiedy mały notesik wpadł mu parę lat później w ręce, Larry stwierdził, że jest w trzech czwartych pusty. „Żonkile” było w nim ostatnim zapisem).

W dniu, w którym widzieli żonkile, profesor Edwards postawił Larry'emu piwo - było to wczesnym wieczorem w pubie, gdzie się zatrzymali na dziesięćminutowy postój - i ni z tego, ni z owego powiedział:

- Urlop sabatowy przysługuje nam naprawdę dopiero za dwa lata, ale moja żona jest lekomanką, szpikuje się pigułkami, zarówno sprzedawanymi na receptę, jak bez recepty, sytuacja zrobiła się nieznośna i ciągle się pogarsza, więc zdecydowaliśmy, że taka zmiana otoczenia dobrze nam zrobi.

Larry ukrył wzrok w resztkach ciemnego piwa, z którego znikła już piana. Pragnął znajdować się w tej chwili na drugim końcu politurowanego baru, gdzie co chwila hałaśliwym śmiechem wybuchały nowozelandzkie i australijskie pary, spierając się, ile mil drogi pozostało do dzisiejszego noclegu w Bath. Pełni wzajemnej galanterii przerzucali się głośnymi żarcikami, rozważając wątpliwe pożytki z ptaków kiwi i kangurów, piłki nożnej i polityków. Larry'ego pociągał ich dobry humor, zarazem onieśmiało go jednak ich towarzystwo, szczególnie

mężczyzn z ich krzykliwą, rubaszną kordialnością, tak kontrastującą ze sztywną, podchwytną dociekliwością profesora Edwardsa.

A jednak to profesor Edwards, Robin, uznał za stosowne zawierzyć swoją bolesną tajemnicę Larry'emu, nieznanemu o tyle młodszemu, że mógłby być jego synem.

- Chowa je. Są takie małe, rozumiesz. Te jej pigułki. Takie łatwe do ukrycia.

- Jest uzależniona?

Pytanie było niemądre, oczywiste, ale Larry czuł, że musi jakoś skwitować konfidencję Robina.

- Uzależniona, naturalnie. To silniejsze od niej.

- Okropne. Musi być strasznie trudno...

- Budujący jest widok takiej młodej pary jak wy - powiedział profesor Edwards, kierując rozmowę na pozytywniejsze tory. - Rozpoczynacie życie swobodni jak ptaszki.

Larry wychylił resztkę piwa.

- Spodziewamy się dziecka - powiedział. - To znaczy, moja żona się spodziewa.

- Rozumiem - skwitował uprzejmie wiadomość profesor, kręcąc w palcach guzik płaszcza od deszczu.

- Może zauważyłeś, że moja żona czuje się nie za dobrze - ciągnął Larry. - Szczególnie rano.

- Prawdę mówiąc, nie zauważyłem.

- Mdłości poranne.

Uzgodnili z Dorrie, że dziecko pozostanie na razie tajemnicą, przynajmniej dopóki nie wrócą do kraju i nie powiedzą rodzicom. Larry'ego zaskoczyło, że sekret tak mu się wymknął z ust. Dziecko! Prawie o nim nie myślał od wyjazdu z domu. Trudno było przywyknąć do świadomości, że jest mężem, a co dopiero, że będzie ojcem. Przypominał sobie to z wysiłkiem, obwieszczał co rano do lustra, przymykając powieki, żeby odepchnąć widmo twarzy ojca. Mąż, małżonek! Twarz jednego męża wycierająca z twarzy drugiego, nieostra, zadowolona z siebie, ale nigdy nie wyzbywająca się wyrazu zdziwienia.

Ostatnio odkrył, że może się odciąć od tej twarzy, kierując myśli ku zieloności żywopłotów. Przypominało to przełączenie kanału telewizyjnego. Ostrokrzew, lipa, głóg, bukszpan - wianuszek nazw powracających jak refren popularnej piosenki. Ich krzewne sploty oczyszczały mu mózg, ich gładkie, sztywne, pełne godności kształty, ich toczona doskonałość.

- Mieliśmy się pobrać w czerwcu, ale stało się... Więc wylądowaliśmy tutaj teraz, w marcu.

Czuł, że traci zainteresowanie profesora Edwardsa, no i oczywiście sposobność zaoferowania mu słów otuchy w jego kłopotach z żoną.

- No, czas na nas - powiedział nagle profesor energicznym głosem, pasującym bardziej do sprawozdawcy sportowego niż do wykładowcy socjologii. - Bo autokar odjedzie bez nas.

- Chodzimy ze sobą od przeszło roku - wyjaśnił Larry. Ciągłe ścisnął pustą szklanekę po piwie. - Planowaliśmy już małżeństwo, byliśmy od jakiegoś czasu zdecydowani się pobrać, tak że niewiele to zmieniło.

Twarz profesora Edwardsa wyciągnęła się teraz. Położył Larry'emu dłoń na ramieniu, wpił silnie palce.

- Będę ci zobowiązany, jeśli zachowasz dla siebie to, co ci powiedziałem.

- Co-o? - wsiadła na Larry'ego Dorrie. - Poszedłeś i wypaplałeś wszystko temu głupiemu profesorkowi? Dlaczego?

Byli w miasteczku Barnstable w Devonie, w hotelu King's Inn. Okna ich frontowego pokoju wychodziły na ruchliwą ulicę handlową.

- Bo ja wiem.

- Uzgodniliśmy, kurwa, że nie będziemy nikomu mówili. I nie truj mi, żebym nie mówiła „kurwa”. Będę, kurwa, mówiła, ile razy, kurwa, zechcę.

- Tak mi się to jakoś wysnęło. Rozmawialiśmy i wysnęło mi się.

- Moja matka nie wie. Moja własna matka. A ty lecisz i paplesz temu kretynowi. Mogłeś się przez chwilę ludzić, że nie powtórzy tej swojej wścibskiej żonie? W pani stanie, powiada mi. Nie powinnam pić piwa w moim stanie. Dowie się teraz cały autokar. Założę się, że już wszyscy wiedzą.

- Co to ma za znaczenie?

- Jesteśmy w podróży poślubnej, takie ma znaczenie. Dwa gołąbeczki w podróży poślubnej, na miłość boską. I oto się okazuje, że mała gołąbeczka jest przy nadziei.

- Nikt już dziś nie rozumuje takimi kategoriami.

- Nie-e? A twoja matka, twój ojciec? Rozumują dokładnie takimi kategoriami.

- Skąd możesz wiedzieć, jak rozumują?

- Uważają, że żadna dziewczyna nie jest wystarczająco dobra dla ich kochanego synka. Oto jak rozumują. A już na pewno nie dziewczyna na tyle głupia, żeby dać sobie zrobić dziecko.

- Pogodzą się z tym.

- Będą uważali, że to moja wyłączna wina. Tak jakbyś ty nie miał w to swojego maleńkiego wkładu. - Opadła z jękiem na łóżko, jęła kręcić spazmatycznie głową. - Już widzę, jakim wzrokiem zmierzy mnie twój ojciec. O Boże, ten jego wzrok! Czy ta dziewczyna nie ma krzty oleju w głowie? Dlaczego nie była na pigułce?

- Powiemy im zaraz po powrocie. Minie dzień, dwa i pogodzą się z tym.

Obróciła głowę, posłała mu podejrzliwe spojrzenie.

- A ty? Ciekawe, kiedy ty się pogodzisz?

- Dawno się pogodziłem.

- Akurat. Ja tu siedzę w autokarze i dzień po dniu obmyślam imiona. Dla dziewczynki, dla chłopca. Nie wychodzi mi to z głowy. Dla dziewczynki podoba mi się Wiktoria, dla chłopca Troy. Oto o czym myślę. A ty podskakujesz na widok każdego krzaczka. Zapisujesz nazwy. To wszystko, co cię obchodzi. Pierdolone krzaki.

Przyciągnął ją, zakołysał w ramionach, pogłaskał po włosach.

Ze zdumieniem rozpoznał ten gest, jego okrutną ekonomię, monumentalną bezosobowość. Gest człowieka znużonego, roztargnionego. Poklepywanie męża. Pamiętał ojca pocieszającego w identyczny sposób matkę w dniach jej załamań. Ale poklepywanie to nie to samo co prawdziwe dotykanie. To jakby przełączenie się na automatycznego pilota. Poklepane, załatwione. No, no. Ukradkowe zerknięcie na zegarek. Niedługo czas na obiad. Klepięcie, pogłaskanie, klepięcie.

Uspokoilo to jednak Dorrie. Rozluźniła się w jego ramionach. Opadli na łóżko i leżeli bezwładnie spleceni, bez słowa. Za dziesięć minut czas zejść na obiad. Larry był głodny jak wilk.

Nadszedł ostatni dzień, na który pozostawiono jeden z najbardziej ważkich zabytków historycznych - Hampton Court³.

- Ten pałac nie ma sobie równych, jeśli chodzi o stopień konserwacji - oznajmił Arthur, zebrawszy swoich podopiecznych w ciasne kółko. Wskazał bramę Anny Boleyn, Zegar Astronomiczny (zelektryfikowany przed dwoma laty), Wielką Salę, Dziedziniec z Fontanną, Kaplicę Królewską z kunsztownie rzeźbionym dachem. - Proszę zwrócić uwagę na mistrzowskie wykonanie - mówił. - Oglądają państwo arcydzieło największych artystów i rzemieślników Anglii.

³ Hampton Court - zamek nad Tamizą około 20 kilometrów od Londynu, wybudowany w 1514 roku.

Uczestnicy wycieczki zrobili zbiórkę i poprzedniego wieczoru wręczyli Arthurowi srebrne spinki do mankietów. Arthur zamrugał, otworzywszy pudełeczko, zamrugał i potoczył wzrokiem po otaczających go twarzach. „Sto lat” - zaintonował jeden z Australijczyków, próbując pociągnąć innych za sobą. Na imię miał Brian, był postawny, dobroduszny, nobliwie łysiejący. To on zainicjował zbiórkę i podsunął wszystkim do podpisania kartę z podziękowaniami. Ale śpiew zaintonował w fałszywej tonacji, której nikt nie potrafił podjąć.

Ku zaskoczeniu grupy, do przodu wysunęła się Dorrie i poprowadziła śpiew, pociągając wszystkich swoim silnym, czystym głosem. Pochodziła z muzycznej rodziny, jej ojciec był barytonem w chórze policyjnym, matka po paru kieliszkach lubiła się popisywać sentymentalną interpretacją „Jesteś światłem mego życia”.

A Dorrie, mimo drobnej postury i niespełna pięćdziesięciu kilogramów wagi, miała głos pełny, soczysty.

Sto lat, sto lat niech żyje, żyje na-am.

Larry kochał ją w tej chwili nieprzytomnie. Swoją bezbronną Dorrie. Zapisał ten kadr w pamięci. Była to rzecz, którą musi zapamiętać. Uniesienie jej brody, gdy ryzykowała maleńki fałsz na końcowej nucie. Jej dłonie zaciśnięte w pięści w kieszeniach płaszcza od deszczu, gdy dawała nura w drugi refren. Miss Harmonii Sunbrite Tours.

Pani Edwards miała wątpliwości co do sensowności obdarowywania Arthura spinkami do mankietów.

- Nie wygląda mi na mężczyznę, który by nosił koszule z mankietami - szepnęła do męża oraz do Larry'ego i Dorrie.

Jednakże tego ranka, kierując się za Arthurem do ogrodów w Hampton Court, Larry dostrzegł srebrny błysk u nadgarstka Arthura.

- Widzą państwo przed sobą - oznajmił Arthur, wskazując palcem - najstarszy zachowany labirynt ogrodowy w Anglii.

Co takiego? Larry nigdy nie słyszał o czymś takim.

- Mamy trzy kwadranse - anonsował Arthur swoim różnym głosem. - Jeżeli ktoś zabłądzi, proszę wołać. Pośpieszmy na ratunek.

Później Larry zanotował w pamięci formułę drogi przez labirynt. Mógł ją wyrecytować na życzenie każdego, kogo by to interesowało. Wszedłszy, trzeba skrócić w lewo, potem w prawo, znowu w prawo, następnie w lewo, w lewo, w lewo i jeszcze raz w lewo. Dotrze się w ten sposób do centrum. Żeby się wydostać, należy to odwrócić, skrócić w prawo, trzy dalsze razy w prawo, na następnych dwóch rozstajach w lewo i wychodzi się w prawo na otwartą przestrzeń.

Ale w dniu, kiedy pierwszy raz odwiedził Hampton Court, 24 marca 1978, jako nie bywały za granicą młody artysta kwiaciarz z Kanady, świeżo ożeniony z Dorrie Shaw, która była w czwartym miesiącu ciąży z jego synem Ryanem, tego dnia Larry wziął każdy możliwy niewłaściwy zakręt. W rezultacie był ostatnim uczestnikiem wycieczki, który wychynął, kulejąc, z labiryntu.

Dorrie czekała na niego w swoim wesoło niebieskim płaszczu od deszczu.

- Martwiliśmy się o ciebie - powiedziała z pretensją. I dorzuciła: - Wyglądasz jak pijany.

Była to prawda. Zagubienie we wnętrzu labiryntu przyprawiło go o zawrót głowy. Było wczesnie rano, dzień tak chłodny, że Larry widział dech wydostający się z jego ust i rozchodzący szeroką smugą w powietrzu. Dziw, że delikatne listki przypominające szpilki wytrzymały taki chłód. Zielone ściany sięgały ponad jego głowę, zbyt wysoko, by cokolwiek ponad nimi zobaczyć. Któż by oczekiwał takiej wysokości i gęstości? Larry nie spodziewał się również wrażenia, że został odseparowany od świata, ani stanu panicznej samowiedzy, chociaż ta była do odwrócenia. Bez zastanowienia zwolnił kroku, pozostając w tyle za innymi, pragnąc się zagubić, być sam. Przed sobą miał na wąskiej ścieżce panią Edwards idącą ramię w ramię z Dorrie, rozmawiające ze zbliżonymi głowami, i tuż za nimi kroczącego profesora Edwardsa. Widział, jak cała trójka skręca w prawo i niknie za ścianą listowia.

Zastanawiał się, jak dalece człowiek może się zagubić. Zagubieni na morzu, zagubieni w lesie. Zagubieni na śmierć.

- Robisz wrażenie zagubionego w myślach - powiedziała do niego Vivian ostatniego dnia pracy w Świecie Kwiatów, w przeddzień jego ślubu z Dorrie.

Larry stał na zapleczu kwiaciarni, zapatrzony w burzę farbowanych niebieskich goździków.

- Tak sobie myślę - odparł. Vivian posłała mu leniwy uśmiech.

- Rozmawiasz z kwiatami - orzekła, dotykając jego rękawa. - Ja to stale robię.

Patrząc na strzępiaste niebieskie płatki, myślał wówczas o miłości, o tym, w jaki sposób jego niedoskonałym rodzicom udaje się darzyć siebie nawzajem stałą, trwałą miłością, podczas gdy jego miłość do Dorrie jest ułonna, przychodzi i odchodzi, a on musi ją odnajdywać wciąż na nowo, by wkrótce ją znowu zgubić.

Teraz, w tym labiryncie ogrodowym, gubienie się i odnajdywanie wydało mu się istotą rzeczy; to, i ten moment zdania się samochcąc na ślepy traf, niespodziewana rozkosz bycia wiedzionym w nieznanie.

W oddali usłyszał rozbawiony głos - kogoś z wycieczki - wołający: „Tędy, tędy”. Wzdrygnął się na ten dźwięk, jego nabrzmiałe natręctwo. Pragnął zagłębiać się dalej i dalej między roślinne ściany, poddać przemyślności labiryntu, tej skończonej kosztownej fanaberii. Czuł, jak nogi każą mu brać coraz to nowy niewłaściwy zakręt, działać wbrew instynktowi kierunku, kołować i błędzić, zatapiając się w gorączkowej izolacji. Jego krokami kierował ktoś starszy w jego ciele, ktoś silniejszy, ktoś wyzwolony z pospolitych więzów płci, odpowiedzialności. Wspominając to później, pamiętał krótką chwilę, gdy czas oniemiał, zamarł. Ta godzina samotnego wędrowania jawiła mu się jako dar, a częścią tego daru było natrętne stare stopniowanie - zagubiony, bardziej zagubiony, całkowicie zagubiony. Miał wrażenie, że owe czternaście dni jego małżeństwa zapada się w niebyt, staje się zmyślnym artefaktem, wydrążoną przestrzenią, w którą on musi się dopiero wpasować. Miłość nie znajduje się pod ochroną. O nie! Tkwi w otwartym polu, jak wszystko inne.

Trzy kwadransy dał im Arthur, a Larry Weller zmitrężył między ścianami zieleni pełną godzinę.

- Martwiliśmy się o ciebie - powiedziała Dorrie z naganą w głosie.

Podreptał za nią do autokaru, by ruszyć w drogę powrotną do Londynu.

- Jak ty się mogłeś tak zgubić? - powtarzała Dorrie.

Następnego dnia wsiedli do samolotu, który ich poniósł przez szeroki ocean, potem nad rozległymi pustkowiami Labradoru, skąpanymi w słońcu miastami i osadami Ontario - nie kończące się popołudnie lotu. Rozpościerały się pod nimi zamrożone jeziora i połacie lasów, które się w końcu zwężyły, spłaszczyły w korytarz ośnieżonych pól, a potem w rozpoznawalny ciemny labirynt splecionych dróg i dachów i wzbijające się na ich powitanie chmury zimnego powietrza.

Brzęknęło w megafonach i słodki sopran poprosił o uwagę. Proszę zamknąć stoliczki, zapiąć pasy. Wysuwają się ze stęknieniem aparatura lądowania, następuje starannie przemyślana sekwencja cudów inżynierii. Dorrie w podnieceniu i roztargnieniu ścisnęła dłoń Larry'ego - są niemal w domu. Za chwilę wchłoną ich jakby nigdy nic znajome ulice i domy, upomni się o nich życie, które ich wybrało lub które oni wybrali.

Odjazdy i przyjazdy - nie wiedział tego wówczas, ale te dwie siły miały stanowić bliźniacze sprężyny jego egzystencji, na równi z krótkimi momentami jasności spadającymi na nich, niosącymi ciszę. Wstrzymany dech. Życie ujęte we własne dłonie.

TLR

ROZDZIAŁ TRZECI

Rodzina Larry'ego **1980**

Niedługo przed swoimi trzydziestymi urodzinami Larry zdołał zebrać sumę wystarczającą na pierwszą wpłatę za niewielką posesję przy Lipton Street, zapuszczony domek do renowacji przez nabywcę, skromne pięć izb z oszkloną werandą od frontu, i teraz spędza większość wieczorów i weekendy, pracując koło domu. Wprowadził się z żoną Dorrie przed dwoma miesiącami i od tej chwili Dorrie nęka go, żeby a to wyłożył nowymi płytkami podłogę w kuchni, a to zmienił armaturę w łazience i może uszczelnić dach, nim nastanie zima. Lista robót na długość ramienia. Jednakże tego lata Larry spędza każdą wolną chwilę, pracując na dworze, czasami z pomocą przyjaciela Billa Herschela, ale częściej sam. Trzeba korzystać, póki utrzymuje się pogoda - mówi. Jego ambicją jest zabezpieczyć całą parcelę, tak żeby przyszłej wiosny Ryan mógł się na niej bawić bez dozoru.

Pracowali nad tym i tego popołudnia, ale z okazji urodzin zaprosili go wraz z Dorrie i Ryanem jego rodzice. Niedzielnny obiad, rozpakowywanie prezentów, gaszenie świeczek, jak zwykle. Jest rok 1980 i Larry wkracza w dekadę regresu, o czym jeszcze nie wie, nikt o tym nie wie. Wie tyle, że na razie czuje w piersi prawie nieustanny przyjemny szmerek oczekiwania, mimo iż Dorrie przez całą drogę do domu rodziców biadoli, że na ukoronowanie dnia takiej cholernej spiekoty zostaną na pewno uraczeni gorącym obiadem, podlanym tłustym sosem. Ideałem menu na upalny dzień byłyby dla niej kopiasta misa lodów i wielka szklanka mrożonej herbaty.

W ostatnich tygodniach panowało między Larrym a Dorrie mroźne deprymujące milczenie.

Krótkie trzy lata temu Larry był młodym chojrakiem paradującym w koszuli ulicą Winnipegu. Pamięta to uczucie, nie miał żony, nie miał dziecka, nie miał domu, nie miał ogrodu. Wszystko jest teraz zmienione, ale to i dobrze, szczególnie cieszy go syn, Ryan. Mógłby być w czarnej melancholii, bo kończy trzydzieści lat. Ale nie jest. Jest niepowtarzalny i śmiertelny, wie to, ma ten domek, który wypieści, ma parcelę, która nabiera z wolna charakteru, wszystkie jej kąty zapełniają się krzewami od hurtownika w Carmen. Jest również trochę kwiatów i czerwonej papryki, ale Larry jest rozkochany w krzewach. Dorrie nazywa je z uporem krzakami, a on musi ją stale poprawiać.

- Chorujesz na krzakomanię - powtarza Dorrie, ale usta jej się śmieją, gdy to mówi. - Chcesz zostać królem krzaków wszechświata.

Może to i prawda. Może on rzeczywiście chce uczynić swoją posesję pokazowym ogrodem krzewów. Słyszał gdzieś, że prawie każdy ma w życiu swoją minutę sławy. A może godzinę.

Stu Weller, ojciec Larry'ego, został kiedyś opisany w niedzielnym wydaniu „Winnipeg Tribune” jako kolekcjoner korkociągów i otwieraczy do butelek, których zbiór liczył w chwili wywiadu sześćset okazów, a od tej pory niemal się podwoił. Starsza siostra Larry'ego, Midge, wygrała w ubiegłym roku tysiąc dolarów na loterii Galerii Sztuki - dosyć na urlop z koleżanką na Hawajach - i zrobiono z nią na kanale 13 autentyczny wywiad, w którym opowiedziała o swoim zaskoczeniu i o tym, że nie ma normalnie zwyczaju wyrzucania pieniędzy na bilety loteryjne, chyba że jest to jakiś szlachetny cel, taki jak powiększenie przestrzeni wystawowej galerii lub coś w tym rodzaju.

Sam Larry musi poczekać jeszcze parę lat na swoją chwilę sławy, ale to go nie martwi. Ma w tej chwili dosyć na głowie, swoją nową rodzinę - Dorrie i małego Ryana - pracę w Świecie Kwiatów, no i absorbujące go ostatnio zakrzewianie posesji przy Lipton Street. Co zaś do jego matki, Dot, to wystarczy jej na całe życie rozgłosu

sprzed lat. Niech nikt jej nie mówi o sławie, szczególnie sławie, a właściwie niesławie, której można sobie napytać przez ignorancję i która ciągnie się później za człowiekiem przez resztę życia. Głupia Dot. Niechlujna Dot. Dot morderczyni. Ale to, ma się rozumieć, było dawno temu.

Kiedy Larry był chłopcem, matka przestrzegała go przed publicznymi fontanienkami z wodą do picia.

- Nikt nigdy, ale to nigdy nie przytyka ust do dzióbka - mówiła - bo może złapać cudze zarazki, a nie wiadomo, jaki chory pił przed tobą.

Była to niepożądana nauka dla Larry'ego. W owym czasie lubił się wspinać na palce i przytykać wargi bezpośrednio do chłodnego srebrnego dzióbka, nie zaś łapać ustami strumień wytryskujący w nieoczekiwanym kierunku. A zresztą ostrzeżenia matki nie miały sensu, bo jeśli nikt nigdy nie przytyka ust do dzióbka, to skąd miałyby się tam brać zarazki? Pamięta - mógł mieć wtedy sześć, siedem lat - jak spróbował wyłożyć matce tę próbkę swojej logiki, a ona pokręciła tylko swoimi przyklepanymi fiokami i odparła z melancholijną mądrością:

- Zawsze znajdzie się na tym świecie ktoś, kto nie wie, co jest co.

Larry wyobrażał sobie tych ludzi - ludzi, którzy nie wiedzą, co jest co - jako rasę niezdarnych nieszczęśliwców. Według matki mieszkało ich niemało choćby koło nich, na Ella Street, na Zachodniej Stronie Winnipegu. Na przykład ludzie, którzy ścinają trawę, ale nie pomyślą o tym, żeby ją zgrabić. Ludzie, którzy zostawiają mąkę i ryż w oryginalnych papierowych torbach i później w ich szafkach roi się od mrówek i robactwa. Ludzie, którzy nie pomyślą o tym, żeby w porę wyrzucić podgumowane podkładki pod naczynia, przywiezione z wycieczki nad Jezioro w Lesie. To właśnie problem z ludźmi, którzy nie wiedzą, co jest co - że nic nigdy nie wyrzucają, nawet nieodwracalnie poplamionych ścierek, nawet rękawic kuchennych z wypalonymi na palcach dziurami.

Ludzie, którzy nie wiedzą, co jest co, jedzą nawet surową kapustę podawaną do hamburgerów, wydłubują ją plastikowymi widelczykami z miniaturowych papierowych pojemników. Ktoś kiedyś, pewno ich opiekuńcze matki, powiedział im, że powinni jeść wszystkie zielone jarzyny, jakie im podadzą, i nie przyjdzie im do głowy, jak niewiele zieloności pozostaje w kapuście zatopionej w przyprawie do sałatek i niewłaściwie przechowywanej przez Bóg wie ile dni. Ludzie ci nigdy nie słyszeli o salmonelli, a jeśli słyszeli, to nie wiedzą, co to jest.

A Dot (Dorothy) Woolsey Weller, żona Stu Weller, matka Larry'ego i Midge, babka Ryana, wie tragicznie, z własnego doświadczenia, co to zatrucie pokarmowe. Była kiedyś, w zaraniu swego życia, niechlujną ignorantką, jedną z tych osób, które nie wiedzą, co jest co, i którym nie będzie nigdy dane zapomnieć własnego braku rozeznania. Musi to rozpamiętywać dzień w dzień, czy to przez krótką ulotną chwilę - to w dobre dni - czy to przez długie ponure popołudnia czarnej rozpacz.

- Mamusia jest dzisiaj kapkę nieswoja - zwykł był mawiać dzieciom Stu Weller, kiedy dorastały na Ella Street, a one wiedziały, co to oznacza.

Po powrocie ze szkoły zastawały matkę siedzącą przy kuchennym stole, nadal w kordonkowym szlafroku, pocierającą bez przerwy twarz dłońmi, z niewidzącymi szklanymi oczyma, przeżywającą na nowo porażający akt swej niesławy.

Rozpamiętuje go nawet dzisiaj, siedemnastego sierpnia, w dniu trzydziestych urodzin syna. Larry rozpoznaje objawy. Jest niedziela, wpół do szóstej, a oto matka miota się rozłożystobiodra po kuchni, spocona w pomiętej bawełnianej letniej sukni, stawia talerze na gorącej blasze, żeby się zagrzały, jakby nie były ciepłe w upalnej kuchni. Zagląda do pieca na pyrkoczące ragout, żeglując tam i z powrotem, od lodówki do kontuaru, od kontuaru do zlewu. Jej szerokie rozlewne gesty zdają się rodem nie z jej życia żony i matki, lecz z jakiegoś słonecznego, zasobnego,

mlekiem i miodem płynącego dziewczęctwa, co do którego Larry wątpi, czy było kiedykolwiek jej udziałem. Uśmiecha się, szczebiocze, flirtuje nawet jakby trochę ze swoim trzydziestoletnim synem, który się jej przypatruje, z butelką zimnego piwa w dłoni, i widzi ostrzegawcze znaki. Zdradza ją gorączkowa niefrasobliwość. Bierze słoik ogórków konserwowych, stuka nim energicznie w deskę do krojenia chleba, żeby oblużować wieczko. Myśli, pamięta, trapi się, zatruwa ją jad wspomnienia.

Oto moja matka - myśli Larry - moja smutna, pulchna matka.

Większość życia upływa jej na borykaniu się z tą żalosalną historią, na wysiłku trwania z tym ciężarem w piersi. Jedno dawne niedopatrzenie, jedna brzemienna godzina - i oto teraz płaci i płaci.

Jest gospodynią domową, ta matka Larry'ego, robi budynie, dzierga szaliki, układa fotografie dzieci, wkleja wycinki rodzinne do albumu, ale jej prawdziwym zajęciem jest pamiętanie, bolenie. Jej ból ma swoje luźne przyływy i odpływy, tak że chwilami robi zupełnie normalne wrażenie, jak wszystkie inne matki. Dzisiaj zamiast tortu upiekła Larry'emu suflet cytrynowy. Mogła go upiec równie dobrze wczoraj i postawić na najwyższej półce lodówki, pod zamrażarką, ale po tamtej historii nigdy by czegoś takiego nie zaryzykowała - i któż może jej się dziwić? Jej ostrożność kulinarna należy do tradycji rodziny Wellerów, tak samo jak upodobanie Larry'ego do sufletu cytrynowego. Co roku na urodziny Dot przygotowuje synowi wielki suflet, z wianuszkami świeczek sterczących ze złoto przyrumienionej wierzchniej skorupki. Jest na co popatrzeć.

Na pieczone będzie lancashire'skie ragoût, to ono teraz pyrkocze w piecu. Jest to proste danie według starego przepisu, matka Dot podawała je zawsze w Anglii w sobotnie wieczory. Układała na dnie pyreksowego rondla kawałki baraniny, na to kładła warstwę pokrajanych w plasterki kartofli, potem warstwę marchewki, następną warstwę baraniny i wszystko to pokrywała drobno posiekaną cebulką. Do tego należało dodać w miarę soli, pieprzu, suszonej pietruszki, dolać filiżankę bulionu i gotować pod przykrywką przez półtorej godziny. Larry przepada za lancashire'skim ragoût, a przynajmniej twierdzi, że przepada, ze względu na swoją smutną, wiecznie zafrasowaną, nie mogącą zapomnieć rodzicielkę. Nazywa ją „ma”; zawsze tak do niej mówił. Inni mówią „mama” albo „mamusia”. Ludzie w filmach i książkach mówią „matka”.

Podniosła klapy rozkładanego stołu w pokoju, zasłała go najlepszym adamaszkowym obrusem, nakryła na sześć osób odświętną porcelaną i sztućcami. Będzie sama rodzina, jej najbliżsi, jak zwykła mówić, jakby chodziło o osoby żegnające ją w nekrologu - jej mąż Stu, syn Larry, synowa Dorrie, wnuk Ryan w wysokim dzieciennym fotelu. Ma się zjawić także córka Midge, ale już najwyższy czas siadać do stołu, a jej ciągle nie widać. Trzy lata temu Midge wyrzuciła z domu męża Paula, gdy otrzymała anonimowy list, że jest on bywalcem pewnego baru pederastów, i teraz się zarzeka, że nigdy więcej nie wyjdzie za mąż. Wznosząc oczy ku niebu, opowiada, iż od pierwszego dnia wiedziała, że coś z nim jest nie tak.

Larry niepokoi się o matkę. Za mało ostatnio wychodzi z domu, właściwie prawie w ogóle nie wychodzi, chyba że za wychodzenie uznać wyprawy na wyprzedażę do Searsa. Martwi Larry'ego także, że ma trapić się ustawicznie o wszystkich. Zamartwia się, że Midge gorzknieje w wieku trzydziestu dwóch lat, peroruje bez przerwy jak zwariowana feministka, chodzi na różne manifestacje. Gryzie się także o Larry'ego i Dorrie, że skaczą sobie ustawicznie do oczu, że Dorrie pracuje na pełnym etacie w Manitoba Motors, zamiast siedzieć w domu z Ryanem, który ma prawie dwa latka, a ciągle chodzi w pieluszkach. Gryzie się o męża, który wkłada w tej chwili w sypialni czystą sportową koszulę, o co go musiała długo nękać. Prawdę mówiąc, Stu jest w paskudnym humorze, zrzędzi od rana naupał, na komary, na ból krzyża, na nie dosłodzoną popołudniową kawę, na kupę kompostu za domem, do której zro-

bienia dał się namówić Larry'emu, a teraz na to, że będzie musiał *jeść* na rozkładanym stole w pokoju zamiast jak zwykle w kuchni. Do tej chwili nie złożył nawet życzeń urodzinowych Larry'emu, własnemu synowi.

Dot sprawdza piecyk, zerka na zegar, rzuca okiem przez kuchenne okno, czy auto Midge nie pokazało się w tylnej alejce. Gdzie jest ta dziewczyna? Następnie wylewa na srebrną paterę do ciasta imbryk gotującej wody, żeby zabić przyczajone zarazki, po czym stawia paterę na papierowym ręczniku, żeby obeschła. Nieskazitelna. Tak jak cętkowane linoleum. Jak szuflada na sztuce w kredensie Dot. W tym domu nie wyrzuca się nigdy do zlewu ociekającej, mokrej torebki herbaty ekspresowej ani fusów po kawie. Ludzie, którzy dopuszczają, żeby brzegi zasłony nad ich wanną obrastały brudem, są jej obcy. Dot to kobieta, która płucze nad zlewem mięso przyniesione od rzeźnika. Przyglądając się teraz, jak myje pod kranem ręce, Larry wystukuje stopą o nogę stołu rytm, tak jak to robił, kiedy był chłopcem. Wyściełana wnęka śniadaniowa w kuchni, gdzie siedzi, ma wylizaną antyseptyczną woń starego małżeństwa. Teraz Larry próbuje wygwizdać melodyjkę na pustej butelce po piwie.

Czy w scentrowanym, obrotowym świecie jest miejsce dla trzydziestoletniego mężczyzny, który siedzi, dmuchając w pustą butelkę? Larry zastanawia się nad tym. Zastanawia się również jego matka, która się pochyla i zabiera mu butelkę, bez nagany, ale ze stanowczością, i chowa ją pod kontuarem. Jaki głód, mówi wyraz jej twarzy, jaka krzywda poraża jej syna w wieku trzydziestu lat? Coś zostało mu odebrane, ale co? I czy to jej wina?

Oczywiście, że jej wina.

Zgryzoty, zgryzoty, kołowrót zgryzot. A przecież to jej najbliżsi, ta piątka. Jej zręczny mąż, jej zbłąkana córka, jej zagadkowy syn, a w salonie jej synowa, Dorrie o schludnej sylwetce, o ostrym spojrzeniu, podbródku i obojczyku, pochylona teraz nad niedzielną gazetą, studiująca ogłoszenia i wyrwijająca zniżkowe kupony, podczas gdy obok niej, na ziemi, bawi się mały Ryan, drąc na strzępy resztki gazety. Jej nieliczna, niewystarczająca rodzina. Oto wszystko, czym dysponuje matka Larry'ego dla osłony przed klęską jej własnego życia.

*

Historia Dot Weller, tego, jak uśmierciła swoją teściową, dochodziła do Larry'ego kawałkami, jakby w odcinkach. Nie pamięta czasu, kiedy by nie znał przynajmniej jej części, ale nie jest zarazem pewien, czy słyszał kiedykolwiek pełną relację, całą historię opowiedzianą od początku do końca za jednym posiedzeniem.

W jednym z albumów matki jest stara fotografia Larry'ego w wieku dziewięciu miesięcy. Mały Larry w białej koszulce nocnej z kołnierzykiem, uwięziony w staroświeckim wysokim drewnianym krześle, z jakiegoś powodu wyniesionym na dwór. Nieostre drzewa i zamazany trawnik tworzą tło rozjarzone złowrogim blaskiem, padającym na drobno fryzowane włoski dziecka i połyskliwą powierzchnię krzesła. Czy główka takich rozmiarów może myśleć? Czy buzia niemowlaka może być taka mądra, taka przenikliwa? Jego rączki, które przypominają sfałdowane muszelki, ściskają kant blatu wysokiego krzesła, twarz jest ściągnięta w wyrazie zastygłego bólu. Nie może przecież wiedzieć - a może może - że życie jego matki dotknęła katastrofa. A jednak rozumne kulki jego potulnych oczu, krągłość jego drobnych ustek zdają się już kryć pełnię przytłaczającej wiedzy. Ma matkę, która płacze we śnie. Matkę pozbawioną chłodnej, uzdrawiającej ciekawości, która by ją podźwignęła po tragicznym wydarzeniu, matkę, której zaraźliwy ból przenika w niego. Przenika z jej mlekiem, przenika z jej skóry, z koniuszków palców.

A może były to na początku jedynie chwile milczenia zapadające wokół pewnych tematów w życiu matki, tematów, których nie poruszało się jawnie? Spoglądając wstecz, Larry jest niemal pewien, że cała historia objawiała mu się w konspiracyjnych szeptach - ale czyich? ojca? siostry? - i że za relacją tamtych wydarzeń kryła się jakaś gorączkowa intensywność: oto informacje niezbędne mu do życia w rodzinie Wellerów, do poruszania się po świecie. Nie da się uciec od katastrofy, która się wydarzyła latem 1949, rok przed jego urodzeniem, i odtąd powleka

ściany jak warstwa formalinowej izolacji, ta zawsze przyczajona opowieść, ciasno spowijająca wszystkich, którzy mieszkają pod rodzinnym dachem. Tak więc Larry zna cierpienie matki. Zna od zawsze, uzupełnia jego znajome wymiary siłą wyobraźni. Pragnąłby wziąć matkę w ramiona, ona by tego też pragnęła. Ale Larry nie wie, jak się do tego zabrać, nie wie, czy ona wie, że on wie, ile wie i jaką przywiązuje do tego wagę. Milczy więc, ona też milczy. Siedzi, bawiąc się butelką po piwie, dopóki nie zostanie mu ona stanowczo odebrana. A matka zerka po raz nasty na zegar, jakby każde jego tyknięcie przydawało ekstracjazaru jej cierpieniu.

Dot Weller miała dwadzieścia pięć lat, kiedy to się wydarzyło, była żoną Stu Wellera, tapicera Brytyjskich Kolei Państwowych w północnym mieście Bolton. Ich mała córeczka Midge, zdrobnienie od Marjorie, stawiała właśnie pierwsze kroczki, radosny berbecę puszczający się na niepewnych nóżkach od krzesła do krzesła i chichoczący z uszczęśliwienia swoimi akrobatycznymi wyczynami. Najradośniejszy maluch świata. Wcielenie słodczy.

Wellerowie mieszkali we względnie nowym domku komunalnym, cztery przewiewne izby i mały ogródek, gdzie latem Dot hodowała sałatę, rzodkiewki, marchewkę, czarne porzeczki i falisty rządki fasolki szparagowej. Woląaby mieć ładny kawałek trawnika i kwietną rabatkę - lubiła szczególnie łubin - ale wpojona gospodarska skrzętność kazała jej się koncentrować na tym, co może wraz ze Stu i małą Midge spożyć. Z porzeczki robiła kwasowaty dżem, bo cukier był jeszcze racjonowany i trudny do zdobycia, a fasolkę dusiła i wekowała. Uczuciem szczęścia napełniał ją widok słoików z przetworami, fasolka połyskująca niebieskawą zielenią na półce spiżarni.

Stu pracował sześć dni w tygodniu w warsztatach kolejowych, ale w niedzielę pozostawał w domu i przygotowywał sobie i swojej ładnej młodej żonie poranną herbatę. Przynajmniej tyle może zrobić, mawiał. Podrzucał do góry małą Midge, czytał od deski do deski „Sunday Mirror”, czyścił ruszty, a tuż przed południem szedł do pubu na tej samej ulicy na dżin z tonikiem, który uważał w owych dniach za trunku dżentelmenów. Potem wraz z Dot i ich małą przylepką wsiadali do autobusu i jechali na drugi koniec miasta, gdzie w domku o dwu izbach na dole i dwu na górze mieszkali jego rodzice i gdzie na nich czekała niedzielna pieczeń. Były to szczęśliwe dni. Wszyscy to doceniali.

- Ale rodzice powinni od czasu do czasu przyjść do nas na obiad - mówiła Dot. - To niesprawiedliwe, żeby cała robota spadała zawsze na twoją matkę.

Postawiła w końcu na swoim, rodzice się zgodzili. Odbyli pewnego późnopaździernikowego dnia niedzielną jazdę autobusem numer 16 w odwrotnym kierunku i stawili się u drzwi syna i synowej zmoczeni zimnym deszczem, ale weseli i spragnieni gorącego posiłku. Była pieczeń wołowa z tłuczonymi kartofelkami i sosem oraz brukselka i fasolka szparagowa do wyboru. Był również sos chrzanowy w małej sosjerce, prezencie ślubnym, a na deser biszkopty domowej roboty polany syropem.

Jakie szczęście, mówili później ludzie, że wszyscy nie woleli fasolki od brukselki. Tylko starsza pani Weller nałożyła sobie fasolki, i to dosyć sporo.

- Własnej roboty Dot - zachwalał Stu, dumny młody mąż. - Nie żałuj sobie, mamu, jak dotąd ledwo tknęłaś.

Godzinę później, pijąc herbatę, starsza pani zaczęła się uskarżać, że widzi podwójnie i że ma trudności z przełykaniem. Mimo to Stu z ojcem zapakowali senną Midge do wózka i poszli się przejść po nie zabudowanych terenach koło bocznicy kolejowych, pozostawiając Dot sam na sam z cierpiącą teściową. Dot zaproponowała jeszcze trochę herbaty, ale matka zbyła ją machnięciem ręki. Wobec tego Dot przyniosła butelkę gorącej wody i pled do owinięcia zwalistych kolan teściowej. Pani Weller zakołysała się kilka razy w przód i w tył, stęknęła raptem, po czym zwała się twarzą na chodnik przed kominkiem, o mały włos nie uderzając głową o kratownicę. Dot podbiegła

do niej, ukłękła na chodniku. Szyja starszej pani Weller była groteskowo przekrzywiona, twarz pałała szkarłatem duszenia się. Dot pamięta, że zaczęła wołać, ale nie pamięta co. (Pewnie „pomocy, pomocy”, ale ktoś by miał przyjść z pomocą?). Potem przesunęła dłoń tam i z powrotem przed oczami martwej kobiety.

Bo była ona faktycznie martwa. Młoda Dot nigdy nie widziała martwej osoby, ale nie miała wątpliwości, że ta zażywna istota na jej podłodze odeszła z tego świata, jak się wówczas mówiło. Leżała oto twarzą do przyprószonego popiołem chodnika, ciężka kobieta w sztywnym gorsecie, zakutana w parę warstw wełnianej odzieży, w kraćastej spódnicy opinającej potężne pośladki, w przekrzywionym swetrze ręcznej roboty. Łydki i uda, niezdarnie podwinięte, przypominały zwał martwego mięsa, spod spódnicy nieprzystojnie wyglądała różowa nogawka ciepłych majtek. Bił od leżącej mdlący zapach zgnilizny. Dot pamięta, jak myślała: To niemożliwe, niemożliwe - i szarpała nieruchomą postać, potężny niewzruszony ciężar. Aż uderzyła ją nagła myśl: atak serca. Słowa uformowały jej się same w głowie, przynosząc falę ulgi - oto co się stało! - bo w tym momencie jasnowidzenia doznała błysku, nie więcej, błysku samozadowolenia, że rozpoznała i nazwała widowisko, które się rozegrało przed jej oczami. Stała się nieoczekiwanie świadkiem jednego z wielkich dramatów cielesności.

Jednakże to nie atak serca sprowadził kataklizmiczny zgon jej teściowej. Och, gdybyż tak było, gdybyż! Śmierć starszej pani Weller - jak wykazały później badania laboratoryjne - nastąpiła wskutek ostrego botulizmu typu C. A źródłem botulizmu była fasolka szparagowa Dot, niewystarczająco podgrzana i nieumiejętnie zawekowana, fasolka stojąca od dwóch miesięcy w schludnym szklanym słoju na półce spiżarni, słodkie, żywozielone wcielenie niewinności.

Dot Weller ma teraz pięćdziesiąt sześć lat, jej mąż Stu pięćdziesiąt osiem. Oboje jego rodzice umarli w wieku pięćdziesięciu paru lat, matka na botulizm, a ojciec dwa lata później z gniewu - jakkolwiek świadectwo zgonu podawało jako przyczynę rozległy wylew.

Jego gniew, gniew biblijnych wymiarów, rozkwitł od razu tej feralnej niedzieli, kiedy jego żona padła martwa na chodnik przed kominkiem, otruta przez kretynek synową. Słowem, którym się posługiwał starszy pan Weller, było „morderstwo”. A nawet rozmyślne morderstwo. Tak się wyraził w wypowiedzi dla „Manchester Evening News”, które przysłały reportera, żeby sfotografował ogródek Wellerów z widocznym w kącie rządkiem nieszczęsnej fasoli, sprawcą zła. Nie było sposobu, żeby mu przemówić do rozsądku, chociaż przez całe życie był człowiekiem rozsądnym. Kataklizm rozłupał jego świat na dwie połowy i starszy pan nie miał zamiaru opuścić palca wskazującego winowajczynię.

I właśnie ten karcący palec pchnął Stu ostatecznie do biura emigracyjnego w Stockton, a w konsekwencji młodszy Weller powiózł niebawem swoją brzemienną żonę i córeczkę do Kanady, dokąd po prawdzie wędrowały pod koniec lat czterdziestych tysiące Anglików. W Winnipegu czekały w fabrykach wolne miejsca pracy. Można się tam było dorobić własnego domku z ogródkiem, kupić z czasem auto, pralkę, lodówkę, zapewnić dzieciom lepsze życie. No, i uciec od kwasu gorzkich scen i żalów rodzinnych. Kiedy nadeszła wiadomość, że starszy pan zmarł na wylew, Stu nie pofatygował się do kraju na pogrzeb.

Larry zna trucicielski epizod w całym jego tragicznym pulsowaniu i we wszystkich jego pogłosach. Oto czym jest dorastanie w cieniu ponurego rozdziału cudzego żywota, w toksycznym poblasku cudzej winy, winy, która się zakorzeniła jako wieczna żałoba. Nurzał palce w odmęcie chorobliwego bólu matki, aż stał się on jego bólem - każda jego fałda i zmarszczka stanowi jego własność. Wie o proponowanej filizance herbaty i o butelce z gorącą wodą; w uszach dudni mu stukot ciała padającego na chodnik przed kominkiem; w oczach ma przeczermioną foto-

grafię w gazecie i krzyczący wielkimi literami nagłówek: „Kobieta z Bolton truje teściową”. Wszystko to wkradło się drzwiami i oknami w jego dzieciństwo, sam nie wie jak i kiedy. Po prostu pojawiło się - i było. Jak tlen, który wdychał. Jak świeżo rozgarnięty ogień na kominku. Larry potrafi sobie uzmysłowić nawet najbardziej skryte myśli matki, myśli, których nie może ona nigdy głośno wypowiedzieć: „Dzięki Bogu, że mała Midge nie chciała fasolki”. Albo nawet: „Dzięki Bogu, że ja sama jej nie spróbowałam”.

Dla Larry'ego, który się urodził dwa miesiące po osiedleniu rodziców w Winnipegu, ich ucieczka ze starego kraju ma posmak starotestamentowego exodusu. Trudno w nią uwierzyć. Patrzy na swoich statecznych, wolno się poruszających rodziców i próbuje sobie wyobrazić siłę, która ich pchnęła do zebrania dobytku i podróży na niewidzianego do obcego kraju. Płynęli osiem dni na zardzewiałym greckim liniowcu, potem tłukli się trzy dni pociągiem do Manitoby. Dot Weller cierpiała mdłości na każdym kilometrze jazdy i musiała nieraz oglądać się przez ramię na to, co zostawiła za sobą, i zastanawiać, czemu to uczyniła. Wygnała ich katastrofa, katastrofa sprzężona z wyrzutami sumienia, które były jak karb na mózgu matki. Jakże mieli żyć w ogniu karzącego gniewu starszego pana?

Kiedy Larry myśli o swoich rodzicach, to zawsze zastanawia go ten epizod ich życia, którego nie może pojąć - że jego ojciec z miłości, z chęci chronienia żony, wyrzucił do góry nogami ich całą egzystencję, wyrzekł się pewnego zatrudnienia, przytulnego domku, niedzielnego dżinu z tonikiem, wszystkiego, co było znajome. Mógł był umyć ręce i puścić wszystko w niepamięć, zamiast tego wybrał asystowanie żonie w żmudnym, bolesnym, nie pozorowanym poszukiwaniu czegoś, co by przypominało ekspiację. Larry widzi coś heroicznego w harcie tego swojego upartego, kłopotliwego ojca, który uratował młodą żonę, który stanął u jej boku. Stu Weller jest człowiekiem, który bez krzty wahania opowiada się za przywróceniem kary śmierci. Gardłuje bez przerwy przeciw obibokom na zasiłku społecznym, o Murzynach wyraża się per śmierdziele, dowodzi niezbyt logicznie, że pederastów należałoby wysterylizować co do jednego. Toteż Larry nie może wyjść ze zdumienia, że ojca stać było na taki męski, altruistyczny gest, i zastanawia się, czy on by potrafił uczynić to samo dla Dorrie. Chyba nie. Przyznaje w duchu, że jego miłość nie będzie nigdy tak czysta jak miłość ojca, a już na pewno nie będzie tą złotą miłością ze świata marzeń.

Nie znaczy to, że jego rodzice, Stu i Dot, zdołali wymazać z pamięci wszelkie wspomnienie tragedii, nic podobnego. Po wszystkich tych latach byle głupstwo może otworzyć w mózgu Dot zamkniętą klapkę - każda wzmianka o Bolton, o zatruciu pokarmowym, o domowych przetworach, o biszkopcie, jakiegokolwiek odniesienie do teściowej, do chodnika przed kominkiem, do widma nagłej śmierci, no, i oczywiście słowo fasolka, nade wszystko słowo fasolka, substancja wyklęta w domu Wellerów i nigdy, przenigdy nie wspominana. W całym swoim trzydziestoletnim życiu Larry ani razu nie miał w ustach tej zdradliwej jarzyny.

*

Stu Weller kocha swoją pracę. Trzydzieści lat pracuje w firmie, która konstruuje w południowym Winnipegu na zamówienie autobusy specjalne, największej tego rodzaju firmie w Ameryce Północnej. Rzucił szkołę, ukończywszy czternaście lat, gdy tylko mógł to uczynić, nie łamiąc prawa, i od razu poszedł do pracy na kolei, gdzie się wyuczył zawodu, który spodobał mu się z miejsca i służy mu do tej pory. Przystawienie się z wagonów kolejowych na autobusy okazało się nad podziw łatwe i Stu wykonał w swojej karierze różne prawdziwe cuda. Autobus specjalny jest robiony ręcznie, rzecz, której większość ludzi nie docenia. Bierze się pewną liczbę arkuszy blachy, przycina, przygina, skręca, usztywnia, nituje - i wychodzi coś zupełnie nowego. Z wyjątkiem silnika wszystko jest konstruowane w warsztatach Air-Ridera, nawet baki na benzynę, nawet wyposażenie i dekoracja wnętrza, co właśnie stanowi specjalność Stu Wellera.

Faktem jest, że niektóre z największych i najjaśniejszych gwiazd północnoamerykańskiego przemysłu rywkowego zamawiały sobie specjalne pojazdy u Air-Ridera, zadziwiające domy i biura na kółkach, z obijanymi na biało ścianami i wykładaną włoskim marmurem podłogą. Pewien piosenkarz country - po paru piwach Stu Weller gotów jest dać do zrozumienia, który to piosenkarz - zawinszował sobie łazienkę z otwieraną podłogą, w której ukryto ni mniej, ni więcej, tylko wannę z gorącą wodą, w przestrzeni przeznaczonej zazwyczaj na bagaże. Kosztowało to okrągłe pół miliona dolarów. Tenże autobus miał kuchnię z dębowymi szafkami i wbudowaną pryczą dla podróżującego kucharza. W zeszłym roku Stu robił tapicerkę do autobusu szpitalnego, objazdowej kliniki dla okręgów wiejskich, a teraz pracuje nad autobusem do przewozu więźniów, w którym każde siedzenie stanowi osobną małą celkę z kratami do sufitu. Instaluje w nim aktualnie niepodatny na cięcie winyl i minimalną ilość wyściółki. Każde zamówienie niesie nowe wyzwanie. Majster bierze go za każdym razem na stronę i mówi:

- Słuchaj, Stu, ty jeden masz niezbędne wyczcucie. Potrzebne nam w tej robocie twoje doświadczenie.

W weekendy Stu Weller drzemie albo snuje się po domu, czekając na poniedziałkowy rano. Jego dłonie znają sekrety pianogumy, sprężyn i usztywnień, wiedzą, jak skonstruować niewidoczny, a zarazem silny szkielet. Do dyspozycji Stu ma całą gamę welwetów i brokatów, zamszów i skór. Ściany autobusu prezesa jednej z amerykańskich sieci telewizyjnych obił błyszczącym fiołkowym atłasem, za co dostał odręczny list pochwalny i dziękczynny. Następny w kolejności ma być autobus dla sławnego kaznodziei telewizyjnego i Stu zamierza posłużyć się w nim obficie welurem koloru śliwkowego, a drzwi oddzielające część prywatną od publicznej obić białą skórą. Nauczył się, że ludzie nie żałują pieniędzy na zapewnienie sobie luksusu, chcą mieć najlepsze materiały i pierwszorzędne wykonanie. W ciągu lat oferowano mu posady w kilku renomowanych zakładach tapicerskich Winnipegu, ale ani przez chwilę nie brał ich pod uwagę. Zna na wylot branżę produkcji autobusów specjalnych i nie wyobraża sobie trudzenia się po całych dniach nad zwykłymi meblami, głupimi kanapami i fotelami.

Oczywiście nie uchyła się jednak przed jakąś robotką domową w weekendy. Jego własnego projektu jest wnęka śniadaniowa w kuchni, skonstruowana na początku lat siedemdziesiątych, czerwona półokrągła ława winylowa z oparciem nabijanym jaskrawoczerwonymi ćwiekami. Elegancka, nowoczesna, wygodna. A minionego lata rozebrał kanapę w salonie, posklejał na nowo ramę i obił ciemnogranatowym nylonem o wypukłej fakturze. Odwiedzający dom są święcie przekonani, że mają przed oczami nowiutki mebel. W prezencie na ślub Larry'ego i Dorrie, oprócz opłacenia im wycieczki do Anglii, zrobił pierwszorzędną tapicerkę do wersalki, którą Larry kupił na jakiejś wyprzedazy staroci. Wygląda ona teraz pierwsza klasa, obita materiałem w abstrakcyjne wzory, za którymi wszyscy ostatnio szaleją, a przy tym impregnowanym, tak że nic wielkiego się nie dzieje, kiedy Dorrie rzuci na nią jakąś zapaskudzoną pieluszkę Ryana, co jej się nieraz zdarza.

Proponował, że na trzydzieste urodziny zrobi Larry'emu jeszcze jakąś tapicerkę, na przykład miękkie zagłówek ze skaju, ale Larry odparł, że nie, woli parę worków dobrej ziemi do ogródka. Cóż, jak chłopak chce ziemi, to niech ma ziemię. Ale, Chryste Panie, ziemia!

Po sposobie, w jaki Stu skrobie się za kołnierzykiem koszuli, widać, iż trudno mu uwierzyć, że ma syna, który kończy dzisiaj trzydzieści lat. Nie wie, zdaje się, co myśleć o tym swoim synu i o jego chlast-prast żonie (Dorrie, Dorze, Dorable), o jego maniackich wycieczkach pieszych, o jego kuku na muniu na punkcie środowiska naturalnego i urządzania „kompozycji” roślinnych wokół domu, o jego pracy rok po roku w kwiaciarni, o bawieniu się po całych dniach listkami i kwiatkami. Ale Stu nie puszcza pary z ust. Ostatnia rzecz, jakiej sobie życzy, to awantura.

Syn zwraca się do niego per „papo” albo „pa”; ten w odpowiedzi nie zwraca się do Larry'ego nijak, co najwyżej zaimkiem „ty”. Żaden z nich nie pamięta, kiedy to się zaczęło, ale Larry traktuje swój bezimienny status jako przejaw chwilowej wstrzemięźliwości ojca. Dobre sobie, całociowa chwilowość! Ale ostatecznie jest to rzecz drobna. W końcu ojciec pożyczył mu pieniędzy na pierwszą wpłatę za dom, czyż nie? I załatwił dostawę pierwszorzędnej ziemi - przywieziono ją pod ich dom wczoraj rano, zanim jeszcze Larry i Dorrie wstali z łóżka.

Szósta. Rodzice Larry'ego zawsze zasiadają do obiadu o szóstej, nawet w takim specjalnym dniu jak dzisiaj, i to mimo że Midge się dotąd nie zjawiała ani nie raczyła zadzwonić. Story w pokoju były przez cały dzień zasłonięte dla ochrony przed upałem i do środka przenika tylko przyćmione bursztynowe światło. Z rozłożonym stołem i dodatkowymi krzesłami w pokoju zrobiło się ciasno, gorące półmiski stoją rządkiem na komódce. Mały Ryan zaczyna marudzić, ściągać obrus, Dot drży, że przewróci szklaną salaterkę z marynowanymi cebulkami. Czego się naprawdę boi, to czyhającej śmierci, tego, że tak starannie przygotowany obiad przyniesie zgubę, zamiast wyjść na zdrowie tym, których kocha najbardziej na świecie.

- Siadaj, mamó - mówi Larry, podsuwając jej krzesło (rzadki, wprost niewiarygodny gest w tym domu).

Pomagając jej się usadowić, miałyby ochotę się pochylić i przytknąć policzek do czubka jej świeżo uczesanych włosów.

- No - mówi Dot, rozglądając się dokoła - to bierzcie się wszyscy do jedzenia.

W tym momencie wpada tylnym wejściem Midge w szortach i pomarańczowej koszulce. W palcach jednej ręki brzęczą jej kluczyki od auta, w drugiej ściska torbę bułeczek obiadowych, jej udział w przyjęciu. Rzuca bułeczki na środek stołu, razem z plastikową torbą z Safewayu. Chwilę potem wciąga do pokoju ogromną, nieporęczną pakę z prezentem urodzinowym dla brata, która zostanie rozpakowana dopiero po deserze, gdy już zostaną zdmuchnięte świece i skonsumowany suflet. Larry wie z góry, że będzie to coś do ogrodu, jakieś narzędzie albo może jakaś egzotyczna roślina. Siostra zawsze umiała czytać w jego myślach. Mits, mówi do niej Larry, albo Mądralko, albo Gołąbeczko.

Midge siada, wciskając się między matkę a Dorrie. Wymachuje rękami, kipi bezładnymi wyjaśnieniami i opowieściami, paruje wilgotnym upałem dnia. Przeprasza, przeprasza, przeprasza wszystkich - mówi - ale była przez cały weekend na seminarium w Gimli. Temat: rozładowywanie gniewu. Zjechało się dwieście kobiet. Kto się wcześniej zapisał, dostawał dziesięć procent zniżki, ale ona dowiedziała się dopiero w piątek, więc zwolniła się po południu z pracy, powiedziała, że ma migrenę, zapakowała rzeczy w samochód i w drogę. Nie traciła nawet czasu na telefonowanie, poszła za impulsem, nie mogła przepuścić takiej okazji. Przyjeżdżała ze Stanów specjalistka od rozładowywania gniewu. Tak, to naprawdę jej specjalność. Co za kobieta! Siwe włosy do pasa, chodzi boso, ma doktorat z czegoś tam, mówi się do niej „pani doktor”, jeździ po całym kontynencie, pisze książki, wygłasza odczyty, ma swój program w telewizji, występuje u Phila Donahue⁴ i tak dalej. Wykrzyzczyć gniew, tego żąda od uczestniczek. Drzeć się, wrzeszczeć, spazmować, aż się człowiek posusia, ściskać jedna drugą. Wykrzyzczyć swoją historię, po czym ją pogrzebać, tośmy wszystkie zrobiły. Zebrałyśmy się wcześniej rano na plaży, kiedy słońce zaczynało się dopiero wynurzać zza horyzontu nad jeziorem Winnipeg, dwieście wrzeszczących półubranych kobiet, i w pewnym starannie zaprogramowanym momencie - było coś w rodzaju werbla i megafon - każda cisnęła w spokojne fale symboliczny kamień, swoją nawarstwioną furie, ciężącą bryłę skawalonej krzywdy. Boże, jakie to było piękne! Co za ulga, jaki spokój! Wprost na plaży ustawiono olbrzymie pojemniki specjalnej herbaty, nazywa się to herbata pokoju, napar z jabłek i porostów. I przywieziono chleb, ogromne, gigantyczne bochny, podawane z ręki do ręki, rwane pal-

cami, jedzone bez masła ani niczego, tylko czysty ziarnisty chleb. Wietrzyk od jeziora, nasze kamienie zatopione w wodzie, poza zasięgiem wzroku, poza zasięgiem pamięci, przepadłe na zawsze, i kobiety tańczące po plaży, obejmujące się ramionami, śpiewające albo może siedzące nieruchomo we wschodzącym słońcu, w pokoju, w odbłaskach światła na wodzie. Tylko potem te pieprzone zatory na szosie w drodze powrotnej, koszmar, wyobrażacie sobie, a wszystko w tym nie kończącym się upale!

⁴ Phil Donahue był pierwszym prezenterem ogólnamerykańskich talk-shows.

Dot bierze na ręce Ryana - swojego małego Riki-riki, małego Ribena, Małego Mężczyznę, swojego Klusieczka - i przytula go do ukojonej piersi.

- A właściwie czemu te wszystkie babki są takie napalone? - pyta szwagierki Dorrie.

Nie znosi Midge, a ta odwzajemnia jej uczucie.

- O Boże! - Midge potrząsa głową, sięga po marynowaną cebulkę. - Jakbym zaczęła...

Nikt jej do tego nie zachęca. Rozmawiają zamiast tego o upale, o pladze chwastów, o tym, czy Quebec powinien się odłączyć. Nic istotnego nie zostanie nigdy wypowiedziane głośno w tym domu, chociaż Midge się burzy i tokuje, a Larry robi aluzje i podpuszcza. Do niczego to nie prowadzi - Larry zrozumiał to wiele lat temu. Ojciec opowiada dowcip, który usłyszał w warsztacie, o Nowofundlandczyku, który odwiedza Quebec i chce kupić od Francuza tran z dorsza⁵. Dot Weller nuci Ryanowi do snu, a Dorrie Weller rozwodzi się o sklepie, który odkryła na Północnej Stronie, gdzie można kupić środki czyszczące z dwudziestoprocentową zniżką.

⁵ Mieszkańcy Nowej Fundlandii, nadatlantyckiej prowincji skonfederowanej z Kanadą od 1948 roku, są w tym kraju tradycyjnym przedmiotem absurdalnych dowcipów, ośmieszających ich jako rzekomych głupków.

Larry słucha. Tak oto uczy się świata, jak wszyscy - z przypadkowych uwag nad sufletem cytrynowym, z nagłych przeblysków zrozumienia i dziwacznych paraleli, które wypełzają z radia, z filmu, ze stronic gazety, z dowcipu - i jego skonsternowane ja cofa się ze słowami: „Więc to jest tak”.

Ktoś mógłby myśleć, że rodzina Larry'ego przeobraziła się w skamieniałe z bólu pośagi, ale nic podobnego. Poruszają się, oddychają, praktykują rytuały własnego eksperymentalnego chowu, a Larry to chłonie. Wspaniały kwiat winy jego matki, stoickie serce ojca, błyskotliwe fajerwerki gniewu siostry, nawet naprzemienną gorliwość i opieszałość obyczajów domowych żony - wszystko to iskrzy się wokół niego obręczą fluorescencji, jakkolwiek przedział między tym iskrzeniem a kręgiem znajomych twarzy dokoła stołu zdaje się zbyt nikły, by się w niego wpasować. Ma trzydzieści lat, na miłość boską, dosyć, by wiedzieć, że nie może wszystkiego wiedzieć. Chce tylko tego, co mu się należy, tego, co mu się poszczęści napotkać na swojej drodze. Chce tylko żyć, żyć, aż skończy sto lat, a wtedy położyć się i umrzeć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Praca Larry'ego **1981**

Większość kolegów Larry'ego miała w życiu pół tuzina zajęć, a niemała ich część doświadczyła także okresów bezrobocia. Natomiast Larry'emu się poszczęściło. Pracuje w Świecie Kwiatów już dwanaście lat, od czasu gdy w 1969 roku ukończył kursy sztuki kwiatowej.

Świat Kwiatów to mała sieć kwaciarni, słynąca z życzliwej obsługi i wysokiej jakości towaru. Bukiety ze Świata Kwiatów łatwo zwykle poznać po ich naturalności. Tamtejsi kwaciarze nie idą na przykład na wyginanie lodyg w cudaczne kształty i układy, na wianki z wplatanymi laleczkami i tym podobne dziwactwa ani też na kombinacje kwiatowe nie z tej ziemi, takie jak tulipany i strelcje w jednym bukiecie. Nawet ich wiązanki z okazji urodzenia dziecka mają naturalny, sensowny wygląd. Larry mówi, że się wstrząsa na sam widok styropianowych baranków z różowymi i niebieskimi kwiatkami sterzącymi z grzbietów. Prostota i solidność przy umiarkowanych cenach - oto, co Świat Kwiatów zawsze wyznawał.

Niestety, zmieniło się to z dnia na dzień.

Wszystkie dwanaście sklepów Świata Kwiatów zostało pochłonięte przez Kwiaty dla Miasta, międzynarodowy koncern z centralą w Kalifornii. Nagle jest nowy slogan reklamowy. Nagle sklep jest zavalony barwionymi goździkami, które dotąd ściągano niechętnie tylko na specjalne zamówienie. Nagle personel, nawet mężczyźni, musi paradować w kitlach w biało-niebieską kratkę, z etykietkami identyfikacyjnymi przypiętymi do okrągłych kołnierzyków à la Piotruś Pan.

Połowę przestrzeni we wszystkich filiach zajmują teraz sztuczne kwiaty, które Świat Kwiatów miał zawsze w pogardzie. Jak mawia Vivian Bondurant: „Czemu trzymać coś martwego w miejsce żywego?”. Trafne pytanie.

Vivian, kierowniczka sklepu, złożyła wymówienie dwa tygodnie po przejęciu Świata Kwiatów przez nowy zarząd. Lęka się, co przyniosą lata osiemdziesiąte, a poza tym dojrzała do zmiany zawodu.

- Urobiłam sobie tyłek - powiedziała Larry'emu - urządzając ten sklep, zabiegając o pierwszorzędną towar, zdobywając lojalną klientelę w tej części miasta. Teraz jestem zdecydowana pójść na studia. Opieka społeczna, pracownicy w tej dziedzinie będą w przyszłości rozrywani. Czytałam niedawno o wiewiórkach...

- O wiewiórkach? - przerywa jej Larry.

Skrobie się w piersi pod kraciastym kitem. Jego żona prała kitel już dwukrotnie, ale wciąż nie utracił swojej sztywności.

- Wiewiórka nie odnajduje siedemdziesięciu czterech procent orzechów, które zakopała. Zdumiewające, prawda?

- Chcesz powiedzieć...

- Chcę powiedzieć, że ja też zakopywałam orzechy, przenośnie mówiąc. Wprowadzałam ustawicznie drobne usprawnienia. Uczylałam się na pamięć nazwisk klientów. Zapisywałam daty ich ślubów i wysyłałam dyskretne przypomnienia o rocznicy. Ściągałam białe chryzantemy z Toronto w okresie Bożego Narodzenia, kiedy żaden inny sklep nie chciał sobie nimi zawracać głowy. Różne takie rzeczy.

- I co?

- Co mam z tego wszystkiego?

- Wydawało mi się, że lubisz tę pracę.

- Lubiałam. A teraz mam sporządzać codzienne raporty. Jedna wielka bzdura. Zdawałoby się, że jak chcą nowoczesnego zarządzania, to powinni wiedzieć, że liczą się przede wszystkim ludzie. Komputerowa inwentaryzacja, dobry Boże! Nie żebym miała coś przeciwko komputerom jako takim, ale po co to komu? I muszę codziennie paradować w tym kretyńskim fartuszku jak uczennica w szkole. Kitel w kratkę w moim wieku. No wiesz!

- Co znaczy, w twoim wieku? Mówisz, jakbyś...

- Jakbym miała trzydzieści osiem lat. Jestem dojrzałą kobietą. Ha! Gdybym chciała grać małą sierotkę Marysię, tobym się zaangażowała do Disneylandu. Ty to co innego, ty...

- Mam trzydzieści jeden lat.

- Prawie osesek.

- Ale opieka społeczna, Viv! Skąd możesz wiedzieć, że ci się spodoba ta praca?

- Nie wiem. Prawdopodobnie ją znienawidzę. Dzień w dzień biedni, chorzy ludzie. O Boże! Ale przynajmniej zachowam godność. Rozumiesz, będę robiła coś pożytecznego.

- Wolnego, Viv. Przecież zawsze podkreślałaś znaczenie kwiatów w życiu. Pamiętasz tę swoją chińską przypowieść?

- Chińską przypowieść? Jaką chińską przypowieść?

- No, o tym żółtku, który ma dwa centy...

- Chciałeś powiedzieć, dwa jeny.

- I jeden wydaje na chleb, a za drugi kupuje kwiat.

- Posłuchaj, Larry, muszę ci coś powiedzieć. Mam nadzieję, że się nie obrazisz.

- Jasne, wal.

- Widzisz, jesteś wrażliwym chłopcem, tak, tak, jesteś naprawdę wrażliwy, ale musisz o tym pamiętać, szczególnie pracując w branży, która się zasadza w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach na kontaktach z ludźmi.

- Mów, jakoś to przeżyję.

- Nie możesz używać takich słów, jak „żółtek”. To uwłaczające. Nie mówi się już nawet Chińczyk, tylko osoba chińskiego pochodzenia.

- O!

- Powiedzieć „żółtek” to jakbyś powiedział „makaroniarz” czy „gudłaj”.

- Mój ojciec zawsze mówi żółtek.

- No, właśnie. Sam widzisz. Przebyliśmy długą drogę.

- Będę pamiętał.

- Będziesz musiał, Larry. Bo zanoszą się na to, że przejmiesz po mnie ten sklep.

- Ja? Co ty?

- To jeszcze nic pewnego, ale było takie lekkie przewąchiwanie ze strony tych sukkinsynów z centrali. Rozumiesz, takie pytania rzucają niby mimochodem. Czy ten Weller to człowiek, na którym można polegać? Czy umie podejmować decyzje? Czy wie, jak postępować z ludźmi? Takie różne.

- Nie wierzę. Nigdy nie myślałem...

- To tak jak z tymi wiewiórkami, o których mówiłam. Cały czas zakopywałeś po drodze orzeszki... to nie żadna osobista wycieczka, chłopie... i teraz czas, żebyś zaczął je wyluskiwać. Zaslugujesz na to, Larry. Będiesz świetnym kierownikiem. Jeśli chcesz wiedzieć, to wysmażyłam ci już rekomendację. Cała strona napisana na maszynie, pojedyncza interlinia. Klasa facet, napisałam, no, coś w tym rodzaju. Ma oryginalne pomysły przez wielkie O. A jak umie układać irysy, nie? Jest zorganizowany, wie, jak utrzymać porządek na ladzie, załatwia sprawnie zamówienia, nie struga królewskiej wysokości wobec praktykantów. No, coś tu nie gra? Powinieneś mieć uszczęśliwioną minę. Wspinasz się po szczeblach, chłoptysiu. Co z tobą?

- Nie mogę - odparł Larry - wyobrazić sobie tego miejsca bez ciebie.

*

Larry nie mówi wiele o swojej pracy, ale dużo o niej myśli. Najczęściej myśli, że mu się poszczęściło. Praca to dla niego znacznie więcej niż dotyk paproci pod palcami czy widok gałązek łysejczca majaczących za szybką chłodziarki, czy nawet zielona gąbczasta pieczara samej kwiaciarni z jej leśnymi zapachami, które go witają, kiedy przychodzi rano. Ilu ludzi ma szczęście pracować wśród takiego rozkwitu, w atmosferze takich woni i barw. Nieodłączną częścią składową tej pracy jest przyjemne, lekkie nawilgocenie kwiaciarni. Ale wszystkie te atrybuty błędą przy kojącej muzyce rozmowy. Bo Larry i Viv rozmawiają po całych dniach. Rozmawiają tak od dwunastu lat. Nieustająca, bezkolizyjna konwersacja.

Zawsze jest jakaś praktykantka czy praktykant, ale ci przychodzą i odchodzą. Wendy, Kerri, Dawn, Sidney, Brenda, Lou-Anne, dwie lub trzy Jennifer, wielki tęgi chłopak imieniem Tommy Enns, nie kończąca się procesja studentów z College'u Rzeki Czerwonej. Młodzi, zagubieni, gorliwi, niezdarni, głośni lub nieśmiali, zależy. Taki nowy praktykant na ośmioletnim stażu stanowi zgrzyt, przynajmniej z początku, ale Larry i Viv przywracają pracy rytm i płynność swoimi głosami, jego głosem i jej głosem, mówiąc, mówiąc, cały dzień mówiąc.

Stojąc przy stanowisku pracy i „faszerując” bukiety ślubne, układając zimowe kompozycje na Oddział Nieuleczalnie Chorych Szpitala Victoria czy też rozpakowując tuje (dostarczana jest w pudłach po dwadzieścia gałązek), Larry i Viv rozmawiają o wyskokach scenicznych Michaela Jacksona albo o instynkcie macierzyńskim (względnie jego braku) Margaret Trudeau. Ich palce poruszają się niestrudzenie, a wraz nimi ich wargi. Gadu-gadu-gadu. Co do spraw ekonomicznych, to uznają swoją ignorancję i usprawiedliwiają prawo do niej. Rozprawiają o braku bilonu w Stanach, o niebezpieczeństwie emanacji radu w suterrenach, o nieprzyzwoicie wysokich zarobkach zawodowych futbolistów. Dyskutują wszystkie pro i kontra szczepień przeciwko kokluszowi - w tej szczególnej sprawie udało się Viv ostatecznie przekonać Larry'ego, żeby nie pozwolił zaszczepić swego trzyletniego synka Ryana. Wspominają historię, kiedy do kwiaciarni przyszedł facet, który zamówił tuzin zwiedłych róż i polecił je wysłać swojej byłej żonie, a Vivian najspokojniej przyjęła zamówienie, po czym zadzwoniła na policję.

Rozmawiają o koszcie zainstalowania klimatyzacji w Stanach w porównaniu do kosztu w Kanadzie. O Amerykanach chroniących się w Kanadzie przed poborem do wojska - czy powinno ich się odsyłać do domu. O przyszczach - czy je wyciskać, czy ich nie ruszać. O matkach, ich zmiennych nastrojach i ich niemądrej opiekuńczości. O Ronaldzie Reagane - czy jest dobroduszny, czy głupi. O upale, o deszczu, o śniegu blokującym alejkę z tyłu sklepu. Upłynęła cała dekada ze swoimi zmiennymi pogodami, problemami komunikacyjnymi i odchodzącymi w cień osobistościami, a wszystko to krystalizowało się w słowa szybujące między Vivian Bondurant a Larrym Wellerem. Milion słów, miliard. Najbardziej znaczącym dźwiękiem jest w życiu Larry'ego głos, który nuta po nucie wydobywa się z gardła Viv Bondurant.

Jest ten głos cichym, poufnym pomrukiem, obfitującym w przyśpieszenia i pauzy. Vivian wie, jak budować napięcie, i wie dokładnie, kiedy przerzucić piłeczkę na boisko Larry'ego. „A co ty o tym sądzisz, Lare?”. Tym, czego mu dostarcza, są biuletyny z segmentów rzeczywistości, na których nieznamość Larry jest niejako skazany, anegdotki zaczerpnięte z rozmów na wizji z widzami telefonującymi do stacji telewizyjnej CHOL lub z demaskatorskich artykułów „People's Magazine”. Przekazuje mu szczerze, z niepodważalnym autorytetem, takie wiadomości, jak środki czyjejs babci przeciwko kaszlowi, informacje w rodzaju tej, że Włosi sadzą chryzantemy wyłącznie na cmentarzach, pouczenia, co można obecnie głośno powiedzieć, a co jest *verboten*. Chińczycy to teraz osoby chińskiego pochodzenia, Indianie to pierwsze narody... I tak dalej, i tak dalej.

Pewne tematy są jednak w ich rozmowach tabu. Nigdy na przykład, nigdy nie wspominają o żonie Larry'ego, Dorrie. Vivian, ze swoją nieomylną intuicją, domyśla się pewnie, że sprawy nie układają się za dobrze na tym odcinku. Z drugiej strony pozwala sobie na zaskakującą swobodę, gdy chodzi o nią samą. Dba więc o to, żeby Larry był zawsze *au courant* jej cyklu menstruacyjnego.

- Lepiej, żebyś wiedział, że mam ciotę, chłopie, i schodził mi z drogi - mówi.

W rzeczywistości jest jednak kobietą obdarzoną wyjątkowo równym temperamentem, a za jej nieustającym komentarzem do spraw świata kryje się pogodna akceptacja wszystkiego, co ją może spotkać. Tym, co kolekcjonuje w życiu, są informacje, a informacje to rzecz zbyt ważka, żeby się nią nie dzielić.

Larry ceni sobie jej przyjaźń. Zawdzięcza Vivian wiele, a zarazem prawie jej nie zna. Wraz z mężem, Hectorem, prowadzi ona spokojne życie w St. Vital. Hector jest od niej o dobre piętnaście lat starszy, był już przedtem żonaty - wiadomość o tym wypnęła się Vivian kiedyś przy sortowaniu ostrokrzewu - i spłodził dwójkę dzieci, które wyrosły na nieudaczników i męczydusze. Dlatego Hector nie chce mieć więcej dzieci, na co Vivian powiada: „Dobrze, panie bobrze”. Larry był u nich w domu tylko raz, w pewną niedzielę przed paroma laty, z jakimiś pochrzanianymi rachunkami.

Nigdy w życiu nie widział takiego przestronnego domostwa, tak zadbanego, odkurzonego i wypucowanego, z wiszącymi od niechcenia jasnobieżowymi draperiami o równiutkich fałdach. Vivian, w dżinsach i swetrze polo, zrobiła Hectorowi i Larry'emu kawę, którą podała przy lśniącem stole w kuchni. Była bardziej przyciszona niż w sklepie, siedziała, pozwalając mężczyznom się zapoznać. Potem Hector pokazał Larry'emu suterinę, gdzie reperuje zegary.

Zegarmistrzostwo było jego zawodem, nie hobby. Pod ścianą stał długi stół z narzędziami Hectora. Były one zadziwiająco piękne, owe narzędzia o staromodnym wyglądzie z mosiężnymi koniuszkami na długich drewnianych trzonkach. Obok połyskiwała metalowa tokarka, śliczna jak okaz muzealny, czysta, wypolerowana, gotowa do użycia. Na ścianie wisiała prostokątna deska z czubkami do wiertel, ułożonymi w kształt harfy.

- Wszystkie te narzędzia pochodzą z Europy - poinformował z dumą Hector. - Po większej części z Niemiec. Szkopy są nie do pobicia, jeśli chodzi o mechanikę.

- O-o - mruknął Larry ze wzrokiem utkwionym w metalowych ząbkach miniaturowej piły.

W pracowni stało lub wisiało na ścianach może dwadzieścia, trzydzieści zegarów, niektóre wypatroszone, inne zaopatrzone już w etykiety, gotowe do odbioru przez właścicieli. Hector, wskazując wytłaczane kanty ich opraw, jął tłumaczyć Larry'emu, jak odróżnić zegar francuski od angielskiego, jak to niektóre zegary mają mechanizmy pozwalające wydłużać i skracać wahadło, jakie były przyczyny przejścia od zegarków kieszonkowych do narecznych. Larry przesunął pieszczotliwie dłonią po ramie prostego okrągłego zegara ściennego.

- To prawdziwy Seth Thomas - powiedział Hector. - Oryginalny.

- A-a - skwitował wiadomość Larry, który nigdy nie słyszał o Secie Thomasie.

Zamarli obaj na chwilę w nabożnym milczeniu. Pracownię wypełniało głośnie, pracowite tykanie i nagle - Hector uniósł w stronę Larry'ego palec: uwaga, nadchodzi! - rozpoczął się koncert kurantów i bicia: dwunasta, południe.

- To mój cogodzinny koncert - oznajmił Hector, a Larry nie miał wątpliwości, że powtarza to często i zawsze z tą samą przyjemnością. - Jedyna muzyka, jakiej mi potrzeba.

Larry rozejrzał się po nisko sklepionej pracowni, mrocznej w kątach, lecz jasno oświetlonej pod stożkiem zielonej lampy roboczej. Oto sanktuarium człowieka, którego nazwisko i zawód figurują na żółtych kartkach książki telefonicznej. Nad jego królestwem tykających, pełzających mechanizmów unosił się przenikliwy zapach oliwy do werków, a pośrodku stał Hector Bondurant z rękami założonymi na brzuchu, stukając palcami w łokcie i promieniejąc, monarcha w swojej krainie.

Larry poczuł ukłucie irracjonalnej zazdrości. Przez najulotniejszy moment zapragnął być właścicielem jego włości, tego przestronnego domu ze schludnymi draperiami i prostymi białymi kubkami do kawy, i co rano schodzić po wyłożonych linoleum schodach do ciepłej, przytulnej samotni, do czekającego stołu z posortowanymi częściami zamiennymi i równo ułożonymi narzędziami. Zazdrościł tego wszystkiego, ale najbardziej zazdrościł Hectorowi pracy, jego dłoni mistrza, wyczarowujących skomplikowane mechaniczne możliwości ze zwykłego drewna i metalu.

Równocześnie o jego nagle pragnienie zostania zegarmistrzem otarła się tęsknota, by pracować u boku ojca w warsztatach Air-Ridera, fasonować z blachy pałace na kółkach. Cud tworzenia czegoś z niczego. Przyjemność ujrzenia pod koniec dnia rzeczy, którą się wykonało własnymi rękami.

Jest także jego żona, Dorrie, która sprzedaje auta w Manitoba Motors. Larry nigdy nie považał zbytnio jej pracy, ale w tej chwili zapragnął uczestniczyć i w niej. Ujrzał się w sztywnej sportowej marynarce z etykietką „Mów mi Larry” w kłapie. Żargon branżowy, czarowanie klientów, żartobliwie rzucane i wycofywane oferty, huśtawka nastrojów i wreszcie decydujący moment, dreszczyk, uroczysty podpis na kropkowanej linii umowy i inkasowanie sowitej prowizji.

Nie da się ukryć: w uszach Larry'ego dźwięczy rapsodia pracy, jej strategię i jej zmienne, jej narzędzia i jej ściśle namierzone cele. Czasami Larry'ego nachodzą myśli o bezrobociu. Długie, puste ranki ludzi nie mających pracy - jakie by to było uczucie? Mieszanina nudy i beznadziei, kiedy człowiek jest bez centa i bez zajęcia, nie wie, co począć ze swoim czasem. W końcu wszystko staje się lepsze od pustki, nawet codzienna harówka robociarza. Są prace niewdzięczne, Larry to wie. Praca może być brudna, hałaśliwa, niebezpieczna, upokarzająca, ale w końcu to praca, rzecz, która napędza tryby życia. Larry rozumie ten surowy, nieodmienny fakt lepiej, niż kiedykolwiek będzie w stanie pojąć niezgłębione tajniki miłości i szczęścia.

Po latach, kiedy jego życie przybierze zły obrót, zacznie postrzegać w pracy rację trwania na tym świecie.

Przed zamążpójściem Dorrie była recepcjonistką-inwentaryzatorką w Dziale Części Zamiennych Manitoba Motors. Nie zarabiała wiele, ale zyskała sobie opinię osoby umiejącej rozmawiać z klientami. Brała zawsze ich stronę, ubolewała nad wysokimi kosztami napraw. Zjednywało ich to, nazywali ją Dorable⁶. Kierownik działu, Al Leonard, mawiał, że jest najlepszą pracownicą, jaką kiedykolwiek zatrudnił. Miała talent do zapamiętywania potrzebnych detali, wiedziała, gdzie co jest i które części są na wyczerpaniu. Chodziła w tych czasach do pracy w dzinsach i grubym swetrze ze względu na wieczne przeciągi, bo jak dzień długi bez przerwy otwierano i zamykano drzwi do warsztatu. Zresztą tkwiła cały czas za kontuarem, więc co za różnica, czy jest ubrana po sportowemu, czy po wizytowemu.

⁶ Dorable - żartobliwa modyfikacja imienia Dorrie, nawiązująca do przymiotnika „adorable”, znaczącego tyle, co „podziwu godna, cudowna”.

Po urodzeniu Ryana siedziała przez trzy miesiące w domu, dorabiając sobie trochę kurtuazyjnymi telefonami do klientów, którym wykonano naprawy. Pomyślane to było w ten sposób, że raz na tydzień Manitoba Motors przysyłało jej listę obsłużonych klientów, do których dzwoniła z pytaniem, czy są zadowoleni. Był to rodzaj akcji promocyjnej, żeby klient miał poczucie, że firma go ceni i o niego dba. Płacono jej od liczby załatwionych telefonów, a była w stanie zmieścić ich kilkanaście w czasie popołudniowej drzemki Ryana. Zarobek był żaden, ponadto w połowie przypadków nie zastawała nikogo w domu albo też objeżdżano ją, że zawraca głowę w środku dnia.

Toteż wkrótce Dorrie zdecydowała się wrócić do pracy w pełnym wymiarze godzin. Główny szef, Russell LaFleur, zaskoczył ją pytaniem, czy nigdy nie myślała o przejściu do salonu sprzedaży. Czasy się zmieniły, wiele kobiet kupuje teraz własne samochody, samodzielne kobiety pracujące, z pieniędzmi na ekstrawydatki. Cenią one poradę innych kobiet, kobiecy punkt widzenia. Faktycznie, kiedy Dorrie prezentuje im schematy silników, stoją na baczność, chłonąc każde jej słowo. Rodzaj napędu, wspomagane hamulce, automatyczny gaz - wylicza Dorrie na czubkach swoich pięknie wymanikiurowanych palców. Jest pełna zrozumienia, kiedy dochodzi do wyboru lakieru i obić, poświęca maksimum uwagi wygodzie siedzeń, swobodzie nóg, schowkowi w tablicy rozdzielczej z własną lampką, która się zapala za otwarciem drzwiczek. Swój wywód o zużyciu benzyny rozpoczyna stwierdzeniem: „Wszyscy musimy się liczyć z pieniędzmi” - czemu towarzyszy zrezygnowane wzruszenie ramion i zmarszczenie małego noska, oznaka współnictwa. „Jedziemy przecież na jednym wózku, możemy dojść do porozumienia, proszę mi wierzyć, oto dane”.

Z miejsca kupiła sobie dwa szykowne kostiumiki w znajomym butiku - popielaty z miękkiej wełenki i żywoniebieski w jodełkę. Ciuszki zawodowe, mówi o nich. Inwestycja, która się zwróci. Kobiety w innych salonach samochodowych miasta wolą spodniemy, ale Dorrie trzyma się spódnic z dobranymi kolorystycznie rajstopami. W końcu znaczną część klientów stanowią mężczyźni, a Dorrie ma godne pozazdroszczenia osiągnięcia sprzedażne nie tylko wśród kobiet. Po podsumowaniu każdego kwartału pan LaFleur zabiera swoją tródkę na obiad do restauracji Na Przygórku. Tym, którzy osiągnęli najwyższe prowizje, funduje steki; ci, którzy pozostają na szarym końcu, dostają porcję fasoli. Jest kupa śmiechu - opowiada Larry'emu Dorrie - fakt jednak, że należy ona zawsze do grupy stekowców. Dwa razy zdobyła tytuł sprzedawcy miesiąca, a raz, w kwietniu zeszłego roku, była pierwsza w mieście. W nagrodę otrzymała plaketkę z pięknie wygrawerowanym swoim nazwiskiem oraz weekend dla dwojga w hotelu

uzdrowiskowym na wyspie Hecla. Poszła wówczas i kupiła sobie trzeci kostium, malinowy płócienny, na lato, oraz sandałów na obcasie.

Dorrie chciałyby mieć drugie dziecko i chciałyby być kobietą niezależną, tak przynajmniej twierdzi. Zapowiada również Larry'emu, że rzuci Manitoba Motors i da wreszcie odpocząć swoim bolącym stopom, gdy tylko zgromadzą dosyć oszczędności na koncie. Pytanie tylko, ile to jest dosyć. W każdym razie Dorrie nie może się doczekać, kiedy opuści Lipton Street z jej obskurnymi domkami i uciążliwym ruchem. Upatrzyła sobie osiedle Linden Woods na zachód od miasta - domy z garażami na dwa auta, dwie łazienki, pokój rekreacyjny z wnęką barową. Ale czego by najbardziej pragnęła, chociaż brzmi to może śmiesznie, to spiralnych schodów z kutą żelazną poręczą. Widzieli z Larrym takie schody w minioną niedzielę w wystawionym na sprzedaż domu, który można było oglądać. Dorrie powiedziała później, że schodząc po nich, z ręką na poręczy, czuła się zupełnie jak gwiazda filmowa.

- Gdyby nas było stać na taki dom - oświadczyła - nie pracowałabym ani dnia więcej do końca życia.

Ale Larry nie chce się wyprowadzać ze swego domu. Przyznaje, że to nie pałac, ale skończył właśnie izolować piwnicę i zamierza się zabrać do dachu. Zainstalował również w zlewie młynek do mielenia odpadków. Tłumaczy Dorrie, jak wiele pracy i pieniędzy zainwestował w dom.

- Nie chcesz zostawić tego swojego zwariowanego ogrodu - odparowuje Dorrie.

Z westchnieniem i wzruszeniem ramion Larry uznaje prawdziwość jej słów.

Włożył w ogród mnóstwo pracy. Parcela jest mała, dziesięć metrów od ulicy, trzydzieści w głąb, ale nic podobnego nie ma w Winnipegu, a zapewne i w całej prowincji Manitoba. Każdy cal ogrodu obsadzony jest krzewami, krzewami uszeregowanymi w kształt labiryntu. Jest oczywiście proste dojście dla listonosza, ale jest także kręta droga okrężna, prowadząca dwa razy dokoła domu, z pół tuzinem mylnych odnóg.

Labiryntomania Larry'ego (jak to nazywa Dorrie) wzięła swój początek trzy i pół roku temu, gdy się pobrali i pojechali w podróż poślubną do Anglii. Punktem kulminacyjnym podróży była wycieczka do słynnego labiryntu w Hampton Court pod Londynem. Od tej pory Larry studiuje wypożyczane z biblioteki książki o labiryntach ogrodowych i przystosowuje ich klasyczne wzory do rozmiarów parceli przy Lipton Street. Sadzonki kupuje w taniej szkółce, wie, które krzewy rosną najlepiej w tutejszym klimacie, nauczył się zabezpieczać je na długie miesiące zimowe przez zagrzebywanie młodych pędów pod warstwą liści. Jak na razie krzewy są rzadko rozmieszczone i tak niskie, że łatwo można zrobić przez nie krok. Trzeba jeszcze czterech, pięciu lat, żeby wyrosły do pożądanego rozmiarów. Tymczasem Larry je pielęgnuje i ostatnia rzecz, jakiej sobie życzy, to przeprowadzka do Linden Woods, gdzie by musiał zaczynać od początku i gdzie, co gorsza, miejscowe przepisy zabraniają niewątpliwie nieortodoksyjnego zagospodarowywania ogrodów.

W tej dzielnicy wszystko uchodzi. Rezyduje tu dość mieszane towarzystwo. Przyjaciół Bill Herschel, który mieszka dwie ulice dalej, a pracuje w Pogotowiu dla Zagrożonych Gatunków, pomaga czasami Larry'emu w weekendy. Gilshammerowie z przeciwka (on handluje elektroniką z przeceny, ona pracuje w salonie fryzjerskim uniseks) ofiarowali właśnie Larry'emu liście zgrabione na ich posesji. To samo uczynili dwaj osobnicy mieszkający nieco dalej. (Larry nie może sobie przypomnieć ich nazwisk, ale wie, że się zajmują stolarką w jednym z teatrów w śródmieściu, co, jak sądzi, musi być bardzo ciekawą pracą). Lucy Warkenten, która wynajmuje piętro w domu obok, nie ma liści do zaofiarowania, interesuje się jednak żywo labiryntem Larry'ego, który przemierzyła ładne parę razy w swoich fioletowych wysokich butach. (Lucy jest introligatorką na własnym rozrachunku i pracuje w domu). Pod nią mieszka małżeństwo Lee z trójką małych dzieci. Ken Lee, który rozwozi pizzę dla firmy Bella Vista, udziela

Larry'emu licznych porad, jak obchodzić się z krzewami - należy je sadzić w płytkim, ale szerokim wykopie, tak by korzenie mogły się rozrastać na boki i stanowiły silne oparcie dla gałęzi tarמושzonych stale przez wiatry. Z drugiej strony domu Larry'ego mieszkają Grangerowie, Gord i Moira. Moira, która jest pólnwalidką, prowadzi dom i pasjonuje się reformą ortografii (chciałaby wyeliminować literę X), Gord zaś projektuje ergonomiczne rękawice robocze (jego ostatnią przełomową innowacją było zredukowanie wyściółki na stawach palców, co dłoni w rękawiczce zapewnia lepszą chwytność przy niskich temperaturach). Poczciwi Grangerowie przyczynili się również stertą jesiennych liści zgrabionych na ich posesji do zabezpieczenia młodych krzewów Larry'ego Wellera przed zimą, która wkrótce przypości atak. W rezultacie ogród jego i Dorrie wygląda jak pole indiańskich kopców grzebalnych, spośród których jak wielki grzyb sterczy ich dom.

Ciemne wieczory listopadowe mieszkańcy dzielnicy spędzają rodzinnie, jedząc hamburgery i oglądając ulubione programy telewizyjne. Światła wzdłuż ulicy gasną na ogół między dziesiątą a wpół do dwunastej. Zdarzają się - przypuszcza Larry - fajerwerki seksu, gościnności, późnowieczornych wyjść i powrotów, prawdopodobnie nawet akty przemocy, w zasadzie jednak noce w sąsiedztwie są spokojne, zatopione we śnie. Pod nisko wiszącym granatowym niebem, pod zimnym kościanym księżycem, ten mały skrawek świata regeneruje swoje siły, uzupełnia wyczerpaną substancję życiową, szykując się do dnia jutrzejszego. Do podjęcia na nowo pracy.

*

Pochłonięty kwiaciarnią, małżeństwem z Dorrie, domem na Lipton Street, Larry nie miał pojęcia, że technika podkopie wkrótce rynek pracy. Na początku lat osiemdziesiątych, tej głupiej, zadufanej dekady, prawie każdy miał pracę, a jeśli nie miał, to spodziewał ją się lada chwila dostać. Nikomu się nie śniło o przerostach zatrudnienia, restrukturyzacjach i redukcjach, jakie przyniesie koniec stulecia, gdy w odchudzonym, bezpardonowym, pragmatycznym świecie zwykły dzień pracy stanie się takim egzotycznym kwiatem, jak cenne orchidee, które Larry przechowuje opatulone w głębi chłodziarki.

Idea pracy dotarła późno do świadomości Larry'ego. W wieku dwunastu lat przejął po koledze roznoszenie gazet w sąsiedztwie - i wytrwał przez tydzień. W ostatnim roku liceum, pragnąc zdobyć fundusze na kupno firmowych dzinsów i skórzanej kurtki, przez pewien czas przyjmował zamówienia i obsługiwał kasę w pobliskim McDonalddie. Nienawidził tego i w ogóle wzdrygał się na myśl, że będzie musiał pracować przez całe życie. I wówczas uśmiechnęło się do niego szczęście. Trafił na swoje powołanie - rośliny, kwiaty.

Teraz, odkąd odeszła Vivian Bondurant, Larry jest kierownikiem sklepu sieci Kwiatów dla Miasta. Oznacza to, że trzy razy tygodniowo musi wstawać o szóstej rano i jechać do hurtowni, Stems Incorporated. Otwierają o siódmej i Larry stara się załatwić wszystko w ciągu pół godziny. Ma oczywiście swoje zwykłe zamówienia - chryzantemy, gerbery, róże, goździki i tak dalej - ale lubi także poświęcić parę minut na obejrzenie, co nowego nadeszło z centrali w Montrealu. W Stems zaopatruje się jakieś sto czterdzieści sklepów, więc nic dziwnego, że Larry natyka się na znajomych kwiaciarzy, Sally Ullrich, Jima Carmody'ego, i dowiaduje rozmaitych nowinek. W rogu hali stoi zawsze maszyna z kawą i koszyk pączków, ładny gest, podkreśla Larry, tym milej widziany, że w owe dni nigdy nie zdąży zjeść w domu śniadania. Ranne szykowanie Ryana do złołka zbytnio absorbuje Dorrie, żeby miała głowę w dodatku parzyć mężowi kawę.

Ostatnio jest dużo zamówień na bukiety ślubne, więc Larry bierze dzisiaj solidny zapas łyszczca. Najbardziej lubi importowany z Peru, najczystszy możliwy. Szczyt ślubów przypada w Ameryce Północnej na czerwiec i lipiec, ale w mieście Winnipeg na czoło zaczęły się wysuwać śluby zimowe, dające młodym parom okazję spędzenia miesiąca miodowego w tropiku. Larry robi ładne ślubne półkaskady, przeciętna cena sto dwadzieścia dolarów.

Panny młode chcą w dziewięciu przypadkach na dziesięć róże, nie można im tego wyperswadować. Mówi się kwiaty i, bach, na myśl przychodzą róże. Róże są romantyczne, są uświęcone tradycją. Do Winnipegu róże przychodzą z południowego Ontario, gdzie hoduje ich się całe akry pod szkłem.

Lilie sprowadza się do Manitoby z Afryki Południowej, frezje z Holandii, goździki z Kalifornii. Ludzie uważają, że goździki to kwiaty tanie, co jest nieprawdą - czasami, ze względu na anomalie pogodowe, są one droższe od róż, a trzymają się o całe niebo dłużej. Jednakże niektóre narody gardzą goździkami, trzeba to pamiętać. Sągowiec przywozi się z Florydy w ogrzewanych ciężarówkach - jest on zawsze przydatny na kosze pogrzebowe. Niewielkie jest już zapotrzebowanie na kamelie, owe przysłowiowe kwiaty do gorsu, i nic dziwnego, bo Larry nie wykonuje ani w przybliżeniu takiej liczby przypinanych bukietów jak pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy zaczął pracować w branży. Prawdę mówiąc, i wówczas wychodziły one już z mody, stanowiły przeżytek z lat trzydziestych i czterdziestych. Bo jak kobieta ma zapiąć płaszcz na takim bukietcie? I co, jeśli kłóci się on z jej strojem? Wśród kwiaciarzy istnieje nawet stare przekonanie, że jest on niejako skazany na to, żeby być w nieodpowiednim kolorze, rzecz, którą kobiety wiedziały zawsze, tak samo jak to, że będzie z nim mniejszy czy większy kłopot, nie wspominając już o nieodwracalnym uszkodzeniu jedwabnej bluzki. Jeżeli jakaś klientka obstaje przy przypinanym bukietcie, Larry zachęca ją, żeby pomyślała o mocowanym do przegubu, w czym się wydoskonalił - bukietki takie są trwałe, atrakcyjne i wygodne w noszeniu.

Larry chętnie udziela klientom porad, jak przedłużyć żywot kwiatów, uprzedza ich jednak, żeby nie mieli nierealnych oczekiwań. Kwiaty są kruche, kwiaty wymagają zabiegów. Zdarzają się ludzie, którzy wsadzają kwiaty do brudnych wazonów. Można gołym okiem dojrzeć zielony osad po poprzednim bukietcie. Czy napiliby się wody z takiego wazonu? Do głowy by im to nie przyszło. Kwiaty należy wkładać do zdezynfekowanego naczynia; tak, bo tym jest właśnie ów tajemniczy biały proszek w małej kopertce - środkiem dezynfekującym. Oczywiście przed włożeniem do wody przycięli już państwo kwiaty nożem, pod ostrym kątem. Cokolwiek by jednak robić z żonkiliami i dla żonkili, nie można oczekiwać, że się utrzymają dłużej niż trzy dni.

Popyt na poinsecje rozpocznie się za tydzień - Larry'emu dostarczają je z Carmen w Manitobie, godzinę jazdy od Winnipegu. Potem jest dzień świętego Walentego, po nim przychodzi zapotrzebowanie na wielkanocne lilie - te przyjeżdżają także z Carmen. Na Dzień Matki robi się urwanie głowy, największy utarg w roku, a zaraz potem następuje zakończenie roku szkolnego, seria przejść na emeryturę i letnich ślubów. W ogóle kwiaciarstwo to zwariowana branża ze swoimi wzlotami i upadkami, ale Larry dziękuje Bogu, że przynajmniej główne święta są rozłożone na przestrzeni całego roku. Mówi się wiele o złotych możliwościach branży fotograficznej, ale czy kwiaciarstwo jest gorsze? Koniunktura przychodzi i odchodzi, utrzymując Larry'ego na fali, w wirze życia i pracy. Z radością wita on w swojej egzystencji codzienny ruch.

Gdy Vivian odeszła, dzwoniła niekiedy zapytać, co w sklepie. Po pewnym czasie przestała jednak trzymać rękę na pulsie. Larry słyszał od kogoś, że rzuciła studia opieki społecznej i sprzedaje kwiaty w kiosku domu towarowego Safeway w Północnym Kildonan. Słyszał również, że jest w ciąży i rzuciła w ogóle pracę. Nie widział jej wieki, ale myśli o niej przynajmniej raz dziennie, zastanawia się, co też ona robi. Nie odebrał tego tak wówczas, ale może żegnając się, wiedzieli oboje, że się żegnają na dobre. Może tak już jest między przyjaciółmi z pracy.

Czasami Larry nieruchomieje w sklepie z lodyżką alstromerii w dłoni. Najczęściej jest to odmiana flamingo, jego ulubiona, róż przetykany lawendą, wiotka nierówna główka kruchych płatków, które się rozchylają, ukazując kolonię delikatnych pręcików z ich różowościami i złocistościami. Kwiat ten, bardziej zioło niż kwiat, miał swój

początek w nasionku daleko w Ameryce Południowej, w Kolumbii. Ktoś mówiący po hiszpańsku zebrał nasionka tego kwiatu, ktoś inny posadził je w ziemi, ostrożnie, zapewne dłońmi, ugniatając grunt. Ludzie tam zarabiają w ten sposób na chleb powszedni, karmią rodziny, regenerują siły. Południowoamerykańskie deszcze zraszają kolumbijską glebę, obce słońce świeci na pierwsze zielone pędy i wszystko to robi swoje, fakt.

A co dalej? Larry przypuszcza, że na pola wychodzą hiszpańskojęzyczni robotnicy rolni z motykami, żeby wypleć chwasty, ale czy są to mężczyźni, czy kobiety? Może jedni i drudzy, a może również dzieci, w tej części świata to prawdopodobne. Larry się zastanawia, jakie myśli kłębią się w ich mózgach, gdy wykonują tę żmudną, katorżniczą pracę. Czy pakując ścięte kwiaty w wyściełane pudełka, główkę przy główce, mają oni pojęcie, że te żywe twory zostaną załadowane na olbrzymie odrzutowce, będą ustawiane ostrożnie, ostrożnie, jak przystało na skarby, którymi są, będą przewożone przez granice państw, sortowane, sprzedawane, poddawane inspekcji, sprzedawane ponownie, i że bez dostrzegalnego przywiednięcia ani wyblaknięcia - jeśli dostrzegalnego, to tylko dla oka znawcy - wylądują w dłoniach młodego Kanadyjczyka w zwykłym śródkontynentalnym zakładzie kwaciarskim, przynosząc odrobinę organicznego kolorytu do białej, skutej lodem krainy (w której słupek rżyci spadł w nocy do dwudziestu stopni poniżej zera, a współczynnik wiatru wzrastał stale przez cały dzień, tak że żaden żywy organizm nie ma tu prawa egzystować, ale oto egzystuje - ten zdumiewający okaz, który Larry trzyma w dłoni)?

Larry rozmyśla o tym, że główka tej alstromerii, którą tuli, nie ma pamięci i nie żywi wdzięczności do tych, którzy się o nią do tej pory troszczyli. „Nie pracuje ani przedzie”⁷. Wykiełkowała, wyrosła, rozkwitła, to wszystko. Ale plasując ją obok różowawej kangurzej łapki z Kolumbii Brytyjskiej, holenderskiego paprotnika i gałązki czy dwóch miejscowej turzycy, Larry czuje się dzieckiem szczęścia. Prawda, zamartwia się ostatnio rosnącym dystansem między nim a żoną, nocnymi strachami, które gnębią jego synka jedynaka, brakiem pieniędzy, zerwanymi lub zaniedbanymi przyjaźniami, presją zbytniego milczenia, niepewnością, czy jego krzewy przetrzymają zimę, ale mimo to czuje się zakotwiczony na tej planecie. Jest w centrum dziania się, jest częścią świata pracy, śrubką w wielkim obracającym się kole pragnień i zamierzeń.

⁷ Jest to sparafrazowany cytat z Kazania Chrystusa na Górze.

W przekładzie jezuitę ojca Walentego Prokulskiego brzmi on następująco: „Przypatrzcie się liliom na polu, jak rosną: nie pracują ani przedą. A powiadam wam: nawet Salomon w całym swoim przepychu nie był tak ubrany jak jedna z nich”.

Nadejdzie w jego życiu dzień, w którym praca - jej umiłowanie, jej codzienne wymogi i zabiegi - pozostanie wszystkim, co go dzieli od bankructwa duszy.

„Masz przynajmniej swoją pracę” - będą bąkać jego niespokojni, życzliwi przyjaciele, a jeśli nie będą, jeśli zapomną o dostępności tej ostatniej pociechy, to cóż, on sam będzie to sobie powtarzał: „Mam przynajmniej swoją pracę”.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Słownictwo Larry'ego **1983**

Pełny zakres słowa „labirynt” dotarł dopiero niedawno do świadomości Larry'ego Wellera, lat trzydzieści dwa, heteroseksualnego mężczyzny (żonatego, jedno dziecko), zamieszkałego w Winnipegu, prowincja Manitoba, Kanada. Nie zaprzęta on sobie głowy pochodzeniem słowa - prawdę mówiąc, jego zainteresowanie etymologią jest równe zeru na tym etapie życia - ale może powiedzieć wam jasno i prosto, co to takiego labirynt. Labirynt to złożony układ dróg. Tylko tyle. Nie musi to koniecznie być coś zawilego i klasycznego, jak może myślicie. Larry chętnie wam wyjaśni, że rodzajem labiryntu jest wiadukt nad szosą numer 2. Jak teraz widzi, były nim również pola do gry w klasy, które jako chłopiec wytyczał koło domu rodzinnego na Zachodniej Stronie Winnipegu. Labiryntem jest także współczesny tor golfowy. Weźcie na przykład Klub Świętego Jerzego w dzielnicy St. James, sposób, w jaki tamtejszy tor prowadzi was delikatnie od dołka do dołka, przy czym każdy kolejny rzut posuwa was do przodu, żeby wam przypadkiem nie przyszło do głowy się cofnąć lub odskakiwać na boki od numerycznie oznaczonego schematu. Labiryntem jest też port lotniczy, wielkie centrum handlowe czy, powiedzmy, system kolei podziemnej. Może się wydawać, że my, ludzie dwudziestego wieku, mamy zakodowane upodobanie do plasowania się na ruchomym pasie transmisyjnym, któremu pozwalamy się nieść.

Czym innym jest labirynt ogrodowy, dla którego Anglicy ukuli nazwę *maze*. Taki labirynt stawia sobie raczej za cel wprowadzanie w błąd, tumanienie ludzi, którzy wkroczą na jego ścieżkę. Jest łamigłówką. Projektuje go się dla zmylenia podróżnego, który zdąża do przyobiecane go celu. Te dwa te rodzaje labiryntów mogą się niekiedy na siebie nakładać, ale ściśle mówiąc, kryją się za nimi różne idee. (Larry wyczytał to rozróżnienie trzy lata temu w wypożyczonej z biblioteki książce *Labirynty i labirynty ogrodowe: ich historia, ich rozwój*).

Gdyby się nie ożenił z Dorrie Shaw, gdyby nie trafił do Hampton Court, jego życie potoczyłoby się innym torem, a słowo „labirynt” przepłynęłoby obok niego jak jeden z tych pyłków w płynie jego oka.

Paradoksalne, w czasie gdy jego życie kurczy się widomie, poszerza się jego słownictwo. Jest to zaskakujące. Niebawem. Paradoksalne - owo nośne słowo, które Larry powtarza ostatnio często na głos, nie żeby się popisować, lecz dlatego że formułuje mu się ono samo na języku. Jest to słowo, które przeniknęło do jego umysłu bardzo niedawno, dokładnie tydzień temu.

- Czy to nie paradoksalne - powiedziała do niego przez telefon jego siostra Midge - że wykopałam męża z domu dlatego, że się okazał pedałem, a teraz przeniosłam się do niego właśnie dlatego, że jest pedałem, choruje i pewnie umrze?

- Co-o? - zapytał Larry, wstydząc się swego jękiwego tonu, nagłej potrzeby dowiedzenia się, co to słowo znaczy. - Jak to nazwałaś?

- Paradoks. No, wiesz, ironia losu.

- Aha. Rozumiem.

Następnego dnia poszedł i kupił sobie słownik kieszonkowy, który trzyma w kwiaciarni. Ma go zawsze w zasięgu ręki, na półce pod ladą. Są ludzie, zauważył, których słownictwo stoi stopień czy dwa stopnie wyżej na drabinie rozwoju, i kołata mu się ostatnio po głowie myśl, że słowa mogą się okazać pomocne w przyszłości, a nawet w

obecnych kłopotach. Może głuche nagie echo, które czasami słyszy, da się ugłaskać słowami. Może to jest rozwiązanie, może wszystko, czego mu potrzeba, to nowe słowa, obojętne, wielkie czy małe, byleby wtłoczone w nie znaczenie zapisało się w jego głowie, na jego języku. Musi tylko zwiększyć zasób swego słownictwa, dodawać co dzień nowe słowo. Kto wie, co będzie, jeśli wyostrzy sposób wyrażania się, myślenia. Niektórzy mężczyźni i kobiety żyją sprytem i trzymaniem języka za zębami, ale on nie chce do nich należeć, bąkać coś pod nosem, wskazywać palcem, przemilczać. Chce, gdy nadejdzie po temu pora, być gotów do otworzenia ust, by słowa popłynęły z nich jak lawa.

Są na świecie ludzie, którzy chcą poprzez język dojść prostą drogą do jasności, lecz Larry Weller z Winnipegu w Kanadzie zapragnął nagle, w wieku trzydziestu dwóch lat, hołubić słowa, nawet pojedyncze słowa, żyjące każde własnym życiem, każde ze swoim własnym mózdzkiem i kłębuszkiem pary wydychanej wraz z dźwiękiem - swarliwe, nieposkromione, wielkoduszne. I tak, ironicznie. Można tę ideę słów podać w wątpliwość, ale żeby to uczynić, trzeba więcej słów - hipoteza, aksjomat, efekt.

Dorastając, był sennym chłopcem, potem sennym nastolatkiem, pozwalał się nieść wypadkom. Potrzeba mu było lat, żeby się w pełni przebudzić, a ostatnio ma uczucie, że znowu przysypia, kurczy się w sobie jak szczelnie opakowane artykuły na stojaku na froncie sklepu, małe plastikowe buteleczki Bujnorostu, Korzeniopędu i Pasożyto-boju. Muzyka lejąca się w sklepie przez cały dzień z radia otepiła mu mózg. Znalazł się w martwym punkcie - kierownik sklepu takiej to a takiej sieci kwiaciarskiej - tkwi w tym czternaście lat. Impas. (To jeszcze jedno z jego nowych słów - zasłyszał je w telewizji). A w dodatku do braku perspektyw zawodowych ma jeszcze żonę, która odmawia dalszego spania z nim w jednym łóżku, odmawia, dopóki on nie obieca sprzedać domu i przeprowadzić się w lepsze miejsce. Muszą myśleć o podniesieniu standardu swego życia.

*

Standard. Tego słowa Larry nie potrzebuje szukać w słowniku. Słyszy je ostatnio na każdym kroku i z czasem przyswoił sobie jego sens. W zeszłym roku przehandlowali wraz z Dorrie swoją starą toyotę i podnieśli swój „standard życiowy”, kupując fabrycznie nową. Niewielka zmiana, ale jednak subtelny postęp. (Słowo „subtelny” Larry zna ze słyszenia i nie wiedziałby, czy się pisze przez „b” czy przez „p”, ale czy musi je pisać?).

Sieć kwiaciarska, dla której pracował, Świat Kwiatów, została zakupiona przez inną sieć, Kwiaty dla Miasta, po czym podniesiono standard jej sklepów. Klientela jest teraz inna, inny profil towarów - więcej kwiatów egzotycznych, więcej sztucznych, dużo suszu. Podniósł się też standard życiowy jego czteroletniego synka Ryana, który paraduje obecnie do klasy „starszaków”, wyposażony od stóp do głów w rynsztunek produkowany przez firmy Osh-Kosh oraz Dzieci Rosną.

Na ironię, prawdziwą ironię - myśli Larry - zakrawa fakt, że jego żona Dorrie wychowywała się w ospowatym domku na Borden Road - rodzice i sześcioro dzieci stłoczeni w czterech pokoikach domku bez suterenu, z garażem pełnym gratów - więc kiedy wraz z Larrym kupili na Lipton Street zapuszczony domek do remontu, wydawało im się, że się wprowadzają do pałacu. Ale to było wtedy. Teraz Dorrie upatrzyła sobie nowe osiedle Linden Woods, tylko nie może przekonać do swoich planów Larry'ego. Włożył on za dużo pracy w swój labirynt ogrodowy, który zaczyna właśnie nabierać charakteru.

- Kto kupi dom - mówi Dorrie - z parcelą, która się cała dusi w chaszczach?

Pewnego pięknego dnia ściągnie buldożer i każe oczyścić teren - zapowiada. Ta krzakomania Larry'ego doprowadza ją do białej gorączki. Jest to wyrażenie, które zapożyczyła od jego angielskiej matki, i ostatnio wszystko doprowadza ją do białej gorączki.

Albo do wariactwa. Na przykład sposób, w jaki jej mąż Larry zaczął się wysławiać. Te wymyślne słowa, które się wylewają z jego ust. Nie miał skłonności do popisywania się, kiedy go poznała w 1976 roku, więc skąd nagle ta eksplozja wielkich słów?

Czy to oskarżenie? I tak, i nie. Wiele z nowo nabytego słownictwa Larry'ego wywodzi się z jego zaabsorbowania labiryntami. Chwyta z wypożyczanych książek coraz to nowe słowa, które czepiają go się jak rzepy. Dorrie uważa, że chce ją nimi upokorzyć. Skarży się, że siedzi ciągle z nosem w książce. Był kiedyś zabawny, potrafił ją rozśmieszyć, a teraz nic, tylko mówi o takich rzeczach, jak labirynty ziemne, Pasterskie Gony, Altana Juliana, ogrody węzłowe, *Chemin de Jérusalem*, labirynt Minotaura, *jeu-de-lettres*, świnię w koniczynie, szparki i meandry, algorytm z Trémaux, *pavimentum tessellatum*, fylfot, pustelnia, jednotorowy, wystrzygany, węzły, Wzgórek Wenery, *maisons de Dedalus*, Gród Troja, czara i pierścień, okular i spirala, wąż wokół talii, jodełka⁸. Nie ma temu końca. Larry sam nie może wyjść z podziwu, że przyswoił sobie w ostatnich latach tyle słów i że je pamięta. Trafiają jak harpuny prosto w jego mózg.

⁸ Pasterskie Gony, Altana Juliana, Wzgórek Wenery, Gród Troja - labirynty ziemne (ang. *turf mazes*) w różnych miejscowościach Anglii; pierwszy z nich jest opisany wśród innego rodzaju labiryntów w rozdziale jedenastym powieści oraz w przytoczonym na jej zakończenie XIX-wiecznym wierszu. Ogrody węzłowe (ang. *knot gardens*) - historyczne angielskie ogrody kwiatowe i zielne, projektowane w misterne układy, niekiedy z krzewami wystrzyganymi w rozmaite kształty. *Chemin de Jérusalem* (fr. Droga Jerozolimska) - nazwa labiryntów podłogowych z płyt w niektórych kościołach średniowiecznych; istnieje przypuszczenie, że w ramach pokuty przebywali je na kłęczkach grzesznicy. *Maisons de Dedalus* (Domy Dedala) - francuska nazwa labiryntów podłogowych bądź dziedzińcowych.

Jedna ze stałych klientek Larry'ego, pani Fordwich, wpadła wczoraj rano do kwiaciarni zamówić kwiaty na doroczny obiad na rzecz Orkiestry Kameralnej, a ponieważ było to niedługo przed Bożym Narodzeniem, Larry zaproponował koszt mieszanych poinsecji.

- Chyba nie, Larry - powiedziała z namysłem pani Fordwich. - Poinsecje o tej porze roku! To trochę zbyt banalne, nie uważa pan?

Banalne. Larry chyba słyszał już to słowo, a teraz w zawiedzionym, dezaprobuującym tonie, w jaki zostało ono wypowiedziane, wyczuwa cień nagany. Dotknięty spogląda na klientkę. Ale co dokładnie znaczy: banalne?

Później sięga pod ladę po swój słowniczek. Wyjaśnienie słowa „banalny” brzmi: pozbawiony oryginalności, pospolity, oklepany. W jego postrzeganiu świata są luki - widzi Larry - które będą go zawsze spychały na margines, upośledzały, jeśli się nie doksztalci. Na jego fizjonomii pozostanie na zawsze wyciśnięte banalne piętno głupowatości. „Hej, mogłaby pani to jeszcze raz powtórzyć? Jakoś niezupełnie złapałem...”.

Prawdę mówiąc, nie jest to niczyja wina. Czegóż innego można się spodziewać, biorąc pod uwagę historię życia Larry'ego Wellera, środowisko, z którego wyszedł, banalny punkt, z jakiego patrzy na świat?

Goździki są prawdopodobnie również banalne - zastanawia się Larry. Banalny jak diabli jest na pewno asparagus. A chryzantemy? No, zdecydowanie banalne są te w ciotowatych doniczkach z działu kwiatowego w Safewayu, przewiązane z boku wstążeczką. A w ogóle, prawdopodobnie, trochę banalny jest on sam.

Ośnik jest narzędziem tnącym o ostrzu osadzonym między dwiema rączkami, służącym do kształtowania powierzchni zakrzywionych w drewnie i innych materiałach.

Larry nigdy nie widział ośnika, nie słyszał nawet jego nazwy do czasu, gdy wraz z Dorrie i małym synkiem, Ryanem, oraz z jeszcze paroma osobami z sąsiedztwa, zostali zaproszeni z okazji Bożego Narodzenia na lampkę ponczu do Lucy Warkenten.

Lucy, która zajmuje piętro starego domu obok domku Wellerów, urządziła w wydzielonej części swego salonu „atelier”, gdzie wykonuje prace introligatorskie. Larry żywił zawsze sympatię do Lucy, która ma może czterdzieści lat i mieszka sama. Nosi długie plisowane spódnice, meksykańskie swetry i mnóstwo drewnianych ozdóbek. Bzdzi-artystka - mówi o niej Dorrie - jedna z tych zasuszonych cnotek z piczką najeżoną jak kaktus.

z płyt w pałacach; nazwa nawiązuje do mitycznego labiryntu wybudowanego przez Dedala na Krecie dla Minotaura. *Jeu-de-letters* (gra liter) - francuska nazwa labiryntu w rzymskiej bazylice z IV wieku w dzisiejszej Algierii, z łacińskim napisem SANCTA ECCLESIA (Święty Kościół), ułożonym tak, że można go czytać w różnych kierunkach. Świnie w koniczynie - żartobliwa nazwa nadana przypominającym labirynty, cyrkularnym budowlom starogreckim w Epidaurusie; ukuto ją przez analogię do opatentowanej w XIX wieku zabawki, w której na środkowe pole trzeba między cyrkularnymi przegrodami pod szkłem wprowadzić trzy kulki. *Pavimentimi tessellatum* - nazwa jednego ze starorzymskich ornamentów podłogowych z różnokolorowych kostek marmuru, układanych często w kształt labiryntu. Pozostałe określenia to malownicze nazwy rozmaitych układów motywów labiryntowych, znajdujących na różnych przedmiotach kultury materialnej, od prehistorycznych rysunków na kamieniu i starożytnych monet poczynając, na nowożytnych labiryntach ogrodowych kończąc. Wspomniany wśród tych motywów *fylfot* to angielska nazwa kształtu swastyki.

Spotkanie przypadło na mroczne niedzielne popołudnie. W salonie paliły się wszędzie świece, pod pomalowaną na biało i posypaną sreberkiem iglastą gałęzią Lucy ułożyła zapakowane prezenciki dla dzieci państwa Lee z dołu i dla czteroletniego Ryana: składane wiatraczki, wymyślne łamigłówki, japońskie kredki. Na stoliku do kawy stała waza ponczu z wina zaprawionego korzeniami oraz talerze sera, krakersów i tortu owocowego. Kiedy wszyscy zostali już obsłużeni, jedli, pili i rozmawiali. Lucy Warkenten pociągnęła Larry'ego do okna i pokazała mu, jak wygląda z góry jego labirynt.

Serce podskoczyło mu z radości - mimo okrywającego krzewy śniegu kształt labiryntu rysował się wyraźnie. Jego zawężenia, skręcające i nawracające ścieżki miały czystość i precyzję, jakiej nie przeczuwał.

- Przyglądanie się, jak ten twój labirynt nabiera kształtu - powiedziała uroczyście Lucy, kładąc dłoń na mankiecie jego swetra - sprawiło mi więcej przyjemności, niż przypuszczasz.

- Chyba się domyślam - odparł Larry, doznając wrażenia, że powierza jej sekret, którego zachowanie na swoją wyłączną własność uważał dotąd za nieodzowne.

Potem Lucy pokazała mu swój warsztat i narzędzia pracy. Wklejki welinowe, wyklejki z papieru marmurkowego, karty ruchome, zakładki, prasa, stos kartonu, jedwabna kapitałka. Do ściany przypięty był przepis na *glair*, miksturę z białka jajek, którą się przykleja do papieru płatki złota. Książka paginowana nosi nazwę kodeksu, wyjaśniła Larry'emu Lucy; nazwa pochodzi od łacińskiego słowa na oznaczenie pnia.

Larry nigdy nie słyszał tych słów, a jeśli już, to nie w odniesieniu do sztuki oprawiania książek. Zezując na Lucy wśród migotania świec, ujrzał w niej nagle osobę, która żyje na co dzień w świątyni obcego języka - choć może nie tak całkowicie obcego. Podczas gdy inni rozmawiali, pogryzali ser i raczyli się ponczem, Lucy pokazała mu, nad czym obecnie pracuje - oprawia w nowe „deski” stary tom, który następnie oklei pastelowym safianem.

- Cały dowcip - wyjaśniła - polega na tym, żeby nadać oprawie taki wygląd, jakby skóra naturalnie ją obrażała.

Książka nosząca tytuł *Głębokie bruzdy* wyszła jakieś sześćdziesiąt lat temu spod pióra kanadyjskiego socjalisty nazwiskiem Hopkins Moorhouse.

- Czy to dobre? - spytał Larry.

- Co?

- Ta książka.

Lucy wzruszyła ramionami.

- Nudne jak flaki z olejem. Ale jeden z potomków Moorhouse'a chce, żeby to na nowo oprawić. - Po chwili dodała: - Dobra oprawa może zabezpieczyć książkę na setki lat.

Setki lat! Larry'emu przyszły na myśl jego kompozycje kwiatowe - on nie może nigdy liczyć na utrzymanie ich przy życiu dłużej niż przez tydzień.

- To dzieło sztuki - oświadczyła teraz Lucy, a Larry myślał w pierwszej chwili, że mówi o półoprawionej książce, którą trzyma w ręce.

W rzeczywistości odłożyła ona już książkę i wyglądała znowu przez okno, wskazując ośnieżony labirynt, obrzeżony cieniem, dziwny stwór o wielu kończynach przycupnięty pod zimnym księżycem, nie proszący nikogo o nic, nawet o to, by na niego zwrócić uwagę.

*

Pierwszym słowem, jakie Larry wypowiedział, było „pap” - według tradycji rodzinnej powtarzał to raz po raz, w serii radosnych prychnięć, z wybicciem końcowego „p”. Rodzice, jego ojciec i matka, doszli wprawdzie wkrótce do wniosku, że jest to właściwie tylko dźwięk, nie słowo o określonym znaczeniu, lecz mimo to matka Larry'ego, Dot, zapisała je w jego *Książce dziecka* na stronie zatytułowanej „Nasze dziecko uczy się mówić”.

Jako pierwsze słowo o dwa lata starszej siostry Larry'ego, Midge, zanotowano „psi”. Według tradycji rodzinnej wypowiedziała to czysto, wyraźnie, po czym wydała ciche dziecięce hau-hau na dowód, że łączy słowo z treścią. Już w wieku dwunastu miesięcy była nad podziw bystra.

Kiedyś, wiele lat później, Midge powiedziała do Larry'ego:

- Może ty wcale nie mówiłeś pap. Może mówiłeś pup.

- A może ty chciałaś powiedzieć śpi, kiedy powiedziałaś psi - odparł Larry. - Jak te dzieci, które czytają odwrotnie słowa. Jak to się nazywa?

- Dysleksja - odparła dość surowo Midge.

- Właśnie - przytaknął Larry. - Dysleksja, dysleksja, dysleksja.

Przyszłość rysuje mu się niekiedy z zatrważającą jasnością jako nie kończąca się walka o zapamiętanie tego, co już wie.

*

Kiedy Larry był mały, jego matka wiecznie słuchała radia - gotując, prasując, sprząając - i czasami, z ciekawości, zatrzymywała tarczę w miejscu, gdzie z plastikowej kratki odbiornika wydobywały się obcojęzyczne słowa: włoskie, portugalskie, polskie. Dla Larry'ego były one wszystkie jednakowe, pełne piskliwych, prychliwych, wybuchowych dźwięków.

„Trele-morele" nazywał to ojciec Larry'ego, kręcąc z dezaprobatą głową, święcie przekonany wbrew oczywistości, że dźwięki te nic nie znaczą, są jedną wielką piramidalną bzdurą. Wszystko się tu ze sobą zlewa, nie ma prawdziwych słów tak jak w angielskim. Ci cudzoziemcy udają tylko, że mówią, mydlą wszystkim oczy.

Larry wie, że to nieprawda. Każdy człowiek porusza się po świecie z pewnym zasobem słów w głowie, słów ułożonych w piramidkę jak drzazgi na podpałkę albo zwiniętych w kłębuszek jak długie przewody nerwowe, które pamięta z lekcji przyrody w szkole. Słowa te określają z krystaliczną jasnością co najmniej takie przedmioty, jak podłoga, okno, krzesło, piłka. Bardziej niebezpieczne, toksyczne słowa przychodzą później, nie bez trudu, ale każdy człowiek będzie ostatecznie wyposażony w pewną ich liczbę. Trasa autobusowa. Podatek gruntowy. Pobory. Przechodzień. Słowa są wszędzie, nie można przed nimi uciec, a wraz z ich kształtem przenika, jak przełknięta pastylka, zrozumienie.

Sam świat zdaje się kryć w ustach słowa, jednozgłoskowe szumy obciążone samogłoską, gotowe się realizować jak ostrzeżenie o nadchodzącej burzy.

Co do niego samego - Larry to wie - nie zna jeszcze wystarczającej liczby słów. Choćby w przybliżeniu wystarczającej.

*

Rodzice Larry'ego przyjechali do Kanady z Anglii w 1950 roku, ale po wszystkich tych latach wciąż mówią na kolej *railway* zamiast *railroad* jak wszyscy na tym kontynencie. Matka Larry'ego nadal mówi na kuchenkę *cooker*, a ojciec nazywa benzynę *petrol* zamiast *gasoline*. Larry'emu nie przyszłoby nigdy do głowy powiedzieć *railway*, *cooker* czy *petrol*, ale słowa te, wychodząc z ust rodziców, mają specyficzne ostrze i jakąś pełnię, i za każdym razem, gdy je usłyszy, przyprawiają jego serce o skurcz szczęścia, jakby stanowiły dowód, że jego nieporadni, utykający rodzice, jeśli już nic więcej, to przynajmniej uwili sobie w tym obcym kraju prymitywne może, ale zawsze gniazdo. Mogą w nim znaleźć schronienie. Być sobą, jeśli to coś znaczy.

*

- *Mazel tow!* - mawia przyjaciel Larry'ego, Bill Herschel, przy wszystkich odświętnych okazjach, ślubach, urodzinach, meczach.

Wychowując się w domu sąsiadującym z domem Herschelów, Larry też zaczął używać tego wyrażenia. *Mazel tow!* Na szczęście! Rozpływa mu się ono na języku jak słodki karmelek. Utrafia w to, co Larry jest w stanie pomyśleć czy poczuć, tak że otwierając usta, staje się on producentem subtelnych dźwięków, wspaniałej muzyki. Świętujący szczęśliwy chłopiec, później szczęśliwy mężczyzna.

*

Słowo „seks”. Co ono oznacza?

- No-o - wyjaśniła matka Larry'ego, widocznie zakłopotana (było to dawno temu) - wiąże się to z przytulaniem, całowaniem, leżeniem w łóżku. - Po chwili dodała: - To rzecz głównie dla mężczyzn.

Wiele lat później, jako czterdziestoletni mężczyzna o wiotczących mięśniach, ale myślach ślizgających się wciąż nowymi sceptycznymi koleinami, Larry Weller, leżąc w ciepłych objęciach kobiety, słuchał jej pouczeń o czymś, co nazywała misterium tantrycznym⁹. Tantrycznym? Seks - tłumaczyła swoim grzechoczącym głosem - może być głębszy, bardziej przerażający od tego, do czego Larry przywykł. Człowiek może wniknąć w słowo „seks”, obrosnąć nową skórą: grubszą, owłosioną, pierwotną, nierozpoznawalną. Może się wyczołgać na sam skraj tego słowa, zapomnieć własnego imienia, zatopić się we własnym ciele, odkryć drogę do nowego bytu.

⁹ Tantryzm - ruch religijno-filozoficzny oparty na tak zwanych tantrach, tekstach sanskryckich. Część składową mistycznych nauk tantrycznych stanowią metody wyzwalań uwiecznionej w ciele człowieka, a nie wyzyskanej energii, co ma prowadzić do niebywale wzmoczonych doznań seksualnych.

„Co ta-akiego? - dochodził Larry na swój uparty, dociekliwy, nieustępliwy sposób. - Co to wszystko miało by znaczyć”.

*

Rany boskie, Jezuniu, cholera, diabli, szczać, srać, pierdzieć, pierdolić, jebać, chuj, pizda, jaja, dupa, skurwysyn.

Larry zna te wszystkie słowa. Jakże mógłby się uchować na tym świecie, nie znając ich? Są jak monety, które się nosi w kieszeni, żeby je wyciągać i wydawać, kiedy ma się ochotę. Nikt człowieka nie wsadzi do więzienia za to, że otworzył usta, by je wypowiedzieć. (W każdym razie nie w tym kącie świata). Żona Larry'ego, Dorrie, mówi stale: „Pierdolę to, pierdolę tamto”. Chroni ją to od wariactwa - twierdzi. Larry wyraża się czasami o tym czy owym, że zostało spieprzone, ale uważa, żeby nie używać brzydkich słów w obecności małego synka. Wystarczy dla dziecka, kiedy „mięsem rzuca” jedno z rodziców.

Ludzie czasem sami nie wiedzą, co mówią. Słowa mogą się niekiedy poślizgnąć daleko od swego właściwego znaczenia. Do sklepu Larry'ego przychodzi w każdy piątek śliczna, smukła, młoda Wietnamka, wykorzystująca szczęśliwą godzinę między czwartą a piątą po południu, kiedy wszystkie kwiaty są za pół ceny. Wskazuje nieśmiało, co chce - powiedzmy, trzy tulipany i parę gałązek przybrania czy coś w tym rodzaju - po czym starannie odlicza pieniądze, bierze z kontuaru zapakowany bukiet i mówi uprzejmie, słodko: - No, to spierdalam.

*

Istnieje oczywiście w angielskim cały poczet słów wzniosłych. Naród. Honor. Dokonania. Majestat. Uczciwość. Prawość. Wykształcenie. Chwała.

Larry zna te słowa - któż ich nie zna? - ale prawie nigdy ich nie używa. Są to słowa owych namaszczonych istot, które mają wzrok skierowany daleko przed siebie. Natomiast Larry żyje w świecie krótkich perspektyw, w zamkniętym, materialnym, prowincjonalnym światku, w swojskiej bruździe, w której się urodził, i choć ciągle myśli, nie wie, że myśli. Żyje w sąsiedztwie tych wielkich słów, ale nie współżyje z nimi. Jego udział w prawdzie - jakiej prawdzie? - przyjdzie (gdy przyjdzie) skromnie opakowany i przewiązany sznurkiem. Larry to rozumie.

W przyszłości mógłby się nauczyć wykorzystywać te słowa w ich pełnej rozpiętości, wówczas jednak... Tu ze wzruszeniem ramion przełącza się na drugi bieg i nie bez zakłopotania gwałtownie hamuje, jakby chciał powiedzieć: „Te słowa to nie prawdziwy ja, to strój, w jaki się ubieram”.

*

Jak wszystkich ludzi, życie postawi Larry'ego wobec konieczności zdobycia się na chwilę czy parę chwil prawdziwej elokwencji. Chwile te skryształizują się wokół ceremonii znanych jako oświadczyzny. „Zostaniesz moją żoną?” - zapytał w 1978 roku Dorrie Shaw ustami pełnymi zgrzytającego piasku. Do drugiej żony, której jeszcze nie zna, powie po prostu: „Chcę z tobą żyć do śmierci”.

Tak, faktycznie zdobył się na te wypowiedzi, pełen wątpliwości, ale i nadziei. I pełen zdumienia, że zna takie słowa i że takie proste słowa wystarczają.

*

- Mam za męża faceta stukniętego na punkcie labiryntów - mawiała Dorrie w dawnych latach, gdy byli z Larrym młodym małżeństwem.

Mówiła to ciepło, jak to żony, kiedy kręcą głową nad dziwactwami mężów, tak jak matka Larry'ego, gdy biada nad mężowską kolekcją korkociągów i otwieraczy do butelek, która osiągnęła już dwa tysiące okazów i którą ona musi odkurzać, inwentaryzować i utrzymywać we względnym porządku, kolekcją, której sensu nigdy nie kwestionowała, nie czuła się powołana do kwestionowania.

Na pierwszą rocznicę ślubu Dorrie ofiarowała mężowi Larry'emu kieszonkowe wydanie książki pod tytułem *Celtyckie labirynty i labirynty ogrodowe*, którą zaopatrzyła w dedykację: „Na miłą pamiątkę Hampton Court” - nawiązującą do ich podróży poślubnej do Anglii, podczas której Larry zobaczył swój pierwszy labirynt.

To wariactwo ta jego labiryntomania - mówi teraz - czyste wariactwo. Rodzaj obłędu. Do białej gorączki doprowadza ją mieszkanie pośród wijących się meandrów krzaków. Ten jego labirynt przypomina jej stado żmij, a ona nie cierpi żmij.

To choroba, obsesja.

Słowo „obsesja” jest zbyt wielkie i kanciaste, by się mieściło wygodnie w okrągłym otworze ust Larry'ego, mówi on więc przyjaciółom, członkom rodziny i wszystkim, którzy o to pytają, że owszem, „interesuje się” labiryntami. To takie jego hobby. Bagatelizuje sprawę. Nie wie, dlaczego to robi, ale jakoś woli, żeby ludzie nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo się interesuje. Że jest to jak kryształ rozrastający się w jego mózgu, zajmujący coraz więcej miejsca.

Tym, co go fascynuje, są nie tylko same labirynty, ale idea labiryntów, idea żarząca się jak miękkie światło na peryferiach jego widzenia; światło zawsze obecne, zawsze zapalone. Gdziekolwiek obróci wzrok, ma je zawsze w polu widzenia, rzucające ciepły blask na uśpione obłe korytarze krzewów, które okalają dom, ich serpentynowy (ser-pen-ty-no-wy) powab, ich zwodnicze uniki i obietnicę zadośćuczynienia.

*

Labirynt na posesji Larry'ego składa się z trzech gatunków krzewów. Jego zewnętrzny obwód jest utworzony przez mięsistą irgę (*Cotoneaster horizontalis*), która przybiera na jesieni czerwone zabarwienie i która poddaje się łatwo sekatorowi. Za środkowy pierścień posłużyła pospolita karagana (*Caragana arborescens*), która jest pierzasto zielona i nie tak podatna - prawdę mówiąc, w ogóle niepodatna - na przycinanie. A do serca labiryntu, gdzie Larry planuje zainstalować pewnego dnia niewielką fontannę, prowadzi szpaler porzeczki alpejskiej (*Ribes alpinum*). (Co do fontanny, to Larry napisał już o katalog do pewnej firmy na Florydzie).

Sadzonki Larry flancował wiosną, z nagimi korzonkami, co się kalkuluje o połowę taniej, niż gdyby czekał do lata i kupował każdy krzew w doniczce. Oczywiście przeprowadza najpierw rekonesans i wykorzystuje swoje koneksje kwiaciarskie, żeby uzyskać jak najkorzystniejsze ceny. (Ma przecież do spłacania dom, ma chłopaka, który niedawno rozpoczął naukę pływania i lekcje gimnastyki).

W doborze krzewów kryje się pewien paradoks (znowu to użyteczne słowo). Larry oczywiście chce, żeby krzewy rosły szybko i żeby jak najprędzej uwypuklił się ogólny zarys labiryntu; nie może jednak sadzić krzewów rosnących naprawdę szybko, bo musiałby spędzić połowę życia na przycinaniu przyrostów i modelowaniu. Trzeba było rozwiązać ten dylemat, pogodzić sprzeczne tendencje. (Te nowe słowa niosą ze sobą pewną przykrość, świadomość utraconego, zmarnowanego czasu, owych długich lat niewiedzy).

Dlaczego Larry zadał sobie trud zapamiętania łacińskich nazw swoich krzewów? Dlatego że czuje - niejasno - iż zasługują one na pełny szacunek. Przeżyły w końcu parę srogich manitobskich zim, a sprawują się imponująco. Naprawdę imponująco. Jak dotąd ani jeden nie zwiędł, nie usechł. Zdają się go wprost kochać. Krzewy - czuje Larry - są kopcuszkami w królestwie roślinnym. Nie są w pełni drzewami, nie są niczym określonym, a mimo to doczekały się pełnej klasyfikacji botanicznej ze strony ekspertów, różnych profesorów, autorów książek ogrodniczych. (Nawet w zimie Larry obserwuje je z czymś w rodzaju miłości, ich elegancję, niespodziewany przepych ich gałązek).

Kocha potoczność łacińskich słów na języku - *Leguminosae* - i kocha samego siebie za to, że potrafi zapamiętać te niecodzienne słowa, że jest wystarczająco bystry, wystarczająco uważny, tym bardziej że nie zawsze w życiu odznaczał się pilnością. Jest to coś zupełnie nowego. Poślizgi i podrygi owych łacińskich słów niosą ukojenie jego rozedrganemu sercu. Ma zbożną nadzieję, że słowa, które żyją w jego głowie, znajdą w końcu drogę na jego wargi. Może nauczy się nawet operować nimi swobodnie, mimochodem, wydychać je niejako przez pory. Czegoż mu właściwie potrzeba jeszcze w życiu prócz większego zasobu słów? Żeniąc świat z zasobem jego słów, otrzymuje się rodzaj kosmicznego sandwicza, dwie grube kromki znaczenia, między którymi nie potrzeba niczego więcej. Czasami jednak wolałyby nie trudzić się tak bardzo. O czym właściwie myślał, zanim zaczął się tak mozolić? Co majaczyło mu przed oczami, zanim nauczył się znajdować właściwe słowa?

*

Nawet w słowniku, który Larry trzyma w kwiaciarni pod ladą, brakuje słów na określenie pewnych rzeczy. Na przykład jego siostra, Midge, choć rozwiedziona, zamieszkała ponownie ze swoim mężem. Jak nazwać jej obecny stan? I stan jej męża? I to, co się między nimi rozgrywa?

Jak Larry ma nazwać swoje uczucia do synka, Ryana? Tę mieszaninę winy i tęsknoty, tę rozdymającą się, nadopiekuńczą, wieloczołową siłę, zbyt rozległą, by ją wtłoczyć w kategorię miłości?

Kiedy wracając z pracy, utknie na skrzyżowaniu pod czerwonym światłem i siedzi w półmroku, więcej niż półmroku, przez dziesięć, dwadzieścia sekund czekając - jak ma nazwać ów spazm niemalże uniesienia, gdy odlicza na palcach istotne koordynaty swego miejsca na ziemi? „Jestem tu, ale nikt nie wie, gdzie dokładnie jestem w tej chwili. Nikt nie wie, że moje oczy mrugają, adaptują się, dokonują skoków, szukając odpowiedzi na pytanie w pytaniu w pytaniu...”.

I jakim słowem nazwać ów skurcz paniki, który przejmuje Larry'ego, kiedy w zimowy wieczór otwiera kuchenne drzwi swego domku? Wchodzi z kluczami w jednej ręce, z pudełkiem pizzy albo torbą z pieczonym kurczakiem w drugiej. W ciasnej sieni stupuje z butów śnieg na linoleum i pochyła się, by je ściągnąć, czując, że powietrze niebezpiecznie się rozrzedziło i że on mógłby łatwo osunąć się martwy.

Dla rozproszenia ciszy nuci piosenkę Michaela Jacksona *Billy Jean*, taki lek w aerozolu. Cisza podrywa wiarę w organizację jego życia. Martwe powietrze, puste izby. Tak jakby nigdy we dwoje z Dorrie nie wstąpili w tę egzystencję z własnym domem i dzieckiem, jakby siłą zostali popchnięci na skraj bezdusznej przepaści. Ściany, podłoga kuchenna, ciasny krąg urządzeń domowych z drugiej ręki, mały stół w kącie z równo wsuniętymi pod niego krzesłami - sprzęty te nie chcą się do niego przyznać, chociaż to on, nieprawdaż, jest tym, który powołał tę scenę do życia i który jest teraz uwięziony w bani swego strachu. Powinna go cieszyć zasiedzialość tego miejsca, ale jakoś nie cieszy. Powinien je postrzegać jako zastrzeżoną dla siebie niszę w wyniosłym ogromie nocy. Jakim słowem nazwać tę powolną, nieubłaganą, duszącą pustkę, która go osacza? Larry ma to słowo na czubku języka, zbliża się ono jak naprowadzane przez radar, ale jeszcze nie wychyło.

Za dziesięć minut z salonu sprzedaży Manitoba Motors wróci Dorrie, odebrawszy po drodze z przedszkola Ryana. Na wargach będzie miała ostatni ślad szminki Fantazyjna Fuksja. Jej spieszne cmoknięcie w jego policzek przyniesie najłżejszy z elektrycznych wstrząsów. Wstrząs tego rzędu nie sprawia właściwie bólu, ale nie sprawia też przyjemności. Czy istnieje słowo na doznanie tak ulotne, tak bezużyteczne?

Larry'ego uderza myśl, że może język nie doszedł jeszcze do tej fazy rozwoju, w której ogarnie całą złożoność świata.

Uświadomienie tego rozzewu przywodzi falę niepokoju. Może czekamy wszyscy - myśli Larry - wyglądamy tego „czegoś”, nie wiedząc sami czego.

Do kwaciarni przyszedł klient i zamówił olbrzymi bukiet dla swojej sędziwej ciotki, a na bileciku kazał umieścić słowa: „Szczęśliwej wiosny!”.

Bo dziś zaczyna się wiosna, 21 marca, zrównanie dnia z nocą. Nasila się słońce, topnieją śniegi. Na dworze wszystko świadczy o nastaniu nowej pory roku, ale Larry jest zbyt rozżalony, by to zauważyć. W domu sprawy nie mogą się układać gorzej. Dorrie od miesiąca prawie się do niego nie odzywa, a jeśli już, to żeby zrzędzić na chłód ciągnący od północnej ściany kuchni albo na ciasnotę w szafach. Albo żeby wyrzekać, jak bardzo nie cierpi tego ich, pożał się Boże, domu.

Zrównanie dnia z nocą, równonoc. Larry rozkoszuje się brzmieniem tych słów. Przypomina sobie, jak kiedyś w liceum nauczycielka wypisała na tablicy słowo „równonoc”, oddzielając dwie jego części dywizem. Dzień równy nocy. Piękna logika. Cud powtarzający się dwa razy w roku. I właśnie teraz przypada. Dzisiaj. Równonoc wiosenna. Najwyższy czas.

- Larry Weller?

- Przy telefonie.

- Larry, mówi Lucy. Lucy Warkenten.

- Lucy?

Lucy Warkenten, która mieszka w domu sąsiadującym z domem Wellerów, nigdy nie dzwoniła do niego do pracy. Larry stoi przy ladzie wraz z najnowszym praktykantem z College'u Rzeki Czerwonej, Bobem Buxteadem, przygotowując przybranie stołu na bankiet Lwów. Zdecydowali się na tematykę wiosenną, chociaż tu i ówdzie potuje jeszcze śnieg, a żonkile, które przyjechały rano z Kolumbii Brytyjskiej, mają płatki troszkę zwarzone u nasady.

W głosie Lucy jest troska i lekkie podniecenie.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? - pyta przezornie Larry'ego.

- Nie, oczywiście nie.

- Bo zastanawiam się...

- Tak?

- Wiesz, wyrzałam przed chwilą przez okno i zastanawiam się, co z twoim labiryntem, Larry. Zmieniłeś koncepcję, czy co?

- Koncepcję czego?

- No, czy postanowiłeś zacząć wszystko od początku? Zmienić założenia? Realizować jakiś nowy plan?

- Nie - mówi zdziwiony Larry, bawiąc się pękiem turzycy, przesuwając palcem po ostrych zielonych brzożkach listków. - Nie, myślałem, że może dodam jeszcze jeden węzeł w południowo-wschodnim rogu, jak się ustalili pogoda, coś trochę bardziej kunsztownego, niż dotąd robiłem, ale na razie...

- Poczekaj, Larry. - Larry słyszy, jak Lucy robi głęboki wdech. - W twoim ogrodzie jest buldożer... No, wiesz, jedna z tych maszyn, tak to się chyba nazywa? Pracuje od jakiegoś kwadransa.

- Co-o? Buldożer?

- On już... Przykro mi to mówić, Larry... - Nowy ostry wdech, zdławiony spazm. - On... znaczy, ta maszyna skopała już całą frontową część...

- Mniejsza o to, Lucy. Zaraz tam będę.

Nawet tym wczesnym poniedziałkowym popołudniem ruch na drodze był duży, tak że minęło dwadzieścia minut, nim Larry dotarł na Lipton Street.

Przed domem ujrzał spustoszenie, wyorane bruzdy ziemi i śniegu, zrównany teren i rzucającą się w oczy narośl frontowych schodków, nagle, groteskowo, wyeksponowanych. Nie buldożer, ale żółty traktor z koparką, równie zabójczy, stał zgaszony z boku domu, a tuż przed nim majaczyła chwiejna postać Lucy Warkenten w kwiecistej wiatrówce oraz fioletowej spódnicy i butach, z ramionami rozkrzyżowanymi sztywno, w postawie nauczycielki zabezpieczającej przed szkołą dzieciom przejście przez ulicę. Zimny wiosenny wiatr omiatał jej przejętą twarz, jej postawa wyrażała zaaferowanie i bunt, jakby była kobietą szaloną, sygnalizującą o pomoc.

Larry pamiętał później, jak zamknął oczy na widok jej i bladego słońca barwiącego zrównany teren. Tym, co w niego uderzyło jak grom, nie było niedowierzanie; przeciwnie, uwierzył od razu. Wiedział. Rozumiał. Poczuli natomiast równomierny, dotkliwy grad słów bombardujących ciało - „przecucie”, „ból”, „wstyd”, „pustka”, „żał” - i na koniec, zaskakująco, jak deszcz padający na drugim końcu miasta, tlenodajne słowo „ulga”. Częstka tego, co przeczuwał, pozostawała za nim. To koniec.

Zbliżała się ku niemu Lucy, popołudniowe słońce oświetlało jej twarz, oczy, drżące wargi, zęby. „Straszne, straszne” - zdawała się mówić przez pustą wyrwę powietrza.

Larry, oszołomiony, obolały, otworzył w końcu usta, wydobyły się z nich jednak nie słowa, lecz zdruzgotane, potłuczone odpryski mowy, sylaby o wydłużonych samogłoskach - przeszywający krzyk, skowyt człowieka skrzywdzonego nad ludzką miarę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przyjaciele Larry'ego *1984*

Wyswobodzony z okowów swego pierwszego małżeństwa, Larry dał się namówić na udział w spotkaniu koleżeńskim w szesnastą rocznicę matury, która miała zostać uczczona przyjęciem w świeżo odnowionej sali gimnastycznej. Wybrał się na nie ze współmaturzystami liceum imienia MacDonalda z 1968 roku, przyjacielem Billem Herschelem i jego żoną Heather.

Heather - nazywała się wówczas Heather McPhail - była wyróżniającą się uczennicą, sekretarzem klasy i szkolną pięknnością, z wianuszkami przystojnych chłopców ubiegających się o prawo warowania przy jej szafce w szatni. Mogła mieć każdego z tych rozbuchanych, pachnących wodą kolońską, muskularnych młodych ludzi, a wybrała chudego Billa Herschela, geniusza matematycznego i przewodniczącego Klubu Wycieczkowego, na którym zawsze wisiało ubranie i którego żydowska rodzina czyniła go problematycznym zięciem dla anglikańskiej rodziny Heather i na odwrót. Pobrali się dzień potem, jak Bill otrzymał dyplom studium ochrony środowiska - żadna z dwu par rodziców nie wzięła udziału w uroczystości - i mają obecnie dwie małe córeczki, sześciolletnią Chantal i ośmioletnią Sophie.

Tego wieczoru dziewczynkami opiekuje się niejaka pani Carroll, wdowa mieszkająca obok Herschelów i pełniąca rolę przyszywanej babci ich pociech, która zgodziła się mieć również oko na sześciolletniego synka Larry'ego, Ryana. Umowa Larry'ego z jego byłą żoną, Dorrie, przewiduje, że on będzie brał Ryana na weekendy - od piątku wieczorem do niedzieli wieczorem - a ona będzie się nim opiekowała przez resztę tygodnia. Larry nie powiedział Dorrie o sprawie tego gościnnego noclegu syna, nie powiedział jej w ogóle, że się wybiera na to szkolne spotkanie. Dorrie zrobiła się ostatnio okropnie czepialska. Lubi, żeby wszystko miało swój uświęcony tryb, wszystko bez wyjątku, i zrobiłaby piekło, gdyby wiedziała, że Ryan będzie spał na rozkładanej kanapie w suterenie Herschelów. Pokój w suterenie to ostatnia rzecz, jakiej mu potrzeba, przy jego wiecznych katarach i kaszlach. W dodatku dziewczynki Herschelów są w opinii Dorrie małymi primadonnami, zadzierają nosa jak ich matka.

To ostatnie to czysta nieprawda. Heather McPhail Herschel jest cała uosobieniem dobroci - roztopiające się spojrzenie, faliste kasztanowe włosy, krągłe ciało dobrze wyrosniętego ciasta - i od czasu, gdy przed rokiem rozleciało się małżeństwo Larry'ego z Dorrie, świadczy mu tysiące uprzejmości.

- Posłuchaj - powiedziała mu w pierwszych strasznych dniach po wyprowadzeniu się Larry'ego z Lipton Street - chcemy oboje z Billem zrobić co tylko w naszej mocy, żeby ci pomóc jakoś to przetrwać. Wiedz, że jesteś mile widziany w naszym domu w dzień i w nocy, Ryan oczywiście także. Możesz w każdej chwili zadzwonić, wpaść, cokolwiek zechcesz. Nakarmimy cię, podlejemy winem, możesz po prostu przyjść posiedzieć, pogadać. Będziesz się potrzebował wyzalić, Larry, a my jesteśmy po to, żeby cię wysłuchać. Jednym słowem, możesz na nas liczyć. Po to są przyjaciele.

Larry docenia życzliwość Heather, a szczególnie ceni fakt, że Heather nie natrząsa się z Dorrie, nie opowiada, że Larry miał szczęście wyzwolić się z parszywego małżeństwa, jak dają mu do zrozumienia, a nawet mówią w oczy niektórym znajomi. W szkole Larry nie potrafił podnieść na Heather wzroku i z trudem przychodzi mu to jeszcze teraz, mimo że jest ona żoną jego najbliższego przyjaciela i że widuje ją co najmniej raz w tygodniu. Jakoś nie

może wymazać z pamięci faktu, że była w dawnym życiu Heather McPhail, ową słodką ulubienicą szkoły, drugą co do inteligencji i przystojności dziewczyną w klasie, ustępującą pierwszeństwa jedynie Megsy Hicks, królowej klasy maturalnej liceum MacDonalda z roku 1968.

O ile Heather McPhail była pulchna i krągła, o tyle Megsy Hicks zdawała się rysowana twardą prostą linią. Megsy nosząca śmiało seksowne swetry i włosy à la Cher, Megsy o szerokich, żywych, jaskrawowargich ustach pośrodku twarzy jakby naszkicowanej z rozmachem surową, spieszną kreską, twarzy zwieńczającej ruchliwe, falujące, muskularne ciało kobiece. Fakt, iż Megsy Hicks cieszyła się popularnością, mimo że nosiła okulary, lokował ją w całkiem odrębnej konstelacji. Larry śnił o niej co noc, lecz przez cztery lata liceum nie odezwał się do niej słowem, mijając ją na przerwie, nie rzucił w jej stronę choćby zdawkowego „cześć”. Patrząc na niego, nie widziała go, a Larry niczego innego nie oczekiwał. Na nic innego nie zasługiwał. Należał do klasowego pospólstwa, nie był prezesem niczego ani nawet członkiem żadnej organizacji, nie wyróżniał się w żadnym sporcie, stopnie miał ledwie dostateczne. Pogodzony ze swym losem marzyciel o załamującym się głosem i nieobliczalnej twarzy stanowiłby jedynie nieważną plamę w roczniku szkolnym, gdyby nie fakt, że się przyjaźni z Billem Herschelem, który w niezrozumiały sposób pozyskał względy Heather McPhail.

Tylko w snach - ma się rozumieć snach na jawie, owych nieostrzych sekwencjach filmowych, rozgrywanych na suficie nad jego łóżkiem, nim zapadł w sen - Megsy Hicks ujmowała jego dłoń i kładła ją na swojej ukrytej pod swetrem, twardej piersi. Jej wargi sunęły wilgotnymi pocałunkami po jego ciele, palce sięgały do spodni jego piżamy. „Czekałam na to” - powtarzała, jak gdyby zdjawszy okulary, przestała dostrzegać, jaki z niego kretyn, jak gdyby zapomniała, jaki to denny wstyd być Larrym Wellerem. W jego uszach brzmiał podniecająco, oszałamiająco jej głos. „Jeszcze - komenderowała autorytatywnym tonem kapitaniki żeńskiej drużyny koszykówki. - Pieść mnie tutaj. I tutaj”.

Kochał ją. Nikt tego nie wiedział, nawet Bill Herschel, jego najbliższy przyjaciel od czasu, gdy mieli po siedem lat. To, co czuł do Megsy, nie było zwykłym zadurzeniem, nie było nawet tym, co jego matka by nazwała ciejącą miłością; było najpromienniejszą, najtkliwszą namiętnością. Megsy, Megsy, słodka Megsy. Samotny, terminował w szkole miłości, oswajał się z jej niemożliwością.

Chciał Megsy chronić, a ona łaknęła jego opieki - nieważne, że była redaktorką rocznika szkolnego, że została wybrana do wygłoszenia przemówienia pożegnalnego na promocji. On, Larry Weller, otoczy ją opieką. Na jego poduszce ścielił się co noc jedwab jej kruczonych włosów, obnażone drobne płatki jej uszu świeciły srebrnymi klipsikami. Larry dotykał ich miłośnie, potem sunął palcami w dół nie kończącego się, sprężystego, zaprawionego ciała tenisistki, które wyginało się nad nim w kształt wielkiej litery C - „Tak, tak”, dyszała, ogrzewając skotłowaną pościel jego łóżka, tuląc go w objęciach.

Taka miłość nie ulatuje tak łatwo, jak ludzie sobie wyobrażają. Czasami zalega umysł niby lepka mgła przez długie lata. Jedynym powodem, dla którego Larry wybrał się na piątą rocznicę matury, była chęć zobaczenia Megsy Hicks, która się jednak nie pokazała. Ktoś, prawdopodobnie Heather, poinformował, że Megsy przeniosła się do Toronto i wyszła bogato za męża, w czym nie było nic dziwnego. Nie pojawiła się również w dziesiątą rocznicę i Larry, który przywłókł swoją młodą żonę, Dorrie, spędził wieczór w odrętwieniu, starając się w filtrach świadomości dojść, dlaczego mięśnie jego twarzy wiotczeją tak nagle na dźwięk nazwiska Megsy Hicks, popadają w zdrowne, zdradliwe drganie bezrozumu. Megsy Hicks - usłyszał - obiecywała przyjechać, ale jej mąż musiał w ostatniej chwili lecieć w interesach do Paryża (do Paryża, drobiazgu!) i ona zdecydowała mu się towarzyszyć.

W piętnastą rocznicę spotkanie się nie odbyło, jakoś nie udało go się zorganizować, wobec czego zorganizowano je teraz, w szesnastą. I Larry dał się namówić na pójście. Rozerwie się, zobaczy trochę starych znajomych - przekonywała Heather, myśląc w duchu, że dobrze mu zrobi włączenie się z powrotem w nurt życia. Co z tego, że jest rozwiedziony - tłumaczyła. Będzie tam więcej osób rozwiedzionych.

I właściwie co by go miało powstrzymywać? Ma trzydzieści trzy lata, jest ojcem, płaci podatki, pracuje, jest kierownikiem dobrze prosperującej kwiaciarni, która w zeszłym tygodniu uzyskała w Manitobie pierwszą lokatę w konkursie na dekorację stołu. Jego niemądre, mikre ciało zmęźniało wkrótce po dwudziestce, a swoje chwile paniki, jak prędzej czy później każdy, nauczył się rozpraszać w samodzielnie wypracowanych, przestronnych strefach bezpieczeństwa, zapewniających swobodę oddechu. Popelniał w życiu błędy, przynajmniej jeden wielki błąd: małżeństwo z Dorrie, ale ma widoki, ma przed sobą przyszłość, chociaż sam jeszcze nie wie, jak dalece chce, by ten nowy Larry się ujawnił, zmaterializował. A co najważniejsze, ma to, co się naprawdę liczy w życiu człowieka - ma przyjaciół.

Dużo przyjaciół czy nie dość dużo? Sam nie jest pewien. Cofa się w głąb swego rojnego życia i rozważa tę kwestię.

*

Jednym z jego przyjaciół jest osobnik nazwiskiem Gene Chandler. Gene to facet, który lubi piwo i lubi się pośmiać. Poznali się w College'u Rzeki Czerwonej, gdzie Larry studiował sztuki kwiatowe, a Gene środki masowego przekazu, co mu otworzyło drogę do redakcji „Wolnej Prasy”, gdzie robi obecnie karierę, pisze wstępniaki. Spotykają się od czasu do czasu na cappuccino w Capri albo wybierają razem na mecz hokejowy - ktoś w redakcji daje często Gene'owi darmowe bilety. Dowiedziawszy się o rozpadzie małżeństwa Larry'ego, Gene i jego żona, Liz, zaprosili go na kolację i nad lasagną z owocami morza jęli zachęcać, by się z nimi podzielił swoimi przeżyciami, co Larry spróbował uczynić, nie tyle z własnej potrzeby, ile ze względu na nich. Zrobił głupstwo, ożenił się z kobietą, z którą go nic nie łączyło. Nie miał z Dorrie o czym rozmawiać, jak rozmawiają ze sobą normalnie pary małżeńskie. Okazało się, że mają odmienne aspiracje.

- To okropne - przytaknęła Liz, nakładając kopiaste porcje sałaty. - Odmienność aspiracji bywa zgubna.

Traf chciał, że Gene Chandler ma za partnera golfowego niejakiego Bruce'a Sztuwarka, który postanowił sobie zafundować labirynt ogrodowy na swojej nadrzecznej posesji na zachód od miasta, i Gene skontaktował z nim Larry'ego, kiedy się rozeszła fama o jego labiryncie. Sztuwark, zwany Wielkim Bruce'em, waży sto kilo z hakiem i odznacza się jowialną bezceremonialnością człowieka, który ma wypchany portfel. Bruce był w zeszłym roku z żoną, Erleen, w Anglii i widzieli wspaniały labirynt w stylu klasycznym, istne чудо, gdzieś na pograniczu Walii, Bruce nie pamięta nazwy miejscowości, ale chodzi to za nim do dzisiaj, za żoną też. „Hej - powiedział do niej po powrocie - musimy sobie zafundować coś takiego w domu. Wyobrażasz sobie prawdziwy żywy labirynt w Winnipegu?”.

Rozmawiając z Larrym, Bruce kołysze rytmicznie swoją bohaterską piersią.

- Nie będziemy się bawić w spisywanie umowy - oświadczył w czasie drugiego spotkania z Larrym, w toku dyskusji o kształcie labiryntu. - Mamy wspólnego przyjaciela. Możemy sobie zaufać na słowo, no nie?

Larry spędza teraz wieczory na szkicowaniu planów, a w miarę jak jego ołówek 2H sunie po papierze, czuje, jak wstępuje w niego nowe życie. Mieszkanie, które wynajmuje na Westminster Avenue, pamięta lepsze czasy, ale Larry lubi tę ulicę steranych domków z początku stulecia, małych sklepików, murowanych domów dwurodzinnych. Naprzeciwko mieści się piekarnia Pod Wysoką Trawą, gdzie kupuje świeży chleb i najlepsze w mieście bułeczki

cynamonowe i gdzie życzliwy personel wita go melodyjnie po imieniu. „Cześć, Larry, co ci dzisiaj dać?”. Jakby się znali od zawsze. Jak starzy przyjaciele.

*

Faktycznie to Bob Buxtead, nie Larry, zdobył nagrodę na konkursie Towarzystwa Kwiaciarzy Prowincji Manitoba. Larry namówił Boba do wzięcia udziału i wniósł opłatę rejestracyjną, po czym siedział w pierwszym rzędzie i przyglądał się, jak Bob wraz innymi uczestnikami pracuje w świetle jupiterów na estradzie Centrum Zjazdowego. Każdy z nich otrzymał trzynaście kwiatów, garść połyskliwych ciemnych gałązek oraz kostkę pianki kwaciarskiej. Godzinę i kwadrans później, po dramatycznym werblu, jednogłośnie werdyktem sędziów ogłoszono zwyciężcą Boba - jedzie on w przyszłym tygodniu do Toronto na finały krajowe.

Bob Buxtead przyszedł do sklepu jako młody chłopak na wakacyjne zastępstwo dwa lata temu, ale był tak dobry, że Larry postanowił go zatrzymać na stałe. Ma długą dębową twarz starszego mężczyzny, starannie wygoloną kanciastą szczękę i krągły, skupiony sposób koncentrowania się na tym, co robią jego dość toporne palce. Pracując nad jakimś układem, nuci dla dodania sobie animuszu; urywa nucenie, sięgając po następny kwiat, listek, kawałek wstążki, co mu tam potrzeba, po czym je wznawia. Nucenie twórcy. Bob bywa zaskakujący. Raz w rozmowie z Larrym oświadczył, że uważa kwiaty za gatunek poezji, i Larry nie wiedział, gdzie podziąć oczy ani co odpowiedzieć.

Bob Buxtead przyniósł do pracy niebieski imbryczek i pudło najrozmaitszych herbatek ziołowych i odtąd parzy Larry'emu po południu filiżankę herbaty cytrynowej albo malinowej zamiast zwykłej gorzkiej kawy, która stoi cały dzień w ekspresie. „Na niektórych ludzi kawa działa usypiająco, nie pobudzająco” - wyjaśnił taktownie. Sport go nie interesuje - nie kryje tego - i w ogóle nie ma najłżejszych ciągot do męskich przepychanek, rubasznego poklepywania po plecach i niewybrednych dowcipów. Przychodzi punktualnie rano, zabiera się pilnie do wykonywania zamówień, w południe zjada przyniesioną w papierze śniadaniowym kanapkę, a jedyną przerwę robi sobie o trzeciej na filiżankę herbaty ziołowej. Bywają dni, kiedy wymieniają z Larrym nie więcej niż parędziesiąt słów. A jednak obwieściwszy, że bierze ślub ze swoją dziewczyną, pielęgniarką ze Szpitala Centralnego, Bob Buxtead zaprosił Larry'ego na pierwszego drużbę.

- Nie wyobrażam sobie lepszego przyjaciela - powiedział po prostu.

Jeżeli przyjaźń jest kwestią właściwego tonu, to Larry'emu daleko do tego, żeby go znaleźć. Może jednak stali się rzeczywiście przyjaciółmi? Fakt, że atmosfera zmieniła się w kwaciarni od przyjścia Boba Buxteada. Nawet w najruchliwsze dni wszystko przebiega sprawniej, w sposób, którego Larry nie potrafiłby ująć w słowa, niemal sielankowo.

*

Do najserdeczniejszych przyjaciół Larry'ego, mimo że znają się dopiero od paru lat, należy Lucy Warkenten. Czterdziestjednoletnia, niezamężna, introligatorka z zawodu, balansuje ona między subtelnym poczuciem taktu a skłonnością do impulsywnego angażowania się, wkraczania na oślep i po omacku w sprawy swoich przyjaciół, których ma dziesiątki. Kiedy jednak wybierają się co wtorek we dwoje do kina (bilety na wczesny seans są w tym dniu za pół ceny), Lucy potrafi stworzyć taką atmosferę, że Larry ma wrażenie, jakby był jej jedynym przyjacielem i jakby przebywanie w towarzystwie osoby tak atrakcyjnej jak on stanowiło dla niej ucztę duchową. Nad pizzą, na którą idą po kinie, toczą potem dyskusje na takie tematy, jak aspiracje społeczne, cenzura, ogrody, labirynty egipskie, piernictwo i jego rola dla rozwoju kultury, krzywda, jaką często wyrządzają dzieciom rodzice, zawodność psychoanalizy, trud porania się z rozpaczą i depresją, tymi dwoma bliźniaczymi cieniami. Wszystko to są dla Larry'ego

tematy nowe, a przynajmniej nowe jest mówienie o nich, Lucy posiada jednak zdolność - stwierdza Larry - wkładania w jego usta pięknie brzmiących zdań, a następnie kiwa entuzjastycznie głową i przytakuje swoim ścielącym się, miodopłynnym głosem, że tak, właśnie tak.

- A więc spotykasz się z kobietą? - spytała Larry'ego kilka tygodni temu z chytrą miną matka.

- Nie tak, jak myślisz - wyprowadził ją z błędu Larry.

W towarzystwie Lucy odpływają od Larry'ego myśli o wieku, seksie, niepowodzeniu, a także o jego własnej ignorancji. Kurtyna, która ich rozdziela, jest przezroczysta, Larry postrzega przez nią ich przyjaźń jako rodzaj zauroczenia, w jakie popadł - potrafi je docenić, jest na to wystarczająco mądry.

Nie rozmawiają nigdy o jego małżeństwie i rozwodzie ani o samotnym życiu Lucy i prawdopodobieństwie, że pozostanie na zawsze samotna.

Rodzaj paktu między wygnańcami?

Może.

*

O rodzinie Larry nie myśli jak o przyjaciółach, ale w pewnym sensie są oni przyjaciółmi. Widuje ich raz, dwa razy w tygodniu, gdy wpadnie po pracy albo przyjdzie z Ryanem na niedzielny obiad. Rozwód przyjęli spokojnie, nie wtrącając się ani nie wieszając zbyt psów na Dorrie.

- Już pieniądze to ona umie szanować - orzekł ojciec Larry'ego. - Nie będzie cię przynajmniej cyckać do końca życia.

Matka Larry'ego, Dot, powiedziała raz dosyć cierpko, że ona woli już być Dot niż Dor, dając do zrozumienia, że synowa nie była nigdy jej ulubienicą.

- To jeden kłębek nerwów, ta dziewczyna.

Tak, Larry rozumiał, skąd jej się wzięło to wrażenie. Wiewiórczo zwężłe, drobne ciało Dorrie zdaje się ściśnięte jak kłębek drutu. Ma ona wrodzoną potrzebę dokładnego przestrzegania raz ustalonego planu i szczegółowego budżetu. Niestrudzenie ugania się za wyprzedzami i okazjami. Z zapamiętaniem. (Kto użył w stosunku do niej określenia: zapamiętana? Ktoś z przyjaciół Larry'ego, ale Larry nie może sobie przypomnieć kto). Kiedyś kochając się z nim, złapała dech i powiedziała: „Pośpiesz się, dobrze. Muszę jutro być wcześniej w pracy”.

Siostra Larry'ego, Midge, która jest weteranką bojów małżeńskich, nie owija rzeczy w bawełnę.

- To ostatnia suka. Fakt. A w dodatku ma kurzy mózdzek. Wrobiła cię w to małżeństwo. Czemu, u cholery, nie była na pigułce jak wszystkie kobiety pod słońcem? Bo jest głupia, oto dlaczego. Głupia jak but. Słowo daję, Larry-mary, dobrze, żeś się od niej odczepił. Baba z wozu i tak dalej.

*

Jego synek Ryan? Czy Ryan jest przyjacielem? Mówi się, że ojcowie powinni być z synami na stopie koleżeńskej. Ale Ryan jest małym chłopcem. Płacze jeszcze, gdy czegoś mu się zabrania albo gdy się boi, i ta jego skłonność do płaczu - jak również zdolność Larry'ego przynajmniej częściowego pocieszania go - wskazują, że nie są przyjaciółmi, bo nie stoją na równej stopie.

Larry kocha syna, ale to on wyniósł się z domu, zostawiając malca. I tak naprawdę to dlatego Ryan płacze. Jeszcze jeden powód, dlaczego nie są przyjaciółmi.

*

- Małżeństwo, które się rozlatuje po trzech latach, to jeszcze nie tragedia - orzekł przy drinku po konkursie kwiaciarskim Jim Carmody.

Jim, który pracuje jako konsultant kwiaciarski w Ślubach bez Granic, jest starym przyjacielem Larry'ego.

- Ściśle mówiąc, to było pięć lat.

- Trzy czy pięć, co za różnica.

*

- Jeśli chcesz znać prawdę, to nigdy nie mogłam zrozumieć, co ty w niej widzisz - powiedziała Sally Wol-sche Ullrich, która się specjalizuje w zasuszaniu roślin i kwiatów, a z którą Larry się przyjaźni od ładnych paru lat. - Oczywiście, nikt nigdy nie rozumie cudzych małżeństw, to taka wysoce osobista sprawa, całkowicie nieprzeniknio-na dla osób postronnych, jak się dobrze zastanowić. Ale mimo wszystko! Ty z Dorrie zawsze zdawaliście się jechać na innym wózku, jeśli mnie rozumiesz?

- Chyba rozumiem - odparł Larry.

*

Niedawno Larry wpadł w pasażu handlowym St. Vital na Bena Shawa, najstarszego brata Dorrie.

- Słuchaj, chłopie - powiedział Ben. - Cholernie mi przykro, że sprawy tak się potoczyły między tobą a Dor. Bóg jeden wie, że nie jest ona najłatwiejszą dziewczyną pod słońcem, ale któraż kobieta jest łatwa! Ha! Życie to w ogóle zgaga, a tu się jeszcze żenisz z babą zgagą. Ale słuchaj, to jeszcze nie powód, żebyśmy my dwaj przestali się przyjaźnić czy jakieś takie głupoty, jasne?

- Jasne, całkiem się z tobą zgadzam - odparł Larry, który nigdy nie widział w szwagrze przyjaciela. - W porządku, Ben, sztama.

*

- To parszywy okres - wyznał Michael Kelly, jeden z sąsiadów Larry'ego na Lipton Street. Michael, który pracuje jako stolarz w teatrze, rozstał się niedawno ze swoim partnerem, Scottem Allysonem, z którym mieszkał przez dwanaście lat. - W każdym związku istnieje jakiś konflikt, ale my ze Scottem trzymaliśmy się przez tyle lat, bo potrafiliśmy nasz konflikt zobiektywizować. Z drugiej strony człowiek nie może sobie nie uświadamiać, że to zgubne żyć z niewłaściwą osobą. Wkrada się jakaś trucizna, która może człowieka w końcu uśmiercić. Nie znałem tak dobrze twojej żony, ale przy tych paru okazjach, kiedy ją spotkałem, wydawała mi się nastrojona na zupełnie in-ną falę niż ty. Prawie jakby była z innej planety.

- Tak, to prawda - przyznał Larry.

*

- Kochałeś ją - powiedział Bill Herschel tuż po rozstaniu Larry'ego z Dorrie.

Jechali autem Billa, załadowanym po sufit rzeczami Larry'ego, do świeżo wynajętego mieszkania na Westminster Avenue. I Larry płakał. Utracił syna, żonę, swoje miejsce na ziemi.

Na wąskich uliczkach starego Winnipegu często budowano domy grupkami po trzy. Nazywane siostrzany-mi, były to piętrowe budowle o taniej, prostej, identycznej architekturze, urozmaiconej jedynie tu i ówdzie odmien-nym szczytem, poręczą werandy czy piernikowym wystrojem. Dom Herschelów był siostrzany w stosunku do domu lat chłopięcych Larry'ego i dwóch dorastających chłopców łączyła zawsze zadeklarowana przez los przyjaźń, która przetrwała do lat dojrzałych. Była to przyjaźń scementowana i przyklepana raz na zawsze, nie wymagająca słowa analizy ani trudu podtrzymywania. I jednego, i drugiego z nich wprowadziła w zakłopotanie konieczność określenia

łączących ich więzów, więzów, które z łatwością wytrzymały rozstania, zwierzenia czy tak jak w dniu, w którym Larry się wyprowadzał od Dorrie, ły.

Płacz zaczął się właściwie z niczego, ze swędzenia oczu w chwili, gdy auto odbiło od krawężnika, po czym przemienił się w niepohamowaną powódź łez, tak że po minucie Larry w nich tonął, wypełniały mu całe gardło i płuca. Robił z siebie durnia, szlochając i łapiąc powietrze jak bohaterowie filmowi, przywierający do siebie w wielkich emocjonalnych scenach, łkający głośno, z falującymi potężnymi barami. Oglądając takie sceny w kinie, człowiek powinien sam płakać, ale Larry kręcił się tylko z zakłopotaniem w fotelu. I oto teraz wypłakuje sobie oczy, podczas gdy auto skręca w Broadway, Bill ma jedną rękę na kierownicy, a drugą na rękawie Larry'ego.

- Naprawdę ją kochałeś - mówi. - To rzecz, którą powinieneś zapamiętać. To się na dłuższą metę liczy, fakt, że ją z początku naprawdę kochałeś.

Ostateczne zerwanie i sprzątanie po nim okrucichów stanowi w pamięci Larry'ego zamazaną kartę - zdaje on sobie sprawę, że zawdzięcza to przyjaciołom. Dzięki ich drobnym darom i życzliwym słowom jego smutek został uśmierzony zaskakująco szybko. Jego wdzięczność kuleje jednak lekko wskutek tego, że żywi on niejaką podejrzliwość wobec własnych czarnych myśli, które wydają mu się nieco mechaniczne i rozdmuchane jak coś z serialu telewizyjnego. Śledził nieufnie swoje reakcje, nękany obawą sztuczności, prawie tak jak podczas ich angielskiej podróży poślubnej niepokoiła go ulotność jego miłości do Dorrie, przerażało odkrywanie, że tak niedawno wyznawana i publicznie zaprzysiężona miłość może nieoczekiwanie wzbierać i opadać.

Oglądając się wstecz na pierwsze dni po rozstaniu z Dorrie, zastanawia się, czy jego żałoba nie nosiła czegoś na kształt teatralnej szminki, która go kompromituje. Jego zagubienie, wyjąwszy tęsknotę za Ryanem, zdawało się niezasłużenie strojne. Bill znalazł mu adwokata, który szybko puścił w ruch maszynę rozwodową. Inni przyjaciele pożyczali mu meble, zapraszali go na obiady i mecze piłkarskie, chwalili jego tak zwaną zdolność przystosowania i komplementowali, wesoło i bez drwiny, jego świeżo zapuszczoną brodę, pierwszy prawdziwy zarost jego życia. Prawie nikt się nie dopytywał o szczegóły zerwania z Dorrie, co Larry przyjmował z wdzięcznością, gdyż w wieku trzydziestu trzech lat wie już, że poznawanie prawdy męczy ludzi, a powtarzanie wciąż tej samej historii prowadzi do wyolbrzymiania źle wyreżyserowanych scen, jakie się składają na smutne małżeństwo.

Czasami budzi się w nocy z dziwnych snów i szepcze do siebie: „Miej się na baczności, miej się na baczności”. Miej się na baczności przed chaosem, milczeniem, słowami, przed ludźmi, przed samym sobą, tym obcym, który się nazywa Larry Weller. Czasami ma również wrażenie, że powinien się uczyć dorosłości. Ale jak się uczyć współżycia z kalendarzem, codziennie nową czerwoną datą, popychającą człowieka w głąb krótszego z każdym dniem tunelu przyszłości?

Zaskoczeniem dla Larry'ego jest fakt, że mimo próżni ziejącej w centrum jego życia trwa nie zmienione tyle jego dawnych nawyków i czynności. Jest oto nagle samotnym mężczyzną, rozwodnikiem, zamieszkałym nie w domku jednorodzinny, tylko w dwupokojowym mieszkaniu, a mimo to spędza nadal osiem godzin dziennie w tym samym zakładzie kwiaciarskim, przyjmując zamówienia telefoniczne na bukiety ślubne i dekoracje stołów, podliczając rachunki na zamknięcie każdego tygodnia. Przed rozmyślaniami o życiu, jakiego pragnie, chronią go kwiaty, ich złożone woskowe płatki. Nadal co niedzielę je obiad we wnęce śniadaniowej swojej matki, wiecznie tę samą pieczeń z kartofelkami i brukselką, podawaną na tym samym niebiesko-białym półmisku. Nawiedza go wstyd, nawiedza samotność, są jednak dni, kiedy miałby ochotę krzyknąć: „Kocham” - mając na myśli ten swój nowy tryb życia.

W soboty jeżdżą z Billem Herschelem do Birds Hill, żeby spędzić godzinę czy dwie na szlaku turystycznym. Robią to, odkąd byli chłopcami, tyle że wtedy opowiadali sobie pieprzne historyjki, za którymi kryły się nierozżarzone węgielki seksu, to, czego chcieli się dowiedzieć lub czemu potrzebowali dać głośny wyraz. Brali ze sobą do Birds Hill tani kompas harcerski i starali się zabłądzić po to, by później bohatercko odnajdować drogę. Był to rodzaj zabawy, którą sami wymyślili, z uświęconym obrządkiem i laurami. Znajdowało się jakiś strumyk i szło wzdłuż jego koryta - można było mieć pewność, że gdzieś człowieka wyprowadzi. Larry miał czasami wrażenie, że między dwiema epickimi ramami tych weekendowych wędrówek wycieka z niego esencja jego ciała, świadomość tego, kim jest.

Teraz zabierają na sobotnie wyprawy dzieci: synka Larry'ego, Ryana, i dwie dziewczynki Billa. Bill ma na szyi lornetkę, a Larry w tylnej kieszeni piękny mały notes na spirali, prezent od Lucy Warkenten, osoby, która święcie wierzy w potęgę książek i zawartego w nich przesłania.

- Może będziesz miał od czasu do czasu chęć zanotować jakieś swoje doznania - zauważyła wkrótce po jego separacji. - Ludzie przekonują się często w stresie, że łatwiej im rozładować nagromadzone uczucia, kiedy je przeleją na papier.

Była to jedna z wielu życzliwych rad, jakie Larry otrzymał od przyjaciół. Jak dotąd zapisał jednak w notesie tylko dwa słowa, widniejące zaraz na pierwszej stronie: „Dorrie, Dorrie”.

Często słyszy o rozwiedzionych parach, które pozostają w przyjaźni, i czasami się zastanawia, czy coś takiego byłoby możliwe w przypadku jego i Dorrie. Wątpi w to. Potrzebne by tu było jakieś nadzwyczajne odtajanie. Albo długi okres słotnej ciszy, prowadzący do przypadkowego wybuchu śmiechu, do zaimprovizowanego wspólnego posiłku, albo też jakiś nagły kryzys lub przypomnienie dawnego dowcipu, albo może wydobyte dawne fotografie z angielskiej podróży poślubnej.

Ciągnie to swoje życie, lecz jest zraniony do głębi, wie, że jest. Mówi sobie, że przyjaźń z Dorrie mogłaby stępić ostrze paniki, która go bezustannie dopada. Ale do tego nigdy nie dojdzie, czuje, że nie dojdzie.

*

W liceum coś się stało z Larrym, oładnęła nim choroba niepewności. Rozpłynęło się to jego inne, dawne ja dzielnego małego chłopca, stojącego na skraju placu zabaw, tulącego łokcie swojego wełnianego swetra. Lubił bardziej tamtego siebie, tego siebie z fotografii, pozującego na skraju zielonego, nie zapadłego świata.

Ale dorastający Larry Weller, ten mierny uczeń liceum MacDonalda w zachodnim Winnipegu, jedyny syn Dot i Stu Wellerów, brat Midge Weller, ten Larry jął się ześlizgiwać, a był zbyt kretyńsko słaby, by się bronić, zbyt pogrążony w luksusie marzeń, by się ocknąć. Egzystował wystawiony na codzienną porcję upokorzeń - nagłego siorbnienia zupy w stołówce, niepewności, jak trzymać nogi pod ławką podczas odrabiania lekcji w świetlicy - a co gorsza, zdawał sobie dokładnie sprawę, jak nagminne, jak wulgarne, jak kompromitujące są te jego szczeniące potknięcia.

Miał nie taki nos, nie takie bary. Raz puszczona w ruch, lawina wątpliwości toczyła się siłą bezwładu, a przed krańcową rozpaczą ratowała Larry'ego jedynie pewność, że piramidalny wstyd, hańba i upokorzenie pewnego dnia się skończą. Wiedział to, a nie mógł w to uwierzyć, tak jak wiemy, a trudno nam uwierzyć, że środek ziemi jest roztopioną materią. Może dlatego chodził z rękami świerzbącymi, żeby dać komuś w nos. Byłe komu.

Ale wygrzebał się Bill Herschel, więc czemu nie miałby się wygrzebać i Larry Weller? Bill miał dziewczynę, z którą chodził do kina, którą całował i której przód swetra wolno mu było pieścić. Znalazł sposób na ogrzanie swoich marzących członków. Tymczasem Larry w sobotnie wieczory, kiedy jego koledzy byli na koncertach roc-

kowych albo palili papierosy, pili piwo i migdalili się w czymś pokoju rekreacyjnym, siedział w domu, czytając stare numery „Popularnej Mechaniki” albo oglądając z rodzicami telewizję, mecz hokejowy czy sobotni film. Zasłony w saloniku były przytulnie zasunięte, mruczał piec centralnego ogrzewania. Samotność Larry'ego była zawstydzająca, wstyd jadł jego duszę, lecz ani ojciec, ani matka nie żywili najłżejszego podejrzenia co do jego niemocy nawiązania kontaktu ze światem. Ukryty w skorupie ich błogiej niewiedzy, Larry mógł się czuć bezpieczny, przynajmniej czasowo bezpieczny. Bezpieczeństwo bezpieczeństwem, lecz czego naprawdę pragnął, to być elektryzowanym, kaleczonym, porzucanym na puszczy, ratowanym, honorowanym, a nade wszystko otoczonym przez ogłuszający hałas, wybuchy wesołości i niewymuszoną obecność kolegów wołających jego imię, dopraszających się jego towarzystwa.

W owe dawno minione wieczory matka robiła o dziesiątej herbatę i stawiała na stole trzy kubki oraz talerz placka z owocami albo tostów z masłem. Tak, rodzice nie żywili najłżejszego podejrzenia, a - jak mawiał Bill Herschel - trzeba tysiąca podejrzeń, żeby zrodziła się poszlaka. I Larry czuł, że jak długo udaje mu się ich utrzymywać w stanie błogiej niewiedzy, ma szansę się wyrwać z tego wsysającego piekła, uciec od tej powolnej tortury. W końcu doszłusuje do świata dorosłych i będzie prawomocnie spędzał czas tak jak jego rodzice, zadowolony w ich przytulnych sobotnich wieczorach, w ich rozrywkach i programach telewizyjnych. To jego przyszłość, droga wyjścia. Nosił tę wiedzę zakodowaną chłodno w piersi.

Te sobotnie wieczory odplęły daleko w przeszłość i Larry stawia sobie za punkt honoru nie poddawać się na nowo młodzieńczym strachom. Uczestnicząc dzisiaj w spotkaniu koleżeńskim w szesnastą rocznicę matury, stojąc między Billem a Heather Herschelami i śpiewając hymn szkolny - *Naprzód, naprzód przez MacDonalda* - jest przejęty i wdzięczny, że stanowi część tego odświętnego zgromadzenia mężczyzn i kobiet, ubranych na tę radosną okazję w garnitury z krawatami, w krótkie wirujące jedwabne sukienki, przybyłych z dorosłym zasobem wzajemnego szacunku, prezentujących swoje nowo ukształtowane życzliwsze wcielenia. Larry rozgląda się po śpiewających twarzach, po kołyszących się krzepkich ramionach swoich współmaturzystów, pomniejszonych przez wysoką, cieniastą salę gimnastyczną, do której przez otwarte okna dociera aromat wiosny. Smutek jego młodych lat roztopił się w tej chwili całkowicie w gromkiej aurze jeśli nie miłości, to przynajmniej życzliwości.

Śpiew urywa się chropowato - wiele osób zapomniało już słów - po czym, wciąż stojąc, wysłuchują odczytywanej z podium listy zmarłych, kolegów i koleżanek, którzy odeszli. Cameron Ford, Bruce Wilkinson, Shirley McGuinty, Clara-Jane Barber, Anita Beckerston, Kenny Charles, Bugsy Lambert. Na dźwięk nazwiska Bugsy ktoś, któryś z mężczyzn, wydaje jęk, okrzyk bolesnego zaskoczenia, po czym toczy się dalej bezbarwne, jednostajne czytanie: Simon Lu, Charlotte Sawatski, Kay Armstrong. Umarli - myśli Larry - nie muszą pamiętać nazwisk, podawać rąk, całować albo nie całować, silić się na dowcipy czy swobodę, ale jak to możliwe, że tylu ich odeszło przez krótkie szesnaście lat - wypadki samochodowe? rak? - i czy kobieta na podium nie mogłaby ująć w ramkę serdeczności każdego nazwiska, które odczytuje?

Poprzez mgiełkę żalu czy też może raczej respektu dla tych, którzy tak bez skargi rozstali się z tym światem, stopniowo dociera do Larry'ego zrozumienie, kim jest osoba, która wyklepuje nazwiska zmarłych tak, jakby to były pozycje na liście zakupów. Jest to Megsy Hicks.

Tylko że teraz, według programu, nazywa się Megsy Hicks Clarkson. Wysoka, chuda, w mieniącym się kostiumie. Jej okrągłe okulary mrugają nieinteligentnie w odbłaskach światła, długie proste włosy mienia się nitczkami siwizny. Jak kiedyś tryumfowała nad niedogodnością chodzenia w okularach - stwierdza Larry - tak teraz

wznosi się ponad upokorzenie przedwczesnej siwizny. Jest w tym coś imponującego. Larry czuje wzbierające w trzewiach ciepło zapamiętanej miłości i z ukradkowym rzutem oka w stronę swego przeznaczenia zastanawia się, czy zdoła tego wieczoru z nią porozmawiać.

Ale miejsca przy stolikach są wyznaczone i Larry znajduje się w odległym kącie sali. Obok niego siedzi Nancy Oleson, w latach szkolnych uderzająco ładna dziewczyna, która teraz, po trzydziestce, jest żylasta i bepciowa w granatowych elastycznych spodniach i niezbyt świeżej bawełnianej koszuli. Przebiera impulsywnie palcami w sztywnych od lakieru włosach. Jest po rozwodzie, informuje Larry'ego. Facet okazał się bucem.

Bill i Heather siedzą przy tym samym stoliku. Larry mógłby iść o zakład, że albo dłoń Heather spoczywa pod stołem na kolanie Billa, albo ręka Billa wślizgnęła się między uda Heather. Odżyła w nich pamięć dawnego namaszczenia - szkolna para, młodzieńcza miłość. Ich twarze zmiękły odpowiednio do okazji, promienieją przeistoczone przez wspomnienie.

Nastrój się udziela. Skip Hurst, niegdyś tuman klasowy jak Larry, opowiada długą, zabawną historyjkę o perypetiach z kichną nawaloną w Tajlandii, gdzie obecnie mieszka. Ożeniony jest z Tajlandką, lekarką, pokazuje z dumą jej zdjęcie z nowo narodzonym dzieckiem na ręku.

- Nie wiem, po co przyjechałem taki szmat drogi na to spotkanie - mówi nagle wesóło. Jego twarz kwitnie bogactwem żyłek. - Nienawidziłem tej szkoły, nie przeżyłem tu ani jednej przyjemnej chwili.

- Ja też. - Zaskakująco pada to z ust Heather, która jednak zaraz dodaje: - Znaczy się do czasu, aż nadziałam się w stołówce na Billa. Upuścił mi na nogę karton mleka. Ostry rozek trafił mnie w wielki palec. O jejku.

- Czego się nie robi, żeby zwrócić na siebie uwagę - mówi Bill.

- A ja się w tobie durzyłam - wyznaje Skipowi Nancy Oleson. Przy czwartym kieliszku wina jest może nie wstawiona, ale wyraźnie rozanielona. - Prawdę mówiąc, oglądałam się za wszystkim, co chodziło na dwóch nogach i nosiło spodnie.

- Za mną też? - pyta Bill.

Nancy wydaje miły, lubieżny śmieszek.

- Na oku miałam raczej Larry'ego Wellera. Tak, tak, Larry, ciebie. Byłeś taki słodki i nieśmiały. Pewnego razu pożyczyłeś mi na geografii kolorowe ołówki. Na lekcji pana Baileya.

- Pamiętam - mówi Larry. Naprawdę pamięta.

- To czemu, u licha, nie zaprosiłeś mnie gdzieś?

Wszyscy wybuchają śmiechem. Może znają odpowiedź, a może nie, nie ma to znaczenia.

Na kolację podają im sałatę, potem kopiasty talerz kurczęcia z ryżem i zielonym groszkiem, a na deser lody doprawione czymś słodkoaptecznym. Przy kawie stół jest już spowity woalem zażyłości i rozmowa toczy się swobodnie, zahaczając o podróże, dzieci, małżeństwa, rozwody, pracę, rozczarowania. Gdzieś czai się jeszcze pamięć dawnej niepewności, przegnana przynajmniej na ten wieczór, a może - któż to wie? - na zawsze. Wszyscy jakby rozumieją, że sens ich życia nie jest faktem, który się odkrywa, że leży w wyborze, jaki uczynią, jaki już faktycznie uczynili. Minęło szesnaście lat, z ich pustymi plamami i ewenementami. Historia została ułożona jak płyty chodnika, dodawane, odejmowane, lekkomyślnie odrzucane. Płynie śmiech i Larry, tylko lekko wstawiony, czuje się bosko. Gdyby mogli tak siedzieć wiecznie przy tym szybującym stole unoszonym miłością. Przyjaciele, przyjaciele! Czy nie tego pragnął przez całe życie - znajdować się w kipiącym otoczeniu przyjaciół?

Nagle czuje cień kogoś zatrzymującego się za nim, odwraca głowę o ułamek cala. To Megsy Hicks. Jej dłonie uchwyciły oparcie jego składanego krzesła, tak że Larry znajduje się jakby w jej objęciach, podwójnie pobłogosławiony tego wieczoru szczęśliwości. Teraz Megsy pochyla się nad nim ku kręgowi ciepła spowijającego stół, jej przyprószone siwizną włosy przesuwają się koło samej jego twarzy, tak blisko, że Larry czuje ich korzenny aromat.

- Jak wam nie wstyd? - mówi, a raczej parska Megsy swoim pozbawionym intonacji głosem aktywistki szkolnej. - Nie możemy na to pozwolić. Nie łaska poruszać się trochę? Pogadać z innymi? No, wstawać, wszyscy na nogi. Najwyższy czas ruszyć tyłki.

Napaść jest tak nieoczekiwana i brutalna, że na chwilę wszystkim odejmuje mowę. Larry kryje wzrok w mrugającej powierzchni swojej kawy. Skóra ścina mu się na głowie.

- Chyba - odzywa się ostrożnie Heather - nie masz zamiaru porzucić nas po kątach, Megsy?

- Chętnie bym to zrobiła - ostro odcina się obrażona Megsy, potrząsając włosami.

- Odpierdol się, Megsy Hicks - mówi Nancy Oleson. Słowa wydobywają się lekko, słodko z komicznych szerokich warg Nancy, wystarczają jednak, żeby rozwiać zły sen. Larry czuje ruch powietrza za plecami, słyszy szelest jedwabiu odpływającego z jego pola widzenia. Skip Hurst wydaje jeden cichy gwizd. Bill i Heather zwracają ku sobie głowy, wymieniają spojrzenia, a dzielna, pijana Nancy Oleson zatyka sobie usta dłonią. Zwraca spłoszone, głupawe spojrzenie na Larry'ego Wellera, dawnego pariasa klasowego, szukając jego aprobaty.

Trwa to minutę, dwie minuty, ale to, co wszystkich ogarnia, to zaraźliwy śmiech, toczący się wokół stołu jak bomba, wzbierający, dwukrotniejący, trzykrotniejący. Rozsadzi salę, kiedy buchnie na dobre.

Larry słyszy w mózgu śpiew, jakby właśnie rozwiązał długie, skomplikowane zadanie matematyczne. Czuje, że gdzieś niedaleko, tuż poza zasięgiem słuchu, jego życie cicho próbuje głosu, żeby wreszcie przemówić.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Członek Larry'ego **1986**

Larry lubi widok kobiety z kroplami deszczu we włosach.

I lubi widok kobiety kroczącej energicznie i jedzącej jabłko, nagryzającej skórkę niecierpliwymi zębami. Jego pierwsza żona, Dorrie, była łapczywą pochłaniaczką jabłek, ujmowała je silnie w dłoń i ogryzała ekonomicznie aż do pestek.

Jego obecna żona - są małżeństwem zaledwie miesiąc - rozkrawa jabłka na części, po czym je składa w całość i umieszcza w torebce śniadaniowej. Drugą torebkę napełnia surowymi jarzynami - marchewką, selerem, kalaflorem - które wymyła starannie nad zlewem i pokrajała zgrabnie po przekątnej. W trzecią torebkę pakuje niskotłuszczowy ser. Dokonawszy codziennego rytuału preparowania i pakowania tych trzech okazów martwej natury w plastikowe torebki, żona Larry'ego wydaje niemal słyszalne miauknięcie satysfakcji, gdy wkłada do teczki ową substancję przekształconą w abstrakcję, w abstrakcję stanowiącą drzwi do uładzonego, niewidzialnego świata. Jej uwagę zaprzatają szczególnie rzeczy, których nie może dojrzeć okiem, baczy jednak również na namacalne detale swego toczącego się aktualnie życia. Obraca się i posyła Larry'emu leniwy, niezobowiązujący uśmiešek. Jako jedyne dziecko starszych rodziców nauczyła się wcześniej dbać o swoje zewnętrzne ja, dogadzać sobie, stąd te jej nieskazitelnie opakowane lunche, stąd jej dobrze odprasowany lniany kostium i piękne, kosztowne pantofle.

Nowa żona Larry'ego nazywa się Beth Prior i jest dwudziestodwuletnią kobietą, która pisze pracę doktorską o świętych niewiastach.

Tym, czego w istocie poszukuje, jest dobroć, szczególnie dobroć kobieca, ta zdumiewająca sprzeczność wewnętrzna. Czemu w stuleciach, kiedy kobietom wszystkiego odmawiano, kiedy je popolitowano, uciskano, prześladowano, czemu kreowały się wciąż na naczynia cnoty? Jak, biorąc pod uwagę ich ignorancję i nijaki status społeczny, mogły się choćby elementarnie wkupić w kontinuum dobra i zła, rozważyć jego wagę i tak czysto, tak uparcie dążyć do doskonałości moralnej?

Czy tym, co je popychało ku zmyślnym strategiom - pyta Beth - tak, by uzbrojone w świętobliwą prawość miały podstawę do uciekania się pod opiekę mężczyzn, było ich drobniejsze, słabsze ciało? Czy też - spekuluje (spekulacja jest naturalnym stanem jej umysłu, co Larry widzi coraz jaśniej) - noszenie maski intensywnej dobroci miało sygnalizować tymże mężczyznom idącą z nią w parze zawołowaną intensywność pasji miłosnej, czyniącą z tych zacnych niewiast bardziej pożądane partnerki do łóżka, a tym samym podnoszącą ich wartość na giełdzie małżeńskiej?

A może - Beth nie wyklucza i tej możliwości - kobiety po prostu łakną być dobre dla samej dobroci; może zostały w drodze planowania ewolucyjnego predysponowane do aktów miłosierdzia, by gatunek zdominowany przez mężczyzn nie implodował? Według Beth bowiem nic nie czyni kobiet tak odpornymi na pokusy cielesne, jak brak penisa oraz towarzyszących mu cieczy i zbiorników cieczy. Posiadacze penisów są gwałtowniejsi, zdolni do większego natężenia woli - to nie podlega dyskusji. (Tu Larry robi wielkie oczy, ale Beth śpieszy dalej). W tym zakresie mężczyźni są w równej mierze co kobiety niewolnikami swej biologii, więc trudno mieć do nich pretensję.

- Nie sądzisz - pyta swego nowego męża - że nie kontrolowany przyływ testosteronu może sparaliżować ten rodzaj rozważań, rozumiesz, który jest niezbędny do osiągnięcia doskonałej dobroci?

- Będę się musiał nad tym zastanowić - odpowiada Larry.

Prowadzą tę dyskusję, leżąc na swoim szerokim białym łóżu w domu wynajmowanym w River Forest, stan Illinois. Niedzielne słońce prześwieca przez cienkie zasłony, odbija się od białej pościeli i ich nagich ciał.

Wetrzuj, ranku, na nasze dusze przebudzone,

Co siebie nie patrzą, sobą wylęknione.

Wczesnie rano Beth obudziła Larry'ego, szepcząc mu w ucho te wersy.

- Tak przemawia John Donne¹⁰, ten jurny stary cap.

- Jeden z tych twoich posiadaczy penisów? - spytał Larry, który nigdy nie słyszał o Johnie Donnie.

- I to jaki! - mówi Beth, ujmując w obie dłonie członek Larry'ego i przyglądając mu się z ciekawością, jakby w poszukiwaniu jego pulsu. - Był poetą sacrum, który zarazem miał chysia na punkcie aktu płciowego.

¹⁰ John Donne (1572?-1631) - najwybitniejszy z grupy angielskich tzw. poetów metafizycznych. Nim został wyświęcony w 1615, prowadził życie świeckie i pisał śmiało erotyki.

Otwarcie oczu na poezję jest rzeczą nową dla trzydziestosześcioletniego Larry'ego Wellera, który się niepokoi, że doksztalcanie go w dziedzinie literatury zmęczy Beth. Dorrie, jego była żona pozostawiona w Winnipegu, zarabia na życie sprzedażą aut. Spalanie benzyny, automatyczny gaz, poduszki bezpieczeństwa - to była poezja Dorrie. Jego nowa żona - aktualna, jak o niej myśli - jest naukowcem, wykładowczynią na Wydziale Studiów Kobiety College'u Różańca Świętego, badaczką żywotów świętych, a zarazem, jak poeta, którego właśnie zacytowała, gorliwą terminatorką sztuki uciech zmysłowych.

- Obudził się - mówi teraz do sztywniejącego członka Larry'ego. Jej głos wznosi się dziecięcym zdziwieniem. - O, tak, rośnie, rośnie, rośnie. No, witaj nam!

*

Wiszący flaczek, fioletowawy, żyłkowany, zakapturzony. Trzon i żołądź. Okrągły pyszczyk, oczko. Serdelek owinięty w przezroczystą błonę. Wiszący, zawsze wiszący, pierwsza rzecz rano, ostatnia wieczorem. Ryjek, ogon, ptak, koń. Wyrostek dyndający między nogami, przytwierdzony do ciała siatką nerwów, naczyń krwionośnych i poduszkowatą moszną. Wycior, palant, kół. Wał, żyła, ni to różowa, ni fioletowa, nabrzmiwiająca krwią, z dziurką na czubku, larwobiałym z niej wyciekami. Przewód, kanalik, włóknisty, unerwiony. Fiut, flet, fujara. Klejnoty rodzinne. Wrażliwe, czułe. Kutas. Pała, laga, pyta. Banan w kieszeni. Kto to powiedział, ktoś sławny, czy nie Mae West? Jałówka w oborze, a wrota rozwarte. (Bój się Boga, Bobciu!). Kogut, indor. Fallus. Chuj. Interes. Pałasz, taran, maczuga. Nasz Wacek, nasz Maciek, nasz Jasiek. Nasz pan Tomasz. Twój kuś, kusio, kusieniek, twój jedynki zbój w koszulce polo. To wilgotny, to suchy, to świerzbujący, to pęczniejący, pełen pożądania. Wstaje, znów wstaje, w poszukiwaniu, w poszukiwaniu czego?

Larry Weller ma członek przeciętnych rozmiarów. Przynajmniej tak uważa. Rozpowszechnione jest przekonanie, że korzystając z pisuarów, mężczyźni sprawdzają rozmiary członków mężczyzn stojących obok, jednakże Larry stwierdza, że takie ukradkowe porównanie jest wyjątkowo trudno wykonalne. Mężczyźni raczej unikają zerkania na członki innych mężczyzn, chyba że chcą przesłać wyraźne zaproszenie. Larry ma członek obrzezany - dokonano się to zaraz po jego urodzeniu. Doktor zrobił jego jeszcze obolałej i opuchniętej matce krótki wykład o mę-

skiej higienie i aktualnych poglądach na tę sprawę. Wykład trwał może półtorej minuty, a Larry będzie musiał ponieść skutki podjętej decyzji do końca życia. Został pozbawiony małej części siebie - wyrzucona obróciła się w proch.

*

Larry opuścił rok temu Winnipeg dla Illinois. Załadował swoje nowe audi 100 - jego była żona, Dorrie, załatwiła mu rabat w jednej z konkurencyjnych firm - i przejechał non stop długi, zakrzywiony, krzewiasty stan Minnesota z jego biało obrzeżonymi szosami, okrążającymi tysiące miasteczek z wieżami ciśnień i elewatorami zbożowymi w czapach świeżego śniegu. Rzucił pracę kierownika sklepu sieci Kwiatów dla Miasta. Nikt nie chciał wierzyć, że naprawdę wymówił, ani rodzina, ani przyjaciele. Pracował w tej samej kwiaciarni przez siedemnaście lat, odkąd jako szczeniak ukończył kurs sztuki kwiatowej w College'u Rzeki Czerwonej. Siedemnaście lat pracy, lata siedemdziesiąte, osiemdziesiąte, czasy, gdy jego równolatki przemierzali kontynent na motocyklach, prowadzili życie włóczęgów, poznawali świat.

Była trzecia nad ranem, kiedy dobił do granicy stanowej między Minnesotą a Wisconsinem. Most w La-Crosse leżał skąpany w fiołkowej poświacie, przejeżdżając po nim, Larry czuł się panem stworzenia, niesionym przez skrzypienie opon na oblodzonej nawierzchni. On, Larry Weller, który uzyskał kontrakt na urządzenie labiryntu ogrodowego na przedmieściu Chicago, zabawki ludzi bogatych. Miał pracować pod kierunkiem Erica Eisnera, sławnego architekta zieleni. Nie dziw, że jechał w poczuciu swojej nie rozgłoszonej chwały, jedyne auto na moście, jego auto, pod samotnym księżycem popstrzonym strzępkami chmury. W radiu grali złoty standard Artie Shawa *Tańczenie beguine*, ulubioną melodię jego ojca. Głupia piosenka, ale seksowna. I dziwnie, płacząco chwytliwa. Może była to sprawa muzyki, może księżyc, a może myśli, że oto spawa swoją przeszłość z przyszłością, dość że Larry poczuł w całym ciele przypływ żądz, od punkcików w tyle głowy po skórę w koniuszkach palców. Członek podskoczył mu w spodniach. Jego siurek, jego korzeń, jego diabeł z pudełka. Czemu?

Czemu miałby rzucać więcej niż dobrą posadę - pytał ojciec, zapominając, że na początku, kiedy Larry dryfował ku kwiaciarstwu, on był tym, który protestował. To zajęcie dla dziewczyn - argumentował - układanie kwiatków, wiązanie bukietów.

Odkąd przeszedł na emeryturę i ma za towarzystwo jedynie swój sztuczny odbyt (to jego codzienna skarga), ojciec oplakuje utratę własnej pracy, zaklinając się, że najlepsze, najciekawsze lata życia spędził w winnipeskiej fabryce autobusów, gdzie był zatrudniony - i nagradzany, proszę nie zapominać - jako mistrz tapicerski. Obecnie snuje się po domu, ogląda telewizję i od czasu do czasu przedstawia swoją kolekcję korkociągów i otwieraczy do butelek - to ostatnie jednak z coraz mniejszym entuzjazmem w miarę upływu czasu. Brak pracy to nuda, człowiek czuje się taki cholernie samotny, nie pracując.

Matka Larry'ego przesiadywała dawniej bezustannie w domu, istna pustelnica, aż rodzina się o nią martwiła, a teraz jest od kilku lat członkinią Winnipeskiej Grupy Agape¹¹ jadłodajni dla ubogich mieszczącej się przy pobliskim kościele anglikańskim. Spędza tam przedpołudnia, od wpół do dziewiątej do dwunastej, mieszając kotły rosółu czy węgierskiego gulaszu. Do zmiany pracy Larry'ego nie ma jednoznacznego stosunku.

¹¹ Agape (z gr.) - miłość niebiańska, w odróżnieniu od ziemskiej; miłość braterska, w odróżnieniu od erotycznej.

- Pewnie to okazja - odrzekła, kiedy Larry jej oznajmił, że dostał propozycję zaprojektowania labiryntu ogrodowego dla chicagowskiego potentata handlu nieruchomościami, milionera z rezydencją w River Forest. - Ale to bardzo, bardzo daleko stąd. W dodatku w innym kraju.

- Bierz to - powiedziała jego siostra, Midge. - Spierdalaj stąd, gdzie pieprz rośnie. Żałuję, że sama tego nie zrobiłam, kiedy miałam szansę, ale może jeszcze to zrobię. I słuchaj, jeśli chciałbyś mnie szarpnąć na pożyczkę, to szepnij tylko słówko, ja mam z czego żyć, jeśli ktoś to nazywa życiem. Nosem mi wyłazi ten cały sklep z podarkami, nabawię się w nim klaustrofobii. Te wszystkie gówniane prezenciki, jakie wmawiamy durnym klientom, Jezuniu! Ale mam te pieniądze po biednym Paulu, pleśnią w banku, możesz śmiało uszczknąć sumkę. Za życia było z niego cholerne skapiradło, dusił pieniąż tak, że wszystkie bobry na pięciocentówkach się zesrywały. Ale wiesz co, tobie by chętnie pomógł, miał do ciebie słabość, tak, tak. Nie przestałeś mu podawać ręki, jak to uczyniła pod koniec kupa ludzi, robili w majtki ze strachu. Uściskałeś go nawet raz, w tym ostatnim tygodniu w hospicjum. Stałam na korytarzu, widziałam przez drzwi, ale nie chciałam wtedy nic mówić, żeby cię nie wprawić w zakłopotanie. To tylko pieniądze, na miłość boską. Potraktuj to jako stypendium czy coś w tym rodzaju.

Była żona Larry'ego, Dorrie, przyjęła wiadomość względnie spokojnie. Sama stała w obliczu zasadniczej zmiany w swoim życiu, przejścia od sprzedaży aut do detalu odzieżowego. Ma propozycję od poważnej sieci handlowej, zastanawia się. W handlu można z łatwością przenieść się do innej branży, to jego urok. A co do Ryana, skończył osiem lat, można go już wsadzić do samolotu, żeby spędził z ojcem ferie gwiazdkowe w Chicago. No i zawsze pozostaje telefon. Przed siódmą rano jest zniżkowa taryfa, mogą do siebie dzwonić choćby co dzień, jak zechcą.

Kwiaty dla Miasta, które miały właśnie przejść pod zarząd japońskiego konsorcjum Kwietne Rewiry, przyjęły rezygnację Larry'ego chłodno. Dyrekcja przyznała mu skromną odprawę i ofiarowała plakietkę do klapy ze srebra pierwszej próby, z wygrawerowaną emaliowaną różą.

- Będiesz coś takiego nosił? - spytał Larry'ego ojciec.

Wielki Bruce Sztuwarek wydał na cześć Larry'ego bankiet w Klubie Ziemi w Zachodnim Kildonan, na który zostali zaproszeni wszyscy przyjaciele Larry'ego: Bob i Fiona Buxteadowie, Gene i Liz Chandlerowie, rodzice Larry'ego, jego siostra Midge, Bill i Heather Herschelowie z dwiema córeczkami, Lucy Warkenten, Jim i Jenny Carmody, Sally Ullrich (dawniej Sally Wolsche) i biedny zapity Cubby Ullrich, i tak dalej, i tak dalej, aż do byłej żony Larry'ego, Dorrie, i małego Ryana wystrojonego w sportową marynarkę i pierwszy z prawdziwego zdarzenia krawat w życiu. Trzydzieści pięć osób zasiadło do pieczeni wołowej z dodatkami. Bruce jako mistrz ceremonii wygłosił swoim czkającym głosem mowę, którą wszyscy określali później jako pochwalną.

- Chcę wreszcie powiedzieć - zakończył Wielki Bruce - że siedzący tu z nami osobnik jest geniuszem. Oglądaliście wszyscy labirynt, który wyczarował na naszej posesji, a który nas oboje z Erleen przyprawia codziennie o paroksyzmy szczęścia. Widzieliście fotografie w gazecie i kolorową rozkładówkę w „Maclean's Magazine”. Otóż, przyjaciele, siedzi obok was człowiek, który to wszystko stworzył. Wypijmy, panie i panowie, zdrowie naszego kumpla, artysty z krwi i kości. Oddaję w wasze ręce Larry'ego Wellera, mistrza labiryntów i równego faceta na dodatek.

- No, no - powiedziała na zakończenie wieczoru Sally. - To się nazywa być bohaterem dnia! Założę się, że słuchając tego, miałeś erekcję gigant. Pławiłeś się w orgiastycznym raj.

*

Sally Wolsche była pierwszą dziewczyną Larry'ego. Pierwszą podrywką, pierwszą dupą, chociaż nigdy nie myśli o niej w takich kategoriach. Był jej zawsze zbyt czule wdzięczny, zbyt oszołomiony tym uśmiechem losu. Aktem miłosierdzia zdawało się już to, że na niego spojrziała, cudem, że mu zaoferowała kurs pierwszej pomocy seksualnej. Sally była elementarną siłą, bryzą, która przypadkiem powiała na jego drodze i - programowo, litości-

wie, z lekkim chichotem rozpinając jego rozporek - wyzwoliła go z jego hańby. Ma oto osiemnaście lat, a nigdy nie całował, nigdy nie macał, nigdy nie posuwał, jest paraliżująco przeciętny, obezwładniająco nie sprawdzony. Mało kiedy rozmawiał nawet z dziewczyną. Jak do tego doszło, sam nie wie. Ma względnie przyjemną skórę, co powinno było zostać roztrąbione w trakcie pokwitania, działało jednak przeciwko niemu ciało, wrzecionowaty kadłub, patykowate ręce i nogi z ich wypukłościami, ich długachną żalną niezdarnością.

Na kurs sztuki kwiatowej, na który się zapisał po ukończeniu liceum, został ze względu na mierne stopnie przyjęty warunkowo. „Zobaczmy, czy poradzisz sobie z programem” - powiedziała mu pierwszego dnia opiekunka grupy. Jak przystało na instruktorkę sztuki kwiatowej, włosy miała srebrzyste i lśniące, z surowym uśmiechem taksowała Larry'ego wzrokiem.

Na kurs przyjęto dwadzieścia cztery kobiety i dwóch mężczyzn, Larry nie myślał o nich jednak jako o kobietach i mężczyznach. Sam czuł się jeszcze chłopcem, a tym bardziej na chłopca wyglądał jękający się Marty Ross w zsuniętej na tył głowy czapeczce baseballowej. Natomiast dziewczęta - dwadzieścia cztery na chybił trafił ukształtowane istoty, rozmaicie pachnące, z tapirowanymi włosami, z ciałami płynącymi w granatowych drelichach, z obracanymi na słodkich, cienistych kolanach kołonośnikami - owe dziewczęta wnosiły do klasy rozedrganą swobodę, kipiącą odurzającą kobiecością. Czy tym, co rozluźniało ich hamulce, było poczucie dominującej liczby? Nieważne, dość że Larry nigdy nie był wystawiony na takie ustawiczne fale dziewczęcego śmiechu. Śmieszyło je wszystko: instruktorzy, ilustracje w podręcznikach, ich własna nieporadność, gdy się biedziły nad pierwszymi kompozycjami kwiatowymi. Dźwięk wznoszących się dziewczęcych chichotów marszczył powietrze, napełniał atmosferę stężoną emanacją kobiecej siły, która oszałamiała dwóch męskich uczestników kursu. Sprowadzeni raptem do skądinąd nie hańbiącej roli maskotek klasowych, niejasno komiczni, byli przedmiotem bezustannego poszturchiwania, drwinek - i nieuniknionej adoracji.

Pośród wszystkich tych dziewcząt Sally wyróżniała się jako najładniejsza. Miała dziewiętnaście lat, była od Larry'ego ledwie o rok starsza, ale wyprzedzała go o mile doświadczeniem seksualnym. Wszczęła z nim rozmowę na wieczorku zapoznawczym, reklamowanym jako „okazja do znalezienia się wśród rówieśników”. W programie była kawa, pączki oraz entuzjastyczne powitanie przez panią Starr, która zachęcała ich, by wytrwali w „dążeniu do wytyczonego celu jako młodzi adepci na wspólnej niwie”.

- Co cię właściwie skłoniło do zapisania się na kurs kwiatowy? - spytała Sally, klapnąwszy koło niego w wielofunkcyjnej sali, gdzie się odbywał wieczorek.

Larry, który nie potraktował pytania jako zdawkowego, milczał, próbując sobie serio uzmysłwić, dlaczego się faktycznie zapisał na kurs, i zastanawiając się, czy powiedzieć Sally, że był to pomysł jego matki, a podejmując decyzję, nie miał na dobrą sprawę wyboru, tak jak we wszystkim w życiu.

- Dlatego że lubisz kwiaty czy dla czegoś innego?

Co miał odpowiedzieć? Oddech pulsował mu przyspieszonym rytmem w skroniach. Nigdy nie przyszło mu na myśl ustosunkowywać się do kwiatów, lubić je czy ich nie lubić. Nie zastanawiał się poważniej nad ich kształtami, pożytkiem z nich. Przed paroma miesiącami niechlubnie, na trójkach, ukończył liceum i teraz stała przed nim kwestia, jak zarabiać na życie. Wszystko to dokonało się szybciej, niż oczekiwał. Ojciec nalegał, żeby poszedł na praktykę na oddziale blacharskim fabryki autobusów. Ale matka nabiła sobie głowę kursami sztuki kwiatowej.

- Co do mnie - powiedziała Sally, założywszy długą nogę na kolano i kręcąc stopą leniwe kółka w powietrzu - sędzę, że kwiaty to przyszłość. Bo rozumiesz, mamy wszystkie podstawowe dobra, myślę o ludziach w ogóle.

Mamy domy, meble, auta, jedzenie. Więc teraz potrzeba nam czegoś więcej. Czegoś, co nie jest niezbędne. Czegoś, wiesz, co by cieszyło wzrok. Dużo o tym myślałam. I druga rzecz: uważam, że ludzie potrzebują w życiu czegoś zniszczalnego, tak żeby kiedy to umrze, kupić nowe. Wiedzieć, że jest tego zawsze pod dostatkiem do nabycia, to przyjemne uczucie. Rozumiesz mnie?

Miała na sobie szerokie brązowe spodnie z frędzelkami i kamizelkę obszytą takimi samymi srebrnymi frędzelkami. Larry nie mógł oderwać wzroku od góry kamizelki, jej wiązania na białej prążkowanej koszulce.

- To sztuczny zamsz - powiedziała raptem Sally, jakby to było coś, co powinien wiedzieć. - Łatwo się pierze.

- Po chwili dorzuciła: - Mam auto mamy. Podrzucić cię po zakończeniu do domu?

- Przejedźmy się po parku Assiniboine - zaproponowała, usiadłszy za kierownicą. - Zobaczymy, czy są jakieś imprezy.

Później, po zaparkowaniu auta przy wejściu do Angielskiego Ogrodu Różanego, w świetle księżycy i w łagodnym, pachnącym dymem powietrza jesiennym, przenikającym do środka przez uchyloną szybę, powiedziała tonem rozmówki towarzyskiej:

- Czy ty sobie zdajesz sprawę, jaki z ciebie szczęściarz? Dwóch facetów i kierdel dziewczyn.

Kierdel? Nie wiedział, co to takiego.

- Rozumiesz, możesz wybierać i przebierać. Wskażesz łaskawie małym paluszkiem i każda będzie twoja. I wiesz, co jeszcze? Marty'ego Rossa możesz też mieć.

- Marty'ego?

- Nie widzisz, jakie robi do ciebie słodkie oczy? Wabi cię.

- Naprawdę?

- Nie wiedziałeś, że jest zboczony jak scentrowane koło?

- No-o - zawahał się - nie byłem na sto procent pewny.

- Ja tam zawsze wiem - oświadczyła Sally. - Popatrzę na tyłek faceta i od razu wiem, w którą stronę mierzy.

W mroku auta Larry czuł, jak płonie mu twarz, a członek żarzy się w spodniach od garnituru niby latarka. Sally Wolsche przyglądała się jego tyłkowi. Oceniała go! Zastanowił się, jak może wyglądać jego tyłek. Poświęcał wiele czasu swojemu członkowi, rozmyślaniami o jego wyglądzie, jego zmiennych rozmiarach, jego zachowaniu pod uciskiem palców, kiedy oddawał się od czasów szkolnych marzeniom o Megsy Hicks, jego nagłym zdradzieckim wytryskom w czasie snu, swobodzie, z jaką jego najlepszy przyjaciel, Bill Herschel, wyrażał się wesoło o swoim członku jako o przyjaznej żmijce w spodniach, o trzeciej nodze, o gęsiej szyjce. Zdumiewało go, kiedy się przeglądał w lustrze, że członek i moszna wyglądają tak obwisłe i smętnie, a są zarazem najłżejszą, najgorętszą jego częścią. Czemu tak jest?

Ale nigdy za godny uwagi nie uważał swego tyłka. Dwa ciasno złożone pośladki, zapakowane w czyste białe gatki i granatowe sztruksy, ukryte przed światem, ale okazuje się, nie przed Sally

Wolsche, która im się przyjrzała, oceniła je i teraz wysuwa się ze swoich fig i plasuje dłoń Larry'ego w fałdach ciemnego zakątka między swoimi udami, zapewniwszy go uprzednio, że jest na pigułce od szesnastego roku życia.

Oczywiście wystrzelił przedwcześnie tego pierwszego razu - ty głupi bucu, pluł sobie w brodę - ale Sally objęła go tylko mocniej swoimi gładkimi, samarytańskimi dziewczęcymi ramionami i powiedziała pouczającym tonem, że to nic, zdarza się często, następnym razem pokaże mu, jak się dłużej powstrzymać.

Następnym razem? Jej słowa zapiekły go pod powiekami. Kiedy? Sally się zastanowiła.

- Mam bardzo naładowany najbliższy tydzień - powiedziała. - Jestem poumawiana. A może zaraz teraz? Znaczący, jeśli ci znowu stanie.

Spojrzała w biel jego podbrzusza, po czym, ku jego zdumieniu, dała nura i zakreśliła czubkiem języka dokoła jego miękkiego i jeszcze wilgotnego członka, przywracając go błyskawicznie do życia. Jego ciałem momentalnie owładnęło szczęście mroczące umysł i popychające go ku punktowi topnienia, tak że nie mógł sobie później nijak przypomnieć, co właściwie czuł. Wiedział, że jej zachowanie jest jawnie utylitarne, stanowi szybki sposób zaradzenia problemowi, należący do innej parafii niż akt miłosny. Kochał ją mimo to, swoją słodką Sally, swoją najmiłszą. (Przez całe życie wprawiała go potem w podniecenie seksualne szara jesienna aura).

Był wdzięczny, taki nieskończenie wdzięczny. Podniecone serce trzepotało mu w ciele nagle wywróconym na nice, wyswobodzonym, zatraconym w spazmie ekstatycznego wyzwolenia. Działając z ciekawości, z nudy czy z nakazu jakiejś nielicencjonowanej szkoły miłosierdzia, Sally Wolsche ujęła w swoje ręce jego stłamszone, nierozpostarte ja, wyważając drzwi do jego cielesności i do tajemnicy jego miejsca na tej planecie. Dotykał jedwabistej skóry wewnątrz kobiecych ud i za niewielką zachętą wsuwał język do kobiecych ust. Jego członek (jego pistolet, jego czarodziejska różdżka, jego ster) wychynął na świat, do czego był stworzony, i znalazł swoje pierwsze powolne naczynie, swój pierwszy wehikuł, pierwsze cudowne, niezziemskie zaspokojenie. Jednej nocy przeszedł od pierwszego pocałunku do pierwszego dotknięcia piersi i został od razu puszczonej „na całość”, jak się wówczas mówiło, a może mówi się i dzisiaj. Był gotów uściskać samego siebie z radości. W jego życiu wszystko musi teraz zostać poddane rewizji, uzyskać solidny polerowany blask ważkości i dobrej wiary. Będzie teraz mógł robić to, co robią jego bliźni, do czego są powołani. Jest jak inni ludzie, będzie mógł żyć na tym świecie tak jak wszyscy.

Tydzień potem Sally przysłała do szkoły z brylantem na palcu. Zaręczyła się z młodym człowiekiem nazwiskiem Cubby Ullrich, studentem kursu naprawy pieców centralnego ogrzewania, planując na wiosnę ślub.

- To coś jak chodzenie z jedną osobą przez resztę życia - powiedziała Larry'emu z bezradnym, przepraszającym wzruszeniem ramion i czymś w rodzaju mrugnięcia-niemrugnięcia.

*

- Nie jest to rzecz szczególnej piękności - powiedziała Beth o członku swego męża, Larry'ego. - Piękne są piersi. I usta. Nawet pochwa jest ładna, zwięzła, schludnie opakowana, nie ostentacyjna. Ale męski członek! Nie mówię o twoim, Larry, członki w ogóle. Ich zabarwienie, ich faktura, trudno zapomnieć na chwilę, że są całe żyłami i nieapetycznym mięskiem. I zawsze są w tym miejscu. Wiszą, dyndają między nogami. Albo sterczą jak trzonek od patelni. Nie chciałbyś czasami mieć urlopu od swojego? Dzień albo dwa?

- To nie jest tak - odparł Larry. - Jak go się zawsze miało, nie myśli się o nim w ten sposób.

- Co dziwne, to to - tu Beth uczyniła pauzę - że musicie używać tego samego narządu do siusiania i do wystrzelania nasienia. Przypomina mi to nóż armii szwajcarskiej, jeśli wiesz, co mam na myśli. Spełnia całkowicie rozbieżne funkcje. W członku musi gdzieś być mały mózdzek, a przynajmniej jakiś płat kory mózgowej, który mówi: uwaga, teraz czas na sprężenie do skoku. Albo odwrotnie: nie ma powodu się podniecać, to tylko pauza na odlanie się.

- Kalkuluje to sobie.

- To piękne.

- Twierdziłaś zdaje się, że brzydkie.

- Piękna jest koncepcja.

- Ty jesteś piękna, Beth.

Był o tym święcie przekonany. Powtórzył to jeszcze raz z namaszczeniem - „Jesteś piękna” - nad poduszką z obszywanymi brzegami, pod osłoniętą lampą rzucającą snop ciepła na jej obnażone ramię. Lubił jej tajniki i głębie, jej usta rozszerzające się nagłym uśmiechem, szybki błysk jej owalnej twarzy obracającej się ku niemu, jej głowę z jaśniejszą smugą wzdłuż linii włosów, biegnącą do punktu na tyle głowy. Miał ochotę zatopić zęby w tym miejscu. Siadała mu czasami na piersi, a on gładził wyciągniętymi kciukami miejsce, gdzie włosy odcinały się czystą linią od bieli karku.

Kiedy jej go przedstawiono na przyjęciu u Barnesów w pierwszym tygodniu jego pobytu w Chicago, zachwyciły go kształtne obłóści jej nadgarstków. Później pokochał spadziste osadzenie jej łopatek, cienistą szyję, ramiona na chłodnym rdzeniu kośćca, zgięte kolana, ciemny klin włosów między nogami, jej wdzięczną, smukłą sylwetkę rozpostartą na łóżku.

- Piękna, piękna.

Powtarzał jej wciąż, że jest piękna.

- Wiesz, co o piękności miała do powiedzenia święta Brygida? - rzuciła Larry'emu raptem pewnego wieczoru, pochwycając na sobie jego wzrok, gdy ściągała przez głowę sweter.

- Święta Brygida?

- Szósty wiek, Irlandka. Właściwie wiejska dziewczyna, typ dojarki, ale bardzo dorodna i bardzo nabożna. Modliła się, żeby stać się szpetną i nie musieć wiecznie odganiać zalotników.

- Dlaczego?

- Chciała zostać zaślubiona Bogu. Właściwie Jezusowi. I jej modlitwa została wysłuchana. Jedno jej oko się wybałuszyło, a drugie wklęśło i wtedy jej ojciec powiedział: „Dobrze, możesz zostać mniszką”.

- Jednooka mniszka?

- Była również święta Łucja. Trzeci wiek, koniec trzeciego wieku, ale musiałabym to jeszcze sprawdzić. Tak miała dosyć wysłuchiwanie, jaka jest piękna, że wyłupała sobie oczy i cisnęła je w twarz ukochanemu.

- To mu pokazała!

- Tym, czego te kobiety łaknęły, była czystość duchowa. Oczywiście, były pewnie trochę pomyłone, niektóre cierpiały na anoreksję i chciały się doprowadzić do śmierci. Najszybsza droga do nieba jawiła im się jako pośpieszny rozbrat ciała z duszą.

- Seks nie wchodził dla nich w grę.

- A ona była piękna?

- Kto?

- Dorrie. Twoja pierwsza żona.

Larry zamrugał. Pytanie było podstępne, rzucone bez żadnego ostrzeżenia.

- No, była?

- Trudno powiedzieć.

- Dlaczego trudno, Larry? - Głos Beth wzniósł się ostro, oczy wbiły twardo w kościsty pancerz jego piersi. - Chyba to jest rzecz, którą powinienes być zauważyć w ciągu pięciu lat małżeństwa: czy twoja żona jest piękna.

- Mogła się podobać.

- Była tęga czy chuda?

- Szczupła.
- Szczupła sprzedawczyni samochodów? Czekaj, już mam jej obraz. Kupa brzęczących błyskotek? Powiedziała to z okrucieństwem, które nie leżało w jej naturze.
- Kupa.
- Zwały niebieskiego cienia na powiekach?
- Nie pamiętam.
- O Boże, czemu ja jestem o nią zazdrosna? Możesz mi to wytłumaczyć?
- Nie powinnaś być zazdrosna. Nie masz powodu.
- Jestem wredna. Żalсна.
- Wcale nie.
- Ale mam swój powód.
- Masz?
- Bo mi kiedyś powiedziałeś, na początku, kiedyśmy się dopiero co poznali, że była seksowna.
- Powiedziałem coś takiego?
- Powiedziałeś, że seks był w waszym małżeństwie jedyną rzeczą, która was łączyła.
- No, nie pod koniec. W ostatnich paru miesiącach nic nas już nie łączyło.
- Och, Larry, kochany, nie powinnam była tego poruszać. Zrobiłeś taką smutną, taką tragiczną minę. Jakbyś miał się za chwilę rozplakać.

*

Larry poznał Dorrie Shaw na zabawie w Halloween 1976 roku. Przyszedł w kostiumie klauna, ona Marsjan-ki. Marsjański kostium z kolczastymi zielonymi antenami i szpiczastymi pantofelkami nadawał jej roziskrzony wy-gład, pełen tłumionego śmiechu. Piersi miała małe, krągłe i - przypuszczał Larry - twarde jak piłki tenisowe. W tań-cu jej biodra fruwały szeroko, stopy zdawały się krzesać iskry, ale tułów pozostawał prosty, łokcie przywarte do ciała. Robiło to nieoczekiwanie eleganckie wrażenie. Eleganckie i seksowne.

W tydzień później Larry zadzwonił do niej do pracy - napomknęła, że pracuje w Manitoba Motors - i zaprosił ją do kina.

- Ja jestem tym klaunem - przypomniał jej.

- Tak - odparła. - I pracujesz w kwiaciarni.

Parę dni później leżał w jej łóżku, słodko, setnie, zadowolająco spierdolony. Dorrie miała własne mieszkan-ko na Lorraine Avenue, miniaturowy salonik, oddzielną ladą kuchenkę i zaskakująco dużą sypialnię z podwójnym łóżkiem. Larry przypuszczał, że musiała poświęcić wiele uwagi lampce nad łóżkiem, która dawała miękkie różowa-we światło.

Miał dwadzieścia pięć lat i spał z pięcioma różnymi kobietami od czasu swojej inicjacji z Sally. Liczba może nie imponująca, ale i nie wstydlive zero. W tym okresie życia zaczął podejrzewać, że w świecie jest więcej aktyw-ności seksualnej, niż przypuszczał, nie wiedział jednak, co myśleć o przeszłości seksualnej Dorrie. Była dyskretna, ostrożna, czysta i doświadczona. Zaskakiwały go sprzeczności jej charakteru. Była osobką roztrzepaną, a zarazem posiadała dar intensywnej koncentracji. Kochając się, zaciskała ciasno oczy i obejmowała go całym ciałem, po czym zasypiała szczęśliwym kamiennym snem kobiety dobrze wyjebanej, jakby to sama ujęła.

Jebanie było jej zwykłym określeniem aktu miłosnego, a potrafiła wymawiać to soczyste, zapalne słowo z chłodną bezosobowością, z jaką mówiła o codziennych czynnościach, takich jak zakupy czy prowadzenie auta. Ilu

innych mężczyzn było w jej życiu? Larry był często, przed małżeństwem i w czasie jego trwania, o krok od tego pytania, ale zawsze, gdy temat miał już, już wypłynąć, powstrzymywał go jakiś jej ostry ruch, ostrzegawcze potrząśnięcie głowy. Umiała zachować swoje tajemnice, a Larry szanował poniekąd to, że pozostawia sprawę jego domysłności.

Kochali się w aucie jego ojca, na podłodze na zapleczu kwaciarni, w której pracował, na trawie w parku Birds Hill, w łazience na piętrze domu Billa i Heather Herschelów, gdy zostali zaproszeni na osiedliny, w jedenastu lodowatych pokojach hotelowych podczas podróży poślubnej po Anglii, w samolocie w drodze powrotnej do Kanady, wyginając się pod pleciem użyczonym przez Air Canada, starając się uczynić swoje oddechy niesłyszalnymi. Łączyli się gwałtownie, w milczeniu, jakby należeli do epoki nie znającej miłosnych słów. Kiedy spajały się ich ciała, zamykał się dopływ czułości, zakłęb, skarg, jakby został zakręcony jakiś kurek. Dopiero pod koniec ich małżeństwa Dorrie prychnęła mu czasami do ucha, żeby się pośpieszył, że zbyt długo się bawi. Był to jeden z objawów, które mu uświadomiły, że wszystko między nimi skończone.

*

Larry nie uważa się za wstydliwego ani pruderyjnego, skądże znowu, nigdy jednak nie przywykł naprawdę do tego, że Dorrie mówi: „jebać”, zamiast „kochać się”.

Szturczać, posuwać, popychać, ładować, piłować, walić, grzmocić, rąbać. Strzykać z byka. Huśtać się, ciupciać, dziubdziać, dmuchać. Trykać, rypać, pruć, rznąć. Wprowadzić, wejść w miękisz, trafić w sedno, zatracić się w ogniu, w miłości, w zapamiętaniu.

Kiedy Larry dobiegał dwudziestki, zaczął wczesnym wieczorem, po kolacji, uprawiać jogging.

- Ja tam - powiedział jego ojciec z sennym mrugnięciem - wolę uprawiać jogging między jedenastą a dwunastą wieczór.

O ile Larry pamięta, był to jedyny przypadek, gdy ojciec uczynił jakąkolwiek aluzję do aktu płciowego. Natomiast najbliższy sąsiad, pan Herschel, gustował w erotycznych dwuznacznikach. Ekstrawertyk z błyskiem w oku, dusza ulicy, organizator imprez sąsiedzkich, z bujnym włosom, w krawacie z zapinką, lubił kawały tłuste, rubaszne i zawsze miał w zanadrzu świeże powiedzonko.

- Kiedy upał w letniej porze, to wiotczeje nawet korzeń. Gdy dojrzeją później dynie, znów z twardości korzeń słynie.

Czy więc członek jest śmieszny? Czy też jest rzeczą tak śmiertelnie poważną, że trzeba go kamuflować ryzstokowym humorem? Czy jest ewenementem? Należy do historii? Czy jest święty, czy grzeszny? Jako chłopiec Larry nie wiedział. W wieku trzydziestu sześciu lat nadal nie wie. Misterium płci nanizuje te pytania na swoją kanwę jak cekiny czy paciorki.

Jak smakuje członek? Larry nigdy się nie dowie.

Wie tylko tyle, że członek będzie zawsze z nim, spełniając lepiej czy gorzej rolę, do której został stworzony. On, Larry, będzie go zawsze miał do mycia, gładzenia, posypywania talkiem, będzie się nim opiekował, posługiwał i będzie świadkiem, jak się starzeje wraz z resztą ciała. Jego towarzysz na całe życie, wyrostek mięsny tak przypominający żywy stwór, ślepy, błędzący po omacku, taki przyjazny i chętny w swoich szczeniackich wyskokach, który jednak już się szykuje - Larry nie miał co do tego złudzeń - żeby go w końcu zdradzić.

*

- Powiedz mi tylko jedno - poprosiła swego nowego męża Beth Prior. - Czy ją kochałeś? A może nie powinienam w ogóle zadawać takiego pytania?

- Masz do tego pełne prawo.

- Więc?

- Tak.

- Co tak?

Paznokcie miała płaskie i zgrabne, jak małe witrażyki.

- Kochałem ją. Ale to było kiedyś. A teraz jest teraz.

- I nic z tego nie pozostało? Możesz przysiąc?

- To było tak dawno.

- Tylko tyle możesz powiedzieć?

- Chyba tak.

- Zgasić światło?

- Tak.

- Gotów jesteś?

- Gotów.

*

Trzy lata temu, kiedy ojciec Larry'ego zaczął się skarżyć na bóle w jamie brzusznej, jego żona, Dot, posłała go do lekarza. Porobiono badania, które jednak nie przyniosły jednoznacznych wyników. Po konsultacjach zdecydowano, że potrzebne jest prześwietlenie warstwowe.

Machina była cudem techniki, a zarazem rozczarowaniem. Przypominała wielką szemrzącą puszkę do piwa, takie przynajmniej wrażenie odniósł ojciec Larry'ego. Spodziewał się wkroczyć w coś rodem z powieści fantastycznonaukowej, tymczasem nic podobnego. Wszystko to było, cóż, najzupełniej normalne. Tyle że w dyskretnym półmroku jego ciało zostało pokrajane na warstwy i sfotografowane. Plasterki trzustki, plasterki wątroby, przekrój dolnej części okrężnicy, gdzie ostatecznie wykryto raka. Zapieczętowane ciało ludzkie stawało się oto poznawalną krainą, z falistymi wzgórkami i dolinkami wystawionymi na widok.

Tak o swoim życiu myśli Larry. Urodził się w roku 1950 i jeśli szczęście wyjątkowo mu dopisze, może dożyć stu lat, połowy przyszłego stulecia, i tak, zakończyć żywot w roku 2050. Taki ciąg lat rysuje mu się jako szczęśliwy, niemal mistyczny w swojej okrągłości i równowadze.

Kiedy jednak rozpatruje przypisany sobie czas i własną osobę, taką jaką los mu przydzielił, jego widzenie traci ostrość. Spoistość lat rozpryskuje się, gdy tylko skupi na nich wzrok. Lata tracą swoje znaczenie, zamieniają się w jaskrawo barwione, zawile szczegółowe prześwietlenia warstwowe: jego praca, jego przyjaciele, jego rodzina, jego syn, jego miłość do dwóch żon, organy jego ciała, wreszcie te kilka okruchów wiedzy, które zdołał dotąd zgromadzić.

Jego mózg pracuje bezustannie i Larry się zastanawia, czy inni ludzie żyją w takim samym stanie wiecznie galopujących myśli. Jest tak, jakby w jego głowie rezydował mały człowieczek, tańcząca figurka z zapalek, która gestykuje i śmiga za ścianką jego czoła, podskakujący z ekscytacji profesorek o luźnych kończynach, który bez przerwy rozważa, podaje w wątpliwość i zapada w sen tylko wówczas, gdy zaśnie sam Larry.

Przez ostatnie lata Larry zgłębia inżynierię labiryntów. Jak je projektować i realizować, jakie wybierać krzewy, jak podtrzymywać i kontrolować ich wzrost. Obecnie, pod kierunkiem profesora Erica Eisnera, zastanawia się nad wymową całego przedsięwzięcia. Profesor Eisner - sześćdziesięciopięcioletni, korpulentny, łysy, szparki zamiast oczu - w zasadzie odrzuca teorię, że średniowieczne labirynty ogrodowe wyobrażały mikrokosmos wędrówki człowieczej ku świętości, stanowiły konstrukcję, w której wędrowiec miał kierować kroki ku sekretnemu sercu labiryntu, znaleźć tam azyl i zbawienie.

- To diablo chwytna teoria - mówi Larry'emu profesor Eisner ze swoim akcentem południowego Chicago - ale trochę za łatwa.

Nie. Według profesora Eisnera ukryta idea labiryntu jest seksualna; to zdanie człowieka, który mieszka samotnie w wieżowcu i zdaje się nie mieć najlżejszych porywów seksualnych. Labirynt - dowodzi profesor Eisner - wije się poprzez tajemnicę pożądania i zawodu. Zawraca, rozkoszuje się własnymi podstępami i zwodami. Podnieca go własna powściągnięta konstrukcja. W środku, ukryte, lecz w końcu ekstatycznie osiągnane, znajduje się seksualne spełnienie, niebo.

- Lub coś tak bliskiego niebu - konkluduje profesor Eisner kolokwialnie, jowialnie - jak jest w stanie sięgnąć śmiertelny człowiek.

Oto gdzie znajduje się obecnie Larry. Z tym niebem w zasięgu wzroku. Nie liczy się przeszłość, nie liczy przyszłość, prawdziwa muzyka płynie stąd, z teraz. Rozsadza mu bębni. Jest pastylką roztopiającą się na języku, wzwodem członka, kształtem kobiecych oczu, wyciągniętymi konarami drzew, smakiem, niuchem, aromatem tej minuty - która nigdy nie powróci.

*

Beth Prior, obecna żona Larry'ego, lubi mówić, że należy do trzeciej fali feministek, co znaczy, że usiłuje zgłębić tajemnice mężczyzn tak samo jak kobiet.

Chętnie cytuje, co Toni Morrison¹² powiedziała o „inności”, której Amerykanie tak się boją, której zazdroszczą, nad którą się rozczulają. Tyle że dla niej, Beth, tą „innością” nie była nigdy rasa. „Innymi” byli zawsze mężczyźni. Kim naprawdę są? Czego chcą?

¹² Toni Morrison (ur. 1931) - czarna pisarka amerykańska. Laureatka literackiej Nagrody Nobla za rok 1993.

- Chciałabym to dobrze zrozumieć - mówi do Larry'ego. (Jest niedzielne popołudnie, leżą goli, jeśli nie liczyć warstewki kremu ochronnego na ciele, w żarze obudowanej werandy swojego nowego domu na Harlem Avenue. Beth osłania nos frotowym ręcznikiem, jej palce wystukują rytm na ciepłej piersi Larry'ego). - Kiedy dorastający chłopcy obnoszą się z erekcjami, oddają się erotycznym rojeniom, onanizują się gdzie popadnie i cierpią, cierpią, czego oni właściwie chcą? Wetknąć w coś członek?

- Myślisz, w jakąś szparę? Albo w puszkę pasztetu?

- Mówię poważnie. Muszę wiedzieć te rzeczy.

- Nie sądzę. Nie jest to sprawa wetknięcia go po prostu w coś.

- A wbicia w coś?

- Tak jak rąbnienia kogoś w nos?

- Coś w tym rodzaju.

- Ja chodziłem z rękami świerzbącymi, żeby kogoś rąbnąć w nos.

- Ty, Larry? Nie wierzę.
- Trudno to wytłumaczyć.
- Kogo chciałeś rąbnąć?
- Nikogo konkretnego. Tu chodziło... o cały świat.
- To, o czym mówisz, to zwykły męski gniew, agresywność.
- Może. Pamiętaj, że wychowywałem się przy ojcu, który był wiecznie wściekły.
- Wściekły ojciec. Nie widzę go w takim świetle. Na co był wściekły?
- Na rząd. Na zbyt wysokie spalanie benzyny. Czy ja wiem, na co jeszcze. Na prasę, na pogodę. Wściekał się na wszystko. Może zaraziłem się od niego.
- Złapałeś jego wirusa.
- A może... może była to po prostu szczenięca chęć zwrócenia na siebie uwagi.
- I nadal cię świerzbi, żeby kogoś rąbnąć w nos?
- Czasami. Nie tak często, ale czasami. Jak myśmy doszli do tego tematu?
- Pytałam cię, czemu chłopcy chcą wtykać w coś członki. - Uniosła się na łokciach, spoglądając mu z ukosa w oczy, poważna, łapczywa, uśmiechnięta. - Powiedz mi.

Fascynacja drugim ciałem, ciałem kobiecym, to się za tym kryło - chciał jej powiedzieć - w głównej mierze to. Pragnienie poznania drugiego ciała, świadomość, że własne nigdy nie wystarczy. Ale powiedzenie tego Beth wiązało się z ryzykiem, że się poczuje jedynie cząstką wielkiej fali kobiecości, która go omywa, która czyni znośną jego egzystencję.

I jest jeszcze coś innego, czego nigdy nie może powiedzieć Beth: że niespodziewane szczęście, jakie znalazł w drugim małżeństwie, małżeństwie z nią, obudziło w nim nowy przyływ miłości do pierwszej żony, Dorrie. W czasie krótkotrwałego małżeństwa z Dorrie łączące ich uczucie nie było nigdy niczym więcej niż ułomnym, urywanym, głodnym impulsem. Brakło im obojgu wyobraźni, żeby wnieść coś więcej we wspólne życie. W chwili separacji Larry był bliski znieawidzenia Dorrie, teraz jednak, od kiedy poznał Beth, obserwuje, jak ów dawny niedoskonały związek ulega szybkiej i stałej naprawie. W jego podświadomości terażniejsza żona, Beth, i niegdysiejsza, Dorrie, zlewają się w parę nimf wodnych, sióstr okrytych jedną dwudzielną skórą, wyciągających czule ręce. Zatarły się stare gniewy i urazy życia z Dorrie, pozostawiając w polu widzenia promienny krąg - ich niepewne młode ciała, ich rozczulająco nieporadne milczenie, ich osiągnane bez słowa stany ekstazy i następujący po nich długi sen, pozazdroszczenia godny, szczęśliwy, graniczący z dziecinną nieświadomością.

Chwilami Larry ma wrażenie, że Beth oswobodziła go ze starych urazów pierwszego małżeństwa i przyjęła je za swoje.

Jakże niesprawiedliwe jest jednak przerzucanie własnego bólu na cudze barki! Przypomina historię, którą Beth mu opowiedziała nie tak dawno - o świętej Brygidzie wyposażonej w nadnaturalny dar przerzucania swoich chronicznych bólów głowy na pomniejszego świętego, który je z radością przyjmował i który za swoją fatygę znany jest dziś jako patron cierpiących na ból głowy.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - przypomniała sennie Beth, odwracając się od niego. Sięgnęła za siebie i wsunęła mu dłoń między nogi. - O chłopięce członki. Czego one chcą?

Istnieją tajemnice - wiedział Larry - ukrywające się bezpiecznie w zakamarkach wszechświata. Nikt na przykład nie wie, dlaczego jadący rower utrzymuje się w pionie. Nikt nie wie, dlaczego człowiek ma potrzebę poka-

zywania świata różnych swoich wcieleń i dlaczego jedno z tych wcieleń cechuje się zwierzęcą potrzebą dotykania innych.

- Muszę się nad tym zastanowić - powiedział do błyszczących gładkich pleców żony.

Zamknął oczy przed blaskiem słońca i przed uparcie dociekliwym głosem Beth, pragnąc ją chronić przed utykającym biegiem własnych myśli, świadom, że nie sprosta jej oczekiwaniom, że będzie ją zawsze w ten czy inny sposób zawodził.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Larry przedsiębiorca **1988**

LE LABYRINTHE, Inc. Laurence J. Weller - architekt zieleni

Specjalność: Labirynty ogrodowe

982 Lake Street, apartament 33

Oak Park, Illinois 91045

Telefon: (312) 999-2888 Fax: (312) 999-8884

W wieku trzydziestu ośmiu lat Larry Weller jawi się jako przedstawiciel zanikającego i ekscentrycznego zawodu - jest architektem zieleni, który projektuje i urządza labirynty ogrodowe. Chłubi się francuską nazwą swojej firmy, chętnie jednak pozuje na zwykłego ogrodnika, podkreśla wyrobniczą prostotę swego rzemiosła, pracę rąk, co nie znaczy, by równocześnie nie musiał przy każdej okazji wyjaśniać od początku, czym właściwie są owe labirynty ogrodowe i jakie usługi on sam oferuje, takie małe wtajemniczenie. Specjalność Larry'ego błyszczy na krawędzi jego świata, stanowi w tym świecie często jedyny barwny akcent. Na globie jest niespełna tuzin specjalistów od projektowania labiryntów, rzadki gatunek.

Każdemu, kto ciekaw, Larry gotów przyznać, że zainteresowanie labiryntami ogrodowymi jest na rynku północnoamerykańskim małe, mikroskopijne, prawdę mówiąc, gdyż ludzie muszą być zarazem bogaci i ekstrawagancy, żeby gustować w takich luksusowych zabawkach ogrodowych. Traf jednak chciał, że puszczając się na formalne ogrodnictwo, Larry utrafił w sprzyjający trend pokoleniowy, upowszechniające się poczucie, że u końca tego długiego, okrutnego, sceptycznego stulecia jest miejsce na przyjemne spędzanie czasu, na radość dla duszy. Amatorzy labiryntów charakteryzują się zwykle lekko nieortodoksyjną wyobraźnią, wyczuciem historii (fantazyjnym czy realnym) i zamiłowaniem do przewrotnych zagadek albo też nieposkromioną skłonnością do snobistycznego popisywania się. Ludzie tacy są rzadcy, ale się zdarzają. Można ich wytropić, jak odkrył Laurence J. Weller, rozpuszczając wici lub umieszczając celnie małe ogłoszenia w ramce na końcowych stronach „Przeglądu Architektonicznego” czy „Złotych Okazji Rynku Nieruchomości”.

Larry, który wyrósł w robotniczej rodzinie w Winnipegu, w Kanadzie, czuje się nadal skrępowany w towarzystwie ludzi bogatych, chociaż z ich fanaberii teraz żyje. Był to jeden z newralgicznych problemów, jakie wraz z żoną, Beth, musiał rozważyć, kiedy w zeszłym roku wywiesił oficjalnie tabliczkę swojej firmy. Stał się od tej pory osobą zaprawioną w sztuce zwodów i uników. („Tak, proszę pana. Oczywiście, proszę pana”). Wystudiowany bezwstyd stanowi szatę, w którą się obleka, opanowawszy arkana namaszczonego słuchania, z głową przechyloną lekko

w bok, z brwią uniesioną w nabożnej uwadze, z gotowością przełknięcia każdego nowego zdumiewającego niby-argumentu. („Bezwarunkowo, proszę pana”). Musi bez końca, cierpliwie, z ołówkiem i notesem w ręku, wyjaśniać takie rzeczy, jak matematyka labiryntów, estetyka i tradycja labiryntów, ewentualny projekt labiryntu, a w końcu, przekazując wiadomość możliwie jak najdelikatniej, wysoki koszt konserwacji labiryntu. Czy to będzie już zawsze jego życie - zastanawia się - wyluszczenie ludziom bogatym sposobów, w jakie mogą się rozstać ze swoją gotówką?

Larry zauważył, że ciężar pieniądza czyni ciała majątnych bardziej nabitymi i kanciastymi, a tym samym groźnymi, nawet gdy są nieskazitelnie, luksusowo, kosztownie ubrani i izolowani od świata w swoich olbrzymich, wyściełanych, dźwiękoszczelnych, doskonale wentylowanych gabinetach. Stwierdził również, że bogaci są podszyci ignorancją. Nie mają pojęcia o rzeczywistym zapachu brudu i zaniedbania. Nigdy nie słyszeli o czasach, gdy ludzie kupowali zimowe pomidory w małych tekturowych pudełkach, cztery ułożone rzędkiem pod celofanową osłoną, dwadzieścia dziewięć centów pudełko, i gdy oszczędne gospodynie, takie jak matka Larry'ego, wkrawały po pół pomidora do obiadowej sałatki dla całej rodziny, tak żeby pudełko starczyło na osiem dni, tydzień z okładem. Bogatym - z wyjątkiem tych, którzy się sami w pocie czoła dorobili - wydaje się, że się wgryzają w miąższ życia, bo potrafią docenić sztukę prekolumbijską i ręcznie robione kołdry z kolorowych łątek. Oddychają martwym powietrzem dziedzicznych przywilejów. Nie mają pojęcia, bawią się w przyjęcia.

Larry nie potrafi jeszcze operować wielowymiarowym językiem pieniądza, przyprawiającym o zawrót głowy słownictwem usługi i zapłaty, wzdryga się przed okrągłymi frazami, które się wylewają z ust majątnych i zasypują w gęstą siatkę roszczeń - czego chcą, czego oczekują.

- To musi zostać całkowicie zmienione - oznajmił najnowszy klient Larry'ego, Phillip Jasper z Fundacji Jaspersa (tytoń, odzież sportowa, plastiki, badania nad rakiem). - Zieleń żywoplotów jest zbyt zielono zielona. Chcę zieleni niebieskawej. Wyglądającej bardziej po europejsku. Religijnej zieleni, jeśli pan wie, o czym mówię. Oceanicznej. Rozległej. A zarazem dyskretnej.

- Całkowicie zmienione? Nie myśli pan chyba całkowicie...?

- Koszt? Niech pana nie boli o to głowa. Chodzi o spuściznę. O to, co po sobie pozostawię. Trwały pomnik. Ale ma to być równocześnie coś, co będzie cieszyło oczy moich drogich przyjaciół tu i teraz.

- Jeśli pan jest absolutnie pewien...

- Tak. Więc załatwione, panie Weller? To wspaniale. Muszę pana teraz przeprosić, bo dokładnie za trzy minuty mam posiedzenie...

- Mógłbym panu pokazać próbki ligustru amurskiego, który ma ciemnozielone listki i rośnie dobrze w ciężkiej glebie...

- Pozostawiam to panu, w porządku? Pan jest ekspertem, panie Labirynt. Hej! Co pan powie na taki przydomek? Pan Labirynt!

*

Larry Weller ma w swoim dorobku dziewięć zrealizowanych projektów, chociaż waha się, czy może naprawdę liczyć swój pierwszy labirynt, który był prymitywnym eksperymentem na własnym podwórku w Winnipegu. Wspomina go jednak często mimo upływu lat. Zakręcające pod kątem szpalery krzewów - mieszana zieleń irgi, karagany i borówki alpejskiej, wszystko to soczyste północne odmiany - oplotły całkowicie ich skromny domek na Lipton Street, doprowadzając do rozpaczyny jego żonę, Dorrie. Chciała ona mieć, jak wszyscy ludzie, trawnik, nie węzownicę krzaków pokrywającą całą parcelę. Dostawała białej gorączki.

Ogólny plan swojej pierwszej próby Larry zaczerpnął z książki wypożyczonej z biblioteki - był to projekt autorstwa szesnastowiecznego architekta włoskiego nazwiskiem Serlio. Larry musiał, oczywiście, uprościć środek konstrukcji, gdyż znajdował się w nim jego i Dorrie trzypokojowy domek o betonowej podmurówce i licowanych drewnem ścianach. Według ryciny, żywopłot powinien był czynić wyraźne zwroty pod kątem prostym, ale w owych czasach Larry spóźniał się zawsze ze strzyżeniem, a nadto jego ręczna, benzynowa strzyżarka, nabyta z drugiej ręki, była bardzo trudna do prowadzenia.

- Czuję się, jakbym mieszkała w stercie listowia - narzekała Dorrie. - Wstyd mi przed ludźmi, że mieszkam w takim miejscu.

W letnie wieczory Larry lubił po kolacji brać za rączkę swego małego synka, Ryana, i prowadzić go od „wlotu” przy frontowej furtce posesji do mieszczącego się przy bocznych drzwiach domku „sedna” labiryntu, trawiastego skwerku, na którym w przyszłości miał nadzieję zainstalować fontannę. (Jak będzie miał czas. Jak zaoszczędzi dosyć pieniędzy). Ryan, wykąpany już i w piżamie, dreptał u boku Larry'ego, wiodąc wolną dłońią po wierzchu z każdym miesiącem wyższego szpaleru, śpiewając i ucząc się już w wieku trzech czy czterech latek tajników zwodniczych zakrętów. Pierwszy skręt w prawo, potem dwa w lewo, potem cały czas w prawo. Klasyczny układ.

Być może Larry z upływem lat upoetycznił to szczególne wspomnienie. Słodkie pocałunki letniego słońca, obłędne niegroźne brzęczenie komarów w uszach, mała rączka chłopca w jego ręce, Dorrie w szortach i koszulce gimnastycznej przyglądająca im się z frontowych schodków, na których siedzi z gazetą na kolanach, zapach trawy i listków, gama barw i spokój, przejeżdżające niekiedy ulicą auto. Patrząc dzisiaj wstecz, Larry z trudem może uwierzyć, że istniała kiedykolwiek taka sielskość. Nie może pojąć, dlaczego nie czuł się wówczas najszcześliwszym człowiekiem na świecie.

Pewnego dnia w Winnipegu, kiedy Larry pracował jeszcze w kwiaciarni, odebrał telefon od człowieka nazwiskiem Bruce Sztuwark, który chciał urządzić labirynt ogrodowy na swojej posesji w Zachodnim Kildonan. Dowiedział się o Larrym pocztą pantoflową, ściślej od wspólnego znajomego, który się o nim bardzo pochlebnie wyrażał. Czy Larry byłby zainteresowany kontraktem? To świetnie!

Larry, pamiętając, jak trudno jest przystrzygać zakręcający pod kątem jego własny labirynt, zaprojektował dla Bruce'a i Erleen Sztuwarków labirynt o liniach kolistych, a jako dominującym krzewem posłużył się klonem polnym (*Acer campestre*), który wymaga tylko lekkiego przycinania. Opracował labirynt dla Sztuwarków na podstawie starego planu, zaczerpniętego z jeszcze jednej książki bibliotecznej - projektu niejakiego Androueta du Cerceau, który był architektem Katarzyny Medycejskiej - dodał jednak kilka własnego pomysłu skrętów i zwodniczych półkoli, tak że cała konstrukcja zdawała się falować przed okiem. Labirynt tworzył urocze zakamarki, a przynajmniej miał tworzyć, gdy krzewy odpowiednio podrosną, nie przewidywał natomiast długich perspektyw, *allées*, które większość architektów zieleni uważa za nieodzowne w labiryntach ogrodowych. Za *essence* tradycyjnych labiryntów ogrodowych uważa w każdym razie *allées* Eric Eisner, ojciec i dziadek wielkich amerykańskich architektów zieleni.

Sztuwarkowie nie byli jednak tradycjonalistami. Podobał im się swobodny kolisty plan. Larry, nie żałując wysiłku, przystąpił do wyjaśniania im, że każdy klasyczny labirynt zawiera w środku swoje „sedno”. Jest to nagroda, ostateczny cel, do którego dotarcie stanowi uwieńczenie zwodniczej, pokrętnej wędrówki. Sednem może być kopczyk, ozdobne drzewo, wystrzyżona w krzewie figura, niewielka statua, fontanna czy nawet mała sadzawka. Sławny labirynt w Hampton Court ma za sedno dwie ławeczki, każda ocieniona drzewem. Możliwości są nie-

ograniczone, ale zawsze winno być coś, co wynagrodzi wytrwałość tych, którzy pokonają mylny szlak i dotrą do obranego celu.

Bruce, adwokat i właściciel lokalnej stacji radiowej, oraz jego milkliwa, poważna żona, Erleen, wysłuchali uważnie, co Larry ma im do powiedzenia, po czym oznajmili, a raczej Bruce oznajmił, że już wybrali „sedno”. Będzie to polanka piknikowa z grillem, wystarczająco obszerna, żeby pomieścić licznych gości przyjęć ogrodowych, jakie często urządza letnią porą.

- No-o, czemuż by nie - wykrztusił Larry, gdy po chwili odzyskał dech i wziął się w garść. Nasz klient, nasz pan. To część składowa pracy na zlecenie, której Larry Weller, pan Labirynt, nauczył się szybko.

Labirynt Sztuwarek zwrócił uwagę miejscowego reportera i fotografa, Marka Mosleya, który śledził jego powstawanie od pierwszego zaorania terenu do trzeciego roku wzrostu. Kiedy w winnipeskiej galerii ACE urządzono wystawę fotogramów Mosleya, zauważył ją „Maclean's Magazine”, który zamieścił duży artykuł, niezbyt celnie zatytułowany: ŁYSA PRERIA PRZEOBRAŻONA W OSOBLIWY OGRÓD ELŻBIETAŃSKI. Artykułowi towarzyszyło zdjęcie Larry'ego, który stał pod drzewem wpatrzony w plik planów i zdawał się wyższy i szczuplejszy niż w rzeczywistości. I niewątpliwie to artykuł w „Maclean'sie” przyniósł Larry'emu następnego klienta, Komisję Targów Prowincji Saskatchewan.

Labirynt saskatchewański, rozebrany pod koniec sezonu targowego, został w całości skonstruowany z bel słomy, ułożonych jedna na drugiej do wysokości przeszło dwóch metrów i tworzących kręty, pachnący sianem tunel, który doprowadził ponad sto pięćdziesiąt tysięcy turystów do jego „sedna”: pochylonego nieco ku widzowi koła, usypanego z ziemi i obsadzonego kwiatami preryjnymi w mieniające się barwami segmenty.

Larry miał mieszane uczucia w stosunku do labiryntu saskatchewańskiego. Z jednej strony cieszyła go jego jarmarczna popularność, chociaż pewien starszy farmer, zapuściwszy się między jego szpalery, utracił tak dotkliwie orientację, że doznał ataku paniki i musiano go hospitalizować przez noc w Reginie. Dzieci miały uciechę. Uciechę miały psy i koty. Cykliści uznali ciasne zakręty za wyzwanie i wymyślili sobie na krótko nielegalny sport, pokonując tunel na rowerach w późnych godzinach nocnych. Z drugiej jednak strony przygnębiała Larry'ego martwota materiału, z którego został utworzony labirynt. Słoma jest żółta. Statyczna i pyłaca. Tymczasem tym, co Larry najbardziej lubił w labiryntach, była ich zieloność, ich żywa roślinna substancja, dająca się kształtować w rozmaite formy niosące niespodziankę za niespodzianką, wyzwanie dla ludzkiej percepcji - i możliwość umiejscowienia swego ja w żyjącym świecie. (Pracując lata później nad Wielkim Labiryntem Śnieżnym w Ułan Ude na Syberii, budowlą utworzoną w całości z wielkich bloków lodu, Larry z czułością wspominał projekt saskatchewański, jego przenikliwą woń i upalną słodycz, jego tłumiące dźwięki objęcia).

*

Z początku biedzenie się nad swoimi pierwszymi projektami, Larry łączył z posadą kierownika niewielkiej filii kwaciarskiej na Zachodniej Stronie Winnipegu. Można powiedzieć, że labirynty stanowiły wówczas w jego życiu rodzaj hobby, chociaż on sam ani razu nie wypowiedział głośno słowa „hobby”. Mężczyźni i kobiety jego pokolenia, dzieci zrodzone na fali powojennego wyżu demograficznego, rzadko używali tego sękatego staromodnego słowa - mówili zamiast tego o swoich zainteresowaniach, pasjach, obsesjach, a niekiedy, ostrożniej, o zajęciach, jakim się oddają w czasie wolnym.

Jego matki zbiór dzbanuszków do śmietanki - ceramiczna krowa, którą kupiła w Londynie podczas pamiątkowej podróży do starego kraju w dwudziestą piątą rocznicę ślubu, porcelanowa pasterka, której spod odrzuconej w bok, sztywnej spódnicy wygląda dzióbek - to było prawdziwe hobby. Była nim również kolekcja korkociągów i

otwieraczy do butelek jego ojca, przy swoich dwóch tysiącach eksponatów niewątpliwie jedna z największych w południowej części prowincji. Hobbisci zbierają, restaurują, wystawiają i katalogują swoje zdobycze. Zawsze, gdziekolwiek są, wypatrują czegoś nowego, tak że zarówno ich weekendowe wypadki, jak dalsze podróże nabierają skondensowanej celowości i blasku.

- Mój mąż choruje na labiryntomanię - mawiała jego pierwsza żona, Dorrie. - Ma bzika.

„Bzika” nabawił się Larry, gdy wraz z Dorrie odwiedzili Hampton Court podczas ich podróży poślubnej do Anglii w 1978 roku. Tamtejsze zespolenie arcyformalności z planowym chaosem było muzyką dla młodego serca Larry'ego, tak samo jak odkrycie, że sadzonki dają się kształtować w gęste żywe ściany listowia, tak nieprzenikalne, że przyprawiają o zawrót głowy ludzi, którzy między nie wejda. Zaskoczyło go to, wciąż go zaskakuje. Ilekroć zajrzy do katalogu specyfikacji ogrodniczych czy zatrzyma wzrok na ogrodowym tworze czyjejś wyobraźni, czuje w głowie lekką burzę - na błękitnie nieba zaczyna wirować coś na kształt płatków śniegu, które go wyrrywają z jego samotności, utwierdzają w poczuciu, że jest człowiekiem jak wszyscy.

Czy to nie dziw - myśli - że długa, gorzka, ściskająca serce historia naszej planety pozostawia nieoczekiwane wolne przestrzenie, w których mogą pulsować zabawy i igraszki, jakie widzi wszędzie. Gry, piktogramy, symbole, alegorie, kalambury i anagramy, rebusy i szarady, sztuczki iluzjonistów, zgrywy klaunów, mrugnięcia komików, salta akrobatów, wszelkie rodzaje kryptogramów, a szczególnie, przynajmniej w pojęciu jego, Larry'ego J. Wellera, przekorna elegancja i cyrkularność labiryntów, ślimacznice, esy-floresy, zawijasy na skórze ziemi, nie mające żadnego innego widomego celu, jak zatoczenie krętego szlaku wokół samych siebie.

I jeszcze coś: droga do sedna labiryntu jest zawsze skracana przez oddalenie się od celu, a ta perwersja, ilekroć Larry o niej pomyśli, przyprawia go o dreszcz uciechy. Rozkoszuje się również tajemną wiedzą, że labirynt nie może być nigdy całkiem symetryczny. Te drobne osobliwości podsycają jego podziw, nabożeństwo, oddanie.

Planuje, organizuje, najmuje wykonawców i podwykonawców i oplakuje, ale już tylko z rzadka, fakt, że nie brudzi sobie obecnie sam rąk pracą fizyczną.

Doszedł do punktu, kiedy starcza mu jeden rzut oka na szkic labiryntu, żeby wytyczyć optymalną drogę do środka. Ma wycucie komplikacji i jasność, jak te komplikacje pokonać, potrafi „czytać” plany labiryntów tak, jak inni „czytają” schematy maszyn czy wygniatane topograficzne fałdy map plastycznych. Szaleństwo labiryntowe, w które przypadkiem wdepnął, zapewnia mu - wie to - uprzywilejowane miejsce w świecie: unikalne widzenie z lotu ptaka, to wyjątkowe, wyjątkowe wyróżnienie.

*

Labirynt Barnesów w River Forest, stan Illinois (bukszpan, ostrokrzew o atramentowych jagodach), stanowił przełom w karierze zawodowej Larry'ego, tryumf współczesnego projektowania labiryntów - w każdym razie słowo „tryumf” było określeniem użytym przez krytyka architektury „Chicago Tribune”.

Wciśnięty w stosunkowo niewielką parcelę przy Augusta Avenue, ale mający zaplecze w postaci rezerwatu leśnego, labirynt ten był zarazem „klasyczny w swoich odniesieniach i współczesny w swoich drobnych postmodernistycznych strategiach”. (Larry przemysliwał początkowo o umieszczeniu w jego centrum fontanny, przypomniał sobie jednak, jak daleko potrafi się nieść szum fontanny. Jest rzeczą istotną, żeby szukający drogi między dwoma szpalerami krzewów mieli nie tylko ograniczone pole widzenia, lecz żeby także byli spowici ciszą. W labiryncie człowiek winien się czuć zagubiony podwójnie, postrzeganie świata zewnętrznego mieć ukrócone tak skutecznie, żeby nie pozostało mu nic prócz odgłosu własnego oddechu i perwersyjnego poczucia dobrowolnego zatracenia się).

Alejki labiryntu Barnesów przekornie uniedroznione przez sztuczne wyboje, jakie na uliczkach dojazdowych zmuszają pojazdy do ograniczenia szybkości, co więcej, niemal zatarasowane w kilku miejscach nieoczekiwanymi przeszkodami - żelazną bramką z okiem elektronicznym, prawie pionową skałą - prowadziły po pokonaniu przeszkód prosto parę ustawionych w jodełkę szpalerów trzmieliny japońskiej (*Euonymus japonicus*), rytmicznego układu pobrzmiwającego echami celtyckimi. „Tryumf integracji przestrzennej - konkludował recenzent „Chicago Tribune”. - Młody projektant rozumie, że iluzja optyczna powinna nie tyle cieszyć kuglarstwem, ile apelować do optyki ducha”.

To w domu Rosie i Summery Barnesów Larry poznał Beth, swoją przyszłą żonę. Przyjechał do rejonu Chicago przed tygodniem, pożegnawszy się ostatecznie z posadą kwiaciarza w Winnipegu, ośmielony kontraktem Barnesów, uskrzydłony nadzieją, że pociągnie on za sobą następne.

- Więc to pan - powiedziała Beth, unosząc do ust szklaneczkę z ponczem brzoskwiniowym - jest tym człowiekiem, który sprowadza ludzi na manowce.

Larry był nienawykły do takich żartów. Zamrugał widać czy wydał zaskoczone syknięcie.

- Mam na myśli pański zawód - wyjaśniła starannie, wydychając sylaby jak krople rtęci. - Prowadzi ich pan na błędne ścieżki.

- A-a! - zrozumiał.

Za późno, bo Beth już się odwracała do kogoś czy sięgała po następną kanapkę z kawiozem, pierwszym kawiozem, jaki Larry Weller widział w życiu. Zwrócił uwagę, jak czysto jej lewe ucho odcina się od czerni krótko ostrzyżonych włosów.

- A pani? - spytał szybko. - Czym pani się zajmuje?

- Ja jestem bezrobotna - odparła. Jej palce bawiły się cynowym krążkiem, zawieszonym na rzemyku u jej szyi. - Pasożytuję na ciele społeczeństwa.

- O Boże, przepraszam. Przepraszam za to pytanie. W dzisiejszych czasach, przy obecnym stanie gospodarki...

Zapłatał się. Posłała mu litościwe spojrzenie, aż Larry się zastanowił, jak się uchowała z taką miłosiernością.

- Studiuję - poinformowała. - W College'u Różańca Świętego, trzy kroki stąd.

Jej ton się zmienił. Faktycznie zlitowała się nad nim. Nazywa się Beth Prior, kończy pracę doktorską o świętych niewiastach i naturze kobiecej dobroci. Jej rodzice są starymi przyjaciółmi Barnesów, ona się wychowała na tej ulicy.

- Aha - powiedział. - Więc mieszka pani z rodzicami?

Robił się wścibski, ale jakoś wydało mu się ważne ustalenie stanu faktycznego.

- Nie. - Jej ton stał się znowu chłodny. - Wyrzucili mnie na dwudzieste piąte urodziny. Ściśle mówiąc, sprzedali dom i kupili mieszkanie na Hawajach. A ja, że tak powiem, pojęłam aluzję.

- Ja mieszkałem z rodzicami do dwudziestego szóstego roku życia - oznajmił.

Dlaczego? Żeby jej wyjść naprzeciw? Zasygnalizować, że nie ona jedna dźwigała tak długo uzależnienia dzieciństwa?

- Naprawdę? Patrzyła mu teraz w oczy.

- Naprawdę.

- W Winnipegu? Tak mi mówiono. Że pan jest z Winnipegu w Kanadzie.

- Była pani w Winnipegu?

- Nie.

Winnipeg to było ciągle tu i teraz, czarna otoczka jądra jego życia, mimo że znajdował się w tej chwili w salonie domu na przedmieściu Chicago, rozmawiał z tą kobietą. Zamarła ona w bezruchu jak łania, z wyrazem udanej naiwności na twarzy. Rozchyliła wargi.

- Dlaczego? - zapytała. - Dlaczego mieszkał pan tak długo z rodzicami?

- Czy ja wiem? A dlaczego pani mieszkała z rodzicami do dwudziestych piątych urodzin?

- Chyba byłam szczęśliwa.

- Ja chyba też - odparł. - Względnie.

- Zabawne, że pan to mówi. Tak właśnie mam zamiar zatytułować swoją pracę doktorską, jeśli ją kiedykolwiek skończę.

- To znaczy jak?

- Tak jak pan to sformułował: „Względnie szczęśliwe”.

- Dlaczego taki tytuł?

- No, dlatego... Sama właściwie nie wiem. Doszłam pewnie do wniosku, że dlatego tak wielu ludzi pozostaje dobrymi. Są dobrzy niejako wbrew sobie. Są zbyt leniwi, żeby być złymi. To zbyt wielki trud. Nie są może ekstatycznie szczęśliwi, może nawet niezbyt zadowoleni, ale cieszą się wystarczającym szczęściem, żeby się nie pograć w otchłani.

Larry nie wiedział, o jakiej otchłani ona mówi. Nie był pewien, czy w ogóle wierzy w istnienie jakiejś otchłani.

Na małym palcu Beth Prior pozostało ziarnko kawioru, które wessała teraz z ręcznie.

- Miał pan dwadzieścia sześć lat, kiedy pan się wyniósł z domu rodzinnego - powtórzyła. Zdawało ją się to nurtować. Sprawa była poważna, wymagała wyjaśnienia. - Co pana do tego skłoniło?

Czekała odpowiedzi, czekał odpowiedzi jej mały srebrny kolczyk.

- Ożeniłem się.

- A-a! I co z pańską żoną. Przyjechała z panem tutaj? Ulotne uniesienie głosu na końcu zdania.

- Jesteśmy rozwiedzeni. Żona mieszka w Winnipegu.

- Aha. - Kręciła w palcach cynowy krążek, opuściła powieki. - A ma pan dzieci?

Jej uśmiech zapalił się uwagą.

- Jednego chłopca, Ryana. Ma osiem lat, mieszka z matką.

- To musi być dla pana bardzo przykre. Pewnie czuje się pan okropnie samotnie?

- Tak, to przykre - przyznał Larry, patrząc na jej piękne żujące usta. - Rzeczywiście czuję się samotnie.

Pomyślał, ile podobnych konwersacji musi się krzyżować na tablicy rozdzielczej kontynentu amerykańskiego, na całej stromo wirującej planecie. Wywiady towarzyskie. Wyłuskiwanie potrzebnych informacji. Ważenie możliwości. Żonaty czy nie? A pani czy zamężna? Otwarcia. Porozumienia. Nagłe konfidencje, zuchwałe deklaracje.

- Tak - usłyszał swój głos - czuję się bardzo samotnie.

Ich oczy się spotkały. Trafienie w dziesiątkę. Czy mógłby pokochać taką kobietę? Z jej świeżością, jej krótko obciętymi włosami, jej śmiałymi ustami? Tę kobietę, która patrzy mu prosto w oczy? Oczywiście, że mógłby. Pokręcił głową ze zdumienia nad tym odkryciem.

- Chciał pan, zdaje się, coś powiedzieć - zauważyła.

(Wyznała mu później, że się w nim zakochała od pierwszego wejrzenia. W jego gładkiej, nienatrętej twarzy).

Skinął, rozejrzał się po zatłoczonym pokoju. Na ścianach obrazy oświetlone małymi kinkietnikami. W rogu fortepian. Stłumiony gwar rozmów.

- Może byśmy stąd poszli? - zaproponował.

Pragnął ukryć twarz na jej białej szyi, ale ta jego propozycja wyjścia z przyjęcia zabrzmiała jak rodem z tandetnego starego filmu.

- Właściwie czemuż by nie? - tchnęła ze zdumionych ust. - Chodźmy stąd w diabły.

Pamiętał później, jak wymówiła słowo „diabły” - jakby miała przed oczami rzeczywiste piekło pełne siarki, płomieni i dziwów, rojące się od tych egzotycznych stworów i mamiących kwiatów, miejsce, którego nie można tolerować ani chwili dłużej, skoro otworem stoi cały nie zbadany, nie zakosztowany świat.

*

Swój miesiąc miodowy Larry i Beth spędzili pod Memphis, stan Tennessee, gdzie Larry pojechał zlustrować teren, który pod swój labirynt-gigant wybrał Johnny Q. Questly, piosenkarz stylu country w stanie spoczynku. Labirynt miał być cyrkularny, pojedyncza ślimacznica bez błędnych odnóg - muszla morska, zwinięty wąż, podróż od poczęcia do połogu - w środku której zostanie wzniesiony, gdy się zakończy sadzenie krzewów, marmurowy grobowiec w kształcie litery Q, miejsce ostatniego spoczynku ukochanej żony Johnny'ego, Queenie. Jego miłości, radości jego duszy.

Dla uciechy oka, gdy nogi będą dreptać, dreptać dokoła ślimacznicy, Larry połączył jasną tawułę (którą kiedyś gardził) z ciemnym ostrokrzewem, a wierzch żywopłotów powystrzygał w krezy, wieżyczki, ostrogi, nieustającą marszrutę kształtów i barw - zaproszenie do wyciągnięcia dłoni i dotknięcia.

- Moja Queenie była jednym z zesłanych na ziemię aniołów bożych - opowiadał im Johnny, potężnie zbudowany mężczyzna, przy wegetariańskim lunchu na olbrzymiej, cieniejszej, wykładanej płytami marmurowymi werandzie. Łyknął haust mrożonej herbaty (wymawiał to: „mrzona herbata”), otarł łzę w oku. - Nigdy, przez czterdzieści lat naszego małżeństwa, nie spojrziała na innego mężczyznę. Nigdy nie poskarżyła się słowem, kiedy byłem w objazdach, a byłem diabło często. Kiedy wypilem o jednego za dużo, a nie mogę powiedzieć, zdarzało mi się to czasami, patrzyła w drugą stronę. Wiedziała, co to wyrozumiałość, była wcieleniem tolerancji. Bo narozrabiałem parę razy, cholernie narozrabiałem. No i na którąś rocznicę ślubu kupiłem jej kolie. Brylanty, brylanty czystej wody. Jak to jest w tej piosence: „Brylanty są na wieki”? Ale ona włożyła to draństwo, przepraszam za łacinę, wszystkiego raz czy dwa razy. Potem dostała raka, no i po-oszła! A Biblię znała na pamięć. Proste życie, to lubiła, tylko my dwoje, sami, w tym domu, który kupiliśmy, kiedy dzieciaki dorosły, patrzymy na zachód słońca, potem trochę telewizji po kolacji. To wszystko, czego jej potrzeba, mówiła, tylko my dwoje, kochający się, trzymający się razem. Takie było to nasze życie.

*

W ostatnim roku, odkąd kupili z Beth dom na Kenilworth Avenue w Oak Parku, Larry cierpi na bezsenność. Trzecia nad ranem jest godziną krytyczną, kiedy się budzi i stwierdza, że leży na baczność, pod powiekami ma piasek, a myśl buzuje mu na tuzinie kanałów. Wywieszenie tabliczki firmowej równa się kłopotom, tyle było od początku wiadomo. Trzeba ustawicznie zabiegać, gonić za kontraktami, handryczyć się z wykonawcami. No i czło-

wiek stoi zawsze w obliczu delikatnej materii kontaktów z klientami, przedstawiania im projektów tak, by wyglądało, że powstały z ich sugestii, że nie są narzucane.

Żeby się ukołysać z powrotem do snu i nie obudzić Beth, która bez proszków sypia siedem godzin snem sprawiedliwych, Larry pozwala myśli wędrować po siedmiu przestronnych pokojach nowego domu: kwadratowe wejście, zabezpieczone drzwi, witraże w holu, jadalnia z ciężkim belkowaniem na suficie i kinkietami na ścianach, salon z dwoma oknami wykuszowymi i zapachem wystygłego popiołu na kominku.

Następnie, jeśli nadal sen mu umyka, Larry zaczyna w myśli przerzucać dokumentację swoich wszystkich ukończonych projektów: maleńki labirynt w Ośrodku Prezbiteriańskim na północy stanu Nowy Jork, labirynt Barnesów ze wszystkimi jego zawiłościami i innowacjami, ogród rektora Uniwersytetu Stanu Maryland, labirynt Bractwa Rozwoju Osobowości w ich ośrodku medytacji w Colorado, spirala Johnny'ego Questly (jak została ochrzczona) w Tennessee, no i labirynt świętego Mateusza, średniowieczny w inspiracji, ale wykonany przy zastosowaniu wysokiej techniki ogrodniczej i typowany z dużą dozą prawdopodobieństwa na laureata nagrody Northendena-Edena. Na koniec myśl Larry'ego robi w tył zwrot i szybuje ku tej jego pierwszej próbie w Winnipegu, eksperymentalnemu labiryntowi oplatającemu skromny parterowy domek na Lipton Street - kupiony tanio jako obiekt do remontu przez nabywcę - gdzie Larry mieszkał ze swoją pierwszą żoną, Dorrie, za czasów ich małżeństwa.

Labirynt ten był od początku kością niezgody między nimi. Dorrie chciała mieć zieloną trawę i kwiaty, a nie tę gęstą krzaczastą palisadę, w której centrum tkwiła, i Larry sam czuł, że trudno jej się zbytnio dziwić. Wyglądało to rzeczywiście ekscentrycznie. Nawet głupio. Ponadto Dorrie miała mu za złe sumy, jakie wydawał na rozsady, chociaż dzięki swoim kontaktom kwiaciarskim zdobywał prawie wszystko po cenach hurtowych. Co gorsza, w weekendy zajmował się cały czas sadzeniem i strzyżeniem krzaków, zamiast uszczelnić dach, tak jak obiecał. Dzielnica schodziła na psy, dom był ruiną. Powinni go wystawić na sprzedaż, jak tylko naprawią dach, i korzystając z jej rosnącego komisowego w Manitoba Motors, kupić coś porządnego w nowo powstającym osiedlu w Linden Woods.

„Po moim trupie” - odpowiadał Larry, a jeśli nie dokładnie tak, to coś w tym rodzaju. Rozumiał, co mówi Dorrie, ale nie ustępował o krok. Nie po tej całej pracy, jaką w to włożył, i to teraz, kiedy labirynt zaczyna nabierać kształtu.

A Dorrie potrafiła mówić tylko o Linden Woods. Przestronny nowy dom z pokazową kuchnią, kąpiel wio-
wa przy sypialni, garderoby, wszystko. Zaklinała się, że dostaje kota, mieszkając w tych kretyńskich chaszczach, i rzeczywiście dostała pewnego dnia kota, zadzwoniła do firmy rozbiórkowej i kazała oczyścić parcelę pod nieobecność Larry'ego.

Połowy labiryntu nie było, nim mu doniesiono, co się dzieje. Wszystko ścięte, starte, teren przed domem goły.

Dorrie mogłaby mu równie dobrze wyrwać serce. Tak to wówczas określił jeden z przyjaciół Larry'ego.

Jednakże dzisiaj, po tylu latach, pozostała część labiryntu żyje nadal. Rozcięty na połowę ma błędne ścieżki szeroko otwarte, tak że można się w nie zagłębić w dowolnym miejscu. Ściśle mówiąc, nie jest to już w ogóle labirynt, tylko pewna konfiguracja krzewów porastających przestrzeń za domem. Dorrie, która jest obecnie wicedyrektorem do spraw sprzedaży w firmie Nowodzież, ogólnokrajowej sieci sklepów odzieży sportowej, dba o to, by labirynt-nielabirynt był co roku przystrzygany wczesną wiosną, a następnie jesienią.

Ostatecznie Dorrie się nie przeprowadziła z Ryanem do Linden Woods, chociaż mogłaby sobie na to teraz z łatwością pozwolić. Dzielnica dźwignęła się z powrotem, odkąd zaczęły się do niej wprowadzać i odnawiać domy

młode rodziny. Co ważniejsze, w sąsiednim domu mieszka jej najbliższa przyjaciółka, Lucy Warkenten, a Dorrie nie wyobraża sobie życia bez Lucy. O parę ulic dalej mieszka również matka Larry'ego, z którą Dorrie lubi pozostawać w kontakcie. Często do niej dzwoni i wpada. Prawie co dzień, jeśli chodzi o ścisłość. A nade wszystko Dorrie uważa, że okrucieństwem byłoby zabierać Ryana ze szkoły, gdzie się tak dobrze uczy, odrywać go od starych kolegów. Stabilizacja się liczy, sądzi Dorrie, a odkąd Larry ją rzucił na wiosnę 1983 roku, odczuwa potrzebę trzymania się wszystkiego, co znajome.

Larry był w Winnipeg niecały miesiąc temu, w lipcu, na pogrzebie ojca, i oczywiście wpadł na Lipton Street, jak zawsze kiedy przyjeżdża. I jak zawsze wprawilo go w zdumienie bogate życie, jakie Dorrie zdaje się bez niego prowadzić. Są teraz ze sobą w lepszych stosunkach niż kiedyś. Podczas ostatniej wizyty zrobiła na nim wrażenie oszklona weranda, którą Dorrie kazała dobudować do kuchni - nazywa to solarium. Jest to maciupeństwo, skromne parę metrów kwadratowych, sprawia jednak, że ciemny domek jest teraz pełen światła, nabrał tanecznej przestronności.

Larry nie wie, czemu Dorrie pielęgnuje ten jego półlabirynt. Nigdy o tym nie mówią, Larry czuje, że niebezpiecznie byłoby wspomnieć o nim choćby przelotnie. Rośnie on więc nadal, okrojony, okaleczony, przeobrażony - prosperujące kuriozum. Leżąc bezsennie w nocy koło kochanej uśpionej Beth, Larry myśli często, że trwanie tego jego pierwszego labiryntu, choć jest on pozbawiony tajemnic zawartych w skończonej strukturze, stanowi, jak dotąd w każdym razie, najmniej zbadaną zagadkę jego życia, przejmującą, powrotną łamigłówkę bólu - i wyzwolenia od bólu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Larry jak dotąd 1990

Czterdzieste urodziny otworzyły w Larrym Wellerze spoinę paniki i nie ma w tym - musi przyznać - nic szczególnego.

Czterdziestka jest bliźniaczką lęku, śmiertelnego strachu, należy go się spodziewać, to normalka, przynajmniej wśród jego znajomych czy w reklamach, które mu wpadają w oko w telewizji, inaczej apelujących do tych czterdziestce, współczujących nieszczęśnikom, których trzeba uczulić na niebezpieczeństwa chorób serca, hemoroidów, czynników depresjogennych. Czterdziestka jest po stronie zamożnych i kwękających - Larry czasami pali się ze wstydu, że „się dorobił” - naruszenie równowagi, jakie ze sobą niesie, zostało aż nadto dobrze oznakowane na psychologicznej mapie drogowej; wzruszamy ramionami, kiedy się manifestuje, wzruszamy ramionami i cierpimy, czekając w niemrawym świetle poranka, aż soki napłyną nam do mózgu. Czterdziestka niesie plagę duchowych pcheł, ale i to można łatwo, prozaicznie przewidzieć, szczególnie gdy się wie, że przed nami szerszy strumień melancholii. Nuda, piąty krzyżyk ma drżączkę. Czterdziestolatków paraliżuje trąd zwątpienia, lecz zostali uprzedzeni, czyż nie? Owszem, zostali.

- Czterdziestka to koniec zabawy - mawia mentor Larry'ego, lakoniczny Eric Eisner. - Nim człowiek doczeka serów, jakie serwują na zakończenie posiłku, nie ma już apetytu. Nam, staruchom, nie pozostaje nic innego, jak obsuwanie się w zgrzybiały wiek, przyglądanie, jak wysycha wyobraźnia.

„Jestem czterdziestolatkim” - powtarza sobie Larry co najmniej raz dziennie, podnosząc do ust filiżankę kawy, uruchamiając auto czy spoglądając w górę na baldachim liści ocieniających ulicę, na której mieszka.

Ta myśl - czterdziestka, czterdziestka - wisi nad nim stale, jest częścią składową atmosfery. Pojmuje teraz dość zaskakującą, ciężką nudę bycia dorosłym i może dlatego znajduje zbyt łatwą pociechę w gierkach i fikcjach. Zaliczywszy cztery dekady życia, jest człowiekiem smutnym, bez zaplecza smutnej historii, która by to tłumaczyła. Czego mu potrzeba, to solidnego kuksańca w ucho, chociaż czuje zarazem, że wystarczy jeden fałszywy krok, żeby wypadł z kursu, a wtedy utraci nie pieniądze, nie przyjaźń, nie kierunek, tylko samego siebie.

Nie może się uskarżać, a przynajmniej nie powinien. Po wolnym starciu życiowym, po bytowaniu tak bezoporowym, że nigdy nie nauczył się rozpychać, wylądował w Chicago jako wzięty i stosunkowo dobrze widziany architekt zieleni, specjalizujący się w labiryntach ogrodowych. Jest człowiekiem, który doświadczył w życiu swojej porcji filmowych cięć, i zawsze go dziwi, że tyle zdołał sobie przyswoić i że - z drugiej strony - tyle mu umknęło. Można mieć zbyt wiele szczęścia, zaczyna to zakrawać na przeładowanie i łatwiznę. W wieku czterdziestu lat stwierdza, że machina jego dawnych zahamowań została zawrócona. Jego pierwsze małżeństwo spaliło na panewce, prawdę mówiąc, było od początku iskrzącym niewypałem - jakoś to przeżył - a teraz znalazł miłość z jej wonnymi olejkami i gratyfikacjami, w pożyciu z drugą żoną, Beth, która od uzyskania doktoratu wykłada na Wydziale Studiów Religijnych Uniwersytetu Stanu Illinois w Chicago, błyskotliwą, dociekliwą młodą kobietą o słodkim charakterze i podatnym ciele, której studia nad świętymi niewiastami często każą ludziom uważać ją samą po trosze za świętą i która faktycznie posiada pewne atrybuty świętości, przede wszystkim zdolność takiej koncentracji umysłu, że jej myśli stają się ostre jak brzytwa.

Współ z Larrym kupili zabytkowy dom na Kenilworth Avenue w Oak Parku, skąpany w ciszy pośród innych zabytkowych domów i głębokiej zieleni sfalowanych bulwarów. Larry chciałby upychać w aucie gromadkę dzieciaków, rozumie jednak opory Beth wobec łączenia kariery naukowej z macierzyństwem, ma zresztą w Kanadzie dwunastoletniego syna z pierwszego małżeństwa, a ponadto skąd by on, czterdziestolatek, miał czerpać energię do ojcostwa? Albo czas? Są oboje z Beth stale zajęci, czy to pracą i podróżami, czy też coraz to bujniejszym życiem towarzyskim, proszonymi kolacjami, przyjęciami, odczytami i różnymi luźnymi imprezami, które się nie poddają kategoryzacji, lecz wymagają ich obecności.

Ich kalendarz jest pełen. Larry nie może wyjść ze zdumienia, że on, który był taki nieśmiały i nieporadny jako szczeniak, jest obecnie posiadaczem fraka, w który się wbija bez większych oporów ładne parę razy do roku. Ojcu, który umarł dwa lata temu, oczy by wyszły z orbit na widok syna w takim stroju. „Co ty, zachciało ci się strugać pingwina?” - powiedziałby prawie na pewno. Jego syn światowiec. Picuś-glancuś. Spieszy na cocktail party, pomyka na wernisaż rysunków architektonicznych. Jak do tego doszło? Czy to jest życie, na które się pisał? On, Larry Weller? Syn Stu Wellera, majstra tapicerskiego w winnipeskiej fabryce autobusów?

Prawdę mówiąc, Larry sam nie może uwierzyć w realność swojej wyfraczonej osoby, dalekiego kuzyna tamtego widma pokutującego w jego snach, faceta śledzącego ukradkiem akcję, cierpiącego, przerażonego, złaknionego, w pożyczonym workowatym garniturze, ale nigdy nie wychodzącego na scenę, nie ukazującego twarzy.

Bycie przedsiębiorcą - Le Labyrinthe, Inc. - daje Larry'emu ten rodzaj swobody, o jakim inni tylko marzą, w wieku czterdziestu lat trwa on jednakże w poczuciu, że jest mieszkańcem płaskiego świata bez ścian i dachu, w którym istnieje jedynie napływająca informacja. Na skraju jego pola widzenia zawsze migoce coś nowego, co musi sobie przyswoić, lecz migotowi temu towarzyszy ustawiczna obawa, że bez względu na swoje dokonania pozostanie do końca skazany na przeciętność, na mozolne przedzieranie się przez kolejne wyznaczone etapy życia.

Dowodów nie brak. Bez względu na to, czy przyczyna jest genetyczna, czy okolicznościowa, wie, że pisane mu jest życie w wyświechtanych nawiasach przewidzianności, pozostawanie wiecznym chodzącym, skrobiącym się w głowę banałem - najpierw marzycielski chłopczyk, następnie nieszczęsny nastolatek, po czym zaraz zagubiony żonkoś, a teraz, zbyt nagle ustabilizowany czterdziestoletni biały przedstawiciel wolnego zawodu, którego uwiera owa czterdziestka i który nie śpi po nocach, zastanawiając się, czy nie stoi oto u progu wkroczenia w fazę zadufanej autorytatywności i kręcącego nosem krytykanctwa, oczywiście przykrywką dla wstrząsającego nim proteinowego bigosu jego obecnego wcielenia. Nikt tego jeszcze nie spostrzegł, ale Larry jest pewien, że wkrótce zostanie uznany za przechodzącego „kryzys wieku średniego”, „męskie klimakterium”, owe wydumane przypadłości sztamowego, tuzinkowego, mężczyzny współczesnego. Przyszła jego pora, czas na wskoczenie w buty oczekiwanego, jakby na niego szyte. Dotknięty lękiem egzystencjalnym, he? Ano tak. Także pełen zwątpienia w siebie. I pozbawiony męskości, a przynajmniej zmierzający w tym kierunku. Odwieczna, stara historia. Co w tym nowego?

Gdzie on dalej pójdzie, teraz gdy został towarzysko obłaskawiony od wymanikiurowanych czterdziestoletnich dłoni do wypedikiurowanych czterdziestoletnich stóp? Obrany z blasku. Obrany z substancji. Obrany z męskości. Niegroźny. Pospolity. Lada chwila ktoś go odciągnie na stronę i szepnie, że powinien „zasięgnąć porady”, zacznie mu tłumaczyć, że niebieski płomyk, który podgrzewa jego rozterkę, jest „statystycznie typowy” dla mężczyzn w jego wieku, że mężczyźni mają swoje cykle życiowe tak samo jak kobiety i że świeży powiew wrześnieowego powietrza rozwieje w pył jego smutki. A tymczasem powinien się poważnie zastanowić nad duchową stroną swojej natury.

„Co to za facet?”.

„Daj żyć”.

*

- Rozumiem, co czujesz - powiedziała do niego parę miesięcy temu Beth po tym, jak mieli prawie, ale niezupełnie stosunek.

Przez szparę w zasłonach prószło ostre jak brzytwa światło księżyca, przecinając na dwie równe połowy ich podwójne łóżce i ręcznej roboty koldrę z Appalachów. Beth trzymała w dłoni zwiędły członek Larry'ego, głaskała go tak, jak się głaszczące małe leśne zwierzątko.

- Pluję sobie w brodę, że sprosiłam w tajemnicy gości i zaskoczyłam cię tym przyjęciem urodzinowym. Kto chce się afiszować przed światem ukończeniem czterdziestki? Powinniśmy się raczej zaszyć w pieczarze i oddać medytacjom w towarzystwie wiszących nietoperzy. Poznać ich echowe, radarowe tajemnice. Zastanowić się, jak żyć po cichej stronie ekstazy, no, wiesz, jak się urządzić w nowym środowisku, przystosować. Czterdziestka to wiek, kiedy mamy już za sobą połowę tego, co możemy dostać, i to jeśli szczęście nam dopisze. Patrzysz w głąb tunelu i widzisz jedynie więcej tego samego. To przerażające, rozumiem cię.

Dosyć, dosyć, dosyć.

Żona Larry'ego, Beth, nie ma jeszcze czterdziestki, ściśle mówiąc, zostało jej do czterdziestki siedem lat, co sprawia, że jakaś cząstka Larry'ego ma jej tym bardziej za złe natychmiastową i akuratną diagnozę jego stanu. Wyznaje ona chrześcijańską wiarę, że ciemność osacza każdy przeblysł prostego szczęścia, że mu zagraża. Przyprawia ją to o dziwną skłonność do usprawiedliwień, jakby ponosiła za to przynajmniej częściową odpowiedzialność. Za chwilę zacznie niewątpliwie opowiadać o jakimś zapomnianym celtyckim świętym, który miał dar uzdrawiania niemocy płciowej. O, już zaczyna. Zwiastunem jej strategicznego posunięcia jest głęboki wdech, jaki robi przy rękawie jego piżamy. Larry uzbraja się w cierpliwość, wiedząc, że Beth czyni to z dobrego serca, z życzliwości, z chęci pomocy i tak dalej, świątobliwa żona statystycznie przeciętnego męża.

- Otóż - mówi Beth, wpadając w swoją narracyjną intonację o wydłużonych samogłoskach i długich pauzach - był taki święty Guignolé, szósty wiek czy coś takiego. (Ta nieokreśloność, owo „coś takiego”, to gierka, którą Larry odczytuje jako sposób na rozładowanie pocieszającego, budującego posłania, które zaraz usłyszy). Drewniany posąg świętego Guignolé - kontynuuje Beth - można oglądać we Francji, w Breście. Przypuszczam - to dalsza wykalkulowana nieokreśloność, owo zręcznie wplecione „przypuszczam” - że w ciągu stuleci tysiące pielgrzymów obu płci przybyło, żeby trochę postrugać sztywno wzwiedziony członek świętego i zabrać do domu odrobinę pyłu drzewnego, który gotują w bulionie i wypijają na kolację.

- No, i co? - pyta Larry, wiedząc, że Beth na tym nie poprzestanie.

- No, tylu odwiedzających ostruguje interes biednego Guinolé...

- Interes?

- Kutasa, jak wolisz.

- O-o!

Larry rozkoszuje się lekko nadaśanym, zde gustowanym sposobem, w jaki Beth wymawia słowo „kutas”, tak jakby jej rzeczywiście dyndał przed nosem, kiedy to mówi.

- Dość że co jakieś dwadzieścia lat trzeba było ten jego członek, tego kutasa, wymieniać. Wytaczać z drewna i doprawiać nowy. Doprowadzeni do rozpacy księża zagipsowali w końcu członek, by wkrótce stwierdzić, że ludzie zeszkrobują i zabierają do domu gips.

- I jaki z tego wniosek? - pyta żonę Larry. - Sugerujesz, żebyśmy odbyli pielgrzymkę ratunkową...?

- Wniosek taki, że to, ta rzecz, która cię niepokoi, to stary i ogólnoludzki problem. Potencja, płodność. Odwieczny strach przed śmiercią, w symbolicznym kostiumie.

- Aha - kwituje jej słowa Larry tylko na pół drwiąco. - Więc o to chodzi.

- O to, że jesteś absolutnie normalnym, typowym przedstawicielem rodzaju ludzkiego.

- Produkt masowy. Wspaniale.

- Czego ty właściwie chcesz, Larry? Ba, żeby to wiedział.

*

Ich prywatnym określeniem stanu Larry'ego stało się „to”. „Czy »to« ci ciągle nie daje spać?” „Czy »to« ci ciągle gnębi?” „Opowiedz mi o »tym«.

Ale mówienie o „tym” z Beth tylko sprawę pogarsza. Chce ona być zbyt wylewnie pomocna, stosować zbyt pośpiesznie terapię intelektualną, uśmierzać jego niepokój, umieszczając „to” w przyjętym kontekście społecznym, jako coś, co się przydarza mężczyznom w wieku Larry'ego, przez co muszą wszyscy oni „przejść”.

Beth wierzy, że „to” funkcjonuje jak w powieści z jej wznoszącymi się i opadającymi perypetiami fabularnymi, że taki właśnie jest każdy żywot - los pisany niegdysiejszemu dziecku. To, czego doświadcza Larry, jest naturalną fazą. Rozdziałem. Stanem przejściowym, chwilowym przyplływem goryczy. Chciałaby, żeby Larry czynił jej wylewne zwierzenia - w każdym razie on to tak odbiera - tak by mogła odwrócić tok jego myśli. „»To« się lada chwila rozwieje” - powiedziała. Rzeczywiście powiedziała coś takiego nie dawniej niż wczoraj i, ułożywszy wargi w pęk, chuchnęła mu w policzek.

Problem jednak w tym, że Larry wcale nie chce, żeby „to” się rozwiało.

Ilekróć się budzi w nocy, trzecia, czwarta nad ranem, natychmiast zdaje sobie sprawę z obecności „tego” w pokoju, tak blisko, że mógłby je ująć w rękę i podziwiać wierność tego czegoś, co go sobie wybrało i teraz przy nim waruje. „To” ma rozmiary i twardość orzecha włoskiego, włóknistą zdrewniałą łuskę z paroma wypukłymi grzbiecikami i kryjącym się wypełnionym wydrążeniem w środku.

Larry próbuje sobie uzmysłowić swoje życie - swoje życie dotąd - i w głowie rysuje mu się od razu podziałka o kratkach równych, lecz dziwnie zwiewnych, jakby rodem ze snu. Ma nieżyjącego ojca i żyjącą matkę. Ma w Toronto siostrę, Midge, której prawie nie widuje, ale która, gdyby podejrzewała, że jest w rozpacz, zwolniłaby się na tydzień z pracy i wskoczyła do pierwszego samolotu, żeby mu fundować potężne kojące kataplazmy dobrego humoru. Jego najdawniejszy przyjaciel, Bill Herschel, jest pochłonięty żywotnym zadaniem ratowania ginących gatunków naszej planety - płaczące popiskiwanie nad sobą Larry'ego nie dotarłoby do niego w ogóle w konkurencji z losem zagrożonej flory i fauny środka kontynentu. Nie, Larry nie będzie w żadnym wypadku rozmawiał o „tym” z Billem.

W jakiej mierze oddziałuje na Larry'ego świat zewnętrzny? Wojny, zarazy, niesprawiedliwość rasowa, nędza trzeciego świata, ucisk kobiet? Czy to są sprawy, które mu spędzają sen z powiek w łożu, dzielonym z Beth? Chciałby, żeby tak było, chciałby być człowiekiem, który się zmagają z gigantami. Podziwiałby takiego osobnika.

Jak dotąd jednak jego niepokój zdaje się jedynie współbrzmieć z melodią zatroskanego świata. To, z czym on się boryka, to kwestia, do jakiego punktu doszedł jak dotąd w życiu.

Jest to względnie bezpieczna zabawa, gra liczb, prosta arytmetyka, cyfry na tej wyimaginowanej podziałce. Musi się skoncentrować na cyfrach, zarazem musi jednak spoglądać na nie z ukosa, oczami zezującymi z przymru-

zeniem. Zbyt wiele prawdy, wciąż tej samej prawdy, to łatwizna. (Ma nadzieję, że jego wysiłki nie podpadają pod kategorię „inventaryzacji” albo, co gorsza, rachunku sumienia).

A więc co? Ma jedno z rodziców, jedną siostrę, dwie żony, jedno dziecko.

Jest posiadaczem dyplomu sztuki kwiatowej (1969) z college'u technicznego prowincji Manitoba oraz znacznie nowszego i bardziej prestiżowego dyplomu (honorowego, nadanego przez Lasalle University) w dziedzinie projektowania krajobrazu.

Mieszkał w życiu w dwóch miastach, Winnipeg i Chicago. Równa się to dwóm krajom.

Nigdy nie zalegał z alimentami na dziecko. To fakt, który pozwala mu trwać w stanie wierności samemu sobie, temu ja pobłyskującemu wyrywkowo w migocie tymczasowych świateł drogowych.

Miał w życiu dwie toyoty, starą beżową corollę, którą przehandlował za dopłatą na prawie nową camry. Po camry przyszło srebrno lśniące audi, a obecnie dwudrzwiowa honda accord. Auta te to ubiór, który przywdziewa po włożeniu odzienia podstawowego. Tyle jeśli chodzi o cztery kółka. Jak dotąd.

Domy. Trzy. Dom, w którym dorastał, parterowy, z prostokątnym podwórkiem ogrodzonym łańcuchowym parkanem, z jego dziecinny pokojem (w sękatej sośnie), do którego się wchodziło przez kuchnię. Następnie dom na Lipton Street, kupiony tanio do remontu przez nabywcę, gdzie przez pięć lat trwania ich małżeństwa mieszkał z Dorrie i gdzie w dalszym ciągu mieszka ona z Ryanem. I teraz dom w Oak Parku, solidny, piętrowy, z eukaliptusową boazerią w holu i na klatce schodowej, z dużym długim na hipotecę, nie zadbane, szczególnie ogród, którego Larry dotąd nie tknął, niezupełnie przypadek „szewca, co bez butów chodzi”, ale prawie. Larry najchętniej pozwoliłby ogrodowi zdziczeć, polne kwiaty, trawa, ale może sobie wyobrazić protesty Stowarzyszenia Mieszkańców Dzielnicy. Pomiędzy tymi trzema domami były jeszcze wynajmowane mieszkania i miejskie domki szeregowe, niewarte pamięci, zapomniane, owe żalosne adresy przejściowe, od których się ścisza serce - 566 Calonia, 312 MacNair, 22 Ciscoe Bay, 2236 Harlem Avenue.

Zdrowie. Dawnymi laty popalał trochę marihuanę, ale teraz już nie. Planuje lada dzień powrócić do uprawiania joggingu. Ograniczyć spożycie kofeiny. Znamię na plecach - czy się powiększa? Ten pas tłuszczu tuż powyżej paska. Ta obecna bezsenność, która go dopada w połowie nocy. No, i tamto. Czy był kiedyś tym, co świat nazywa mężczyzną jurnym? Chryste Panie! Wątpi w to, niemożliwe, żeby tak było; jakiegokolwiek by przytoczyć dowody, zawsze będzie w to wątpił. Można by przywołać jego pierwszą - słodką, chętną, uslužną Sally. Potem pięć następnych, owo pogotowie ratunkowe, z ich rajstopami, dzinsami i minispódniczkami. Potem Dorrie, ich płomienne, intymne, intensywne, burzliwe dzieje. Po separacji z nią dwie czy trzy dalsze - to karygodne nie pamiętać dokładnie, ile ich było! I teraz Beth, spokojna przystań, błogosławieństwo, trwanie. Oto jego historia, ale nic w niej zdaje się nie odzwierciedlać prawdziwego jego. Czy był mężczyzną jurnym? Pytanie bez odpowiedzi. Kim jest ten cień, to jego doczesne ja?

Hobby. Jak ludzie mogą myśleć o swoim hobby, gdy ich ciała ulegają rozkładowi, a ich sprawy pozostają nie uładzone?

Religia. Jeżeli kiedykolwiek wierzył w Boga, Istota ta rozplynęła się dawno w cieniu jego labiryntów. Niedawno siedział w samolocie obok młodego człowieka, który czytał nowiutką szeleszczącą Biblię, obcował bezpośrednio z Bogiem, podczas gdy Larry zadawał się najnowszą powieścią Larry'ego McMurtry'ego. Raz, jadąc autem, posłyszał w radiu jakiś numer w wykonaniu piosenkarza Curtisa Mayfielda - nie pamięta, co to był za utwór - i poczuł przejmujący go dreszcz; zastanawiał się później, czy to było doznanie, które ludzie nazywają duchowym.

Spółkowanie, spazm miłosny - czy to należy do sfery religijnej? Ojciec żartował stale, że kościół jest dla grzeszników. I że ci tam tylko patrzą twoich dolarów. Natomiast matka zaczęła w ostatnich latach uczęszczać na niedzielną mszę, nigdy jednak się nie zdarzyło, żeby wspomniała w rozmowie telefonicznej czy w liście imię Boga lub Jezusa, dwóch głównych aktorów. Przez pewien czas wydawało się, że jej smutek będzie trwał do końca życia, tak jak trwają meble i porcelana, lecz nie, zaczął się wykruszać. Matka zrobiła się żarliwa i spokojna. Larry się zastanawia, czy matka się modli. Uważał zawsze, że modlenie się musi przypominać przemawianie do duchów, a jednak zdarzało mu się to czynić.

„Spraw, by to ustało, by się skończyło, pozwól mi mieć jeszcze jeden przyzwoity wzwód, nim umrę, pozwól mi zasnąć, Jezu”.

Kiedyś Larry słyszał, jak pewna kobieta mówi: „Ja wierzę w srebro. Srebro wysokiej próby”. Jego ojciec wyznawał porządek w suterenie. Jego matka, Dot, zdaje się wierzyć w winę i przebaczenie, a siostra w irygacje odbytnicze. Jaki niewidzialny cień ociera się o Larry'ego i poucza go, by wierzył?

Stanu, który uważa za podniecenie duchowe, doznaje Larry, zagłębiając się w nie znany wcześniej labirynt, szczególnie labirynt żywopłotowy. Założony z góry kształt labiryntu, jego zwody tyleż ekscytujące, co niepokojące, zmienny światłocień, bujny roślinny wzrost, zarazem pobudzany i kontrolowany - wszystko to rodzi w Larrym poczucie równowagi i wprawia go w uniesienie.

Na czterdzieste urodziny (17 sierpnia) matka przysłała mu czek na dwadzieścia dolarów włożony w jedną z tych kart urodzinowych dla mężczyzn, przedstawiającą nasycony barwami fotomontaż fotela, fajki, szklanki cocktailowej oraz irlandzkiego setera. Larry się zastanawia, jak matka sobie wyobraża jego życie, jego życie z Beth.

„Urządźcie sobie jubel - napisała swoim prawie nieczytelnym charakterem. I dalej: - Wiercie mi, życie naprawdę zaczyna się po czterdziestce”.

Beth dała mu śliczny reprint osiemnastowiecznej książki, *Nowe principia ogrodnictwa* Batty'ego Langleya, 1728, który zawiera pewną liczbę projektów niezwykle labiryntów ogrodowych.

Lucy Warkenten, stara przyjaciółka z Winnipegu, przysłała mu zestaw delikatnie marmurkowanych pocztówek własnej roboty, z wykaligrafowanym piórkiem jednym słowem: „Naprzód!”.

Bill Herschel przefaksował zaskakująco uroczyste życzenie: „Obiecujemy sobie, że następne urodziny będziemy obchodzili wspólnie”. (Kiedy sąsiadowali ze sobą w Winnipegu jako chłopcy, dawali sobie na urodziny kubki, które ciekły, gdy się je przechylało do ust, albo plastikowe psie kupki).

Siostra Larry'ego, Midge, wraz z nowym przyjacielem, z którym ostatnio mieszka, Ianem Stokerem, przysłała mu kartkę z dowcipnym wierszykiem o czterdziestych urodzinach. „Masz cztery krzyżyki? W świetle statystyki czas rzucić wybryki, korzystać z techniki”.

Ha!

Syn Larry'ego, Ryan, jak co roku przysłał mu krawat, który - Larry to wie - wybrała, za który zapłaciła, który zapakowała i nadała jego eks-żona, Dorrie. Krawaty owe wspinały się co roku na wyższy szczebel. Ten na czterdzieste urodziny jest piękny, włoski, z mieniającego się granatowego jedwabiu, ze wzorem, który Larry po dokładnym obejrzeniu identyfikuje jako oparty na starodawnym szkockim układzie labiryntowym Shandwick. Gdzie ona to znalazła i czy wiedziała?

Prawdziwym zaskoczeniem jest kartka urodzinowa od samej Dorrie. Od rozvodu wymienili niewiele listów, prezentów, nawet kartek - Dorrie nigdy nie była dobrą korespondentką. Ponadto przez pół roku potem, jak Larry ją

opuścił, trwało między nimi zaćmienie gniewnego milczenia. Obecnie widują się czasami, gdy Larry przyjeżdża do Winnipegu, i często rozmawiają przez telefon, konferują o swoim synu, Ryaniu. Jego stopnie w szkole. Jego alergia na fistaszki, która spowodowała w zeszłym roku konieczność natychmiastowej interwencji szpitala. Szyny ortodontyczne, tak czy nie? Rezerwacje na podróże Ryana do Chicago trzy razy do roku. Zaabsorbowanie Ryana sportem; czy to powód do niepokoju? Nie - uważa Dorrie. Tak - sądzi Larry, który interesuje się sportem tylko pobieżnie.

Po tylu latach pozostają ze sobą na stosunkowo przyjaznej stopie, prawda jest jednak taka, że stali się sobie obcy. Oglądając kartkę urodzinową Dorrie - pleciony wianek ciemnej zieleni z wytłoczoną w środku czterdziestką - Larry ze zdumieniem stwierdził, że zapomniał, jak wygląda jej pismo, jakie jest drobne, delikatne, dziewczęce i w jakie równe układa się linijki.

„Z okazji bycia starszymi i mądrzejszymi - napisała czymś wyglądającym na wieczne pióro. I zakończyła: - Z serdecznościami, Dorrie”.

Z serdecznościami. Takie deserowe słowo na po obiedzie. Te serdeczności cmoknęły go w serce. Nie z miłością, nie, nie z miłością. Cóż, kto oczekuje miłości od byłej żony?

A potem, dokładnie wczoraj, dopadła go myśl, że Dorrie, jego Dorrie, też za parę tygodni kończy czterdziestkę: 24 września. Niemożliwe. Jędrne, energiczne ciało Dorrie, wiotczące teraz, marszczące się, odbarwiająca. Nie! Przenigdy. Jej małe, wymowne, impertynenckie piersi obwisłe, niebiesko żyłkowane. Larry nie może sobie tego wyobrazić. Czy budzi się ona w środku nocy, siada wyprostowana na brzegu łóżka, wpatruje się w wyszczerbiony księżyc za oknem i zachodzi w głowę, w którym momencie jej życie zaczęło odpływać?

Larry zamrugał, żeby odpędzić ten obraz. Na przekór zmęczeniu rozwarł szeroko oczy, pozwolił im się powoli wypełnić smutkiem. Starzec się to śledzić stałe kurczenie się nieograniczonych możliwości. Otóż to.

Wychudzona, stara Laura Latimer Moorhouse z milwaukowskich Latimerów umówiła się na spotkanie z Larrym w jego biurze na Lake Street. Larry odebrał od niej okrycie - jakiś rodzaj lśniącego futra - i wskazał jej jeden z wiklinowych foteli, na który się osunęła, dysząc ciężko i ściskając gałkę swojej laski.

Bardzo wiekowa - pomyślał Larry. I w oplakany stan zdrowia. Jej broda miała kosmaty wygląd pluszu, skóra była żółta.

- Wygodnie pani? - zapytał.

Skinęła zdecydowanie głową, ale jej tapirowane blond włosy się nie poruszyły.

Chce zamówić labirynt żywopłotowy na terenach Szpitala Dziecięcego w Milwaukee, oznajmiła. Projekt pozostawia całkowicie jemu. Słyszała pochwalne opinie o jego projektach, z dyrekcją szpitala już sprawę uzgodniła. Koszty oczywiście pokryje ona. Jest gotowa wyasygnować znaczną sumę na urządzenie labiryntu i jego późniejszą konserwację, gdyż jej czas na tej ziemi dobiega kresu, a zrozumiała, że prowadziła życie głupie, bezmyślne i samolubne.

- Och, na pewno... - poczuł się w obowiązku zaprotestować Larry.

- Głupie, bezmyślne i samolubne - powtórzyła i usta jej się zacięły.

- Ależ my wszyscy... - zaczął znowu Larry.

- Nie. Większość ludzi prowadzi życie sensowne i rozumne. Fakt. Przemyślałam to. Z wyjątkiem notorycznych kryminalistów większości ludzi udaje się wejść w znaczące związki z bliźnimi. Troszczą się o siebie nawzajem. Ja, widzi pan, nie miałam nigdy okazji do żadnego bezinteresownego związku. Moi dwaj mężowie, cóż mam powiedzieć?... To byli skończeni łajdacy. I nie, proszę pana, nie mam własnych dzieci. Jakież komplikacje na odcin-

ku kobiecym, co może i lepiej. Ja byłam przez całe życie gruba. Gruba jako dziewczynka, gruba jako kobieta. Matka kochałaby mnie bardziej, gdybym nie była taka gruba, jestem tego na sto procent pewna. Sprawiała mi gorset, jak miałam osiem lat, kazała go nosić. Jakaż matka robi taką rzecz? Wyobraża pan sobie? Moja skóra pod gorsetem była jedną wielką raną, z pewnością od tej gumy. Byłam taka gruba jeszcze rok temu, do czasu, gdy stwierdzono tego raka, żołądek, wątroba, wszystko... Dlatego zrobiłam się po raz pierwszy w życiu chuda, koścista. Widzi pan przed sobą połowę osoby, jaką byłam; co ja mówię, jedną trzecią dawnej Laury Moorhouse. Trudno w to uwierzyć, prawda? Sto trzydzieści kilo ważyłam, a teraz wszystkiego czterdzieści pięć. Może pan to nazwać perwersją, ale ja jestem dumna, że ważę czterdzieści pięć kilo. Promienieję dumą. Jeszcze jeden grzech, ale i pociecha. Dlaczego labirynt, proszę pana? Wiedziałam, że pan o to zapyta. Bo zawsze miałam słabość do labiryntów. Może wyda się to panu obsesją, ale ja przez wszystkie te lata żyłam pod wrażeniem, że jestem sama rodzajem labiryntu, to znaczy, moje ciało. Wydawało mi się, że w moim wnętrzu coś się kryje i nikt nie może tego odnaleźć, tak dobrze jest schowane. I to wcale nie przez tę warstwę tłuszczu. Dlaczego na terenie szpitala dziecięcego? Słuszne pytanie. Nie dlatego, że bym kochała dzieci. Chyba ich raczej nie kocham. Dlatego że sama bym chciała być dzieckiem, nawet chorym dzieckiem, bardzo chorym dzieckiem. Tęsknię do mamy, do taty. Chciałabym, żeby stali koło mego łóżeczka, po obu stronach, przemawiali do mnie, kładli mi ręce na czole, patrzyli, czy mam gorączkę, koili mnie na zmianę, najpierw jedno, potem drugie. Bo tak mnie kochają. Niech pan mi wybaczy, postaram się nie zrobić panu historycznej sceny. Zwykle nie wpadam w histerię, ale rzadko mi się zdarza zwierzać się tak szczerze. Prawdę mówiąc, nigdy. Może to te leki, którymi mnie szpikują, tak mi rozwiązały język. Nigdy nikomu nie mówiłam, że pragnę, żeby mi ktoś kładł rękę na czole i tak ją trzymał. Przyciskał. Nie jest to chyba wygórowane życzenie, prawda? Nie rozmawiałam o tym, jak żyję, to znaczy, nigdy tego nie wypowiedziałam na głos. Jak bym mogła? Takich rzeczy się nie mówi w zwykłych rozmowach. A jak często zdarza się człowiekowi prawdziwa rozmowa, wymiana myśli taka jak nasza teraz, pana i moja, siedzących w tym pana małym gabinecie. Tylko te białe ściany. I zielone rośliny. Nic nam nie wchodzi w paradę. Nikt nie przykładła palca do ust, nie mówi: „Dość, dość, wstyd mi za ciebie”. Cóż, nie mogę powiedzieć, żeby mi się to kiedykolwiek przydarzyło. Nigdy, ani razu.

*

Dwa lata temu, kiedy Stu Weller był bliski śmierci, Larry poleciał do Winnipegu, żeby być przy jego łożu. „Przy łożu ojca” - ta ucukrowana formułka ze swoją obietnicą podsumowania. Co jednak faktycznie poczuł, znalazłszy się w szpitalu, to bezradne zażenowanie, jakiego doznają zdrowi w obliczu ciężko chorych.

Usta ojca zdawały się wielkie, grubowargie pod mięsistą jamą nosa. Ciężka skorupa męskiego ciała żyła jeszcze pod szpitalnym pledem, ale w środku kryła się cuchnąca zgnilizna. Larry mógłby przysiąc, że ojciec się wzdrygnął, widząc go wchodzącego do pokoju z tą niewczesnie zdrową twarzą. „A, to ty”.

- Męczy się łatwo - ostrzegła matka.

Znaczyło to, że podsumowania nie będzie. Larry pojął to od razu. Żadnych uścisków. Żadnych modłów. Żadnych wyznań ani błogosławieństw. To nędzny trik męzczyń umierających, żądać, by wyjawili swoje tajemnice, kiedy są już na dnie, a będą się zapadać jeszcze głębiej.

Lepiej być samym, nie odwiedzanym, kiedy się jest chorym - myślał Larry, śledząc defiladę gości, sąsiadów, przyjaciół, członków rodziny, przewijających się przez szpital Świętego Bonifacego, wszystkich oczekujących okruchów ostatecznej satysfakcji od Stu Wellera, śmiertelnie chorego, umierającego na raka, cuchnącego kałem, łapiącego tlen ostatnich godzin, na dobrą sprawę już nieobecnego.

- Czego pragnęłam - powiedziała siostra Larry'ego, Midge, która przyleciała z Toronto, gdzie otworzyła sklep z kostiumami teatralnymi - to jednej prawdziwej rozmowy z nieszczęśnikiem. - Bełkotała przez kapiące zimne łzy. - Nigdy nie rozmawialiśmy, rozumiesz, ani razu.

Larry sięgnął do kieszeni, wygrzebał kawałek chusteczki kosmetycznej.

- On nigdy nie był zbyt rozmowny.

- Jedno, co umiał, to zrzędzić. Natrzęsać się nad mamą, że wiecznie lata do jadłodajni tych swoich agapowców. Ty to co innego. Ciebie zabierał na mecze futbolowe, jak byłeś chłopcem. Na hokeja też.

- Faktycznie. - Zaskoczyło to Larry'ego. Zapomniał na śmierć o tych wspólnych wyprawach. - To było tak dawno.

- I co, przypominało to kontakt ojca z synem? Rozmawialiście ze sobą naprawdę, siedząc razem na trybunie?

- Nie sądzę. Może jakieś: „Świetna gra, co?”. Albo: „To był nędzny blok”. Do tego się to chyba sprowadzało.

- To do niego podobne.

- Raz mnie zapytał, czy kocham Dorrie. Nim się pobraliśmy.

- Naprawdę? Tak powiedział? Czy ją kochasz?

- Nie wierzyłem własnym uszom. Słowo „kochać” w jego ustach.

- I co mu odpowiedziałeś?

- Jak to, co odpowiedziałem?

- No, czy kochasz Dorrie. Powiedziałaś, że ją kochasz czy nie?

- Nie pamiętam.

- Nie pamiętasz? - Zmierzyła go wzrokiem. - Już była w tym głowa durnej Dorrie, żeby ci zmajstrować dzieciaka...

- Jezuniu, Midge. Znów ta śpiewka.

- Aha, ładna śpiewka. No, ale przynajmniej masz z tego interesu wspaniałego chłopaka.

- Prawda?

- Chociaż go prawie nie widzisz.

- Wiem, wiem.

- Ale mam nadzieję, że jak go widzisz, rozmawiacie ze sobą? Naprawdę rozmawiacie? W głowie mi się nie mieści, żeby ojciec ani razu nie porozmawiał z jedyną córką. Nawet kiedy Paul miał AIDS, kiedy umierał w hospicjum, nasz kochany ojczulek ani razu... nawet nie zapytał... nawet... Mój Boże, czemu ja się tak ekscytuję?

- Taki już był. To nie znaczy, że nie miał głębszych uczuć...

- Mogłabym go zamordować. Nie wolno człowiekowi być takim milczkiem. Ludzi, którzy nie rozmawiają z własnymi dziećmi, powinno się wsadzać do więzienia.

- To sprawa pokoleniowa. - Larry'ego kosztowała dużo ta rozmowa z siostrą, ale chciał ją kontynuować. - Porozumienie nie było rzeczą pierwszoplanową dla pokolenia rodziców.

- Myślisz, że on rozmawiał kiedy z mamą? Założę się, że nie. Założę się, że trwali cały czas w tym swoim tępym milczeniu. Przez wszystkie te lata jedli, spali, doglądali domu i ogrodu i nigdy się między nimi nic nie działo. Nawet ja z Paulem... Ale oni dwoje...

- Nie możemy wiedzieć, czy...

- Co znaczy nie możemy? Co chcesz przez to powiedzieć? Naprawdę uważasz, że oni mieli jedną prawdziwą rozmowę w całym swoim wspólnym życiu?

- Może - odparł Larry. - Chociaż nie mam na to dowodu.

*

Ostatnimi czasy Larry jest przeważnie smutny. Nawet kiedy podpisuje kontrakt, kiedy je, śmieje się w głos, usiłuje się kochać z Beth, czuje podskórnie jakiś niedostatek. Pragnąłby się skurczyć do wymiarów swego dawnego życia, ale hałaśliwa amplituda ostatnich lat domaga się ujęcia. Jest sobą zmęczony, ma dosyć swego nazwiska, bycia mężczyzną, tego upiornego ja, do którego jest przykuty, które musi za sobą wszędzie wlec. Nie może uciec od hańby swego obmierzle optymistycznego głosu, kiedy przyjmuje telefon, głosu zbyt jawnie modulowanego, by być prawdziwym, głosu, którego winien się strzec każdy, kto ma odrobinę pomysłu. Denerwują go własne manieryzmy, drobne przyzwyczajonka, nawyk sięgania palcami do węzła krawata w momentach stresu, niepotrzebnego odchrząkiwania, zanim zacznie mówić. „Oto ja, poważny, sympatyczny facet, żeglujący na fali swego życia. Facet - wszyscy to muszą przecież dostrzegać - przechodzący kryzys życiowy”. A, to!

Ale w głębi czai się nuda, Larry czuje, że nawet jego cierpliwa Beth jest tym zmęczona. Kiedy zapytała go ostatni raz, co z „tym”? Może w przyszłości, spoglądając wstecz, pożałuje wysiłku, jaki wkładała w te ich łożkowe rozmowy przed zaśnięciem, w próby wyrywania go z przygnębienia, w snucie na jego rzecz historyjek z jej obfitego skarbca, w starania o polatanie jego duszy, podreperowanie jego psyche do stanu używalności. Co za nuda! Tym bardziej że Beth jest obecnie zaabsorbowana przygotowaniem odczytu o świętych dziewicach, Cecylii, Małgorzacie, Mahii, Dorocie. W dziewictwie kryje się siła - zamierza dowodzić - cząstka ciała trzymana w rezerwie, w czym nie należy się dopatrywać przejawu bierności, lecz przemożnego panowania nad sobą. Beth ma to wszystko przemyślane do ostatniego szczegółu.

Co począć z zawodem osobistym, zastanawia się Larry. Jak go uleczyć? Nie potrafi nawet na własny użytek wytłumaczyć, jak do tego doszło, ale zapomniał rzeczy, które przyjmował na słowo - bezkrytyczną swobodę czy letarg miłości, zatopienie w pospolitym zadowoleniu. Nastąpiła jakaś utrata wiary, ma nadzieję, czasowa. Prędzej czy później przyjdzie odrodzenie, nie wątpi w to. Tylko kiedy przyjdzie?

Lecz nawet w stanie obecnego zagubienia Larry wie z całkowitą pewnością, że wszystkie ważne rozmowy jego życia będą z kobietami.

Tkliwie, z uśmiechem wspomina Vivian Bondurant. Viv o jasnych piwnych oczach i sprawnych dłoniach. Przez lata pracowali razem w latach siedemdziesiątych w Świecie Kwiatów i po całych dniach rozmawiali. Ich rozmowy były luźne, bezkształtne, zdolne opierać się ingerencjom z zewnątrz i nierównomiernym zamilknięciom. To Vivian nauczyła go, szczeniaka tuż po college'u, otwierać zasznurowane usta. Nie widział jej od lat. Ile też ona teraz ma? Czterdzieści siedem lat. Prawie pięćdziesiątkę. Chryste Panie.

Z Dorrie nie umieli rozmawiać. Nikt im nie powiedział, jak to jest w małżeństwie - że współmałżonkom trzeba przestrzeni, żeby dali upust nieustannemu cichemu pomrukowi myśli. Wymieniali między sobą informacje konsumpcyjne - tak to przynajmniej pamięta Larry. Klócili się o drobiazgi, o urażone uczucia, o pieniądze, o rodzinę, zupełnie jakby czerpali kości niezgody z lektury Ann Landers¹³. A pod koniec przeważnie milczeli, jakkolwiek jakaś cząstka Larry'ego zdaje się utwierdzać w przekonaniu, że ich milczenie miało swoją własną mięsistą fakturę.

¹³ Ann Landers - pseudonim, pod którym od roku 1955 niejaka Esther Friedman (ur. 1918) prowadziła rubrykę porad życiowych, przedrukowywaną w dziesiątkach pism na kontynencie północnoamerykańskim.

Z Beth było od początku inaczej. Leżąc w ciemnej sypialni, objęci ramionami, rozmawiają przed zaśnięciem godzinę albo dłużej i Larry czuje w uszach buzującą radość. Taka swoboda, takie nieproszone szczęście. Pewnej nocy na początku października, przy akompaniamencie wiatru dudniącego o północną ścianę domu, Larry opowiada żonie o wizycie Laury Latimer Moorhouse. Beth prostuje białe ramiona i szepcze mu w ucho: „Nie! To okropne! I co dalej? Och, Larry”. Potem zaczyna się na głos zastanawiać, co się stanie ze światem, który utracił kontakt z sacrum. Ludziom potrzebne są uniesienia, umiejętność wychodzenia poza swoje ja, wznoszenia się ponad nie. Ale jak to osiągnąć?

Jej ton jest tylko lekko spekulatywny. Beth wydobywa z siebie słowa tak szybko, jak formułują się jej myśli, słowa lekkie jak powietrze, wydycha je w powłoczkę koca, w pierś Larry'ego. Larry wyobraża sobie, jak drgania jej głosu przebijają tapetę, przenikają dostawioną ściankę działową, wiekową zaprawę i cegłę ściany i, ulatując w czarnej przestrzeń, przemieniają się w plamki w szklistej otoczce Ziemi.

I wtedy przypomina mu się, często przypomina, jak leżąc w łóżku za chłopięcych lat, słyszał przez ścianę głosy rodziców rozmawiających w sąsiednim pokoju. Ich nocne głosy, ich łóżkowe rozmowy. Drewniane chrypienie, gdy wychrząkiwali swoje ludzkie gardła czy wycierali nosy. Czasami trwało to w nieskończoność. Słowa były niesłyszalne, cicha, szemrzająca, powracająca muzyka, której treść pozostawała, przynajmniej dla ich syna, Larry'ego, nieodgadniona. Najpierw matka, potem ojciec, na przemian, jak zazębiające się ścięgi. Niekiedy zalegała cisza, po czym wznawiały się szemrzące dźwięki. Larry zapadał w końcu w sen, kołysany rytmem ich obcych głosów, głosów Stu i Dot Wellerów, jego milkliwych rodziców, ozywających na falach własnych stłumionych słów, uskrzydłonych tym, co znaleźli do powiedzenia w trwającej ciemności.

*

W te listopadowe dni Larry jest pochłonięty projektem Latimerów, rad, że ma zajęcie, świadom, że ekscentryczny zawód jest jedyną rzeczą, która go chroni przed pograżeniem się w niebycie. Praca koi także czający się wokół niepokój końca milenium, który wyśpiewuje własny wariant odwiecznego znowu, znowu, znowu. Larry wykonał pakiet wstępnych szkiców, rozkoszując się podczas rysowania szczęściem, jakie rozkwita między okiem a dłonią, między abstrakcją, która się rodzi w jego głowie, a namacalnym projektem. Niewielka nie zagospodarowana przestrzeń, ale jakże żywotna.

W zeszłym tygodniu wsiadł w samochód i pojechał do Milwaukee przedstawić projekt radzie nadzorczej szpitala. Jego krótką prezentację skwitowano serią oklasków, po czym przewodniczący rady wyraził żal, że wspaiała Laura nie doczekała realizacji wymarzonego labiryntu nawet na etapie planów, niemniej jednak... ehm... zbożne dzieło zostało oto szczęśliwie i chwalebnie zapoczątkowane, a finansowanie jest zdrowo zabezpieczone. Larry ma zielone światło, może zaraz zaczynać.

Zima zejdzie mu na planowaniu i angażowaniu podwykonawców, tak by w kwietniu można było zacząć sadzić żywopłoty. Larry zdecydował się na połączenie berberysu, dla jego pomarańczowoczerwonego jesiennego listowia, z dereniem, który się dobrze poddaje kreatywnemu przystrzyganiu. Pogodny czerwiec i lipiec powinny w pierwszym roku podwoić wzrost, tak że w sierpniu... W sierpniu! Tu ugodziła go nadlatująca z boku myśl - w sierpniu skończy czterdzieści jeden lat! Będzie miał już nie czterdziestkę z jej niezdarnie, nędznie skulonymi ramionami i żądłem zwątpienia, lecz czterdzieści jeden lat! Przyzwoity wiek, łagodny, pewny siebie, mądry, dobrotliwy wiek męski.

Liczba czterdzieści jeden rozdyma się w głowie Larry'ego jak balon słodczy, który on szorstko odpycha, jakby to była bania szaleństwa, dla której podźwignięcia nie schyli się o cal.

Pośrodku milwaukowskiego labiryntu Larry zaprojektował grupę wystrzyganych figur, okalających lustrzaną studnię życzeń, do której dzieci będą mogły wrzucać cenciaki, szepcząc swoje najskrytsze pragnienia. Żeby wyzdrowieć. Żeby żyć. Żeby dorosnąć. Żeby być takimi jak inni. Czy w końcu nie tego wszyscy pragniemy?

Labirynt ma jeden jedyny wlot, ale cztery wyloty, po jednym w każdym rogu. Dlaczego cztery? Większość labiryntów ma tylko jeden wylot, niektóre dwa, Larry jednak, po raz pierwszy w życiu, z powodów, których nie raczył jak dotąd wyjawić radzie nadzorczej, zaprojektował tym razem labirynt, w którym nie istnieje najlżejsza możliwość zagubienia się naprawdę.

Co do niego samego, Larry jest przekonany, że tylko udawał zagubienie, dobiegłszy czterdziestki, grał mężczyznę na progu niebytu. Dokonywał próby tego stanu, drapał się w niego, żeby sprawdzić wymiary, jakby poprzez symulowaną rozpacz mógł przyspieszyć rzecz samą - która nadejdzie, nieuchronnie nadejdzie. Strzała jest już w locie, tyle Larry wie.

Na razie jednak jest bezpieczny. Szala powróciła cudownym sposobem do równowagi i on jest z powrotem Larrym Wellerem, mężem, ojcem, posiadaczem domu i fraka. Równym facetem, który ma do wykonania zleczone zadanie. Jak dotąd - wszystko gra.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Chłopak Larry'ego *1991*

Trzy razy do roku Larry jeździ na Międzynarodowe Lotnisko O'Hare odebrać syna. Ryan ma teraz dwanaście lat, prawie trzynaście, i odkąd ukończył ósmy rok życia, dokonuje tych samotnych lotów z Winnipegu do Chicago - na przerwę wiosenną, na miesiąc podczas wakacji letnich i na kilka dni w okresie Bożego Narodzenia.

Winnipeg leży na ciemnym zakrzywionym krańcu świata, w strefie śniegu i lodu oraz niewiadomych Królewskiej Policji Konnej, rajskiego wędkowania i socjalistycznej opieki zdrowotnej - tak przynajmniej uważają chicagowscy znajomi Larry'ego. Larry jednak wie lepiej, wie, że jest to takie samo miejsce jak każde inne. Średniej wielkości miasto pulsujące życiem, rozwijające się, położone u zlewiska dwóch rzek, rozłożystej Czerwonej i wijącej się, niejako kobiecej Assiniboine. Winnipeg jest miejscem, gdzie Ryan się urodził blisko trzynaście lat temu, w słoneczne późnosierpniowe popołudnie, o wpół do czwartej, w Szpitalu Miłosierdzia, łatwy poród. Jest jedynym miejscem, gdzie dotąd mieszkał.

Wizyty chłopca są stresujące dla wszystkich zainteresowanych. Druga żona Larry'ego, Beth, trzydziestoparoletnia kobieta wykładająca w Studium Kobięcym College'u Różańca Świętego, choć obdarzona talentem towarzyskim i osobistym czarem, jest zaskakująco nieporadna w obcowaniu z dziećmi. Jedynaczka starszych rodziców, pozostaje z wyboru bezdzienna. W kontaktach z Ryanem w jednej chwili stosuje podejście rodem z pedagogiki Beatrix Potter, jest czuła, pieśczośliwa, troszczy się, co chłopiec je, czy dość śpi i czy nie ogląda za dużo telewizji, by w następnej chwili przełączyć się nieoczekiwanie na bieg nakręcanej poufałości. Robi do Ryana miny, szczyrzy zęby, co jest zupełnie nie w jej stylu, stwarza fikcję, że wszystko jest wygłupem, zaraz poślizgniemy się na skórce od banana. Z jej ślicznych ust sypią się niewłaściwe słowa, niemądre propozycje, jej ciało, swobodne, smukłe, niefrasośliwe ciało, które Larry uwielbia, nawet ono podaje się raptem do przodu, po czym odskakuje od Ryana. Jak się ściska dwunastoletniego chłopca? Może w ogóle go się nie ściska. Pewno lepiej - decyduje Beth - pozostawić uściski Larry'emu, który jest w końcu rodzonym ojcem chłopca. Tego lata powitała pasierba swoim najszerszym uśmiechem („Cześć, wodzu!”) oraz energicznym pompującym uściskiem dłoni, jednorazowym zdecydowanym gestem, żeby mieć to jak najszybciej z głowy. Zauważyła, że dłonie chłopca są zawsze lepkie, zwróciła na to dwa czy trzy razy uwagę Larry'emu. Czy ta lepkość to przypadłość dzieci w ogóle, czy też tylko Ryana? Nadmierne wydzielanie gruczołów potowych czy też niedostatek higieny? I dlaczego on jest taki spokojny?

- Nie jest wcale taki spokojny - odparł Larry. - Tylko nie bardzo wie, czego od niego oczekujemy.

- No, a czego oczekujemy?

Mówili już o tym nieraz, mimo to Beth pyta. Jej głos wpada w takich razach w wibrację piosenkarzy stylu country.

- Niemożliwego.

- To znaczy?

Błada troska dobrej macochy.

- Żeby się zachowywał jak dziecko. Nasze dziecko. Członek rodziny, jeden z nas.

- Jasne, rozumiem. No, rozumiem. Chcesz powiedzieć, że powinien się wpasować w nasze życie bez myślenia, że się wpasowuje.

- To i jeszcze ta druga sprawa.

- Jaka druga sprawa?

- Fakt, że jako mały chłopiec został mniej czy bardziej porzucony. Pamiętaj, że to ja się wyniosłem z domu. Tak to musiało w każdym razie wyglądać z jego perspektywy.

- No, i jeszcze to, że wziąłeś sobie nową żonkę.

Larry spojrział na nią uważnie. Słowo „żonka” zabrzmiało w jej ustach fałszywie. Nie wiedział, do czego Beth zmierza, w jaki się wprawia nastrój.

- Wszystko to razem - powiedział po chwili.

- Nie dziwię się, że jest taki spokojny. - Głos Beth załamał się na współczującym westchnieniu. - On pewnie bez przerwy myśli, myśli. Myśli, jaki go spotkał parszywy los. Biedny dzieciak.

- Ma przynajmniej jakąś stabilizację. Dorrie zawsze...

- To kiedy on wraca do Winnipegu?

- Dwudziestego drugiego.

- To jeszcze dziesięć dni!

- Wiem.

*

Jako architekt zieleni z kontraktami w całej Ameryce Północnej Larry dużo podróżuje i często widzi w samolotach dzieci rozwiedzionych rodziców. Łatwo je rozpoznać. Stewardesy sadzają je przy oknie, przynoszą im przed startem kredki albo łamigłówek, pochylają się nad nimi i przemawiają do nich łagodnym głosem, jakby dla wynagrodzenia im zamętu uczuciowego, jakiego już doświadczyły w swoim krótkim życiu. Dzieci te są czyste, po większej części spokojnie ubrane, z wyszczotkowanymi włosami i twarzami o zastygłym, szklistym wyrazie zaprawionych, lecz niepewnych podróżników. Mimo swojej młodości i lęków, mimo brutalnych ciosów, jakie je niewątpliwie spotkały, potrafią roztaczać aurę obycia towarzyskiego. I owszem, odbywały już tę drogę. Niejeden raz. Mama mieszka w Teksasie, tato w Toronto. Albo na odwrót. Nie, nigdy nie cierpią na chorobę morską (to wypowiedane z odcieniem dumy, choć tonem nieśmiało konfidencjonalnym). Były dwa razy w Disneylandzie. Widziały mecz Blue Jaysów. Są szczególnie dobre w matmie, przyjaciel mamusi przerobił z nimi dzielenie. Co do przyjaciółki tatuścia...

Larry'emu kraje się serce. Wydaje mu się, że nie przeżyje tego.

Międzynarodowe Lotnisko O'Hare jest gigantyczną łamigłówką ze swymi terminalami oznaczonymi każdy innym kolorem, ze swymi halami i setkami bramek - olbrzymia sortownia dla obznajmionych, a płatanina dla nieobznajmionych. Przyjezdni, mrugając, wynurzają się z wyjść, wlokąc cudem odzyskane bagaże, nie dowierzając, że odnajdują drogę do przyjaznej świeżości zakorzenionego świata. Niepełnosprawni i dzieci mają przyobiecana eskortę personelu odnośnej linii lotniczej, ale Larry, czekając niecierpliwie na ukazanie się Ryana, zawsze drży, że coś z tym nie wypali. Zdarzyło się to raz, dwa lata temu, kiedy Ryan miał dziesięć lat. Wsiadłszy z samolotu, znalazł się raptem sam.

Zareagował jednak w zaskakująco spokojny sposób - rozpytując się, powędrował szerokimi korytarzami od punktu do punktu. Jego włosy zostały krótko ostrzyżone na letnie wakacje i, wypatrywszy go po długim szukaniu, Larry o mało się nie rozplakał. Błada kanadyjska twarz syna, kruchy zarys jego czaszki obnażonej dla świata, drob-

ne kościste ciało chłopca w krótkich spodenkach i letniej koszulce, przytłoczone rozmiarami brezentowego plecaka. Czy w oczach Ryana kręciły się łzy? Larry nie był tego pewien, wilgotny błysk rozpoznania w jego oczach mógł oznaczać wszystko.

Odbieranie Ryana na lotnisku to dla Larry'ego zawsze ta sama historia. Nerwowe wypatrywanie go w tłumie, potem fala ulgi w obliczu jego realnej obecności, staranie przyciągnięcia jego wzroku - o, jest tam, oszołomiony, machający niemrawo w oddali. Bezpieczny. Ruszają naprzeciw siebie i po chwili obejmują się niezręcznie. Larry pochyla się, opasuje ramionami żebra chłopca, Ryan jest niepewny swojej roli w tym uścisku, ich dwa nieprzystające męskie ciała przywierają do siebie, próbują dowieść czegoś ważnego ludziom wokół. Sekunda czy dwie faktycznego zwarcia to wszystko, na co ich stać - Chryste Panie, co za teatr - po czym szorstkie klepięcie w ramię: „Czołem, chłopie”. No i dobra.

Tak się to załatwia, prawda? To jest to, co wszyscy robią.

Pierwsze spojrzenie na Ryana jest w nieunikniony sposób zmacone nakładającym się obrazem matki chłopca, Dorrie.

W powietrzu migoce jej imię, zniekształcające obraz jak fala upału, twarz jego byłej, jej sprężyste ciało, obracające się, uginające, borykające z tym, co świat jej zwałił na głowę, co on, Larry, zwałił jej na głowę. To ona, Dorrie, usankcjonowała to barbarzyńskie obsmyczenie głowy chłopca. To ona, o tysiąc pięćset kilometrów stąd, w Winnipegu, przypasała mu o świcie do ramion plecak, plecak napakowany, utkany skarpetami zwiniętymi w kłębki ciasne jak bomby. Wybrała i sprawdziła czystą, równo poskładaną bieliznę syna, koszule i spodnie, ciepłą kurtkę, na wypadek gdyby pogoda się załamała, nowiutką szczoteczkę do zębów w ochronnym futerale - ona to wszystko zrobiła, każdy atom tego to jej dzieło. A widzicie te szyny na zębach biednego Ryana? To ona, Dorrie, rozpytywała się dokoła, szukała, aż znalazła odpowiedzialnego ortodonta, który jej nie puści z torbami; to ona siedzi i czeka w pomarańczowo-beżowej poczekalni, przerzucając sfatygowane czasopisma i historie biblijne z południowoafrykańskiej oficyny, podczas gdy Ryan jest poddawany comiesięcznej torturze zaciskania szyn. Matka zafunduje mu później lody, wypożyczy może film wideo, obejrzą go podczas kolacji we dwoje nad odgrzewaną lasagnią, ulubioną potrawą Ryana, która, co ważne, nie stanowi zbyt dużego wyzwania dla jego zębów i dziąseł. Cisza. Spokój. Wieczór jak tysiące innych wieczorów.

- To jak się ma mamusia?

Larry zawsze zadaje to pytanie, wioząc syna do Oak Parku. Pierwsze prawdziwe pytanie.

- Dobrze - odpowiada Ryan.

*

Latem 1987 roku Ryan pozostał w Chicago dodatkowy tydzień.

- Mam nadzieję, że wam to nic nie komplikuje - powiedziała Dorrie przez telefon z Winnipegu. - Trafia mi się okazja wypadu do Londynu, jeden z tych tanich ośmiodniowych lotów.

- To wspaniale! - odparł Larry tonem przesadnego entuzjazmu.

- Jesteś pewien, że Beth nie będzie miała nic przeciwko temu?

Dorrie wymawia imię nowej żony Larry'ego z wystudiowaną ostrożnością. Mówiąc „Beth”, nadyma to słowo powietrzem jak balon.

- Beth uwielbia, jak Ryan tu jest.

Nie jest to całkiem prawda, ale też nie całkowite kłamstwo. Obecność Ryana wyprowadza Beth z równowagi. Czyni ją drażliwą, to wszystko.

- A co, czy jedziesz w interesach? - spytał Larry była żoną przez telefon.

Dorrie ma smykałkę do handlu, awansowała do szczebla wicedyrektora do spraw sprzedaży w dużej i wciąż rozwijającej się firmie produkującej odzież sportową. Jest rzeczą możliwą, że jej szefowie myślą o wejściu na rynki zagraniczne.

- Nie, to raczej urlop - odparła Dorrie. Po czym dorzuciła towarzyskim tonem: - Nie byłam za wodą od naszej podróży poślubnej. Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego. Wyobrażasz sobie?

- Faktycznie - powiedział Larry.

Ciekaw był, czy leci sama, ale przezornie powstrzymał się od pytania.

- Będę mieszkać w domu przyjaciół - podjęła Dorrie. - I pomyślałam, że powinieneś znać adres. Na wszelki wypadek, rozumiesz, gdyby coś się stało. Gdyby się odezwała alergica Ryana. Fistaszki! Nie może się stykać z fistaszkami w żadnej postaci.

- Wiem - odrzekł Larry.

- Musisz szczególnie uważać na olej fistaszkowy. Bywa we wszystkim.

- Wiem.

- Przeszedł już dwie zapaści...

- Wiem.

- ...więc chcę, żebyś wiedział, gdzie mnie szukać.

- Świetna myśl - odparł Larry, który nieuchronnie wpada w przesadę, ilekroć rozmawia ze swoją byłą. - Wezmę tylko ołówek.

- Siedem Wellfleet Road, Hampstead. To jakoś na północ od Londynu czy może to północna część miasta. Nie jestem pewna. Z listami Davida Ellingwooda.

Przeliterowała nazwisko, po czym wyterkotała numer telefonu. David Ellingwood. Larry zapisał nazwisko. Pierś rozsadzało mu głośnie dudnienie, czubki palców pulsowały. David Ellingwood. O ile wiedział, Dorrie od czasu rozwodu nie weszła w żaden poważniejszy związek.

- On ma automatyczną sekretarkę. Nagraj się, gdyby nas nie było.

Gdyby ich nie było. Dorrie i tego mężczyzny nazwiskiem David Ellingwood. O-o! Słuchawka w jego dłoni zrobiła się cała mokra.

Rozeszli się z Dorrie w 1983 roku, rozwód został sfinalizowany rok później. Rozkład małżeństwa, separacja, sprawa nie do naprawienia. Za całkowitą obopólną zgodą. Obecnie Larry jest ożeniony ze swoją piękną Beth, która w odpowiedniej chwili wpłynęła tanecznym krokiem w jego miłosne tęsknoty. Więc co się z nim dzieje, czemu ewentualność romansu w życiu Dorrie przyprawia go o mrowienie głowy? Czemu serce bębni mu jak łyżka w rondlu? David Ellingwood, no, to przyzwoite nazwisko. Prawdopodobnie także przyzwoity facet. Dorrie nie utraciła swojej urody, więc czemu by nie miała zwrócić uwagi przystojnego mężczyzny? Przystojnego Anglika, któremu zależy na niej tak dalece, że ją zaprasza na urlop do Anglii. Może przysłał jej nawet bilet lotniczy, tak mu pilno, żeby się znaleźć w jej towarzystwie. Tak mu pilno... pilno do czego? Od jak dawna to trwa?

- Mamusia dzwoniła wieczorem - oznajmił Larry Ryanowi rano po telefonie Dorrie. - Powiedziała, że możesz u nas zostać jeszcze tydzień.

- Dlaczego? - spytał Ryan.

Twarz mu się wyciągnęła, zagryzł wargę.

- Jedzie na urlop do pana Ellingwooda.

- Do kogo?

- Do Davida.

Larry puścił to imię niewinnie w przestrzeń, czując do siebie obrzydzenie.

- A-a, do niego.

- Znasz Davida?

- To on mnie nauczył grać w szachy, ale potem wyjechał.

- Więc umiesz grać w szachy? - spytał Larry, który od młodości grywał w szachy ze swoim przyjacielem, Billem Herschelem, ale nigdy nie pomyślał, żeby nauczyć chłopca w wieku Ryana.

- On nauczył najpierw mamusię, a potem mnie.

Larry spróbował sobie wyobrazić Dorrie pochyloną nad szachownicą; było to niemożliwe. Jego Dorrie, która nie potrafiła nawet równo ułożyć tabliczek przy grze w scrabble.

- Chcesz powiedzieć, że mamusia grywa teraz w szachy?

- Jest bardzo dobra. Wygrywa czasami nawet z nim.

- Z kim?

Chciał usłyszeć to imię z ust Ryana. Chciał, żeby go ugodziło w serce jak zatruta strzała.

- Z Davidem.

- Aha.

*

Larry i Beth byli od paru miesięcy małżeństwem, kiedy Ryan przyleciał pierwszy raz do Chicago. Pierwsze dni były dla całej trójki okropne. Ryan przyglądał się podejrzliwie Beth z nieufnością jedynaka, z półotwartymi ustami, z gładko przyczesanymi włosami, spowitymi w ochronną bańkę rezerwy. Głowa obracała mu się sztywno na karku. Larry nie miał wątpliwości, że musiał się nasłuchać opowiadań o macochach i ma się na baczności.

Beth była również spłoszona. Znalazła się w nowej roli, której nie spodziewała się grać nigdy w życiu.

- Mów mi Beth - zarządziła, gdy tylko stało się jasne, że Ryan nie zamierza zwracać się do niej nijak. - Będziemy dobrymi przyjaciółmi, jestem tego pewna.

Jej skrepowanie było tak wielkie, że uciekała się ustawicznie do słów, które wymagały ujmowania w cudzo-słów. „Fajowe” - powiedziała o jego skrzydłach Batmana. „O, rany!” - na widok koszulki z napisem „Ratujcie zagrożone gatunki”. „Bomba!” - kiedy Ryan nieoczekiwanie odpowiedział na pytanie radiowego quizu o notowania baseballowe.

Larry zabrał Ryana do Muzeum Fielda, co się zakończyło częściowym sukcesem, i do Instytutu Sztuki, co się okazało kompletnym niewypałem. Zabrał go do Ogrodu Botanicznego w Glencoe, żeby mu pokazać krzewy strzyżone w kształt zwierząt. („To ma być żyrafa” - powiedział, wskazując jedną z liściastych figur, na co Ryan zapytał ze zdziwieniem: „A dlaczego nie jest?”). Innego dnia zabrał go na mecz Cubsów na Stadionie Wrigleya.

Beth wymawiała się od udziału w tych wyprawach. Pisała rozprawę o zapomnianej średniowiecznej świętej, słynącej z tego, że całowała siedzenia krzeseł, na których usiedli ludzie, i piła wodę, w której myli nogi. Żarliwość religijna graniczy z obłądem - dochodziła do wniosku - dbała jednak, żeby umiejscawiać fakty w kontekście historycznym. Zbyt łatwo jest wyśmiewać przesadną pobożność. W ogóle wszelką przesadę.

Oboje, Larry i Beth, zwrócili uwagę, że Ryan rzadko się śmieje. Z pewnością nie jest taki poważny, kiedy się bawi w domu z kolegami z sąsiedztwa. Tęskni czy też cierpi na lekką depresję? Nigdy nie wszczyna również

rozmów, a na pytania Larry'ego odpowiada monosylabami: tak, nie, uhm. Co myśli o filmie *Supermani* Taki sobie. (Mówiąc, ma w koniuszkach ust okruchy krakersów). Czy to nie wspaniały okaz? I owszem. Co by powiedział na tę ośmiornicę? Może być.

Czy można kochać takie gapiowate, oporne dziecko? Co to w ogóle znaczy kochać dziecko?

*

Ma się rozumieć, Larry kocha syna. Sumuje w myśli oczywiste fakty. Ryan jest spokojny, czysty, dobrze wychowany, reaguje na propozycje, uczy się dobrze, słucha uważnie, no i wykazuje oznaki odwagi fizycznej. Owego pamiętnego dnia, kiedy w wagonie metra, którym jechali, szalał obłąkany, uzbrojony, półnagi facet, żądając, żeby wszyscy padli na kolana i okrzyknęli go Panem Wszechświata, Ryan skandował „Pan Wszechświata, Pan Wszechświata” z drwiącym uśmiechem na dziecinnej twarzy.

Podczas jego pobytu Larry co dzień podpompowuje na nowo swoją ojcowską miłość, pobudza ją sztucznie, przesiewa jej racje w pyłe swego umysłu. „Owszem, kocham tego dzieciaka, oczywiście go kocham, jakież ojciec mógłby nie kochać swego syna?”. W swojej przebiegłości apeluje w ten sposób do uporczywie wibrującego nerwu umieszczonego gdzieś w sercu czy w płucach, czy w śledzionie, gdzieś tam w środku, skąd słowa miłości wznoszą się w pustkę czaszki, żeby tam buzować swoją natarczywością, zapełnić całą dostępną przestrzeń.

A od czasu do czasu - przynajmniej raz w okresie trwania każdej wizyty - rozbłyska jaskrawa racja autentycznej miłości, staje się na moment czy dwa szczodrym światłem: rzeczą samą. Jak wówczas, kiedy Larry wpasował auto w skąpą wolną przestrzeń koło Plaży Północnej, a siedzący obok Ryan wydyszał: „No, wspaniale parkowanie!”. Albo kiedy Larry spogląda z góry na czysto wygolony kark Ryana pochylonego nad komiksami w „Chicago Tribune”. (Ach, ta potęga schylonej chłopięcej głowy!). Albo kiedy Ryan się wynurzył owego dnia w Akwarium z pokazu filmu o przygodach podwodnych, z jasnymi, błyszczącymi, rozświetlonymi podziwem oczami, tak przejętymi intensywnością chwili, że Larry wiedział, iż wszystko ułoży się między nimi dobrze - bez względu na to, co przyniesie przyszłość, bez względu na to, jak bardzo mogą jeden drugiego zawieść. W takich momentach miłość wybucha jak fajerwerk w sercu Larry'ego. To jego dziecko, owoc jego pierwszej namiętnej miłości. Ciało z jego ciała. Jego kochany syn.

*

W wieku sześciu lat Ryan miał niedowagę. Był niejadkiem. Cierpiał na alergie. Bał się ciemności i zdarzało mu się robić w łóżko. Raz po raz się przeziębiał i nie mógł wyjść z zapaleń ucha. Łatwo płakał, nie znosił najmniejszej nagany. Nie patrzył ludziom w oczy, nawet własnemu ojcu, szczególnie ojcu. Temu ojcu, który rzucił żonę i dziecko, spakował pewnego późnego popołudnia w Winnipegu parę walizek i wyprowadził się z domku na Lipton Street do obskurnego mieszkania na Westminster Avenue.

Larry przypisywał sobie oczywiście winę za różne niedomagania syna. Dzieci z rozbitych małżeństw są same rozbite, prosta sprawa.

W pierwszych dniach separacji, kiedy Larry mieszkał jeszcze w Winnipegu, dzwonił do syna co wieczór, ale co można powiedzieć przez telefon takiemu malcowi? Świat dziecka to nie konwersacje, lecz elastyczne balansowanie między tym, co dozwolone a co niedozwolone. Trzeba być tuż przy dziecku, żeby wiedzieć, co ono czuje, śledzić, czego się w danej chwili boi i ile jest w stanie znieść.

*

Pięcioletni Ryan powiedział do Larry'ego dziwną rzecz:

- Słyszę głosy w głowie, mówią do mnie cały czas.

Zaniepokoiło to Larry'ego w pierwszej chwili, dopóki nie rozgryzł, co to za głosy. Nie było to nic więcej niż myśli chłopca. Załączki samoświadomości. Początki tego długiego, nie retuszowanego, bezustannie trwającego monologu wewnętrznego, który będzie mu towarzyszył przez całe życie.

*

- Nie jestem za oddawaniem dzieci do żłobka - oświadczyła Dorrie po urodzeniu Ryana.

Jednakże parę miesięcy później to właśnie uczyniła. Chociaż z pieniędzmi było krucho, mogliby jakoś wyżyć z tego, co Larry w tym czasie zarabiał, ale Manitoba Motors, gdzie Dorrie pracowała, zaproponowało jej przejście do Działu Sprzedaży. Kobiety w salonie sprzedaży były wówczas nowością, ale Dorrie wkrótce dowiodła, że jest mistrzynią we wzbudzaniu zaufania klientów, umie z nimi tak rozmawiać, że wychodzą z poczuciem tryumfu.

- Traktuję ich jak gości, nie jak klientów - powtarzała chętnie - lubię, jak wychodzą zadowoleni.

Larry, wychowany przez matkę, która nie pracowała poza domem, nie miał przekonania do żłobka, jednakże w wieku dwóch, trzech lat Ryan sprawiał wrażenie stosunkowo szczęśliwego dziecka. Wieczorami, po kąpieli, gdy już Larry przeczytał mu jakąś historyjkę, lubił w piżamie biegać po ciepłym domu. Piski jego zadowolenia z brawurowej umiejętności utrzymywania równowagi miały swoje echo w szczęściu Larry'ego, szczęściu, któremu się opierał. „To nie może trwać” - mówił sobie, nie potrafił jednak zidentyfikować przyczyn swego niepokoju.

*

Larry był przy żonie w szpitalu, kiedy rodziła Ryana. Uczęszczał z nią na sesje przedporodowe, a kiedy nadszedł czas, spędził siedem długich godzin, mierząc częstotliwość jej skurczów i pomagając jej oddychać, a potem śledził, jak mała, gorąca, niecierpliwa główka jego syna wynurza się z nierozpoznawalnie czerwonego, ociekającego owalu między udami Dorrie. Po główce wydobyły się ramionka, a potem, z wilgotnym płaszczykiem, małe, jakby okutane, muskularne ciało z dwiema ciemnymi gwiazdkami w centrum, jądrami jego syna. Chłopiec! Któż by uwierzył, że te dwa znamiona mogą być tak wyraziste od pierwszego momentu życia. (Natomiast członek był ma-ciupki, zwinięty, pączek jak na razie, zapowiedź).

Doktor wsunął Larry'emu w dłoń małe srebrne nożyczki i wskazał mu, gdzie dokładnie odciąć pępówkę. Larry pamięta do dziś mięsisty opór tkanki pod naciskiem nożyczek. W gardle jak śpiew wzbierało mu szczęście. Parę wilgotnych kosmyków na główce syna wydało mu się atrybutem doskonałości.

Pojął wówczas raptem, co znaczy być ojcem. Ta pierwotna potrzeba chronienia. Strzeżenia przed niebezpieczeństwem.

*

Dorrie Shawn zaszła w ciążę. Było to w roku 1978. Ona i Larry chodzili ze sobą przez ponad rok - „chodzili ze sobą”, tak to określali - i w tym czasie Dorrie przestawiła się z pigułki na krążek. Jej matka doznała parę miesięcy przedtem lekkiego wylewu i Dorrie zlekła się skutków ubocznych pigułki. Wszyscy się wówczas zlekli.

W owym czasie Dorrie miała własne mieszkanie i chciała, żeby Larry się do niej przeprowadził - mieszkał jeszcze z rodzicami, rzecz trochę nienaturalna w jego wieku, uważała. Napomykali od czasu do czasu o ślubie, ale w mglisty, niekonkretny sposób, jak w scenie z bogobożnego filmu z lat pięćdziesiątych, który oglądają dla śmiechu.

- Nie ma się po co śpieszyć - mówił Larry.

Był w strachu, całą siłą woli starał się, by jego głos brzmiał równo i niewymuszenie.

- Chcę mieć pewność - zwierzała mu się Dorrie. - Nie życzę sobie małżeństwa takiego jak moich rodziców, wiecznych awantur, bałaganu, dzieciaków płaczących się pod nogami.

I oto, nieoczekiwanie, zaszła w ciążę. Minęły dwa okresy, potem trzeci. Nie wspomnieli nawet o skrobance, zabrnęli w to za daleko; albo nie dość daleko. Żadne nie znało słów dla racjonalnego podejścia do sprawy, dla racjonalnej dyskusji. A szorstki tryb akceptacji ich małżeństwa - ze strony jej rodziny, jego rodziny - zamknął im usta, uczynił ich fatalistami.

Ryan był jeszcze malutkim dzieckiem, kiedy Dorrie zaczęła się martwić, co mu powiedzą, kiedy podrośnie.

- Dlaczego jego urodziny wypadają pięć miesięcy po naszej rocznicy ślubu? Dzieci pytają o takie rzeczy, wiesz. Zwracają uwagę.

- Będzie się musiał wpierw nauczyć liczyć.

- Dzieci uczą się teraz szybko. Mają *Ulicę Sezamkową*.

- Nie będzie pierwszym dzieckiem urodzonym nie...

- Nie mów tego. Nie cierpię tego określenia.

- ...nie z małżeńskiego łóżka.

- Musiałeś to powiedzieć. Mówiłam ci, że tego nie cierpię, ale ty musiałeś.

- Nikt już nie używa tego określenia. Nikt na to nie zwraca uwagi.

- Nie? A twoja siostrzyczka Midge? Uważa, że zrobiłam to rozmyślnie, żeby złapać jej ukochanego braciszka, przekłułam krążek czy coś w tym rodzaju. A tak naprawdę to ja się sama złapałam.

- Martwisz się, co myśli Midge?

- A twoi rodzice? Czemu wiecznie opowiadają, że Ryan był wcześniakiem, biedne, kochane maleństwo. Ładny mi wcześniak! Blisko cztery kilo! Dobrze sobie!

- Mówią tak, bo nie wiedzą, co powiedzieć.

- Tak czy inaczej, będziemy musieli coś w dwoje wymyślić. Przyjdzie taki dzień.

- No, powiemy mu - zdecydował Larry - że byliśmy parą zwariowanych dzieciaków.

- Raczej głupich - odparła Dorrie. Zrobiła minę. Minę cierpiętnicy.

*

Pewnie wie od lat, myśli Larry. Ryan, który przyjechał do Chicago latem 1991 roku, jest o dobre pięć centymetrów wyższy niż na wiosnę. Chłopak, który ma prawie trzynaście lat, musi wiedzieć. Wpadła mu może w ręce stara fotografia ślubna albo coś urzędowego, jakiś papier z datą, albo też ktoś mu coś powiedział, zrobił jakąś aluzję lub nawet wygarnął całą historię. Zawsze jest też możliwość, że sam sobie wszystko wykalkulował, powolna logika przenikała kropelkami do jego krwiobiegu, aż fakty się w końcu ułożyły w pełny obraz.

Ale jak młody chłopak ma sobie radzić z taką wiedzą? Co, jeśli Ryan uważa, że był jedyną przyczyną, dla której jego rodzice się pobraли, że to on jest winien fiaska ich małżeństwa?

Oczywiście, tak na pewno myśli, jak, u licha, mógłby myśleć inaczej? Oto on, drobina białka w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie, jego komórki mnożą się z każdym dniem, dając początek biegowi nieszczęść zakończonych rozejściem się rodziców. Jak radzi sobie z tym dwunastoletni chłopiec, chodzący po świecie z tulinem do piersi trującym sekretem, który leży u źródła jego życia? Co ma robić? Nie zapisze się przecież na psychoterapię dla przedwcześnie urodzonych dzieci ani na dwunastostopniowy program prowadzący do wybaczenia rodzicom ich karygodnej bez troski.

Gnębi to Larry'ego, zatruwa mu mózg. Czy nie powinno się było przemówić do dziecięcej duszy, gdy była jeszcze dziecięca? Larry wziął sobie na lipiec urlop i z pomocą Ryana atakuje zaniedbany ogród przy starym domostwie w Oak Parku, które kupili wraz z Beth. Stawiają nowy płot, zakładają przy kamiennej podmurówce *espalier* - judaszowiec wschodni - sadzą przy garażu szereg młodych dereni.

- Co to jest *espalier*? - spytał Ryan.

Espalier, wyjaśnił Larry, to roślina rozpięta na drabince albo drucie. Chce się rozrastać trójwymiarowo, to jej naturalna dążność, ale można ją zmusić do rozrostu w płaszczyźnie, dwuwymiarowo, tak by równo pokryła płot czy ślepa ścianę.

- To dość okrutne - orzekł Ryan.

Wyraził tę myśl tak spontanicznie, naturalnie i celnie - Larry powiedziałby to samo w jego wieku - że jego słowa zawisły na moment w powietrzu, nieodparte. Larry się zawahał, czy wszczynać dyskusję o tym, czy rośliny czują, i postanowił tego nie robić. Dzień był zbyt balsamiczny, chwila zbyt ulotna. Pokręcił głową, popatrzył na syna tkliwym wzrokiem.

- Może trochę - odrzekł w końcu i otrzymał w nagrodę nieśmiały uśmiech satysfakcji.

Ryan przejawiał nieoczekiwane zainteresowanie pracą. Pojechał z Larrym do szkółki wybrać drzewka, zaoferował cenną sugestię, jak podstarzyć płot po wschodniej stronie parceli - położyć warstwę szarej farby, na to warstwę białej farby i przetrzeć grubym papierem ściernym - tak by wyglądał, jakby stał „od stworzenia świata”. Larry miał pod dostatkiem okazji do obserwowania aktów koncentracji Ryana i jego bystrej, spokojnej chłopięcej kurtuazji - i do perwersyjnego odczytywania jednego i drugiego jako przejawów cierpienia.

Najwyższy czas - zdecydował - odbyć z tym jego jedynakiem rozmowę i ulżyć mu brzemienia samotnie dźwiganych podejrzeń. Będzie to jedna z ważniejszych rozmów jego własnego życia - sądzi - a być może życia syna także. Doznaje lekkiego dreszczyku na myśl o tym, jak rozkwitająca prawda oczyści przestrzeń, choć wie, że gdy nadejdzie ta chwila, nie będzie mógł znaleźć właściwych słów. Jakoś jednak wybrnie. Tam gdzie się zaległy ciemność i skrytość, on zasieje jasność i jawność.

Najpierw musi jednak omówić sprawę ze swoją byłą żoną, Dorrie.

Zadzwoił do Winnipegu któregoś wieczoru o jedenastej - kiedy Ryan poszedł spać na werandzie, a Beth, zmęczona po wakacyjnym kursie, który prowadzi w College'u Różańca, położyła się w sypialni na górze. (Dlaczego wizyty Ryana powodują konieczność potajemnych działań ze skradaniem się na palcach i sekretnymi rozmowami? Zawsze tak jest).

Dorrie przyjmuje telefon sennym głosem. Siedzi przy stole kuchennym - mówi Larry'emu - przegląda raporty sprzedaży na jutrzejszą ranną konferencję przy roboczym śniadaniu. W drugiej połowie tygodnia planuje wyjazd do Trois Pistols w Quebecu, gdzie się zapisała na błyskawiczny tygodniowy kurs francuskiego. W Winnipegu leje cały wieczór po wielotygodniowej suszy. Błyskało się w czasie kolacji, wiatr się zmienił. Jak się czuje Ryan?

- Mam zamiar odbyć z nim poważną rozmowę - obwieszcza Larry i wzdyga się na swój melodramatyczny ton.

- O czym?

Momentalna panika w jej głosie.

- Jeżeli myślisz o seksie, Larry, on to wie. Wie od lat. Kupiłam mu książkę na ten temat, a potem odbyliśmy długą rozmowę. Miał wtedy może dziewięć lat.

- To wspaniale - z fałszywym pochlebstwem.
- Nic w tym wspaniałego. - Jest teraz na niego wkurzona. I to jak! - Po prostu było to potrzebne.
- To właśnie miałem na myśli.
- Ale jak chcesz z nim jeszcze porozmawiać...
- Chcę... to znaczy, uważam, że powinniśmy mu powiedzieć o nas.
- Co o nas?
- O naszym ślubie, o jego urodzeniu. Myślę ciągle, że to go będzie gnębić. Doda sobie prędzej czy później dwa i dwa, jeśli już tego nie zrobił.

- O-o!
- Chciałem wiedzieć, co ty o tym sądzisz.
Krótka cisza, potem urwane: „J-ja...”. Rozpląkała się, Larry to czuje.
- Dorrie? Jesteś tam?
- Nie! - odzywa się Dorrie. - Nie chcę, żebyś mu o tym mówił.
- Prawdopodobnie doszedł już do tego sam.
- Tym bardziej nie ma powodu...
- Nie chciałbym, żeby się czuł odepchnięty, dlatego. Żeby to dusił w sobie, żył ze znakiem zapytania, jeśli wiesz, o czym mówię.

- Wiem, o czym mówisz.
- Więc nie myślisz...
- On wie. Jestem pewna, że wie. Były takie sytuacje. Pytania.
- Co za pytania?
- No-o, dlaczego się rozeszliśmy.
- Co mu odpowiadasz na takie pytania?
- Że byłam w tym czasie zbyt młoda, żeby wychodzić za mąż.
- Ja też. Byłem kompletny cymbał.
- Nie, Larry. Byliśmy oboje młodzi, ale ja byłam ponadto głupia, a w dodatku...
- Zbyttnio się obwiniasz.
- ...w dodatku stuknięta. Ale od tej pory otrzeźwiałam. Przemyślałam wszystko, przemyślałam potem, jak odszedłeś, zrozumiałam, że muszę skończyć z tym durnym uganianiem się za wyprzedzami, wiecznym wycinaniem kuponów, muszę z tym skończyć i zacząć żyć normalnie. Jedną z rzeczy, które rozumiałam, to to, że nie musi się wiedzieć wszystkiego do końca. Nie ma potrzeby wyciągać na światło dzienne każdego bzdurnego szczegółu. I nie chcę, żeby Ryan myślał... żeby myślał, rozumiesz, że musieliśmy się pobrać, że wzięliśmy ślub z konieczności...

Larry'emu przypomina się raptem, jak Dorrie zaczynała się jękać, kiedy płakała.

- Kochaliśmy się, Dorrie. To był prawdziwy powód, dla którego się pobraliśmy.

- Czyżby?

Larry nie potrafi rozgryźć jej tonu - jest gorzki czy błagalny?

- I owszem, kochaliśmy się - mówi, nadając swemu głosowi stanowczość. - Mogłem zapomnieć wiele rzeczy, ale to pamiętam.

Dorrie pociąga teraz nosem między słowami.

- Ryanowi nic nie będzie. Upora się z tym sam. Nie musimy mu wyklądać kawy na ławę.
- Pamiętaj, że to ty się martwiłaś, jak mu to wytłumaczymy.
- Byłam wtedy młodsza, nie miałam się jeszcze czasu pozbierać.
- A nie sądzisz, że by pomogło, gdybym...
- Z tym on się sam upora. Akurat z tą rzeczą. Proszę cię, Larry, zaufaj mi.

Larry pozwala, by upłynęła chwila, po czym mówi:

- Jeżeli jesteś tego pewna...
- Jestem pewna.
- Wyrósł na świetnego chłopaka.
- Prawda?
- Dzięki tobie.
- Dzięki tobie też.
- Nie będę cię dłużej trzymał.
- Pa, Larry.

W jej głosie są teraz łzy, Larry je słyszy.

- Dobranoc.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, przejmuje go to uczucie: wstydliva ulga. A po niej, bez ostrzeżenia, przychodzi potężny szok elektryczny szczęścia tak przemożnego, że zdaje się rozkrawać jego ciało od stóp do głów. Przez minutę, dwie, jego zmysły są jakby podłączone do stanu czystej błogości. Głos Dorrie, jego zamierająca wibracja. Na górze śpi jego tkliwa żona o białym ciele. Na werandzie jego ukochany syn, który ma na imię Ryan - przypomina sobie bez powodu Larry. Na zawsze pozostanie z nim to tajemniczo zesłane imię.

I co jeszcze? - zadaje sobie pytanie Larry. Jego własna szczęśliwa gwiazda, jego wątpliwa przeszłość, jego pomyłki i nadzieje, ten ciemny, cichy, przestronny dom i sekrety, kompromisy kryjące się - względnie niegroźnie - pod jego dachem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Larry'ego poszukiwanie cudowności i dobra 1992

W wieku czterdziestu dwóch lat Larry Weller, architekt zieleni z biurem na przedmieściu Chicago, sprawia wrażenie człowieka, który osiągnął w życiu swobodę i spokój. Nie interesuje go wspinanie się na firmament establishmentu. Prawdę mówiąc, już zaszedł w świecie dalej, niż kiedykolwiek się spodziewał. Wszystko w nim zdaje się wskazywać na mężczyznę w stanie względnej pomyślności. Jego bilet z elegancko enigmatyczną nazwą firmy. Jego opłacony rachunek karty kredytowej Visa. Jego równo złożone i spięte pokwitowania do zeznań podatkowych, przezornie przechowywane w miejscu, które zna tylko on i jego żona. Jego garnitury, dżinsy, swetry, szersze i węższe paski skórzane, sportowe buty i świeże skarpety - wszystko to schludnie okrywa i wygodnie odziewa niemłode kości Larry'ego Wellera i towarzyszącą im psychę, niekrępujący strój dobrej, lecz nie krzyczącej jakości.

Co więcej, jego cielesny kształt z niewyróżniającą się twarzą o fakturze ściśle tkanego brezentu, jego życzliwy, nieco zaokrąglający się tułów i członki pozwalają mu przybierać i utrzymywać, gdy zechce, pozę zadziwiającego bezruchu. Jego żona, Beth (dla ścisłości, druga żona), odnotowuje te jego pozycyjne wyczyny z niejaką dumą; sposób, w jaki potrafi - na jakimś przyjęciu ogrodowym, powiedzmy, czy na odczycie publicznym, wszystko jedno gdzie - siedzieć przez godzinę czy dłużej bez kręcenia się i drapania, panując nad kończynami tak, że przeobraża się w życzliwą, przyjazną statwę, nie przekłada nogi w irytujący sposób, jak to czynią bardziej nerwowi, mniej pewni siebie, bardziej nadskakujący mężczyźni. I ów sposób, w jaki Larry potrafi się pochylić pod absolutnie właściwym kątem ku grupce zebranych osób, z głową wysuniętą nieco do przodu, wyważonym ciałem, uważny i skwapliwy w wychwytywaniu każdej fluktuacji słownej. Przyjmuje z nieskończoną wdzięcznością - tak się przynajmniej wydaje - wszystko, co mu serwują, owe rozsiewane okruchy mądrości dzielnicy willowej, owe aluzyjne, wzajemnie schlebające żarciki czy też może jakąś anegdotkę wędrującą tam i z powrotem po przegrodach społecznych, wszystko to on, Larry Weller, jak sygnalizuje wymowa jego rozluźnionego ciała, wchłania z gorliwością i poklaskiem.

Nikt go tego nie uczył, przyszło mu to samo. Można by to nazwać uśmiechem losu, wynikiem fortunnego spojenia wiązki neuronów behawioralnych wszczepionych w jego rdzeń pacierzowy, niepowtarzalnych jak grupa krwi czy odciski palców. Ta swoista wyjątkowość jego ciała - jego nieruchomość, jego niewymuszona podatność - jest zawsze na miejscu, zawsze usłudnie obecna, ze swoim cierpliwym, podskórnym pytaniem: została wpisana w jego kod genetyczny czy też on sam ją wpisał?

Również jego głos promieniuje spokojem, dojrzałą dobrą wolą. Dominują w nim tony niskie i pełne respektu pauzy, przypisywane powszechnie a łaskawie kanadyjskim korzeniom Larry'ego, jest bowiem ogólnie wiadome wśród bliższych znajomych jego i Beth, że się urodził i wychował w kanadyjskim mieście Winnipegu. Mniej dokładnie wiadome jest, gdzie to miasto leży, gdzieś tam w górze, na północy, reprezentacyjny element tego układnego, białego, milczącego królestwa, z jego podstarzałą królową o wypełniającej się twarzy, ośnieżonymi łańcuchami górskimi, ludźmi popijającymi słodzoną herbatę, zrzucającymi wędki na pstrągi i kiwającymi pocziwie głową - tak jak w tej chwili Larry Weller kiwa do swego sąsiada w patio domu obok, w Oak Parku, popija małymi łydkami kalifornijskie chablis i zarzuca nieruchome spojrzenie na korony klonów, gdy go zapytać o pogląd na politykę George'a Busha i kolosalne koszty narodowego radia publicznego. Jeśli chodzi o plan powszechnej opieki zdrowotnej,

Larry notorycznie milczy. Temat, którego woli unikać. A co do (zmiana tematu) pierwotnych terenów Kanady, sławnej trasy kolejowej przez zachodnie terytoria, to wszyscy do niej wzdychają, czyż nie? Czy Larry się zgadza? Tak, bezwzględnie.

- Oboje z Beth mamy nadzieję pewnego dnia...

Czy Larry jest wrażliwy na mody? Skądże znowu. Ma geny lotne i żywe, lecz uwarunkowanie społeczne czyni go podejrzliwym wobec holdowania modom. Niedawno wypełnił quiz na temat stosunku do pop kultury i wylądował w grupie „młodych wapniaków”.

A więc człowiek ustawiony, wygodnie uplasowany, chociaż sam Larry, gdyby go zapytać - jak dotąd nikt go o to nie pyta - powiedziałby, że został na spadochronie spuszczonej w życie, które się kardynalnie kłóci z tym, co kiedyś znał. Jego dzieciństwo w Winnipegu było nieopisanie bezbarwne - chociaż może żadnego dzieciństwa nie należy ujmować w takich kategoriach. Dorastał jako drugie dziecko robotnika fabrycznego i niepracującej matki, której głównymi rozrywkami były w sobotnie ranki wyprzedaże staroci w najbliższym sąsiedztwie i niekiedy mecz futbolu na Winnipeskiej Arenie. Jako dziecko Larry uczył się w szkołach publicznych i nie miał w ogóle pojęcia, podobnie zresztą jak jego rodzice, że istnieją jakieś inne szkoły. Jego stopnie nie wznosiły się nigdy ponad przeciętność, a czasami spadały poniżej przeciętności. Przebrnąwszy przez liceum MacDonalda, uczęszczał przez rok do miejscowego college'u technicznego - biorąc pod uwagę problemy, jakie miał z matematyką, i wstydliwe wyniki na egzaminach, nikt nie sugerował, żeby się starał dostać na uniwersytet. Uzyskawszy dyplom sztuki kwiatowej w College'u Rzeki Czerwonej, rozpoczął powolną spiralną wspinaczkę - najpierw na kierownika winnipeskiej kwiatarni, potem przemieszczenie na południe, z Chicago jako punktem docelowym, gdzie studiował przez rok architekturę krajobrazu pod kierunkiem wielkiego Erica Eisnera, a następnie w rozparcelowane, hermetyczne, zielone i cieniście regiony ekskluzywnego i postępowego Oak Parku, gdzie jest dyplomowanym (honorowo) projektantem zieleni, specjalizującym się w labiryntach ogrodowych. (Prawdę mówiąc, zaprojektował w tym roku tylko jeden labirynt, dla Muzeum Dziecięcego w Muncie, w stanie Indiana, natomiast oblegany jest przez klientów, głównie ze słonecznego amerykańskiego Południa, którzy chcą mieć elżbietański ogród węzłowy, prostokątną kępę zieleni z historycznymi akcentami, wciśniętą między basen a kort tenisowy; z drugiej strony, pewien nowojorczyk zażyczył sobie fałszywej murawy na dachu swojej manhattańskiej rezydencji).

Ponadto, w wieku czterdziestu dwóch lat - jeszcze jedna niespodzianka! - jest mniej czy bardziej wypłacalny. Awansuje w świecie, wspina się wraz z Beth.

Wiecznie jednak - po prawdzie każdej minuty każdego dnia - jest przygotowany na zdemaskowanie i ruinę. Nie ma dyplomu uniwersyteckiego, którym mógłby się pochwalić i do którego mógłby się odwołać, nigdy nie czytał Charlesa Dickensa ani Ralphi Waldo Emersona, wpadłby w panikę, gdyby mu kazano zlokalizować na mapie stan Nebraska, zero oddźwięku w jego mózgu wzbudza temat Senatu Stanów Zjednoczonych, jego wkładu w stabilność rządów amerykańskich i jego stanowiącego zagrożenie elitaryzmu. Jak to więc możliwe, że roztacza dokoła taką aurę pewności siebie, jeśli równocześnie egzystuje o ułamek cała od publicznego upokorzenia? Czy inni ludzie żyją równie blisko płomienia zagłady? (Ukryta w głębi, na tylnej ściance jego siatkówki, tkwi zdziwiona inskrypcja, wypisana zamasztyłym charakterem, zapewne jego własnym, pytająca: „Jak ja tu trafiłem? Jak do tego doszło?”).

Ma dług hipoteczny, dość pokaźny, na siedmiopokojowym domu przy Kenilworth Avenue w Oak Parku. Trzy sypialnie! Jakby bezdzietnemu małżeństwu, takiemu jak on i Beth, mogły być potrzebne trzy sypialnie! Ulica, na której mieszkają z Beth, legitymuje się frontonami z kamienia i szlachetnych tynków, Larry jednak wie, jak

szybko się degradują tyły posesji, niczym dekoracje filmowe, zamieniają się w zbiorowiska chwastów, pojemników na śmieci i smrodliwych uliczek. (Słowo „uliczka” nie pojawia się w nazewnictwie kanadyjskim. Owe niezupełnie ulice znane tam są jako „alejki” - piękne słowo, myśli Larry, przywołując nieprawdziwy obraz brukowanych staroświecko kocimi łbami nawierzchni, obrzeżonych dwoma szeregami zimozielonych drzewek, owych miniaturowych alei, niezdefiniowanych, bezimiennych, beztroskich, soczystych, prowadzących niezmiennie do obrosłych mchem kościółków, do których wędrują pod ramię pary młodych złożyć deklarację miłości. Tak, do śmierci. Larry jest, zawsze był romantykiem, chociaż dopiero ostatnio zidentyfikował i nazwał objawy).

Co jeszcze można powiedzieć o Larrym Wellerze? Jest czterdziestodwuletnim mężem uczonej żony („Co ona we mnie widzi?” - docieka zdziwiony głos za siatkówkami jego oczu), żony o kilka lat od niego młodszej, której specjalnością są studia kobiece (podspecjalność: religia), dziedzina badań wprawiająca Larry'ego w niejaki zakłopotanie - chciałby dokładniej zrozumieć sens i zakres studiów kobiecych, ale zdaje się za długo zwlekał z tym pytaniem. Kiedy poznał Beth, pracowała ona jeszcze nad rozprawą doktorską o świętych niewiastach; podchodziła w owych czasach lżej do wybranej dziedziny, miała niejako jedną brew uniesioną zawsze wyżej od drugiej, jakby dając do zrozumienia, że to, co „robi” z owymi niewiastami, to jeden wielki żart, że nie należy tego brać na serio. Ostatnio się jednak zmieniła, stała się bardziej niecierpliwa i zachłanna, jawnie żądna publikacji. Jeżeli jej lewa brew wznosi się teraz ku niebu, to bardziej jako przejaw frustracji - nikogo to nie interesuje, nikogo nie obchodzi, kariera akademicka to ruletka, jeśli nie wręcz bezwzględna walka o to kto kogo.

Życie Larry'ego odmieniło się od czasów jego młodego, wykolejonego małżeństwa. Spędzają teraz z Beth długie, stateczne wieczory po amerykańsku, przy lampie w przytulnej „dziurce” z tyłu domu, przypiekając sobie stopy przy nowo zainstalowanym kominku gazowym. Zdarza się, że nawiedza ich rodzaj niespokojnej nudy, gdy czytają, sączą z kwiecistych kubków bezkofeinową kawę albo niekiedy oglądają w telewizji program z cyklu arcydzieł teatralnych czy jakiś wypożyczony film. Larry rozumie teraz mężczyzn i kobiety, którzy rozgarniają dawne szczęście, żeby przeżyć jeszcze raz intensywność pierwszej miłości. Podnosząc wzrok znad książki (jakaś nowość, może coś o historycznych ogrodach), Larry nie może się często nadziwić złocistej nierealności, swojskości sceny, którą wraz z Beth zajmują, otaczającym ich półkom pełnym czasopism, smukłym jak noże dłoniom żony kartkującym maszynopis, który zaściela jej kolana. I tej drugiej scenie, wyrastającej bezpośrednio z pierwszej: widokowi jego i Beth wchodzących później po schodach do ich przestronnej kwadratowej sypialni, pościeli skotłowanej bezładnie na królewskim łożu, kołyszących się zawrotnie ścian, jedynego odgłosu ich ciężkich oddechów w czułych, choć niekiedy samolubnych zmaganiach, a potem poślizgu jego wilgotnej skóry po jej skórze, ciężkiego zapadania w stan spoczynku przy akompaniamencie jej tłumionego jęku: „O, Larry, mój Larry!” („Jak do tego doszło? - szepcze głos w jego mózgu. - Jak sobie na to zasłużyłem?”).

Często oczywiście wychodzą wieczorem. Regularnie uczęszczają na koncerty Chicagowskiej Orkiestry Symfonicznej, gdyż rodzice Beth, Belford i Ruth Priorowie - Bel „robił” w papierach wartościowych, nim się przenieśli na Hawaje po przejściu na emeryturę, Ruth się specjalizowała w prawie podatkowym - przysyłają im nieodmiennie na gwiazdkę roczne abonamenty. Chodzą mimo koszmarnych problemów z parkowaniem na Pętli¹⁴ i niepokoju o zostawione bez dozoru auto, również mimo, że muzyka nudzi dziwnie Beth, która często zasypia w połowie koncertu.

¹⁴ Pętla (*the Loop*) - główna dzielnica handlowa w centrum Chicago, obejmująca siedem kwartałów wokół pryncypalnej State Street. Nazwa wywodzi się od otaczającej ten obszar pętli kolei nadziemnej.

A jak odbiera te seryjne koncerty Larry Weller, który pochodzi z Winnipegu w Kanadzie? Prawdę mówiąc, symfoniczne brzmienia zdają mu się mało przejrzyste, jemu, który doszedł do dorosłości, nie będąc ani razu na wieczorze muzyki klasycznej, chociaż w jego mieście istniało po temu pod dostatkiem możliwości, gdyby tylko o nich wiedział. Skądinąd jednak zmienne rytmy koncertu symfonicznego zdają mu się dziwnie, zaskakująco znajome. Wpadają mu w ucho, głośne i ciche, falujące i posuwiste, biegnące i ustające. Przypominają te muzyczne wariacje jego własne życie - to radosne, to smutne, opadające i wznoszące się, szybkie i powolne, w górę, w dół. Czy zawsze już tak będzie, zastanawia się, czy to wszystko, czego można oczekiwać?

*

W styczniu zeszłego roku żona Larry'ego opublikowała wreszcie swoją książkę o świętych niewiastach - *Względnie szczęśliwe* przez dr Beth Prior, na podstawie jej rozprawy doktorskiej pod tym samym tytułem, University of Illinois Press, cena 29 dolarów i 95 centów, z ilustracjami.

Ładna książka dużego formatu, którą można znaleźć wyłożoną na półkach wszystkich lepszych księgarni, przynajmniej w rejonie Chicago, przyciąga oko gustowną, elegancką zielono-niebieską obwolutą ze zdumiewającym portretem świętej Agaty (trzeci wiek naszej ery) trzymającej półmisek, na którego lśniącej powierzchni leżą jej dwie piersi, sutkami w górę, odcięte od ciała w karze za żarliwą pobożność. Kremowe zabarwienie wzgórków piersi przypomina Larry'emu babki budyniu, które matka robiła jemu i jego siostrze, Midge, kiedy byli dziećmi.

- Deser rozprasza smutki - intonowała tajemniczo, wykładając na kuchennym stole budyń ze szklanych foremek.

W jej głosie duma walczyła o lepsze z poczuciem winy. Budyń posypywała złocistą warstwą gałki muszkatołowej, wilgotną zapiekana skorupką z maciupkami wgłębieniami, którą oboje z Midge natychmiast zeszkrobywali i pakowali do ust, robiąc do siebie porozumiewawcze miny, jakby przechytrzyli w ten sposób matkę.

Książka Beth Prior miała bardzo różne recenzje, jak to zwykle bywa w przypadku podobnych studiów akademickich; przeważały jednak pozytywne. „Dr Prior wykazała rozsądek, nie ośmieszając ekstrawagancji wczesnych chrześcijańskich mistyczek, lecz ukazując je w kontekście bezsilności kobiet w młodych społeczeństwach zachodnich” („Northwestern Arts & Letters”, t. XVI, maj 1992, ss. 24-25).

Na fali recenzji w „Northwestern” oraz pochlebnej wzmianki w kwietniowym numerze „Przeglądu Książek Kobięcych” („uczona, ludzka, nowatorska”), Beth złożyła podanie o stypendium Fundacji Guggenheima, pewna, że komisja - ktokolwiek wchodzi w jej skład - nie waży się odrzucić jej prośby. Przemawia za nią młodość, świeżej (niemalże) próby doktorat, szerokie odczytanie w wielu dziedzinach, zaangażowanie, jasnooki entuzjazm, a ponadto fakt, że feministyczno-destruktywistyczny rewizjonizm historyczny jest w tej chwili w modzie.

Myśl o uzyskaniu stypendium wprawiła ją w stan podniecenia - to było jasne dla jej męża, Larry'ego, który obserwował gorliwość, z jaką Beth wypełnia ankietę, gorączkowo wiodąc piórem od rubryki do rubryki, bijąc się z myślami, kogo z kolegów poprosić o list polecający. Profesor Rosemary Stanley z uniwersytetu stanowego? Nie, zbyt konserwatywna. Felixa Zueglera, który napisał wstęp do *Względnie szczęśliwych*? Nie, zbyt związany z książką, żeby mógł uchodzić za obiektywnego. O kimkolwiek pomyślała, był albo zbyt ważny, albo znów nie dość ważny. Problem listów polecających stał się przyczyną całej bezsennej nocy, po której Beth oznajmiła Larry'emu, że doszła do wniosku, iż listy nie będą miały większego znaczenia w zestawieniu z jej curriculum vitae, owym piętnastostronicowym dokumentem drobnym drukiem (który posłuży wkrótce za scenariusz do wysokobudżetowego filmu - lubi żartować Larry).

Larry, niespokojny trochę, że jego żona tak bardzo liczy na to stypendium - jej gorączka intelektualna była kiedyś innego pokroju - zastanawiał się, co przedsięwziąć dla złagodzenia ciosu, gdyby nadszedł. Musi wypracować jakiś plan alternatywny, mówił sobie, wysilić solidnie mózgowicę, zabezpieczyć flanki, może nawet wystąpić samemu o stypendium, chociaż szansa, żeby je dostał, jest znikoma.

„To moja kolej” - oznajmiła mu beztrąsko Beth, jak gdyby przyznawaniem wyróżnień kierowała doczesna sprawiedliwość. Stypendium Guggenheima - wyjaśniała Larry'emu - to niemal gwarancja etatowej profesury, zabezpieczonej pozycji, a ona od czasu doktoratu już dostatecznie długo skacze z jednego kontraktowego stanowiska na drugie. Stypendium oznacza też dostateczny zastrzyk pieniężny na rok podróży i badań naukowych, szansę na następną książkę, tym razem współczesne spojrzenie z perspektywy feministycznej na Zwiastowanie, ten historyczny czy mitologiczny moment, kiedy archanioł Gabriel obwieszcza Najświętszej Pannie, że została wybrana na matkę Zbawiciela.

- Największe wymuszenie dokonane kiedykolwiek na kobiecie - oświadczyła Beth Prior, trzydziestoczwolletnia ukochana i nieobliczalna druga żona Larry'ego Wellera. - Mógłbyś zamknąć na parę miesięcy biuro i przyłączyć się do mnie w połowie drogi. Zawsze chciałeś objechać labirynty europejskie. I wiesz, co, Larry? Myślę, że powinniśmy już w tej chwili zgłosić dom do podnajmu w jakiejś dobrej agencji. Takie rzeczy trzeba robić z dużym wyprzedzeniem, to wymaga planowania z góry.

Kiedy nadszedł z Fundacji Guggenheima list z zawiadomieniem, że niestety nie przyznano jej stypendium - „Otrzymaliśmy w tym roku bezprecedensową liczbę podań” - Beth zamilkła, rysy jej twarzy zastygły wyostrome jak z kamienia, po czym rozsypały się w płaczliwą ruinę. Płakała i szalała na przemian, tłukła pięściami w dębowy stolik do kawy, tak że podskakiwał na nóżkach. Recytowała swoje dokonania. Pomstowała na tryb rozpatrywania podań, na ignorancję komisji, która - podejrzewa - składa się z samych mężczyzn, białych Europejczyków z męskimi, testosteronicznymi uprzedzeniami. Guggenheimowska karuzela słynie z niesprawiedliwego faworyzowania kandydatów płci męskiej, więc ona powinna była przewidzieć, że zostanie odrzucona. Wydymana, odpięprzona.

Następnego dnia w poczcie była druga koperta fundacji, tym razem adresowana do Larry'ego. Jego podanie zostało zaakceptowane, przesyłają serdeczne gratulacje.

- Nic mi nie mówiłeś, że złożyłeś podanie - powiedziała sztywno Beth. - Nie pisałeś słowa.
- Nie sądziłem, że mam jakąkolwiek szansę.
- Faktycznie, nie możesz się pochwalić żadnymi publikacjami.
- I nie mam doktoratu.
- Cholera, cholera, cholera.
- Posłuchaj, Beth...
- To niesprawiedliwe. Sam widzisz, że to niesprawiedliwe.
- Oczywiście - przyznał Larry. Ranił go widok jej drżących rąk. - Masz rację, to niesprawiedliwe. Ale możemy wykorzystać stypendium do spółki. Czyż nie mówiłaś, że dwie osoby mogą podróżować prawie tak tanio jak jedna?
- To śmieszne. I proszę cię, przestań mnie pocieszać. Doprowadza mnie to do szału. Uważam... - Urwała.
- Co uważasz?
- ...że to upokarzające.
- Czemu upokarzające?

- Że mogłeś zrobić coś takiego za moimi plecami.
- Nie traktowałem tego w ten sposób.
- Ale na to wychodzi. To nadużycie zaufania.
- Przykro mi. Wiesz, że nigdy bym...
- Nie, wcale tego nie wiem. I nie jestem pewna, czy ci rzeczywiście przykro.
- Nie powiesz, że cię okłamałem.
- Ale musisz przyznać, Larry, że nie był to przejaw całkowitej szczerości z twojej strony. A na całkowitej szczerości opieraliśmy dotąd nasze...

- Myślałem po prostu...
- Właśnie, co myślałeś? Ciekawa jestem, co myślałeś.
- Tak bardzo pragnęłaś pojechać...
- Nie chodziło o samo pojechanie. Mój Boże! Chodziło... czy ja wiem... o zyskanie...
- No, i w pewnym sensie zyskujemy oboje.
- Ty nic nie kapujesz, Larry.

Może rzeczywiście nie „kapował”. Widział to teraz. Jest tyle rzeczy, których nie „kapuje”. Nie był też pewien, czy wierzy w możliwość całkowitej szczerości. Myślał o Dorrie. Myślał o rodzicach. O zięjącym między nimi milczeniu. Braku łączącego ich przewodu.

- Posłuchaj - podjął pojednawczo - jeśli się zepniemy, możemy być za miesiąc w Anglii. - Zabrzmiało to, stwierdził, wystudiowaną, naoliwioną, dywersyjną nutką dobrego wujaszka. - Albo co byś powiedziała, gdybyśmy spakowali manatki i polecili zaraz jutro?

- Jutro to niemożliwe. Jakim cudem...?
- No, więc za tydzień.
- Nie wiem.
- Tak czy inaczej, jedziemy.

- W każdym razie - zrobiła pauzę - dobrze, że zgłosiłam dom do podnajmu. Ociągałeś się z tym, pamiętasz? Mówiłam ci, że nie należy zwlekać.

- Czeka nas wspaniała zabawa!

Rzucił to głośno w powietrze, fałszywie brzmiącym męskim głosem, który budował most, zdawało mu się, nad bajorem nieuczciwości - tylko czyjej, jego czy Beth? Równowaga między nim a żoną przesunęła się lekko, co do tego nie miał wątpliwości. Nadużył w jakiś sposób jej zaufania. I minie dużo czasu, nim ona mu to wybaczy.

- Cholera, cholera, cholera - mruzczała w ostro złożone dłonie. Przeklinała go.

*

Wylądowali w Shannon, wynajęli jasnoniebieskiego forda fiestę i ruszyli obejrzeć pierwotną siedzibę kamienia Hollywood u wlotu najstarszego labiryntu na wyspach brytyjskich o znanej dacie powstania, 550 rok naszej ery. Deszcz lał prostymi strumieniami z poczerńiałego nieba, osrebrzał boki ich podskakującego małego auta.

- Czuję się przemoczona do szpiku moich amerykańskich kości - powiedziała Beth, drżąca na przednim siedzeniu.

Dwadzieścia minut później przyszło im w sukurs jaskrawe słońce, rozjarzając zadbaną zieloną wieś irlandzką.

- Wygląda jak wysokogatunkowe brokuły na targu - skomentowała Beth, wskazując dłonią żywoploty za szybami.

Co jest ważne - wyjaśnił Larry - to lokalizacja kamienia Hollywood. Został on odkryty kilka lat temu w punkcie wyjścia okrężnego dwudziestokilometrowego pątniczego szlaku przez góry Wicklow, prowadzącego do Glendalough, wczesnoceltyckiego ośrodka klasztornego.

Chrześcijański labirynt, tak wyraźnie wyźłobiony na obłym brązowym grzbiecie kamienia, niósł dwa uzupełniające się przesłania. Pierwsze informowało wędrowców, że droga do celtyckiego sanktuarium jest trudna i pokrętna, tak jak zygzakowata linia na współczesnych znakach drogowych ostrzega automobilistów przed czyhającymi na nich serpentynami. Głębsze przesłanie labiryntu odnosiło się do trudów żywota, do pełnej cierpienia duchowej drogi życia. Fakt, że te dwa zespolone przesłania mogą być zawarte w jednym symbolicznym rysunku, wprowił Beth w zachwyty.

- To coś jak naiwna perspektywa w sztuce - entuzjazmowała się. - Żadnych bezwzględnych reguł, najmniejszego lęku przed pomieszaniem spraw ziemskich z duchowymi.

Jej twarz promieniała szczęściem, jak zawsze w zetknięciu ze świętością. Jakkolwiek przysięgła agnostyczka, przekonana, że rolę sacrum przejęła psychologia, Beth była istotą, która topnieje w obliczu łaski bożej, upatruje w niej burzę światła, najpotężniejszą siłę w dziejach.

Niestety sam kamień Hollywood nie spoczywał już w swoim pierwotnym miejscu koło szlaku świętego Kevina, lecz został przetransportowany do Muzeum Starożytności w Dublinie, gdzie Larry i Beth obejrzeni go jeszcze tego samego dnia.

- To cholerna hańba - parsknęła Beth w szybę szklanej gabloty - zabierać świętą rzecz z miejsca, gdzie powinna trwać jako drogowy znak dla pątników. Zachęta do czekającej ich wędrówki.

- Może raczej przestroga przed nią.

- To także.

Beth pozostawała przez cały dzień w zgodnym, refleksyjnym nastroju, chociaż oboje z Larrym byli otepiali po zmianie czasu.

- Rysunek uległby z czasem zatarciu - przypomniał jej Larry. - Pod palcami zwiedzających jak my. Na deszczu i wietrze.

- Racja - westchnęła Beth i jej humor uleciał. - Skazani jesteśmy na nieuniknione kompromisy, co?

*

W Anglii panowała wyjątkowo ładna pogoda. Był koniec czerwca i w całym Londynie kwitły lobelie, w bramach domów, w parkach, na skwerach. Beth nie mogła wyjść z podziwu, że to niegdyś zadymione wiekowe miasto, z jego nawarstwieniami historii i zanieczyszczeń, demonstruje taki delikatny i wonny kwiat, i to w takiej obfitości. Ostrosłodka zapach przenikał do ich pokoju hotelowego na Pembroke Gardens w Notting Hill. Wdychając ciężki, odurzający aromat, raz po raz powtarzali, jaki to uśmiech losu przebywać w tym spokojnym, zielonym, ukwieconym mieście, z dala od prażonego słońcem, równinnego Illinois, gdzie tegorocznemu zbiorowi kukurydzy (jak słyszeli wczoraj w dzienniku telewizyjnym) zagraża susza.

Co rano zaraz po śniadaniu Beth jedzie metrem do Galerii Narodowej albo Muzeum Wiktorii i Alberta. Jej ambicją jest obejrzeć i opisać wszystkie obrazy Zwiastowania, do jakich zdoła dotrzeć. Niemal z reguły kompozycja świętej konfrontacji jest taka sama. Maria siedzi statecznie po prawej stronie obrazu, z otwartą książką przed sobą. Po lewej stoi górujący nad nią archanioł Gabriel o kobiecych, jawnie przesłodzonych rysach, długich lokach i

ogromnych, szumnie wyobrażonych, złożonych skrzydłach, trzymając w ramionach ostro zarysowaną falliczną liliję. Między tymi dwiema postaciami rozpościera się wydumana przez artystę, zamglona wizja cywilizowanej społeczności, jakaś wieża czy dwie, albo też kamienny krużganek prowadzący do zamkniętego ogrodu, tego symbolu dziewictwa, i nieodmiennie, gdzieś na błękitnie nieba, szybuje ptak z ostrym dziobem wymierzonym w Marię, przekazując piorunującą wieść, że spośród wszystkich niewiast wybrana została właśnie ona.

Beth zapisuje wszystkie szczegóły w notesie na spirali, po czym przenosi je na swój podręczny komputer. Szuka wariantów i cieszy się, gdy je wytropi. Niektóre anomalie stanowią w jej mniemaniu zakłócenia tradycyjnej narracji, otwierając możliwości interpretacyjne, które zamierza wykorzystać, gdy zacznie pisać nową książkę. Książkę powstającą pod egidą Fundacji Guggenheima, jak coraz częściej zaczyna o tym myśleć.

*

Larry w swojej pielgrzymce po cudownościach labiryntów ogrodowych Europy postanowił najpierw zaliczyć Hampton Court, żeby mieć go z głowy. Jako jeden z pierwszych stawił się przy bramie w łagodny, wietrzny wtorkowy poranek i przemierzył szpalery labiryntu w równe dwadzieścia minut, powtarzając w myśli klasyczną formułę - w prawo, lewo, lewo i tak dalej - i biorąc automatycznie zakręty. Nad głową ćwierkały mu w porannym świetle ptaki, lśniący zwarty żywopłot cisowy był jeszcze wilgotny od rosy, sprawiając wrażenie kosztownego ko-bierca, sztywno rozpiętego.

W ostatnich latach Larry widział kilka amerykańskich replik trapezoidu z Hampton Court. W Deerfield w Pensylwanii, gdzie tysiące dwudziestocentymetrowych sadzonek bukszpanu doprowadzono do dojrzałości i efektownie obrzeżono azaliami. Dalej labirynt w Williamsburgu, wykonany z ostrokrzewu, z wystrzyganymi figurami geometrycznymi i splecionymi gałęziami grabu, pomniejszona wersja Hampton Court, ale istny klejnot.

Larry oczekiwał, że pielgrzymka do Hampton Court poruszy znaczący klawisz w jego świadomości, błogosławiąc go kwieciami przypominanego szczęścia bądź poszturczując wspomnieniem późniejszego załamania. Jest to w końcu miejsce, do którego trafił ze swoją pierwszą żoną, Dorrie, w ostatnim dniu ich podróży poślubnej przed czterdnastoma laty i gdzie, między szpalerami szyderych cisów, przeżył coś, czego nie może nazwać inaczej jak przeobrażeniem. Nie potrafił sobie później nigdy uzmysłowić, co się z nim działo przez tę godzinę, podczas której błądził zagubiony, oszołomiony, oddzielony od innych, ale pamięta, że czuł radosne uniesienie, wynikające w jakiś sposób z modalnej plastyczności jego ja. Może się wznieść ponad to, czym jest, zdawały się wieścić tajemnicze żywopłoty; stać kimś innym niż ówczesny Larry Weller, szokująco nieopierzony mąż Dorrie Shaw, bezrefleksyjny obywatel byłej kolonii, młody mężczyzna o ograniczonej wyobraźni i skromnych możliwościach wyboru.

Dzisiaj jednak, pokonując rażnym krokiem zakręty żywopłotów i szacując cienie zwodniczych ślepych uliczek, pozostaje uparcie nieporuszony. Szesnaście węzłów, szesnaście odnóg - trochę to zbyt uładzone. Niektóre starsze krzewy prosiły się o przerzedzenie. Czując krzepnące słońce, pożałował, że nie wziął kapelusza. Pojawiła się wycieczka szkolna, głos nauczyciela, który usiłował nad nią panować, niósł się twardo, gardłowo, autorytatywnie. Larry'ego uderzyła zasadnicza monotonia starożytnego labiryntu (jeżeli rok 1690 można określić mianem starożytności) i fakt, że bliźniacze drzewa w jego centrum robią napuszone, nieproporcjonalne, poronione wrażenie, jakby zamiast oferować satysfakcję, drwiły z wędrowca, który do nich dotarł. Nie wykorzystane zostały istotne możliwości labiryntu - stwierdzał Larry - jakkolwiek nie mógł nie podziwiać nowatorstwa „wyspy” w obwodzie żywopłotu, rzeczy nie w pełni docenianej w tamtej epoce. Przystanął, żeby zaczerpnąć głębiej powietrza, spodziewając się silnego przypływu uczucia, ale nic nie nastąpiło. U końca krzewiastej ściany stały dwie chichoczące uczennice, rzucając w jego kierunku dziwnie zalotne spojrzenia.

Wrócił pierwszym autobusem do Londynu.

*

Labirynt na zamku w Leeds, mieszczący się na dwóch wyspach pośrodku jeziora, był czymś zgoła innym. Beth, która się szybko zmęczyła zbieraniem materiałów do książki o Zwiastowaniu - zbyt wiele bezmyślnych dziewiczych twarzy, zbyt wiele męskiego zadufania malarzy, którzy je uwieczniali - dojechała do Larry'ego na dzień do Maidstone w Kencie.

Labirynt, zaprojektowany i wykonany krótkie cztery lata temu, zdumiewał stopniem komplikacji i polotem, tak że Larry, odnajdując drogę wśród pomysłowych szpalerów, odzyskał po trosze dawne poczucie wagi labiryntów dla pierwotnej ludzkiej krzątaniny.

- Labirynt - powiedział do Beth, cytując coś, co niedawno przeczytał, ale czego źródło uleciało mu z pamięci - jest rodzajem maszyny z ludźmi jako ruchomymi częściami.

- Ależ - zaprotestowała Beth - kto chce być częścią maszyny?

Jej dawna sceptyczna dociekliwość odżyła cudownie po tygodniach bezsenności i posępnego ślęczenia nad notatkami w British Museum. Nie dawniej jak wczoraj wykrzyknęła do Larry'ego, jakie to szczęście, że jest kobietą, która postanowiła nie biegać z wilkami¹⁵. Dzisiaj twarz jej promieniała żarem popołudnia, a droga letnia sukienka koloru dyni, którą sobie kupiła w londyńskim butik, odsłaniała jej szczupłe, ostre ramiona, tak że Larry już marzył o znalezieniu się z nią w pokoju hotelowym w Londynie, z szerokim podwójnym łóżem i chłodną, niepokalaną białą pościelową.

¹⁵ Jest to aluzja do książki *Kobiety, które biegają z wilkami* (*Women Who Run with the Wolves*, 1992) Clarissy Pinkoli Estes. Książka lansuje tezę, że współczesna racjonalna cywilizacja zabija spontaniczność kobiet, naturalną „dzikość” upodobniającą je do wilków.

Beth powtórzyła pytanie.

- Czy ty naprawdę myślisz, że ludzie chcą być częścią maszyny?

Jej twarz przybiera coraz częściej wysilony wyraz osoby, która usiłuje być zainteresowana.

- I owszem - odparł Larry, zaskoczony szybkością własnej repliki. - Przynajmniej ja chcę.

Uczynił dłonią gest w stronę mrowiących się dokoła turystów. Dzieci. Zakochani trzymający się za ręce. Rodziny. Gromadka skautów mile niesfornych, choć w schludnych mundurkach. Były też wieloosobowe wycieczki sceptycznych Japończyków, skaczących w tę i w tę jak wróble, i rechoczących Niemców z aparatami fotograficznymi na brzuchach i butelkami wody mineralnej w plecakach. Amerykanie snuli się obok grupkami po troje, czworo. „Fikuśne” - zauważył jeden spośród tych nie pierwszej młodości turystów.

- Labirynt projektuje się tak, żebyśmy byli wciągnięci w jego sztukę - powiedział Larry.

- Więc uważasz, że to jest sztuka?

Beth uczyniła szeroki gest. Jej ton był tylko półdrwiący. Larry pominął kwestię - słowo „sztuka” wprawiało go w zakłopotanie.

- Z labiryntami rzecz ma się tak - ciągnął - że ich pełny sens jest dostrzegalny jedynie z góry.

Beth zastanowiła się nad tym.

- Kiedy są oglądane okiem Boga, chcesz powiedzieć? Istoty mającej dostęp do jedynej niekwestionowanej mapy świata.

- Coś w tym rodzaju.
- Co to za Bóg, który nas wprowadza w błąd i usiłuje uwięzić w błędzie?
- Czy nie było tak zawsze? Chaos od pierwszego dnia stworzenia? Ale labirynty są w rzeczywistości ucieczką od błędzenia. Uładzoną ścieżką dla wytrwałych. Pielgrzymką na własną rękę, bez gapiów.

- Wyczytałeś to gdzieś?

- Prawdopodobnie.

- Zapewniają przynajmniej drogę wyjścia.

- Jedno jedyne wyjście.

- Zbawienie lub śmierć. Albo też dalsze błędzenie. Nieopuszczalny labirynt się nie liczy.

- Niektórzy ludzie powiedzieliby, że błędzenie jest zabawą.

Larry pozwala ostatnio myślom manifestować się coraz częściej w słowach, tym samym myślom, które trzymał kiedyś strachliwie uwięzione w głowie.

- A ty byś to powiedział, Larry? Że błędzenie jest zabawą?

- Może nie dokładnie zabawą, ale sposobem na oderwanie się. A Bóg wie, że wszyscy potrzebujemy się czasem oderwać.

- Czy ty nie chcesz mi przypadkiem czegoś przekazać?

- Pracujesz - szukał chwilę słów - cholernie ciężko.

- Mam wygórowane ambicje, chciałeś powiedzieć?

- No, niezupełnie. Pracujesz...

- Jak głupia? - poddała.

- Nie to miałem na myśli.

Dotarli teraz do podziemnej groty. Znaleźli się wśród ścian ozdobionych muszlami morskimi. Szczerzących zęby posągów i kaskad wody. Jarmark uciech z groteskowo wypaczonym pojęciem zabawy i przyczajonym w tle czymś większym, bardziej prymitywnym.

- Uważam po prostu - podjął Larry - że każdy potrzebuje od czasu do czasu miejsca, w którym mógłby się zaszyć i odpocząć. Daje o sobie znać nasza wystraszona zwierzęca natura. Kopujemy sobie nory, a później usiłujemy z nich znaleźć wyjście.

- Kto to powiedział, że życie składa się głównie z kopania sobie kolejnych nor?

- Nie wiem - odrzekł Larry. - Ktoś coś takiego powiedział?

- Auden, zdaje się.

Larry ma tylko mętne pojęcie, kim był Auden - ta jego haniebna ignorancja! Poeta? Kiwa niezobowiązująco głową.

- A może to Camus.

Doszli do podziemnego korytarza, trzydzieści metrów pod szpalerami labiryntu. Przed sobą mieli zalaną pieczarę, a zarazem sedno labiryntu, siedzibę rusalki. Dotarłszy, jako cząstka pielgrzymującej gromady ludzkiej, do tego miejsca, doznali raptem pewności, że wynurzą się oto za chwilę na zalany słońcem świat, uwolniony, przynajmniej chwilowo, od mozołu i błędzenia.

Beth obróciła się raptem i obiema dłońmi ścisnęła mocno rękę Larry'ego.

- Jestem szczęśliwa, że się zaszywamy razem w jednej norze - wyznała przejętym, nabrzmiętym szeptem.

- Ja też.

Ten jego ociekający głos. Niemal słyszał, jak zdradziecko przetyka ślinę. Ta jego łomocząca gorliwość, roz-
tapiająca się we własnych sokach.

- I dzielimy jednym stypendium.

W jej głosie zabrzmiała figlarna nutka. Zerknęła na Larry'ego, żeby sprawdzić jego minę.

Uśmiechnął się z góry do jej oczu, potem do przedziałka w jej kędzierzawych ciemnych włosach - i poczuł,
że spływa na niego czasowe przebaczenie.

*

Wynajęli małe mieszkanie w centrum Londynu i rozpoczęli osiadłe życie, kupując własne produkty i pro-
wadząc gospodarstwo. Krok ten przyniósł niejaką dozę spokoju, gdyż oboje byli z usposobienia domatorami.

Nigdy nie tracili jednak poczucia, że są w podróży. Wszędzie wokół widzieli mężczyzn i kobiety w podob-
nej roli - mieszkańcy współczesnego świata są wędrowcami, pielgrzymami, a labirynt stanowi ich naturalny habitat.
Każdego weekendu Larry i Beth wyruszyli na „labiryntowanie”, jak to nazywali, rozpoczynając od największego
labiryntu żywoplotowego świata w Longleat House w hrabstwie Wilt, 120 na 55 metrów, cisy i seria sześciu mo-
stów zwodzonych. Zaprojektowany i wykonany w 1978 roku, stosuje on spiralne połączenia i rodzaj psychologicz-
nych zwodów, grających na naturalnej tendencji odwiedzających do oszczędzania czasu i energii.

- Cudo - orzekł Larry pod koniec dnia.

- Nie czuję nóg - powiedziała Beth. - A mózg będę musiała trzymać przez tydzień na wyciągu.

(Jej praca nad Zwiastowaniem posuwa się znowu naprzód).

W kolejne słoneczne czy deszczowe weekendy odwiedzili brukowany cegłą labirynt w Kentwell Hall, sym-
boliczny labirynt żywoplotowy w pałacu Bleinheim, cisową konstrukcję ze stylizowanymi skarpami na zamku
Hever w Kencie, śmiertelnie poważny Labirynt Ochrony Przyrody w Walii (rododendron, brzoza i dąb), masywne,
strzyżone w kształt blanków żywoploty w Knightshayes Court z niszami na posągi oraz darniowy labirynt w Saffron
Walden.

- Mam uczucie, jakbym tu już kiedyś był - powiedział Larry, idąc z Beth malowniczą główną ulicą. - Nie w
labiryncie, tylko w miasteczku.

- Czemu to właściwie służyło? - spytała Beth o darniowy labirynt, złożony z serii kręgów wyciętych w ziemi
w średniowieczu.

- Zamysł jest chrześcijański i tradycyjny - wyczytał z przewodnika Larry - uważa się jednak, że labirynt słu-
żył za miejsce swawolnych igraszek młodych mężczyzn z pannami.

- Wspaniałe! - zachłysnęła się Beth. - Wyobrażam ich sobie goniących w kółko jedni za drugimi, płaczących
się w długie spódnice, kradnących całusy.

- Darń się wyciera - wyjaśniał Larry - więc ścieżką stawało się kredowe podłoże, a darń obrzeżającą ścianką.

- Skąd u ciebie ten profesorski ton, Larry? Zaczynasz perorować jak ja.

Labirynt w Bicton w Devonie, w kształcie stopy, był dziełem współczesnego geniuszu Randolla Coatego i
Adriana Fishera. Odnalazłszy drogę przez wszystkie kolejne palce stopy, Larry i Beth dotarli zdyszani i rozpromie-
nieni do zakola pięty, skąd zostali zawróceni do sedna labiryntu.

- Więc taki jest sens labiryntów - podsumowała Beth. - Opowiadałeś, że są symbolem miłości, seksu, śmier-
ci, Boga. A tymczasem to po prostu zabawa.

- Mówiłem ci, że to zabawa. Zapomniałaś.

Larry zauważył, że powtarza się to coraz częściej. Beth nabrała zwyczaju przekomponowywania ich wspólnego życia, składania w nowe całości ich rozmów, rozmaitych wyjazdów i przyjazdów, rozdziałów małżeńskiej historii. Niepokoi go to tylko z rzadka. Przez większą część czasu myśli, jakim jest szczęściarzem, że poślubił kobietę z wyobraźnią. Chorągiewka uporczywej nieprawdy trzepocze mu w głowie, ale woli na nią nie zwracać uwagi.

*

W sierpniu Larry i Beth pojechali do Francji, gdzie na dwa tygodnie przyłączył się do nich syn Larry'ego, Ryan, który ma teraz trzynaście lat. Przyleciał na lotnisko Roissy w nowym, jak stwierdził Larry, szczuplejszym, wyższym wcieleniu. (Jednym z sekretnych bólów Larry'ego jest to, że jego samego nie można było nigdy nazwać szczupłym, z tykowatego wieku szczenięcia wszedł od razu w pełnokrwistą, mięsistą dorosłość).

Ich pierwszym wspólnym przystankiem był Jardin des Plantes w samym Paryżu, ze świeżo odrestaurowanym osiemnastowiecznym labiryntem, którego centrum stanowił pawilon ogrodowy i dzwon. Następnie pojechali (wynajętym renault 19) do Chartres, obejrzeć labirynt podłogowy w wielkiej katedrze.

- Ten układ płyt - powiedział Larry do syna głośniejszym i bardziej po belfersku, niż zamierzał - jest najstarszym zachowanym średniowiecznym labiryntem chrześcijańskim na świecie.

- Zwróć też uwagę na witraże - dorzuciła Beth.

Źle się czuła w roli macochy i nigdy nie wiedziała, jaki przybrać ton.

Ten prezent dla syna, ten widok, ten skrawek świętego skupienia zdawał się Larry'emu rzadkim przywilejem. Jak często jesteśmy w stanie ofiarować skarb zadziwienia? Ale Ryan pochłonięty był obserwowaniem parki całującej się za figurą świętego Józefa.

- Masaż migdałków - mruknął do siebie, a może do ojca i jego żony, którzy stali w pobliżu.

- Ten labirynt pochodzi z trzynastego wieku - ciągnął Larry.

Wydawało mu się rzeczą wielkiej wagi doprowadzić do świadomości chłopca, na jaki cud patrzy; że płyty pod nogami to nie pola do gry w klasy, chociaż - Larry nie mógł się oprzeć pokusie dodania - gra w klasy wywodzi się faktycznie z architektury katedralnej.

- To są lata tysiąc dwusetne.

- *Le treizième siècle* - powiedział Ryan z taką nonszalancją, jakby wydymał balon gumy do żucia.

Była żona Larry'ego, Dorrie, zadbała o umieszczenie Ryana od szóstego roku życia w klasie z intensywnym francuskim, tak że teraz, w wieku trzynastu lat, jest zaskakująco biegły, może służyć ojcu i macosze za tłumacza. Pyta o cenę widokówek, rezerwuje stoliki w restauracjach hotelowych, a nawet raz udało mu się odwieść policjanta od wypisania mandatu za parkowanie w niedozwolonym miejscu w Aix-en-Provence, gdzie pojechali obejrzeć wspaniały, liczący sobie trzysta lat labirynt w Château-neuf le Rouge. Beth opanowała w teorii gramatykę francuską.

Larry zapamiętał z liceum kilka zdań, ale żadne z nich nie rozumie języka ulicy, nie mówiąc już o odbijaniu piłeczki w swobodny kolokwialny sposób, tak jak to czyni Ryan.

Toteż w Château de Villandry (wielkie rozczarowanie), w labiryntcie madame Arthaud w Rennes, w Château de Balleuil, gdzie wybudowano nowoczesny labirynt nie dalej niż w 1989 roku, w La Commanderie de Neuilly w departamencie Oise (kolisty, żywopłoty grabowe) - na wszystkich tych przystankach na historycznej i labiryntowej trasie to trzynastoletni Ryan obejmował przewodnictwo, rozpytywał o drogę, tłumaczył prospekty, a jeżeli trafił się przewodnik, dawał ze wzruszeniem ramion półwstydlive streszczenie oficjalnej gadki.

Wszystkie poprzednie wakacje, które spędzał z Larrym i Beth, obfitowały w napięcia. Przyjeżdżając do Oak Parku na przerwę wiosenną czy na Boże Narodzenie, Ryan był milczący - ponury, według Beth - nie potrafił jakby zachowywać się w stosunku do nich w naturalny, spontaniczny sposób. Teraz jednak, w obcym kraju, szybko stał się wiodącą częścią ironicznego odwrócenia ról, w którym dwójkę bezradnych dorosłych prowadził przez zadziwiający sześciokąt Francji bystry podrostek.

Beth po raz pierwszy rozluźniła się w obecności chłopca. Przerzucali się nawet dowcipami.

- Jak się nazywa mężczyzna, który kocha drugiego mężczyznę? - pytał Ryan.

- Czy ja wiem - odpowiadała Beth.

- Chrześcijanin.

Czy to śmieszne? Beth zrobiła niepewną minę, po czym jednak wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Kto ci to powiedział?

- Pierre.

- Kto to jest Pierre?

- Przyjaciel mamusi.

- Myślałem, że to David - zaryzykował Larry. Ryan się zastanowił.

- To było dawno. Pierre jest jej szefem. Bardziej szefem niż przyjacielem.

- I opowiada dobre dowcipy? - podsumował Larry. Więcej nie chciał naciskać. Ostrożnie.

- Ta-ak.

- Znasz jeszcze jakieś?

- *Oui, mon père, mais en français.*

Mon père - te słowa ugodziły Larry'ego w serce. Lżejsze od powietrza kumpelstwo, cios prosto w oczy. To więcej, niż sobie zasłużył, dużo więcej. Z ukłuciem miłości popatrzył na syna, który go obserwował - dorosłego mężczyznę, który zrobił fałszywy krok, popełnił błąd, zaplątał się, wyglupił, ale jest przynajmniej gotów dać się sprowadzić na właściwą drogę. Powinno się z tego wykluczyć coś dobrego.

*

Beth zakochała się w Madrycie. W jego słońcu i połyskliwym bałaganie, a najbardziej w tuzinie czy więcej Zwiastowań, które znalazła w Prado. Zwiastowanie Fra Angelica urzekło, było takie proste, obłe, prostolinijne, tak przepojone tkliwą pobożnością, że Beth zamarła przed nim bezradnie, ogarnięta wątpliwościami co do prawomocności swego przedsięwzięcia z jego ironicznym ostrzem. Płótno El Greca stanowiło tryumf zawirowania, z Marią umiejscowioną ekscentrycznie po lewej stronie zamiast prawej, jakby artysta chciał przekornie rzucić wyzwanie światu: „I co mi zrobicie?” (Beth zapisywała spieszenie wszystkie te myśli w swoim spiralnym notesie). Piętnastowieczny Mateau był po prostu cudaczny i na swój sposób niemal tak czarujący jak Sopetran. Picardo z początku piętnastego stulecia okazał się klejnotem, ofiarowując Najświętszej Pannie do czytania nie jedną książkę, lecz całą biblioteczkę. („Jakby w Nazarecie były półki na książki” - mruknęła Beth). Holender Dieric Bouts wymalował Marię porażoną pokorą, z oczyma zamkniętymi na arcyświątobliwą modłę. Na obrazie Moraleya z szesnastego wieku Maria udawała, że nie słyszy archanioła, z którego prawej dłoni wypływała wstęga słów, wycelowana prosto w jej ucho.

Ale najbardziej przypadło Beth do serca czternastowieczne malowidło Roberta Campina, na którym Gabriel stoi przed komnatą Marii, szykując się do wejścia. Maria wreszcie raz naprawdę czyta, z jeszcze nieświętymi oczami.

mi utkwionymi w stronicy, pochłonięta, spokojna, szczęśliwa, nie żywiąca najlżejszego podejrzenia, jakie brzemie spadnie niebawem na jej barki.

*

W Barcelonie Larry i Beth spędzają całe rano, wędrując po Laberint d'Horta, gdzie są jedynymi zwiedzającymi. Stare ogrody są romantyczne, sentymentalne. Jest nawet cikliwa podrabiana replika chłopskiej chaty, a obok niej rzekomy cmentarz.

- Cała rekwizytoria romantycznej wyobraźni - podsumowała z podziwem Beth. - Nędza i śmierć upozowane na piękne, ładne.

Sam labirynt był zamknięty. Podbiegł do nich tęgi, krępy mężczyzna w świeżych, nieco źle dobranych zielonych spodniach i koszuli (Larry i Beth uznali go za naczelnego ogrodnika) i siekącymi ruchami obu rąk wskazał robotników z nożycami i sekatorami, pracujących wewnątrz labiryntu.

Larry uczynił błagalny gest, pochylając się lekko, z pokornie złożonymi dłońmi, na co ogrodnik rozpromienił się raptem, wzruszył ramionami i przepuścił ich do środka pod sklepieniem cyprysów. Wzniósł w górę palce obu rąk.

- Pokazuje nam chyba dziesięć minut - ostrzegła Beth.

Nasycone zielenią cyprysowe ściany, wznoszące się na wysokość ponad dwóch metrów, doprowadziły ich względnie łatwo do sedna labiryntu, którym było koło utworzone przez osiem łuków listowia, z połyskującym pośrodku w pulsującym hiszpańskim słońcu Erosem, szykującym się do wypuszczenia strzały miłości.

- Cieszę się, że nie ustąpiłeś - powiedziała potem Beth. - I że widziałam ten twój gest. Nigdy przedtem nie robiłeś czegoś takiego z rękami.

W następnych tygodniach wybierali się obejrzeć labirynt lustrzany w Lucernie. Potem czekały ich zagadkowe labirynty skandynawskie; sama Finlandia oferowała ich ponad sto, wykładanych kamieniem. Wiosną następnego roku mieli się znaleźć w przekornych współczesnych labiryntach drewnianych Japonii, a stamtąd droga wiodła do Australii. Tyle cudów do obejrzenia - i tyle spośród nich skazanych na zatarcie się i rozplątanie w pamięci Larry'ego.

Ale zawsze będzie pamiętał spacer po barcelońskim Laberint d'Horta, do którego tak uprzejmie pozwolono im wejść - jaki cichy był ów ranek, jak na ich powitanie wzniósł się czysty, dobry, nieustępliwy dar aromatu cyprysów, jak melodyjnie pluskała fontanna, brzęczały wokół nożyce i szurały miotły robotników przegarniających żwir i jak Beth wyciągnęła rękę i pogłaskała gładką marmurową skórę Erosa, po czym obróciła się do niego z wyrazem doskonałego zadziwienia w oczach.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Okrycia Larry'ego 1993-1994

Niewinność jest substancją delikatną. Nie można jej posiadać, a zarazem wiedzieć, że ją się posiada. Jednakże Larry Weller uważa się za człowieka niewinnego i człowieka o ograniczonej zdolności do ironii. Dlatego też - przypuszcza - ludzie mu ufają, angażują go, płacą mu, dlatego byli klienci przysyłają mu wyrazy wdzięczności, przekazują przez znajomych pozdrowienia. Gdyby jego życie było sceną, miałyby przestronne kulisy, pełne powietrza i światła. Połowę uroku Larry'ego stanowi kreślona półtonami aura zdziwienia, która go otacza, o czym on sam wie, przekonuje jednak siebie i innych, że nie wie. Najgorsze, co można o nim powiedzieć, to że w wieku czterdziestu czterech lat ma za sobą dwa nieudane małżeństwa. Czy znaczy to, że jest mężczyzną niezdolnym do utrzymania miłości kobiety?

Seria wydarzeń, które doprowadziły do załamania się jego drugiego małżeństwa, rozpoczęła się pewnego marcowego ranka (1993), kiedy to żona Larry'ego, Beth, odebrała telefon z Uniwersytetu Hrabstwa Sussex w Anglii, z propozycją objęcia stanowiska dziekana Wydziału Studiów Kobięcych. Larry pamięta, że wybuchnęła na tę propozycję głośnym śmiechem. Niemożliwe, mówił ten jej rehot. Byli wespół z Larrym posiadaczami domu w Oak Parku, na obrzeżu Chicago, domu o siedmiu przestronnych pokojach, z ogrodem, który właśnie, po niedawnym obsadzeniu go krzewami, ozdobnymi drzewami owocowymi i grządkami bylin, zaczynał się robić „zasiedziały”. Ponadto Larry miał biuro tuż za rogiem na Lake Street, dziesięć minut spacerkiem, Betty zaś uczyła na części etatu w College'u Różańca Świętego i czyniła desperackie wysiłki, żeby zająć w ciążę.

Niemniej jednak spakowała manatki i poleciała za Atlantyk, przekonać się, co jej oferują.

- To cudowne miejsce - zakomunikowała, telefonując w połowie nocy i wrywając Larry'ego z głębokiego snu. (Nigdy nie mogła się rozeznac w międzynarodowych różnicach czasu). - Pensja jest niezła. Co ja mówię, właściwie wspaniała. A jakie przywileje! Nie wymagają ode mnie żadnych wykładów, chyba że sama będę chciała, nad czym musiałabym się zastanowić. Trzy osoby sekretariatu. Trzy! Pięciu wykładowców plus czterech dochodzących z innych wydziałów. Uważają, że moje studia religijne zapewniłyby wydziałowi potrzebną równowagę. Wszyscy tutaj czytali moją książkę, cała komisja, wyobrażasz sobie, i zadają inteligentne pytania. A ja już zapomniałam, że istnieją na świecie ludzie myślący. Mieszkania są tu drogie jak wszyscy diabli, ale... Co ty o tym sądzisz, Larry?

- Jest połowa nocy, Beth. Mogę oddzwonić jutro?

- Jutro będę w Londynie. Chcę, żebym porozmawiała z emerytowaną dziekan, ponoć uroczą osobą, mieszka w Hampstead, pisze książkę o tkaczkach na przełomie wieków, o wyrzeczeniach, do jakich były zmuszone za...

- Więc zadzwoń w niedzielę.

Larry wiedział, jak histerycznie elokwentna potrafi się robić Beth. Obraz jej gorących piwnych oczu godził prosto w jego nerw wzrokowy.

- Kocham cię.

- Ja też, ale...

- Ale co?

- Nie podejmuj żadnych pochopnych decyzji, Beth.

Jednakże do niedzieli Beth przyjęła pracę. („Taka okazja nie trafia się codziennie”).

Będą do siebie dojeżdżać, dojeżdża obecnie mnóstwo małżeństw. Larry dobrze to wiedział, nie słyszał jednak nigdy o małżeństwie dojeżdżającym do siebie przez Atlantycką, i miał poważne wątpliwości. Zobaczą przez rok, po czym rozważą sprawę. Jeśli Larry zsynchronizuje swoje wypadki do Anglii z okresami jej płodności, to wygrają wielki los. Będą mieli pieniądze w banku, dziecko w drodze i tęczową przyszłość przed sobą. Mogliby na przykład spędzać siedem miesięcy w Anglii, a pięć w Stanach. Jakoś to się dotrze.

*

Październik. Larry spakował do torby podróżnej ubrania na tydzień. Swoje łachy. (Słowa „łachy” używał przyjaciel jego młodości, Bill Herschel, który musiał je zasłyszeć w którymś z dawnych filmów o gangach motocyklowych lub może wyczytać w jednej z popularnych powieści Harolda Robbinsa - i mimo upływu lat, ilekroć Larry składa koszulę czy spodnie, zawsze przychodzi mu na myśl Bill i to ironiczne określenie fasoniarzy z bocznych uliczek: „łachy”).

- W interesach czy dla przyjemności? - spytał go urzędnik imigracyjny na lotnisku Heathrow.

„Obowiązki rozplodowe” - miał ochotę odrzec Larry, lecz zamiast tego powiedział: - Dla przyjemności.

Dla przyjemności po dwu miesiącach celibatu, obijania się po półmęblowanym domu - owe długie zasnutych chmurami wieczory - jedzenia potraw na wynos z Calypso Cafe na Marion Street. Dla przyjemności.

Doznał szoku na widok mieszkanek, jakie Beth wynajęła. Spodziewał się czegoś małego, gdyż uzgodnili, że będą oszczędzać, ale to, co zobaczył, było wręcz spartańskie. Na trzecim piętrze bez windy. Wnęka kuchenna. Sypialnia mała, biała, bez okna, z wąziutkim białym łóżkiem. Łóżkiem mniszki.

- W saloniku jest rozkładany tapczan - wyjaśniła zaferowana Beth przeproszającym tonem.

Przestawiła się także na istic klasztornej garderobę. Surowy czarny kostium. Elegancka czarna wełniana sukienka. Rodzaj szeleszczącej czarnej jedwabnej tuniki, którą nosiła na czarne rajstopy. Biała koszula nocna vivella z długimi rękawami. Jej nowe łaszki.

- Mam nadzieję, że przywiozłeś garnitur - powiedziała. - Jesteśmy zaproszeni na kolację do wicekanclerza¹⁶, oboje z żoną chcą cię koniecznie poznać.

- Nie przywiozłem - odparł.

- O Boże! To będziemy musieli kupić.

¹⁶ Kanclerz (*chancellor*) - w Wielkiej Brytanii honorowy, tytułarny rektor uniwersytetu.

Zdecydowali się szybko na solidny ciemnoszary dwurzędowy garnitur, absurdalnie drogi. Wełniany materiał był ciężki, tkany wyjątkowo ściśle. Marynarka, zresztą spodnie także, przylegała bardziej do ciała niż w innych ubraniach Larry'ego, tak że poruszając się, czuł krepujący ucisk. Musiał dwukrotnie wracać do sklepu, nim koniecznych poprawek dokonał ni to mężczyzna, ni chłopiec o wyglądzie foksteriera, wzdychający nosowo, kiedy brał jego wymiary. Przejrzawszy się w lustrze, Larry pomyślał: „Strój pogrzebowy. W sam raz do do trumny”.

- Szyk garnitur - orzekła Beth. - Będziesz go nosił Bóg wie jak długo.

W rzeczywistości Larry nigdy więcej go nie włożył. Zawiózł go do Ameryki w czarnym plastikowym pokrowcu z żenującym ukośnym napisem po obu stronach: „Strój dżentelmena”.

Listopad. Tydzień po uzyskaniu nagrody stanu Illinois za osiągnięcia twórcze, co w praktyce przesądzało o przyznaniu medalu Środkowego Zachodu za Dokonania, Larry spakował ponownie swoje „łachy” - sprane dzinsy, w sam raz dla mężczyzny, który się czuje wyprany i wyżęty - i wszedł w Boeinga 727 lecącego do Bostonu, gdzie miał spotkanie z burmistrzem tego miasta w celu przedyskutowania milionowego kompleksu parkowego, który ostatecznie nie doszedł nigdy do skutku.

Beth przyjęła sprawę ze zrozumieniem, kiedy zadzwonił zawiadomić ją o sytuacji. Może to i lepiej. Błogosławieństwo w przebraniu. Bo została właśnie zaproszona do wzięcia udziału w pielgrzymce pieszej z Guildford do sławnego Sanktuarium Juliańskiego w Norwich.

- Co to za Julian? - zapytał Larry.

- Nie Julian, tylko Juliana. Prawie święta, tyle że nie kanonizowana. Czternasty wiek. Mówiłam ci o niej.

- Pozostaje zawsze grudzień. W dalszym ciągu planujesz przyjazd na Boże Narodzenie?

- Gniewasz się, Larry, czy też to złe połączenie?

- Nie gniewam się. Czuję się samotny.

- Grudzień niedaleko. Będziemy spółkować dzień w dzień przez miesiąc. Noc w noc także. Jajeczka w nieustannym wesołym tańcu z plemnikami.

Nie podobał mu się jej żartobliwy ton. Nie podobała się jej potrzeba podbudowywania duszy przez pielgrzymkę.

- Jasne - powiedział.

- Ale jakoś sobie radzisz, co? Odżywasz się sensownie? Dbasz o pranie i tak dalej?

I tak dalej, i tak dalej.

Jego pierwsza żona, Dorrie, zajmowała się całkowicie sama praniem. Nigdy o tym nie mówili, po prostu to robiła.

Czasy były mniej skomplikowane, koniec lat siedemdziesiątych. Ludzie wdrażali się łatwiej, z mniejszymi oporami w tradycyjne role. Dorrie znosiła jego brudną bieliznę do pełnej pajęczyny sutereny ich małego domku w Winnipegu, wrzucała ją do kosza, oddzielnie od kolorów. (Dzisiaj Larry ma bieliźniarkę pełną czarnych, bordowych i jasnoniebieskich kalesonków, ale w owych latach nie przyszłoby mu do głowy, że coś prócz bieli może okrywać dolną część jego ciała).

Później Dorrie rozwieszała wyprane kalesonki na sznurach, które Larry rozpiął między rurami wodociągowymi - nie potrzeba było żadnych zatyczek, wystarczała siła ciężenia - i tak wysychały do sztywności w ciepłe pieca centralnego ogrzewania. Po dniu czy dwóch zbierała je zgrabnie ze sznura i wrzucała do plastikowego kosza, który trzymała pod pachą. Larry przyglądał jej się z podziwem - było to jak żniwa, takie zorganizowane, takie elementarne. Następnie sortowała bieliznę na pikowanej kapie, oddzielnie kupka jej własnych fig i staników, oddzielnie kupka jego gacek, które wygładzała zręcznie wierzchem dłoni i składała równo na trzy części. Ta jej czynność wydawała się Larry'emu niemal nieznośnie intymna, mimo że jej ruchy były szybkie, ekonomiczne, bezbłędne, pozbawione emocji.

Bez zastanowienia wniósł te części składowe swojej garderoby do małżeństwa, a ona, Dorrie Shaw Weller, córka policjanta, dbała o nie, prała je, składała i chowała do ciemnej szuflady bieliźniarki. Małżeństwo niosło ze sobą mnóstwo niespodzianek, a to była jedna z nich.

Na pierwszą gwiazdkę po ślubie Dorrie się szarpnęła i kupiła mu drogą włoską koszulę w zaopatrującym butikowym magazynie na Północnej Stronie Winnipegu. Koszula była niebieska. Indygo - poprawiła go Dorrie. Różniła się od wszystkich koszul, jakie dotąd nosił, miała luźniejszy krój - rękawy, karczek, szyję bez kołnierzyka. Pachniało to jakąś teatralnością, która go wprowadzała w zakłopotanie. Gdzie może się pokazać w takiej koszuli? Czy przez całe życie będzie się potykał o podobnie żenujące nowości?

Wepchnął ją na tył szafy w nadziei, że wszyscy o niej zapomną.

- Jezuniu! - wykrzyknęła jego siostra, Midge, ujrawszy go w niej pierwszy raz, na rodzinnym obiedzie w Dziękczynienie. - To cudo, nie koszula!

Zaczął koszulę nosić coraz częściej, za każdym razem bardziej uodporniony na nowość poprzednim szczepieniem.

- Cudowny materiał - orzekła matka. - Prasuje się pewnie jak marzenie.

- Wyglądasz, jakbyś wyszedł z domu w piżamie - powiedział ojciec.

- Skąd ty to masz? - wykrzyknęła w kilka lat później Beth. - To... mój Boże, to piękne!

Beth nie pierze i nie prasuje koszuli, tak jak to kiedyś czyniła Dorrie. Posyła ją do pralni. „Taka koszula wymaga fachowej opieki” - mawia, dając do zrozumienia, że ani ona, ani Larry nie są do tego zdolni, a ona potrafi docenić jakość. Przesuwa palcem po szwach, po zakładce kryjącej guziki. Jego specjalna koszula, jego-nie-jego koszula.

„Dotykały jej obie moje żony” - myśli Larry.

Myśl ta jest skryta, przepojona przekornym humorem, tak jakby mężczyzna, którym jest, nigdy nie wyrósł ze skóry chłopca, którym był.

Larry i Beth spędzili ogromnym kosztem tydzień w Paryżu. Wybrali się w lutym. Pokój w hotelu Auber był mały i wcale nie taki ciepły. Kiedy nie spacerowali nad Sekwaną, nie odwiedzali wystawy Corota, nie padali ze zmęczenia po zakupach w dogodnie położonym Bon Marché - gdzie Beth namówiła Larry'ego na zakup jedwabnej piżamy - kiedy nie robili żadnej z tych rzeczy, leżeli rozebrani na szerokim, płaskim łóżku i mozolili się nad aktem prokreacji. Zasób sylab, jakie wymieniali, robił się coraz bardziej elementarny i urywany, jak gdyby postanowili nieartykułowanymi stęknieniami i okrzykami wymierzyć całą energię w czynność docelową. Beth była zimna i napięta, za jej zamkniętymi powiekami tykał zegar biologiczny. Larry natomiast miał oczy szeroko otwarte.

„Czy to ma sens? - pytał fasetowanego sufitu, lampki nocnej, butelki wody mineralnej na toalecie, nie w pełni wyciszonych głosów ludzi spacerujących po ulicy, robiących zakupy. - Czy naprawdę powinniśmy się tak zachowywać?”.

- To było to! - mówiła Beth za każdym razem. Albo: - Ja naprawdę czułam ukłucie zespolenia. Nasienną strzałę trafiającą w sedno.

Jedwabna piżama z Bon Marché była krzyżąco wiśniowa i Larry czuł się w niej jak aktor filmu porno. Etykieta głosiła: „Manufactured in Bangkok”. Bluza szeleściła mu chłodno na piersi (spodnie rzadko wciągał).

Pokojówka składała pięknie piżamę codziennie rano i chowała ją pod poduszkę, jakby stanowiła ona sekret, który dzieli z Larrym. Larry zaś stwierdzał, że rzuca piżamę na podłogę z każdym dniem coraz niedbalej, i wyobrażał sobie, jak ta nieznajoma kobieta się schyla, żeby ją podnieść, po czym wygladza materiał, układa równiutko rękawy, zapina przód.

Czy w przyjemności, jaką mu sprawia ten akt wyobraźni, jest coś perwersyjnego? Larry zna odpowiedź. (Trudno jest stawić czoło tym zdrożnym kolcom jego osobowości, więc Larry stara się tego unikać).

Źle sypiał w Paryżu. Z początku winił zmianę czasu, potem śliskość bluzy od nowej piżamy, a może też cząający się podskórny żal, tak niesprawiedliwy, zawoalowany, bezbarwny, że nie mógł go przyszpilić wzrokiem. Którejś nocy zapalił lampkę - czwarta, motocykle piszczące w oddali, czy nie powinno być także dzwonów kościelnych? - i przyglądał się odurzonej snem Beth u swojego boku. Co robić? Sięgnął do szuflady szafki nocnej po Biblię Gideonowską¹⁷, w nadziei, że dwie, trzy strony jej ścisłego monotonnego druku go uspią.

¹⁷ Tzw. Biblię Gideonowską można było do niedawna znaleźć w każdym pokoju hotelowym w Stanach. Nazwa pochodzi od założonego w 1899 roku w USA Towarzystwa Gideonowskiego (*Gideon Society*), świeckiego stowarzyszenia, które stawiało sobie za cel propagowanie wiary chrześcijańskiej przez zaopatrywanie gratis w Biblie hoteli, szpitali, szkół, więzień, koszar itp.

Ale Biblii nie było. Znalazł jedynie broszurkę, która po obejrzeniu okazała się spisem telefonów miasta (miasteczka, osady?) Hancock Mills w stanie Nowy Jork. Przerzucił dwadzieścia czy trzydzieści stron. Jeden numer był zakreślony: Jas Wolford, 27 Cuttler Ridge Road, 377-8999.

Na wierzchu broszurki widniał numer kierunkowy 518. Świat skurczył się wokół Larry'ego, jak w obiektywie aparatu fotograficznego, do wymiarów liczby 518, tego mitycznego lesistego królestwa we wschodniej części Stanów. Potem zmniejszył się jeszcze bardziej do jednej osoby, osoby nazwiskiem Jas Wolford, kimkolwiek on czy ona (Jason, Jasmine?) może być. Ktoś czekający przy telefonie, tyle było pewne, ktoś taki jak on, czekający i zachodzący w głowę. Spodziewający się lada moment wiadomości.

Dostaje fioła - zmytygował się - prosi się o niego, szukając tak pociechy w bakcylach przygnębienia. Najwyższy czas wracać do domu.

*

Kiedy Larry był chłopcem, gatki kupowała mu matka, pół tuzina par podczas corocznej wyprawy na zakupy do Fargo w Dakocie Północnej. Plon Krosien, pompatyczna nazwa firmowa, tak poetycka i obiecująca, ale wyrób nie różniący się faktycznie od innych.

Sprawiała mu w ogóle całą odzież, wybierając na przecenach w podziemiach u Eatona albo w Bayu - spodnie do szkoły, koszule i swetry. Ubrania te nie były nigdy całkiem właściwe. Raz, kiedy miał może dwanaście lat, kupiła mu czerwono-czarną kraciatą koszulę wełnianą, która go przyprawiała o świerzbiczkę i którą następnie podszyła pracowicie jedwabną taftą. Wszystko to było upokarzające. W liceum nosił sztruksy w zgniłym odcieniu brązu. Dżinsy miał zawsze za szerokie w siedzeniu i zbyt niebieskie, żadnej z uznawanych firm, nawet się do nich nie umywające. Nie cierpiał tych ubrań, ale kochał swoją niestrudzoną matkę i za żadne skarby nie chciał jej okazać swego rozczarowania. Nade wszystko jednak nie chciał, żeby wiedziała, że przywiązuje do takich spraw wagę. Żywiła ona przekonanie, że mężczyźni nie powinni zwracać uwagi na to, co noszą. Są ponad takie sprawy. Egzystują poza światem sekretnej wiedzy kobiet o gatunku i trwałości materiałów, o kolorze, o jakości, o instrukcji prania, poza światem drobnego intuicyjnego rozeznania we właściwym i niewłaściwym obdzierganiu dziurek do guzików.

Nie, matka nie wykazywała zrozumienia dla butów. Ani dla skarpet. Dla arkanów kołnierzyków i sposobu, w jaki powinny leżeć spodnie.

Kiedy jednak Larry miał dziewiętnaście lat, namówiła go do kupna na promocji tweedowej marynarki od Harrisa. Jej twarz promieniała aprobatą. Podobała jej się faktura angielskiego sukna i fakt, że nie będzie na nim widać brudu.

Larry uwielbiał tę marynarkę. Nosił ją przez lata, odżywał w jej bezpiecznych szorstkich objęciach, po raz pierwszy mógł się poruszać po świecie ze świadomością, że wygląda jak normalny człowiek. Właściwy „łach” we właściwym czasie. Ta marynarka go uratowała.

*

Na ślub z Dorrie w 1978 miał na sobie nieszczęsny strój młodych kochanków, granatowy garnitur. Klapy były groteskowe, spodnie rozkloszowane, materiał błyszczący. Na jego piersi widniał krawat szeroki i czerwony, miłosiernie bez wzorów. Na fotografii zrobionej na korytarzu magistratu tuż po ślubie Larry się uśmiecha oślepienymi oczami, zdając się nie mieć pojęcia, jak źle jest ubrany. (Dorrie ma na sobie kremowy wełniany kostium z bukiecikiem różowych róż przypiętym do mankietu i widać, że wie, jak ładnie wygląda).

Na ślubie z Beth - w sali balowej hotelu Oak Park Arms w 1986 roku - Larry występuje w smokingu. Faktem jest, że kupił ten strój, nie wypożyczył. (Inteligentny sprzedawca u Marshalla Fielda zwrócił mu uwagę, że cena smokinga równa się dokładnie kosztowi sześciu wypożyczeń, co się okazało dobrą radą). Jest tyle części do włożenia, spodnie, szelki, szarfa, koszula i spinki, szatańska muszka, obszywana atłasem królewska kamizelka - ku własnemu zdumieniu Larry opanował technikę wkładania tych wszystkich cudacznym wymysłów. Ubierając się na formalny wieczór, pogwizduje pod nosem, jak gdyby pragnął upewnić pasiastą tapetę i sięgające podłogi lustro, że jest przecież normalnym mężczyzną, któremu nie zaimponują najbardziej prestiżowe „łachy”.

*

Larry, jak każdy, słyszał o mężczyznach, którzy lubią się przebierać w kobiece łaszki. To transwestyci. Ciekawi go, jakby to było zrobić coś takiego, szczególnie jakie wrażenie sprawia ciasno tkany nylon obciążający łydki i uda.

Przed laty, kiedy jego ojciec w ostatnim stadium raka leżał w szpitalu, Larry zastał go kiedyś w błyszczącym różowym pikowanym szlafroku damskim.

- To mamy - mruknął przeproszającym tonem ojciec. - Uważała, że będzie mi w tym ciepłej.

Larry pamięta przyływ gniewu na matkę. Chciał biec do najbliższego pasażu handlowego i kupić ojcu męski szlafrok, coś w spokojnych ciemnych kolorach i o dyskretnym wzorze, nie narzucającego się, z prostym paskiem.

- Szkoda pieniędzy - powiedział ojciec. - Niewiele mi pozostało czasu. Zresztą przyzwyczailem się już, że wyglądam w tym szlafroku jak picuś.

Teraz był kwiecień 1994 roku, zimna deszczowa noc. Beth wróciła niedawno do Anglii po wyczerpującym seksualnie tygodniu wielkanocnym spędzonym w Oak Parku. Larry stał goły w ich kwadratowej sypialni z jej aurą zwietrzałego erotyzmu. Było późno, miał się już wsunąć do łóżka, gdy jego wzrok padł na tren jednej z powiewnych koszul nocnych Beth wiszących w szafie, blade zimnoniebieskiej, z deseniem białych kwiatów, głębokim okrągłym dekoltem i krótkimi rękawami. Wsunął ją przez głowę i przejrzał się w lustrze.

Usta mu się wykrzywiły. Pozwolił sobie na lubieżny uśmieszek, nim zdjął koszulę. Co właściwie czuł z jedwabistym materiałem płaczącym mu się między kolanami? Nic wielkiego. Może trochę zażenowania. Ale także coś w rodzaju satysfakcji.

Była to rekordowa, najbardziej deszczowa wiosna, jakiej Chicago kiedykolwiek doświadczyło. Pewnego ranka w połowie maja Larry człapał po wodzie Woodland Avenue w towarzystwie swego przyjaciela i mentora, Erica Eisnera. Wyszli ze spotkania z bogatym filantropem, który podpisał z nimi wspólny kontrakt na restaurację starego ogrodu Instytutu Humanistyki.

W deszcz ulice Chicago użalają się nad samymi sobą. Płaczą zakopconymi łzami, kwilą, wiją się. Profesor Eisner, który jest dobrze po siedemdziesiątce, kroczył z identycznym parasolem jak Larry Weller, dużym czarnym wszędobylskim parasolem rodzaju męskiego. Identyczne były również ich płaszcze od deszczu. Zaskoczyło to trochę Larry'ego, takie same łachy na mężczyźnie po czterdziestce i na mężczyźnie po siedemdziesiątce. Beżowe oczywiście. Patki na ramionach. Kryte guziki. I owo półokrągłe (jak to się nazywa?) wzmocnienie na karku dla ochrony przed deszczem.

Spod obydwu płaszczów wyglądało kilkanaście centymetrów czarnych nogawek, dokładnie czterech. Takie same czarne skarpety i wyglansowane półbuty człapiące po zadeszczonym chodniku, lewa, prawa, lewa, prawa. Przeraziło go to, takie zdublowanie obrazu, poczuł, jak z głowy odpływa mu krew. Obstrzępiony kawałek mężczyzny uwieczony w fazonym lustrze.

Wciągnął spiesznie haust kojącego powietrza. Za tydzień będzie w Anglii, gdzie według Beth świeci dzień w dzień słońce, cud angielskiej wiosny, rekord stulecia. Brytyjskie wietrzyki są łagodne i słodkie, więc kupiła sobie powiewną kwiecistą sukienkę.

- Nada się również na ciężę - oznajmiła mu przez telefon. - Jeśli następnym razem nam się powiedzie.

Larry jest posiadaczem tylko czterech par butów. Kocha te buty. (Inni mężczyźni mają szafki pełne butów, dziesięć, dwanaście par, lecz Larry zakreśla granicę na czterech).

Jego buciki wieczorowe, lśniące lakierki, właściwie się nie liczą. Ze swoim czarnym połyskiem są niepoważne, kojarzą się z Fredem Astaire'em. Nie dadzą się nigdy znościć, będą mu zawsze okrywały stopy, gdy ich potrzebuje, będą go stale przeprowadzały lekko przez wieczory, które są wprawdzie zapisane czerwonymi literami w kalendarzu, ale które się prędko zacierają w pamięci.

Czarne półbuty. To te półbuty miał na nogach, kiedy spojrzał w dół i stwierdził, że Eric Eisner, mężczyzna o trzydzieści lat starszy, ma takie same - ten sam krój i fason, te same dyskretne podeszwy, te same sznurowadła związane na kokardkę. Gdyby człowiekowi wolno było mieć tylko jedną parę butów, wybrałby zapewne te - są one podstawowe, buty nie tylko z nazwy, zwiastujące mężczyznę kroczącego przed siebie z dojrzałą trzeźwością, zdrowym rozsądkiem, rozważą, statecznością podbijaną ich tęgą skórą.

Mokasyny z chwościkami. Larry nazywa je swoimi pantoflami weekendowymi, gdyż krępuje się wymienić, ba, nawet pomyśleć nazwiska ich włoskiego producenta. Od lat wkłada te miękkie pantofle w soboty - pasują wspaniale do miedzianoczerwonych weekendowych poranków chicagowskich. Uszyte z brązowej skóry cielecej, nasyczonej jak mahoń, kosztowały trzysta procent więcej niż którekolwiek inne buty w jego garderobie. Nazwisko projektanta zostało wytrawione wyraźnie na przyszwach, ale Larry'ego ani to ziębi, ani grzeje, naprawdę nie. (Były premier Kanady miał tuziny par tych cudów, aż sprawa przedostała się do wiadomości publicznej i najadł się wstydu).

We wrześniu Larry poleciał w swoich mokasynach z chwościkami do Anglii. (Stanowią one idealne obuwie do samolotu, gdyż droga skóra jest wspaniale litościwa dla stóp). Miał je także na nogach w restauracji w Southampton - włoska kuchnia, miłe zapachy, tłok, głośnie rozmowy - kiedy jego żona, Beth, nerwowo ożywiona i

pięknie wyglądająca, pochyliła się nad talerzem soli doverskiej z grilla i polenty i oświadczyła mu, że nie chce być dłużej zameżna. Nie żeby poznała innego mężczyznę. Nie, nikt inny nie pojawił się na horyzoncie. To sprawa etapu życiowego, na jakim się znajduje. Odeszła ją chęć urodzenia dziecka, nie wyobraża sobie dłużej wspólnego życia. Oak Park w stanie Illinois to dla niej punkt na innej planecie, rządzącej się odmiennymi prawami grawitacyjnymi, których ona już nie rozumie. Przykry będzie oczywiście brak seksu - Larry był zawsze najczulszym z kochanków, naprawdę, ona to szczerze mówi - ale wyrzeczenie może być też ekscytujące, nawet erotycznie ekscytujące, rodzaj fascynacji cierpieniem. Oczywiście trudno oczekiwać, żeby Larry to zrozumiał, ona sama nie bardzo to rozumie. Nie musi się jednak o nią martwić, ona jest szczęśliwa, tak, szczęśliwa. Może mu się wydawać, że pomieszało jej się w głowie, ta jej mała biała klitka, to jej wąskie łóżko, ale dokonała takiego wyboru.

Biegówki Larry'ego, nikesy, mają dziesięć lat.

Dziwne, jak w drugiej połowie dwudziestego wieku wszyscy zaczęli raptem kupować te obszerne, rozłożyste, modelowane, wielobarwne buty. Zupełnie jakby ludzie odkryli z dnia na dzień, że obuwie nie musi być czarne ani brązowe, nie musi hołdować temu co przyjęte i w dobrym tonie. Rzucono wyzwanie i tradycyjny but poległ w pierwszej potyczce. Buty mogły się teraz przechwalać swoją ergonomiczną budową, swoją elastycznością, swoją agresywną wyściółką. Mogły wysuwać szaleńcze roszczenia, zmuszając całe generacje do wyczynów sportowych i wyśrubowanej sprawności. Biegówki Larry'ego są czerwono-białe, z małymi żółtymi znaczkami firmowymi u nasady palców. Każda pięta ma wbudowaną przezroczystą bańkę dla dodatkowej wygody i sprężystości, gdy się biegnie po twardej nawierzchni.

*

Najintymniejszym okryciem w życiu Larry'ego Wellera są jego włosy.

Są mężczyźni (nie Larry), których uwłosienie się cofa i którzy w obronie zapuszczają z tyłu warkoczyki, kucyki, zdając się głupio nie zauważać, jaki żałośnie wyliniały wygląd im to nadaje. „Ale patrzcie - zdają się mówić - to są prawdziwe włosy, rosną jeszcze na tej mojej łepetynie, chociaż może to tylko kosmyki, nędzna pozostałość dawnej czupryny”.

Inni mężczyźni, na przykład Eric Eisner, nakładają na łysą pałą perukę, która siedzi na niej niezdarnie i sztywno jak karczoch. Mężczyźni tacy, nie zdając sobie sprawy, jak śmiesznie wyglądają, szczególnie z tyłu, żyją w przekonaniu, że im z tym do twarzy.

Larry, który będzie niedługo obchodził czterdzieste czwarte urodziny, udaje obojętność, jeśli chodzi o włosy, ale nie ma chwili, w której by nie był na jakimś poziomie świadom swoich rozmaitych porostów - długich, rzadkich włosków na nogach, gęstszych, falistych włosów na piersiach, łonowej obfitości, za którą jest nieskończenie wdzięczny, kępek pod pachami, ciemnych splocików na nadgarstkach, ocierających się o mankiety koszuli, skromnego meszku na wierzchu dłoni, twardej szczeciny na twarzy i tego najważniejszego: uwłosienia głowy, które przedziera się równo, czysto, na całej powierzchni czaszki.

Uważa się za szczęśliwca w dziedzinie owłosienia. Ma dobre doświadczenia, jeśli chodzi o włosy, uwłosiona częśćka jego ja przyniosła mu wiele radości, do czego niechętnie by się przyznał. Jego żona, Beth, z którą żyje obecnie w separacji, gotowa by bez wątpienia wysunąć wiele teorii, psychologicznych i mitycznych, dotyczących męskiego uwłosienia, jego ważności dla obrazu własnego mężczyzny, ale Larry'ego to nie interesuje, przynajmniej nie w tej chwili.

Uwłosienie jego ciała pojawiło się wcześniej, gdy miał trzynaście, czternaście lat. Włosy wyrastały szybko, sekretnie, przynosiły pociechę, pokrywając przewidziane regiony, upewniając go, że ma zasoby, do których będzie mógł sięgnąć pewnego dnia.

Od 1970 do 1978 roku, jak co drugi mężczyzna w Ameryce Północnej, Larry nosił włosy do ramion. Utrzymywał je w czystości codziennym myciem - codzienne mycie głowy było wynalazkiem lat siedemdziesiątych czy może końca sześćdziesiątych i jakoś nikt od tego nie umarł. Jednakże rodzinie okropnie się nie podobały te jego długie włosy. Szczególnie narzekał ojciec - że w wannie zawsze jest pełno kłaków i że on z tyłu nigdy nie wie, czy jego syn jest chłopakiem czy dziewczyną. Samego Larry'ego zastanawiało przyjemne uczucie, jakiego doznawał, gdy szybko obrócił głowę i jedwabista fala włosów pieściła mu twarz.

Po zerwaniu z pierwszą żoną zapuścił brodę. Zaczęło się to od paralizującego uczucia smutku - był zbyt smutny, by się wiele poruszać czy mówić, zbyt smutny, by się golić. Przyjaciele i znajomi, niepewni co do wrywania się z wyrazami współczucia czy radami, mieli możliwość wypowiedziania zamiast tego komentarzy na temat jego brody - jak ładnie rośnie, jakie nieoczekiwane przebliski radości pojawiają się wśród ciemniejszych włosów, jak to niektórym mężczyznom jest dobrze z brodą, a innym nie. „Jezus Chrystus we własnej osobie” - skomentował ojciec. Zmógł Larry'ego ostatecznie katar sienny - w brodzie osiadały pyłki traw, które go doprowadzały co noc do wariactwa. Wstał w końcu pewnego wrześniowego dnia o piątej rano i ogolił się do czysta. „Witaj” - powiedział do nagiego podbródka w lustrze i zrobił minę.

Teraz, późnym latem, zapuszcza od paru tygodni wąsy. Robi to na próbę, żeby zobaczyć, jaki kształt przybiorą, czy będzie mu z nimi do twarzy. Jest to także prezent, który robi samemu sobie. Nic go nie kosztuje. To tylko włoski wyrastające samoistnie ze swoich ukrytych torebek, wyzierające na świat.

Jego przystrojone ja. Suma tysiąca nieporozumień.

„Beth, Beth, gdybyś mnie mogła teraz zobaczyć”.

Z początku jego dłoń unosiła się często do górnej wargi, szukając pociechy w napotykanym szorstkości. Nastroje miał skłócone, rozbieżne. Czuł się niepewnie jak chłopiec, ale szczęśliwie nikt nie zrobił żadnego komentarza w pierwszych żalonych dniach jego wąsów, tej cudacznej odbarwionej szczeci między nosem a ustami, wyglądającej zaskakująco jak nie opatrzona rana. Może owłosienie przestało być przedmiotem zainteresowania społecznego, może nie ma już znaczenia. Ludzie noszą obecnie włosy, jakie chcą. Wszystko uchodzi, ten krzyczący banał. Fakt jednak, że nic nie uchodzi.

W miarę wzrastania szczecina jego wąsów mięknie i przemienia się w małe pędzelki. Larry przystrzyga je (wąsy? pędzelki?) miłośnie raz na tydzień, jakby przycinał krzewy, rzeźbił własną twarz. Nie jest jednak pewien, czy mu się podoba to, co widzi. Wyraz jego ust zanadto przypomina grymas i teraz, gdy jego dom został wystawiony na sprzedaż, Larry się zastanawia, czy wąsiki nie nadają mu podejrzanego wyglądu, nie czynią z niego człowieka nie wzbudzającego zaufania jako oferent. Czy kupilibyście używany dom od mężczyzny z...?

Za wąsikami kryje się jednak dawny Larry, Larry z jego świadomością żeglowania przez przygodę własnego życia. Historia życia Larry'ego Wellera. Nikt inny jej nie zna, ale on zna - i to się liczy. Pod ubraniem żyje jego dawne ciało, ciało, z którym się urodził, dowartościowane ciało, w którym on, Larry, mieszka od czterdziestu czterech lat, tężące ścianki żywej materii, pulsujące przewodniki krwi i elektryczności. Trzyma je tymczasem w spoczynku i rezerwie. („O, Beth, moja ukochana”). Ale trzyma je przy życiu, skórę, czaszkę, przystrojoną twarz z dokładnie rozmieszczonymi cieniami - czyniąc to, do czego wszyscy go nakłaniają, to znaczy, dbając o siebie, przeba-

czając sobie w nieskończoność, gdy tak balansuje na skraju świadomości, rozgrzeszając się echami i wymówkami („Przeżyliśmy razem kilka szczęśliwych lat, nie każdy to może powiedzieć”), trzymając się kurczowo nici, które upłótl po drodze, a które albo go pociągną żywcem do grobu, albo pozwolą mu złapać na powrót dech.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Mężczyźni imieniem Larry 1995

Larry mógłby być kimś innym, ale nie jest. Jest Larrym Wellerem, zwykłym człowiekiem doświadczanym przez dobry i zły los.

Laurence John Weller, lat czterdzieści pięć, mężczyzna kryjący się pod bojową kadencją zdrobnienia, które niezaskakująco brzmi: Larry. Z wyjątkiem rzadkich okazji - takich jak chrzciny, dwa śluby, rozmaite dyplomy i nagrody za osiągnięcia na polu architektury krajobrazu, zawsze był i prawdopodobnie zawsze będzie znany jako Larry.

Świat się dzieli - myśli czasem Larry - na ludzi, którzy mają zdrobnienia czy przydomki, i ludzi, którzy pozostają na całe życie przykuci do swoich oficjalnych imion, takich jak nieprzepuszczalny William czy Andrew, jak święcie nietykalna Mary czy Martha. Nosiciele przydomków ośmiela się do chodzenia po świecie z rękami w kieszeniach, proszą się oni, żeby ich poszturchiwać; albo to, albo też przypisują sobie prawo do specjalnych przywilejów. Na myśl przychodzi tu sąsiad Larry'ego z Oak Parku, Ace Hollyard, który się przedstawia: „Mówcie mi Ace, tak jak as w talii kart”. Albo były klient Larry'ego, irlandzki król świata rozrywki, „Bekon” Malone.

Istnieją oczywiście imiona, które się nie poddają obróbce. Larry zalicza tu imię swego przyjaciela i mentora, Erica Eisnera; co można zrobić z takim imieniem jak Eric? Albo Garth. (Głośny przemysłowiec i inwestor z Toronto, Garth McCord, zwrócił się niedawno - w zeszłym tygodniu, ściśle mówiąc - do Larry'ego Wellera z Chicago z propozycją wielkiego przedsięwzięcia krajobrazowego i Larry serio rozważa podjęcie go, jakkolwiek oznaczałoby to przeniesienie się na większą część roku do Toronto).

Nieżyjący ojciec Larry'ego znany był jako Stu, zdrobnienie od Stuarta; jego wiekowa matka to Dot (od Dorothy); a jego jedyna siostra, Marjorie, od dnia swego urodzenia pod koniec lat czterdziestych nazywana jest Midge (czasami też Pigeon albo Widge). Coś wam to mówi, prawda? Cała rodzina podatna na takie zdrobnienia. Czy nie sugeruje to, że Wellerowie nie są ludźmi w pełni dojrzałymi, są raczej czymś na kształt rysunków w elementarzu, mających wyobrażać rzekomo pełnokrwiste postacie - tata, mama, siostra, brat.

Larry wychowywał się w Winnipegu, w domu sąsiadującym z domem rodziny Herschelów, Hersha i Gerty, oraz ich dzieci Billa i Toots. Było to tak, jakby Herschelowie, podobnie jak Wellerowie, nie zasługiwali na pełnię godności, do jakiej pretendują ludzie o imionach Jonathan, Ann-Marie, Clark czy Susanna. Z drugiej strony można by twierdzić, że „przydomkowcy” łatwiej się przystosowują, manifestują światu swoje piegi i swoją gotowość pójścia za ciosem. Tworzą mikrokosmos facetów i babek, którzy cię przyjaźnie poklepują, którzy samą nonszalancją swoich imion sygnalizują, że zrzekli się już części swego DNA, swego strachu, swojej dumy. Stają przed tobą, jakby nie mieli żadnych sekretów do ukrycia, jakby nie potrafili dorosnąć i odstawić porannej kaszki, odłożyć na bok dziecinnej miseczki z wymalowanym na otoku imieniem.

Noszenie imienia Larry oznacza, że jakaś część Larry'ego pozostanie zawsze tym chłopcem snującym się po domu w letnie dni, czekającym w nieruchomym sierpniowym blasku, żeby coś się wydarzyło. Z nudów chłopak będzie w kółko pisał: „Larry Weller, Larry Weller” - aż zacznie to zakrawać na absurd. Koślawe ołówkowe bazgroły.

Tak się złożyło, że obydwie żony Larry'ego używają zdrobnień. Jego druga żona posługiwała się imieniem Beth, skrót od Elizabeth, który równie dobrze mógłby brzmieć Liz, wówczas jednak byłaby ona inną osobą, z innym bagażem zaszłości. Jego pierwszej żonie, Dorrie, rodzice dali na chrzcie imię Dora, które jej zdaniem zalatywało staropanieństwem, cuchnącymi stopami i ambicjami na miarę hali maszyn. Faktem jest jednak, że Dorrie nadal używa imienia Dorrie, chociaż została ostatnio awansowana na stanowisko dyrektorskie w firmie Niebiańskie Życzenia, kanadyjskiej filii międzynarodowej spółki produkującej karty pocztowe. Rozpoczęła karierę jako sprzedawczyni aut (Manitoba Motors), potem przeszła do branży odzieży sportowej (Nowodzież), gdzie się dochrapała stanowiska kierownika do spraw sprzedaży, a ostatnio, od minionego grudnia, pracuje w branży papierniczej. Wspiwała się po szczeblach przez wszystkie te lata, zajmując się jednak - zauważa Larry - towarem coraz to drobniejszym, lżejszym, bardziej ulotnym.

Nie tak dawno zobaczył ją nieoczekiwanie w ogólnokrajowym dzienniku telewizyjnym - pani Dorrie Shaw-Weller, jak się teraz nazywa, składała publiczne przeprosiny za niesmaczną kartkę na Dzień Ojca, wyprodukowaną przez jej firmę. Na ekranie pokazano kartkę stanowiącą kamień obrazy, z dziewczynką o komiksowo płaskiej twarzy i słowami wypisanymi w baloniku nad jej głową: „Dziękuję ci, tato, żeś mnie nie utopił po urodzeniu”.

- Analizujemy nasze projekty bardzo starannie - mówiła Dorrie Shaw-Weller do mikrofonu. Jej głos był rozbrajająco szczery, w jej oczach malowała się osobista troska. Nie ulegało wątpliwości, że podziela oburzenie publiczne. - Niebiańskie Życzenia szcycą się zasłużenie swoją wrażliwością na sprawy kobiet i mniejszości, więc tym bardziej nam przykro, że ta kartka jakoś uszła uwagi zespołu opiniującego. Oczywiście wycofaliśmy ją już ze sklepów.

Oczywiście, oczywiście.

Widok Dorrie w telewizji zaskoczył Larry'ego. Więcej, zaimponowała mu. Czy napisała sama tekst przeproszenia, po czym nauczyła go się na pamięć? Jej głos mógł nabrać przez te lata dyrektorskiej suchości, a miast tego wibrował ciepłymi tonami. Przemawia oto osoba wiarygodna, której może zaufać P. T. Klientela. Larry przypomniał sobie, że Dorrie przeszła przed paroma laty w Vancouverze trzytygodniowy kurs dla menedżerów, może tam nauczono ją arkanów sztuki koptowania klientów.

- Dziękujemy bardzo pani Dorrie Shaw-Weller - podsumował z przymrużeniem oka prezenter - że się zgodziła wystąpić w naszym programie i udzielić widzom wyjaśnienia.

- To ja dziękuję, że państwo mi to umożliwili - odrzekła Dorrie swoim sugestywnym głosem.

Jej dłonie uniosły się głaszcząc powietrze, po czym rozchyliły się lekko jakby w bagatelizującym geście, który zdawał się mówić: „Cóż, wszystkim zdarzają się błędy, więc proszę, proszę, wybaczone mi, wyrozumiali widzowie siedzący przed ekranem”.

*

Wielu ludzi otrzymuje imiona na czyjaś cześć, ale nie Larry Weller, lekką ręką odcięty od wszelkich paranteli. Jego rodzicom podobało się po prostu imię Larry i tyle, mieli jednak dosyć rozumu, żeby je wtopić w bardziej oficjalnego Laurence'a - działo się to w roku 1950. Ubrali go w imię Larry, bo brzmiało ono zarazem słodko i dziarsko.

- Uważałam, że to imię w sam raz dla chłopca - powiedziała mu kiedyś matka. - Tak samo jak Jack, drugie imię, które lubię. Brzmia po męsku, rozumiesz. Nie mają w sobie nic babskiego, a z drugiej strony nie mają nic sztywnego, napuszonego.

- Pewien jesteś - zapytała go druga żona, Beth - że nie zostałeś ochrzczony na cześć świętego Laurence'a?

Beth, która napisała rozprawę doktorską o świętych niewiastach pierwszych wieków Kościoła, potrafiła Larry'emu opowiedzieć o bohaterskich czynach świętego i jego ognistej śmierci. Jak to prefekt Rzymu zażądał, żeby mu pokazał skarby kościelne, na co Laurence zebrał ubogich i kalekich, którzy żyli z jałmużny wiernych, i wskazując obdarty tłumek, oświadczył: „To są skarby kościoła”. Za swoją fatygę został upieczony na czymś w rodzaju paleniska - Larry widział dziewiętnastowieczny drzeworyt w egzemplarzu *Ilustrowanych żywotów świętych* z biblioteki Beth. „Jestem dostatecznie upieczony - miał zawołać niepokorny święty. - Możecie mnie już jeść”.

Jakkolwiek Larry by pragnął, żeby jego imię się wywodziło od legendarnego świętego, bardzo wątpi, czy jego rodzice mieli na myśli tamtego Laurence'a. Przede wszystkim nie byli katolikami i nie mieli zielonego pojęcia o świętych. Nie, on jest szeregowym członkiem klanu Larrych, owych piknikowiczów, członków ochotniczych straży pożarnych, nosicielek koszulek gimnastycznych.

Mężczyźni imieniem Larry winni być dzielni, nie tak jak inni mężczyźni, którzy mogą sobie pozwolić na słabostki.

Również na chybił trafił zostało wybrane drugie imię Larry'ego.

- Chciałam, żebyś miał drugie imię - powiedziała jego matka, Dot, która nie miała drugiego imienia i dotkliwie odczuwała niezapelnione miejsce w swoim życiu - a John brzmi ładnie, po królewsku.

Tak więc otrzymał imiona Laurence John. Larry. Fakt ten ukrócił szanse na zademonstrowanie światu innych stron jego osobowości.

*

Mężczyźni, w przeciwieństwie do kobiet, noszą całe życie nazwisko rodowe. Osiada ono właściwym sobie ciężarem na ich piersi, jak ochronny fartuch rentgenowski, i tak już pozostaje. Druga żona Larry'ego, przysięgła feministka, nie chciała słyszeć o zmianie nazwiska na Weller, a Dorrie, która je przyjęła automatycznie w 1978 roku, powróciła do panińskiego nazwiska Shaw, przypinając je dywizem do Weller. Z początku brzmiało to Larry'emu dziwnie, ale teraz się przyzwyczaił.

Nazwisko Weller ma dwa możliwe pochodzenia, jak stwierdził Larry, odszukawszy jego etymologię w jednej z książek Beth. Pewne źródła sięgające dwunastego wieku określają jego znaczenie jako „warzyciel soli”. Późniejsza wersja, którą Larry woli, lokuje Weller'a jako człowieka mieszkającego nad strumieniem czy źródłem, kogoś w rodzaju zawodowego nadzorcy wód.

Jak wielu ludzi, Larry nigdy nie przepadał za swoim imieniem; jego larrysowość wydawała mu się zawsze rodzajem więzienia, a co gorsza, ukradkowym mrugnięciem do najbardziej narzucającego się rymu: „szary”. Jego drugie imię, John, jest atrapą, służy jedynie do zapelnienia pustej przestrzeni. Polubił natomiast nazwisko Weller -

człowiek żyjący widokiem i szumem płynącej wody, czciciel wody, budowniczy studni, strażnik tego, co jasne, czyste, nieodzowne i wszechobecne.

Zdarzają się faceci, przeważnie patafiany, których wszyscy wołają po nazwisku. Nikt nie wie, skąd to się bierze, zwracanie się do osobnika, który się nazywa, dajmy na to, Bill Jones, *per* Jones albo Jonesy. Przywodzi to na myśl owe domy, do których wszyscy wchodzi wyłącznie tylnymi drzwiami albo też wyłącznie frontowymi drzwiami - i nikt nie wie dlaczego.

Do Larry'ego prawie nikt się nie zwraca *per* Weller, a kiedy to się zdarzy, chce mu się śmiać. Nazwisko rozpryskuje się w jego uszach w gierkę gramatyczną - well, weller, weller¹⁸. Jego siostra, Midge, dzwoniąc czasami w niedzielę wieczorem, mówi do niego czule: „Laruszku staruszku”. Bill Herschel nazywał go kiedyś Jary Larry, ale trwało to krótko, a teraz nazywa go Lorenzo. Beth mówiła o nim czasami Larry Niedzarry, kiedy miał trudności z podjęciem decyzji. Ale najczęściej jest po prostu Larrym.

¹⁸ Gierka gramatyczna polega tu na dodaniu przyrostków stopnia wyższego i najwyższego przymiotników „-er” i „-est” do przysłówka *well* - „dobrze”, który stopniuje się nieregularnie: *better, best*.

Larry, Larry. Słowo, które obrosło w skórę całkowitej przezroczystości. Nie widzi go już ani nie słyszy. Jest absurdalne. Absurdalne jak niczemu nie służące kwiaty i drzewa, falowanie mórza, kamienie i gwiazdy, które się na siebie gapią przez ślepe powietrze. Wszystko to bezużyteczne. Zaburzona obfitość.

*

Dzisiaj nie chrzci się już nikogo imieniem Larry. Odeszło ono bezpowrotnie w przeszłość. Kiedy usłyszycie o mężczyźnie tego imienia, automatycznie staje wam przed oczami facet pijący piwko w jakimś pokoju w latach sześćdziesiątych. Ma na sobie poliestrowe spodnie. Ogląda w telewizji mecz, pobekując przy tym cicho. Potem sięga pod podkoszulek, żeby się podrapać po owłosionym brzuchu. Mało go wzrusza, czy to kto widzi. Wie, że należy do ostatniego pokolenia Larrych, więc co mu tam.

(Ten profil typowego Larry'ego wymalowała Beth. Było to przed laty, wkrótce potem, jak się poznali. Larry pamięta, jak powiedziała: „Nie mogę uwierzyć, że całuję mężczyznę imieniem Larry”. Jej głos był pełen szczerego zdumienia, usta napięte jak rulon papieru).

Żyje jednak garstka niedobitków klanu Larrych. Nie ma ich może tylu co Mike'ów, Tonych, Alów czy Gregów, jest ich jednak wystarczająco dużo, żeby nikt nie robił głupiej miny, gdy usłyszy, że ci na imię Larry. Nikt cię też nie pyta, jak to się pisze.

Jest Larry King prowadzący codzienny program telewizyjny, facet szyderczy, lecz dziwnie trzeźwy, który niekiedy okazuje zaskakujący umiar. Jest bokser Larry Holmes. Był też Larry Olivier, wielki aktor, ten pozostawał jednak w głębi serca Laurence'em, a Larrym nie nazywał go nikt nie należący do jego najbliższego otoczenia, do którego ty oczywiście nie należałeś.

*

Larry Weller z Chicago, wkrótce mający spalić za sobą mosty i przenieść się do Toronto - zdecydował, że będzie to przeprowadzka na stałe - zna tylko trzech Larrych, to znaczy, zna osobiście.

Larry Liddle z firmy Okna, sp. z o.o., zjawia się ze swoją ekipą w domu Wellerów w każdą pierwszą sobotę kwietnia, żeby zdjąć okna zimowe i założyć siatki ochronne. Na jesieni pojawia się ponownie i przeprowadza operację odwrotną. Twarz ma czerwoną, długie zawężone mięśnie, na głowie zbitą, dobrze siwą czuprynę. Za każdym

razem, gdy Larry wręcza mu czek, ogląda go przez chwilę, po czym wydaje krótki gwizd aprobaty. „Hej, jeszcze jeden Larry, kto by się spodziewał!”. Zbieżność imion zdaje się podnosić go na duchu, staje się okazją do celebracji, jakkolwiek Larry Weller wie, że Larry Liddle zapomni do następnej jesieni o tej ich wspólnocie i będą znowu przechodzili rytuał odkrycia, zaskoczenia i kumpelstwa.

Tyle że nie będzie już następnej jesieni. Larry oznajmił to Larry'emu Liddle'owi, kiedy ten przyszedł w zeszłym tygodniu wyjąć okna zimowe. Dom jest sprzedany, wkrótce uprawomocni się rozwód, a on przenosi firmę do Toronto.

- To gdzieś w Kanadzie, tak? - zapytał Larry Liddle.

- Tak - odparł Larry Weller, po czym dodał przepraszającym tonem: - Ja stamtąd pochodzę, z Kanady.

- No, no - skwitował Larry Liddle. - No, no, no. - Przyglądał się przez chwilę czekowi, jakby nie mogąc znaleźć słów, zdruzgotany odjazdem Larry'ego. W końcu rzekł: - To będzie tu o jednego Larry'ego mniej do towarzystwa - czemu nie sposób było zaprzeczyć.

Larry K. Wellington jest chicagowskim architektem, znanym szeroko z różowego biurowca, który sterczy nad Wacker Drive jak piramida babek śmietankowych, oraz z kilkunastu uroczych domków letnich na wydmach nad jeziorem Michigan. Ludzie bezustannie mylą Larry'ego Wellera z Larrym Wellingtonem. W pismach kilkakrotnie przypisywano projekty nie temu Larry'emu, klienci często dzwonią pod niewłaściwy numer i trzeba ich wyprowadzać z błędu. Dwaj Larry'owie spotkali się tylko raz, na obiedzie na rzecz ratowania mających ulec niebawem zagładzie ogrodów Wardlawa koło Washington Boulevard. Larry Weller zapalał niechęcią do Larry'ego Wellingtona od momentu, gdy ten go zagadnął przez swój długi, wąski nos: „Więc to pan jest tym wirtuozem od ogrodów, he?”. Jedwabny węzeł jego krawata sterczał karygodnie. Jak małe zwierzątko, jak granat, który ma lada chwila wybuchnąć. Uścisk jego dłoni trwał długo za długo, spocony i badawczy, broda miała wygląd wilgotny, jakby pociekło po niej czerwone wino, którego nie chciało mu się wytrzeć.

- Tak więc - powiedział Larry K. Wellington z szyderczą poufałością - skazani jesteśmy na noszenie przez całe życie jednej i tej samej ksywy. Wie pan, jak za mną wołali w szkole? Larry nie zna miary. Emanowałem takie coś z siebie. Już wtedy. Jakaś aurę powodzenia. Chłopaki mi zazdrościli, rozumie pan. Czuli, że ja zrobię karierę, a oni nie. Zastrany świat. Wszystko to w końcu gówno.

Larry Weller nie mógł uwierzyć, że taki typ spaceruje swobodnie po ulicach Chicago. A w dodatku ma na imię Larry.

Dzięki Bogu za Larry'ego Fine'a, który mieszka po drugiej stronie Kenilworth Avenue, naprzeciwko domu Wellerów. Larry Fine jest psychologiem - a raczej behawiorystą, jak was szybko poprawi - który wykłada na Uniwersytecie Chicagowskim. Ma ten Larry nadgarstki pokryte gęstym, zbitym futrem włosów, reprezentuje jednak typ odległy o mile od schematu heteroseksualnego samca. Piecze, nosi fartuszki, szyje sobie sam zasłony. Na ostatnią Gwiazdkę uszył Larry'emu koszulę z zielonego płótna. W swoim domu nadaje wszystkiemu imiona. Kuchenka nazywa się Eleanor, samochód Jacqueline. Komputer to Gertrude, córka poprzedniej Gertrude. Larry Fine podkochuje się prawdopodobnie w Larrym Wellerze. Wiedzą o tym obaj, ale nie ma to większego znaczenia i nie przeszkadza im popijać razem piwa na chronionej siatką werandzie Larry'ego Wellera - szczególnie w samotne wieczory teraz, kiedy Beth go zostawiła - i rozmawiać o sporcie, seksie, teologii, badaniach nad AIDS, sensie labiryntów ogrodowych i znaczeniu imion.

- Spoglądając z perspektywy na nasze stulecie - dowodzi Larry Fine - stwierdzimy, że jedną z wielkich przemian społecznych w Ameryce było to, że poczuliśmy się panami swoich imion. Nie pozwalamy już innym decydować o nich. Imieniem można władać tak jak oddechem. Można je przykrócić albo wywatować i wciąż będzie nasze. Widziałeś te ogłoszenia Klubu Lois? Wszystkie kobiety imieniem Lois w całym Chicago zbierają się raz na miesiąc. Nie wiem, co robią, skaczą sobie do oczu czy śpiewają Loisowskie piosenki, ale na pewno odgrywiają się na tym swoim arbitralnie nadanym imieniu. Z drugiej strony warto się przyjrzeć ewolucji ceremonii chrztu. Rytuály mówią wszystko. Otóż patriarchalne przykładanie rąk poszło za okno, nie ma już formułki „Chrzczę cię Elvis Presley” czy jak tam, i nikt nie oczekuje, że ma to być na całe życie. Nacisk jest na coś zupełnie innego. Sami przybieramy sobie imiona, jeśli nam przyjdzie ochota. Zawsze byli oryginałowie, którzy to robili, ale ograniczało się to do świata rozrywki albo do typów, którzy musieli się ukrywać. Teraz jest w modzie, tak jak ozdobny kamień w moim pępku. Wiesz, że ludzie najczęściej występują o zmianę nazwiska na zachodnim wybrzeżu, na skraju kontynentu? Chcą być kimś innym, czują, że muszą się raz na zawsze pozbyć starej skóry. Ze mną było inaczej. W pewnym okresie, jakieś dziesięć lat temu, byłem gotów zmienić imię na Abraham czy Ezra, coś z lekkim zaśpiewem biblijnym, ale w końcu zdecydowałem, że pozostanę przy imieniu Larry. Zmuszę je, na Boga, żeby przybrało nowy kształt. Dodam mu trochę płciowej rozciągliwości, trochę jędrności, może nawet parę komórek mózgowych. Imię jest kretyńskie, powiedzmy sobie szczerze, ale jest nasze i możemy je pokochać.

*

„Meble po prostu sprzedaj - faksowała mu Beth z Uniwersytetu Hrabstwa Sussex, gdzie prowadzi drugi rok Studium Kobiecte. - Zostaw sobie tylko to, co chcesz”.

Poszło prawie wszystko, wszystko z wyjątkiem królewskiego łoża jego i Beth, które sobie zastrzegła para nabywająca dom. Zakochali się w nim, muszą je mieć, gotowi są za nie zapłacić tyle, ile kosztowało, nawet więcej. Nazywali się Halfhead, Wilford i Stacey Halfheadowie, i od momentu podpisania aktu kupna-sprzedaży Larry nie przestaje się zastanawiać, jak to jest żyć z nazwiskiem takim jak Halfhead¹⁹. Czy człowiek musi się zbierać na determinację za każdym razem, kiedy się przedstawia? Za każdym razem, kiedy gdzieś dzwoni? „Halo, mówi Halfhead”. Wilford Halfhead pracuje w komputerach, jak zdają się teraz pracować wszyscy, a ona, Stacey, dzielna albo też szalona kobieta, która przyjęła za swoje nazwisko Halfhead, tka narzuty. Larry się domyśla, że ich łóżko z jego wie-trzejącą aurą erotyzmu zostanie wkrótce zasłane jedną z wesołych wełnianych kracji Stacey.

¹⁹ *Halfhead* (ang.) - półgłówek.

Larry nie mógł się rozstać z sosnowym stołem i towarzyszącymi mu dziesięcioma krzesłami z refektarza klasztornego, więc wyekspediował je wozem meblowym do Toronto. Zapłacili za nie z Beth za dużo na aukcji w centrum miasta - inwestycja, która się nigdy nie zwróci. To jeden z powodów, ale nie jedyny. Tutaj, na tym pięknym stole, rozkładał często swoje rysunki robocze, ostatnio projekt labiryntu Malonego w hrabstwie Mayo. Tutaj Beth, kiedy jej zabrakło miejsca na biurku, wprowadzała poprawki do swojej pracy doktorskiej. Wieczorami siadywali przy końcu stołu naprzeciw siebie, rozmawiając nad talerzami ryby z rusztu czy jakiejś potrawy mącznej, zależnie od tego, na kogo danego dnia wypadało gotowanie. Rozmawiali, rozmawiali. Poślubił kobietę rozmowną i teraz, ostatniego tygodnia w Oak Parku, ostatniego wieczoru, jeśli chodzi o ścisłość, dotkliwie odczuwa głęboką ciszę domu.

Sprzedany został telewizor, sprzedane wideo, nie miało sensu targanie do Kanady starzejącego się sprzętu elektronicznego. Dwie kanapy poszły szybko po ogłoszeniu w „Tribune”, jedna z nich nabyta krótkie parę tygodni przedtem, jak Beth przyjęła posadę w Anglii, a następnie doszła do wniosku, że nie chce być dłużej zamężna, w każdym razie zamężna z Larrym. Stolik do kawy z kamiennym blatem powędrował naprzeciwko, do Larry'ego Fine'a. W ostatnią sobotę przyjechał z La Grange handlarz antyków - na bilecie firmowym figurował jako The Lone Granger²⁰ - i wziął dwa stare fotele z bocznymi podpórkami na głowę oraz dębowe biurko Beth, po czym na odjeźdźnym zdecydował się kupić również dywany. Kroki Larry'ego dźwięczą teraz echem na lśniącem parkiecie. Bez mebli, bez wysepek światła, które porozmieszczali wraz z Beth, pozostały tylko gołe równoboczne przestrzenie i zimne powietrze. Tym, co Larry odczuwa tej ostatniej nocy w Oak Parku, jest pulsująca pustka po utraconej miłości. Nie, to raczej rozpaczliwy smutek, który zajął miejsce miłości. Choć jutro czeka go długa jazda samochodem, Larry wie, że nie zaśnie tej nocy. Jak doszedł do siebie po załamaniu swego pierwszego małżeństwa? Może w ogóle nie doszedł, może te dwa kataklizmy się kumulują?

²⁰ *The Lone Granger* (ang.) - Samotny Farmer. Jest to aluzja do bardzo popularnego serialu radiowego.

*

Larry jest jedyną gwiazdą filmu swego życia, nie jest jednak gwiazdą filmu żadnego innego życia. Przykro to przyznać, ale to prawda. Jego byłe żony mają inne sprawy na głowie i nie potrzebują go, nie potrzebują nawet jego pieniędzy. Jego matka jest wygodnie urządzona w anglikańskim domu opieki w Winnipegu, gdzie ją kąpią i przewijają zmieniające się stale dyżurne pielęgniarki o słodkich twarzach, które nie mogą się nachwalić jej pogodnego usposobienia i żarliwej modlitewności.

W Winnipegu mieszka także szesnastoletni syn Larry'ego z pierwszego małżeństwa, Ryan. Mieszka z matką w domu, w którym mieszkał od urodzenia, 234 Lipton Street, i chodzi do liceum imienia MacDonalda, tego samego, do którego uczęszczał Larry. Jednakże w przeciwieństwie do Larry'ego, który nigdy nie gustował w sportach, Ryan biega w drużynie szkolnej na sto metrów. W marcu ubiegłego roku zakwalifikował się do zespołu Gwiazd Manitoby i Larry wcale by się nie zdziwił, gdyby żywił aspiracje olimpijskie. Do zeszłego roku Ryan nie miał nigdy żadnego przewiska, a teraz jest Latającym Ryanem, przynajmniej dla lokalnej prasy - przydomek tak nabrzmiały uznaniem, że trudno go zakwalifikować jako przewisko. Co za logo do zapisania się w świecie!

Stempel wyciśnięty na człowieku przez świat na resztę życia. Skaczący Larry! Dobrze by było wędrować z takim przydomkiem przez lata. Dałoby to Larry'emu Wellerowi nie lada fory.

*

Siostra Larry'ego, Midge, mieszka teraz w Toronto, gdzie prowadzi sklep z kostiumami teatralnymi, wypożyczanie i sprzedaż. Prawdę mówiąc, Larry nie zna obecnie za dobrze swojej siostry, niemniej jednak Midge jest jednym z powodów, dla których zdecydował się przeprowadzić do Toronto. Od miesięcy doskwiera mu samotność i doszedł do wniosku, że tego mu potrzeba w chłodzie obecnego życia czy też raczej w ustawicznej mżawce, w jaką się przemieniło jego życie. Potrzeba mu ciepła więzów krwi, rzecz, której potrzeby nigdy dotąd nie odczuwał. Może to przychodzi, gdy człowiek dobiega połowy czwartego dziesiątka lat życia. Chce mieć kogoś, kto będzie kibicował jego poczynaniom, telefonował, żeby postrzepić po prostu trochę język. „To jak dziś spałeś? Jak to twoje przeziębienie?”.

Nie tak dawno Larry zadał sobie pytanie, co go trzyma w Chicago teraz, gdy Beth się wyniosła. Projektować labirynty i udzielać porad w zakresie architektury krajobrazu może z każdego wielkiego miasta Ameryki Północnej.

W końcu to lata dziewięćdziesiąte z ich środkami błyskawicznej łączności, z komunikacją elektroniczną. Postanowił także zmienić nazwę swojej jednoosobowej firmy. Od roku 1987, w którym wywiesił po raz pierwszy swoją tabliczkę firmową, reklamował ją jako LE LABYRINTHE. Nazwa ta, ze swoją snobistyczną afektacją, nie przyjęła się w Toronto, Larry widzi to teraz jasno. I jest absolutnie nieodpowiednia dla roku 1995. Wyrzucił również z nowego biletu firmowego Laurence'a J. Wellera. Widnieje na niej teraz tylko: „Larry Weller, budowniczy labiryntów”. Czysto. Prosto. Okrojone do minimum.

(Przypomnił mu się dzisiaj inny wieczór kwietniowy, prawie dwadzieścia lat temu, kiedy stał w koszuli na zimnej ulicy, wyciągając ramiona do reszty swego życia, gotów paść mu w objęcia).

*

Szczęśliwe małżeństwo, wszystko jedno, długo- czy krótkotrwałe, obrasta gąszczem zaszłości, łatwymi słownymi odwołaniami, że „moja żona”, „mój mąż”, piknikowymi pogaduszkami, że „my zawsze” - tu wypełnić puste miejsce - „zawsze bierzemy witaminę C, gdy tylko poczujemy, że zbiera się nam na grype”, „zawsze siedzimy w niedzielę w domu”, „zawsze odwołujemy prenumeratę gazety, kiedy wyjeżdżamy na tydzień”. Nagromadzone godziny wspólnego snu urastają w niejaki zabezpieczenie miłości; nawet gdy ją odsuwamy na bok, osnuwa nas ona rodzajem kokonu. Dlatego w minionym roku Larry nie mógł się pogodzić z pierwotnym bólem przewracania się w nocy i uczucia, że jest sam. Zastanawia się, czy się nie nabawił wstydliwego zapachu ciała ludzi samotnych, zapachu pustych buteleczek po wodzie kolońskiej, gałek na mole, popękanych butów.

Dzisiaj próbuje się ukołysać do snu myśleniem o Beth oddychającej u jego boku, improwizuje prowizoryczne schronienie dla myśli, ale nie jest w stanie przywołać jej obrazu. Miast tego chwyta się strzępów jej głosu, jej woni. Nic to nie pomaga. Każdy przebłysk pamięci kończy się dodatkowym kurczem. Larry Weller przeżywa kryzys, wie to, ale unika spojrzenia w oczy mężczyźnie przeżywającemu kryzys, odgania to swoje ja gromkimi myślami, groteskowymi obrazami. Ruina życia. Nieszczęsne życie Larry'ego rzutowane tej nocy na sufit ogołoczonej sypialni na piętrze, z prostokątem latarni ulicznej padającym przez pozbawione zasłon okno, kojarzącym się z odurzającym czadem kłęski. (Skazany na życie bez seksu, zaczynasz mówić do siebie).

Spada nań w końcu coś na kształt snu. Ciemna wieża snu, zaryglowana, z wąskimi oknami. Sny kipią zieloną wodą bagienną i gniewnymi słowami powiewającymi przed twarzą jak długie liście.

Światło dnia przychodzi niedyskretne i okrutne, jego pierwsze kroki człapią groteskowo po podłodze. Koło łóżka otwarta walizka. Łóżko pulsuje nagim materacem, popstrzonym plamami - krwią, nasieniem, potem jego i Beth - ale już gotującym się na transfer władzy. On sam będzie za godzinę w drodze, w drodze do Toronto. Tak jest, on, Larry Weller, mężczyzna, lat czterdzieści pięć, przedstawiciel zagrożonego, choć niezbyt rzadkiego gatunku, będzie w drodze na spotkanie następnych spraw i znów następnych. Wrywa się do czegoś, tylko do czego? (Ten berbec na wysokim dzieciennym krześle, on to wszystko wprawił w ruch).

W ludzkiej szamotaninie jest coś śmiesznego, wie to, a coś żalnego w gorliwym szczerzeniu zębów do kamery i w bełkotaniu do siebie samego o poszerzaniu się sensualnych perspektyw życia, lecz mimo to, wyjeżdżając po raz ostatni tyłem z garażu, Larry doznaje szarpnięcia radości, która - przypuszcza - wynika z zapału i obojętności mieszanych tą samą durną chochlą. Cóż z niego za łatwowierny kretyn! Larry. Larry Weller.

I kiedy jedzie Kenilworth Avenue na południe, w kierunku autostrady Eisenhowera, przypomina mu się wieczór w minionym tygodniu, gdy siedzieli we dwóch z Larrym Fine'em na osłoniętej siatką werandzie i oglądali telewizję. Była to transmisja międzynarodowego mitingu lekkoatletycznego w Monachium. Sprawozdawca przeprowa-

dzał wywiad z jednym z biegaczy amerykańskich. Wielkim osiłkiem. Barczystym, umięśnionym, o błękitnych tępych oczach.

„Marzyłem o tym, odkąd miałem sześć lat - kwilił do kamery olbrzym. - Marzyłem o zdobyciu złota dla mego kraju. Sen amerykański, ciągle żywy w sercach sportowców. Ale uwaga, nie chodzi o zwyciężanie, chodzi, ee, o danie z siebie wszystkiego, spłacenie należności, rozumie pan, ukazanie tego naszego kraju, który jest jedynym wolnym krajem, jaki istnieje, jasne, jedynym na świecie”.

- Rany boskie - powiedział Larry Fine, sięgając do wyłącznika - dlaczego faceci to takie głupie kutasy? - Po czym dodał smutno: - Wiesz co? W pewnym sensie, jak tak sięgnąć do sedna, to wszyscy mężczyźni powinni nosić imię Larry.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Żywe tkanki Larry'ego 1996

W wieku czterdziestu pięciu lat Larry Weller utracił pewną liczbę „jednostek” wydzielniczych, nefronów, i to mimo faktu, że nigdy dużo nie pił. Wątroba, jak wszystkie wątroby, kurczy mu się od czterdziestego roku życia.

W jego krwi i mózgu drzemią oczywiście jego przodkowie, choć wiązki ich schludnie ułożonego DNA bagatelizują rolę, jaką faktycznie odgrywają. Masa kostna Larry'ego, która osiągnęła szczyt po dwudziestce, również się zmniejsza w ostatnich latach - tak przynajmniej Larry przypuszcza, bo jak dotąd tylko przemyśliwa o zrobieniu sobie badania, o którym słyszał. Jako architekt krajobrazu spędza pokaźną liczbę godzin, ślęcząc nad rysownicą, i jest przekonany, że pochylenie, zgięcie kręgosłupa, w połączeniu z powodowanym przez nie oczywistym napięciem mięśni, jest winne sztywności krzyża, która mu dokucza z rana. Choroba zawodowa, można rzec. (Larry podejrzewa czasami, że w przestrzeni między jego kośćcem a wątłymi mięśniami kryje się jakiś głupi żart).

Oddzielne płytki kostne jego czaszki spoiły się niedługo przed pierwszymi urodzinami, odcinając jakikolwiek rzeczywisty dostęp do odwiecznego śpiewu wszechświata, do tchnienia szerszej, hojniejszej egzystencji, do aromatu możliwości. Jest to zubożenie, które Larry odczuwa jednak tylko wyjątkowo, w chwilach porywu, w obliczu nieoczekiwanego piękna czy tajemnicy albo gdy przesuwając dłoń po wierzchu równo przyciętego żywopłotu czy między udami kobiety, tą wątpliwą osłoną otwierającą się tak odważnie na powitanie dramatycznej odmiany scenarii.

Dwie minuty z elektryczną szczoteczką do zębów - i Larry staje się lepszym, dzielniejszym człowiekiem. W zębach ma dwadzieścia plomb. A także dwa mostki. Nie ma jednak jak na razie koron. Bardzo nieznaczne żółknięcie dotknęło szczególnie jego dolne zęby. Po lewej stronie cofnęły się nadto dziąsła, grożąc obnażeniem wkrótce szyjek. Kiedy ostatnim razem poszedł na czyszczenie, higienistka dała mu małą jak dla lalki szczoteczkę do penetrowania dwa razy dziennie zagrożonego regionu. Oznacza to, że musi rano i wieczorem poświęcić na pielęgnację swej cielesnej powłoki dodatkową minutę lub co najmniej trzydzieści sekund. Larry zastanawia się czasami, co o tej miniaturowej szczoteczce, wiszącej w łazience obok normalnej, myśli Charlotte Angus, która często spędza noc w jego mieszkaniu. Może uważa, że to jakiś wstydlivy fetysz, i dlatego wstrzymuje się dotychczas z komentarzami. Sam Larry widzi w niej ukłon w kierunku nieuniknionej śmierci, jeszcze jeden krok ku zejściu ze sceny.

Poziom testosteronu Larry'ego, jeśli odpowiada przeciętnej dla mężczyzn Ameryki Północnej, obniża się prawdopodobnie od jego lat trzydziestych. Martwi go to, ale nie martwi w każdej minucie każdego dnia - woli myśleć, że zdarzające mu się niekiedy epizody niemocy seksualnej są natury psychologicznej i że możliwe jest całkowite odwrócenie sytuacji. Ile razy w życiu czuł, jak napina się skóra jego moszny - milion? - i czy nieuzasadnione jest przypuszczenie, że ten mimowolny mechanizm ulega w końcu osłabieniu? Odkąd przeprowadził się przed rokiem do Toronto i poznał Charlotte Angus, ma wrażenie, że działa na trzech z czterech cylindrów. Charlotte jest w tym samym wieku co on. Byłoby może inaczej, gdyby miała dwadzieścia pięć lat. Ale jak inaczej? Larry nie jest pewien.

Zagrożona jest faktura, ubarwienie i połysk włosów Larry'ego. Wie on, że około pięćdziesięciu procent mężczyzn pochodzenia europejskiego w mniejszym czy większym stopniu łysieje, co powinno mu być pociechą, ale nie jest. Charlotte uważa, że ten męski strach przed łysieniem jest śmiechu warty. Jeśli czaszka jest czysta, nie nazbyt koścista i niepoznaczona żyłkami, cóż to ma za znaczenie, ile na niej włosów? Co powiedzieć o Yulu Brynnerze?

Skóra Larry'ego, jak skóra wszystkich ludzi, zaczęła tracić elastyczność, gdy był nastolatkiem. Na jego twarzy wyciśnięta jest całożyciowa gama wyrazów, jakie twarz przybierała. U góry lewego policzka, pośrodku, widnieje małe brązowe znamię, drugie znajduje się na szyi, z boku. Czy utworzyły się one pod wpływem promieni słonecznych, czy też może to plamy wątrobiane? Larry pamięta, co o swoich plamach wątrobianych mówiła jego matka: że się pojawiły, kiedy nie miała jeszcze czterdziestu lat, i jak się nauczyła siadywać z odwróconymi dłońmi, uformowanymi w małe koszyczki, żeby ukryć te nieprzyjemne przebarwienia. Pierwsza żona Larry'ego, Dorrie, miała skórę dosyć chropowatą, zdrową, ale zarazem szorstką. Niewykluczone, że ta szorstkość nie była spowodowana czynnikami genetycznymi, lecz raczej ekstremami klimatu Manitoby. Beth, jego druga żona, miała delikatną, irlandzko jasną skórę - twarz, ręce, nogi, pośladki - wydelikacaną dodatkowo przez codzienne stosowanie olejków i kremów. Charlotte Angus poddaje swoje czterdziestopięcioletnie ciało comiesięcznemu masażowi w salonie na Queen Street, a następnie słonej kąpieli i „polerowaniu”. Każda taka sesja zarywa ją na siedemdziesiąt pięć dolarów, ale Charlotte uważa, że jest to inwestycja w jej zdrowie psychiczne.

Dolegliwością, na którą Larry cierpi, jest presbyopia, dalekowzroczność w codziennym języku. Oznacza to, że osłabiła się jego zdolność ogniskowania wzroku na bliskich przedmiotach i że potrzebuje obecnie okularów do czytania. Trudno mu też często rozróżnić kolory niebieskie, zielone i fioletowe. Jego oczy przystosowują się także wolniej, gdy wchodzi do ciemnego pokoju. Kiedy w zeszłym tygodniu wrócił późno do swego mieszkania na St. Patrick Street po wieczornym spotkaniu z zarządem Fundacji McCorda - Garth McCord jest wielkim torontońskim inwestorem - wchodząc do sypialni o mało się nie przewrócił o torbę podręczną Charlotte. (Zapomniał zadzwonić i uprzedzić ją, że wróci późno, a takie zapomnienie - obawia się - jest najbardziej niepokojącym z objawów starzenia się).

Słuch, o ile może ocenić, ma nie zmieniony - dziękuje losowi, że nigdy nie był miłośnikiem muzyki heavy metal ani nie musiał pracować, jak jego ojciec, w hałaśliwej fabryce, co by mogło doprowadzić do nieodwracalnego upośledzenia. Czyby nosił aparat słuchowy, gdyby musiał? Pewnie nie. Zresztą zależałoby to od stopnia utraty słuchu. Musiałby to rozważyć. Jego życie - czuje - jest nie tyle historią, ile serią nagłośnień, rzeczywistych nagłośnień, bombardujących jego ucho wewnętrzne.

Jeżeli statystyki medyczne nie kłamią, mózg Larry'ego waży teraz mniej, niż kiedy Larry miał trzydzieści lat. Nie jest już w stanie bilansować w głowie równocześnie kilku projektów - faktem jest, że odmawia przyjmowa-

nia nowych klientów, dopóki nie zakończy kontraktu McCorda. Jest to największy labirynt ogrodowy, jaki projektował, trójwymiarowy popis, którego matematyka zbija go niekiedy z tropu w nowy i niepokojący sposób. Co się dzieje w jego głowie? Gdzie się podziela łatwość, z jaką widział oczyma wyobraźni każdy nowy pomysł? Z drugiej strony lubi wierzyć, że zdobył pewną wiedzę doświadczalną, innymi słowy: mądrość. Przeczytał gdzieś niedawno, że mózg ludzki waży niemal dokładnie tyle co stopa ludzka, fakt, który swoją skondensowaną absurdalnością przygotowuje go o dreszcz.

Komórki jego płuc zeszywniały - rzecz całkowicie normalna w wieku czterdziestu sześciu lat - tak że pojemność płuc jest pomniejszona o jakieś dwadzieścia procent.

Arterie Larry'ego zaczęły także sztywnieć, ale tylko nieznacznie - nie ma w tym nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, że jego mięsień sercowy dokonał blisko dwa miliardy skurczów w ciągu jego życia. Larry stara się nie przejmować zbytnio problemami zawodowymi i unikać tłustych pokarmów. Jego siostra, Midge, i jej przyjaciel, Ian, z którym mieszka, stali się maniakami na punkcie tłuszczów. Wyeliminowali ze swojej diety całkowicie masło, margarynę i olej, a sałatki pokrapiają obecnie rozwodnionym sokiem cytrynowym.

Oboje rodzice Larry'ego cierpieli w swoim czasie na zatwardzenia i hemoroidy, on jednak uchronił się przed tymi dolegliwościami. Kilka łyżeczek otrąbek wielozbożowych utrzymuje tę dziedzinę jego egzystencji w normie. Inną sprawą są wzdęcia. Larry nie ma pojęcia, co myśli Charlotte, kiedy on puści serię. Nie pamięta, by któraś z jego żon traciła nad tym kontrolę, a jeśli już, to w głębokim uśpieniu, i wówczas był to jednak tylko cichy, raczej rozczulający szmermelek. Chętnie by o to kogoś zapytał, ale nie wie kogo. Wstaje ostatnio w nocy dwa razy, żeby oddać moc. (Kiedy miał trzydzieści lat, wstawał raz; czy kiedy skończy pięćdziesiąt, będzie wstawał trzy razy?).

Stosunek jego tkanki mięśniowej do tłuszczowej pogorszył się nieco i Larry przemyśliwa o zapisaniu się na dobry program treningowy. Słyszał, że Torontoński Klub Sportowy oferuje taki program w porze lunchu, lecz on spotyka się często przy lunchu w sprawach zawodowych albo też połykają z Charlotte w pośpiechu kanapkę - z pierśią indyka, nigdy z serem - w ośrodku leczenia uzależnień, w którym ona pracuje jako terapeutka. Larry zdecydował się przeznaczyć po śmierci swoje organy na cele naukowe i ma wpisane odpowiednie oświadczenie do prawa jazdy. Zawstydzą go, że taki drobny, bezbolesny akt napawa go uczuciem satysfakcji.

Ogólnie rzecz biorąc, jest w przyzwoitej formie. Jego ciało jest chodzącym pionowym labiryntem - i Larry docenia cud tego faktu. W płatkach jego uszu znajdują się włoskowate naczynia krwionośne prowadzące do serca. Na powierzchni jego skóry żyją nerwy tak wrażliwe, że mózg dowiaduje się w mgnieniu oka, gdy na jego dłoni usiądzie mikroskopijny owad.

Istnieją rzeczy w ludzkim ciele, o których funkcjonowaniu nigdy się nie dowie, szczególnie o tej połowie ludzkości, która jest od niego odwrócona i ukryta w mroku za zasłoną - o menstruacji, rodzeniu, pewnych żartach i dolegliwościach, przyływach hormonalnych. Są mężczyźni, którzy pakują łapy w odbyty innych mężczyzn - Larry nigdy się nie dowie, jak to się odbywa i jakie to budzi odczucia.

Jeśli chodzi o nastrój, ugrzązł zdaje się w rodzaju pogodnej melancholii, nieco wyboistej materii psychicznej zagubienia. Problem w tym, że nie bardzo wie, jak być osobą, jaką się stał, co jednak może się jutro odmienić. W chwili obecnej kryje się za swoją twarzą. Jest schludnie ubrany, nie spóźniony. Co za niespodzianka! Niekoniecznie dobra niespodzianka. Atrybuty życia, które niosły mu pociechę, zdają się coraz bardziej iluzją lub ciężącą niedogodnością. Tym, co stary przyjaciel Larry'ego, Eric Eisner, nazywa paradoksem obfitości. Okazuje się, że gdy się ma

pod dostatkiem pieniędzy, pod dostatkiem uznania, pod dostatkiem miłości - co nie znaczy, że Larry faktycznie kocha Charlotte Angus - nie pozostaje już do oczekiwania nic prócz następnej minuty.

*

Larry zachorował. Było to w lecie. Siedział w swoim klimatyzowanym biurze na St. Clair Avenue, rozmawiając przez telefon z podwykonawcą. Targowali się, ale w przyjazny sposób, o cenę sadzonek do labiryntu McCorda. Larry uważał, że przy tak wielkim zamówieniu należy mu się pokaźniejszy rabat. Próbując ująć to w słowa, poczuł, że z jego ust wylewa się nieartykułowany bełkot. Przypominało to bardziej murmurando niż zdania, zakrawało na żart, nie kontrpropozycję. Jego głos, nawet w jego własnych uszach, brzmiał kwakliwym tonem postaci z filmu rysunkowego. Skąd mu się to wzięło?

- Dobrze się pan czuje? - usłyszał z drugiego końca linii.

Poczuł wzbierające mdłości, którym towarzyszyło zamieranie światła. I stracił przytomność. Odgłos jego ciała padającego na dywan usłyszała niedawno zaangażowana dochodząca sekretarka i przybiegła czym prędzej.

Trzy tygodnie później do jego mózgu przeniknął odgłos przejeżdżającego traktora. (Tyle że był to tylko wózek z tacami obiadowymi toczony korytarzem szpitalnym). W polu widzenia pojawiły się jakieś obrazy i szybko znikły. Raz, zdobywając się na ogromny wysiłek, Larry wysunął w bok rękę i natknął się na przedmiot zarazem znajomy i obcy. Tekturowy równobok o ostrych kantach - pudełko chusteczek kosmetycznych, chociaż Larry nie potrafiłby go nazwać. Wyciągnął płatek i ze spazmem zdziwienia odnotował jego czysty szelest o tekturowy otwór. Puścił go na podłogę - szybujący biały ptak, piękny - Larry śledził go jednak z bezosobową ciekawością, wiedząc, co to, i nie wiedząc. Wyciągnął następny i jeszcze następny. Skrobanie chusteczek o teksturę upewniło go, że żyje, więc wprawił dłoń w rytmiczny, powrotny ruch, jakby taniec. Każdemu pociągnięciu towarzyszyło bzyzące uczucie radości, aż w końcu sto chusteczek, cała zawartość pudełka, utworzyło koło łóżka zwał, miękką białą zaspę. W powietrzu poszybowały głosy - „Obudził się!” „Porusza się!” - po czym zbiły się w ciszę.

Te spazmy, te koszmary - oto do czego został sprowadzony.

Otworzył oczy. Był sam w pokoju szpitalnym, leżał płasko na wznak, zastygły w prawiecznej sztywności. W powietrzu wisiał natrętny zapach, jakby gotowanej kukurydzy. Padający z okna prostokąt ostrego światła uderzył go w oczy, które zdawały się dziwnie suche. Poruszył się na próbę w pościeli - i stwierdził, że rękę, nos i członek ma podłączone do plastikowych rurek. Po chwili ktoś przesunął mu po twarzy zimną szmatkę.

Minęły trzy tygodnie. Nie mógł uwierzyć. A jednak to prawda, mówiła jego siostra, Midge. Dwadzieścia dwa dni.

- Myśleliśmy, że już po tobie. Mój mały braciszek w stanie komy. Głębokiej śpiączki.

Kiedy doznał zapaści, zdecydowano nie niepokoić jego wiekowej matki w Winnipegu. Po co martwić starą kobietę, która jest sama w stanie półśpiączki i przez większą część czasu nie pamięta imienia własnego syna? Zawiadomiono oczywiście dwie eks-żony Larry'ego oraz jego siedemnastoletniego syna, Ryana, który przyleciał do Toronto z Uniwersytetu Stanu Pensylwania, gdzie przebywał na letnim obozie lekkoatletycznym młodych mistrzów. Midge opowiedziała Larry'emu z wilgotnymi oczami, jak to chłopak siedział przez sześć bitych dni przy łóżku ojca, mówiąc do niego bezustannie, starając się go przywołać do życia.

Wydawało się niemal nieprzyzwoitością pytać, ale Larry musiał wiedzieć, jakie dokładnie słowa wydobywały się z ust Ryana przez ten okres jednostronnego obcowania. Słowa otuchy? Wspomnienia? Słowa miłości? Kołysanki? Serenady?

- No-o, co on robił, to dzień w dzień czytał ci od deski do deski gazetę - powiedziała Midge. - „Toronto Star”. Wszystko z wyjątkiem nekrologów. Zajmowało mu to cały dzień.

Jego syn, Ryan? Było to niewyobrażalne, nawet szokujące. Niegdyś mały załazek świadomości, ten chłopak, został obsadzony w roli dobrotliwej widmowej obecności przy łóżku ojca i brnął przez artykuły odredakcyjne, wyniki sportowe, notowania giełdowe. Ten sam niewinny mały chłopiec, którego Larry porzucił, kiedy się rozeszli z Dorrie w 1983 roku. I teraz ten chłopak naprawdę... Nie, Larry nie mógł znieść myśli o tym. Przynajmniej nie w tej chwili, nie w stanie obecnej słabości. (Kilka razy dziennie jest niewytłumaczalnie bliski łez).

Co to właściwie jest koma? Stan śmiertelnej choroby, według Midge, jakkolwiek pacjent niekiedy przeżywa. Stan głębokiej nieświadomości spowodowany - otóż nikt z początku nie wiedział, czym. Podejrzewano, a następnie potwierdzono zapalenie mózgu. Od ukąszenia komara. Tego weekendu, który spędził z Ianem Stokerem na rybach nad jeziorem Rice. Potrzebne były analizy. Uszkodzenie mózgu, tak czy nie? Sytuacja była niejasna. Dalsze analizy.

Żadna z dwu żon nie pośpieszyła do jego łóżka. Beth jest oczywiście w Anglii, ale Dorrie mogła się była potatygować z Winnipegu, tym bardziej że żyją w ostatnich latach na tak przyjaznej stopie. Były natomiast żonine kartki, żonine kwiaty, faksy i liściki. Tuzin róż, który Beth przysłała przez Interflorę, rozkwitł i zwiędł, zanim Larry zdołał się obudzić. Natomiast bardziej praktyczne doniczkowe chryzantemy Dorrie kwitną na telewizorze, który Midge wypożyczyła po wielkim dniu jego przebudzenia, 20 lipca 1996 roku.

Wielki dzień przebudzenia - tak o tym myśli Larry. Nikt nie potrafi wyjaśnić, jak i dlaczego, ale w jego odrętwiałym mózgu otworzyła się jakaś klapka: „Czas się przebudzić, chłopie”. Przez pierwsze parę dni cierpiał na bóle głowy i pomieszanie wszystkiego - wciąż te traktory patrolujące korytarz, ślizgające się jak węże po jego centralnym układzie nerwowym, wydające ciche skowyty i stuki. Ciało miał niewyobrażalnie słabe, stawy obolałe jak u starca. „I nic nie pamiętasz?” - dziwili się odwiedzający. Ich twarze mówiły, że osunięcie się Larry'ego w próżnię jest dla nich nie do pojęcia. Odbył wyprawę „na drugą stronę”. Musiał z czymś wrócić. Ze snami? Światłami w tunelu? Dudniącymi głosami? Jakieś wspomnienie drzemie w nim z pewnością, niby biały karzeł ukryty w mózgu.

Nie, nic nie pamięta. Stanowiło to potwierdzenie tego, o czym Larry był zawsze przekonany - że ze śmiercią nie wiąże się żadne ostateczne przesłanie, nawet z tą jego prawie śmiercią.

- Charlotte siedziała przy tobie niemal co noc - powiedziała mu Midge. - Spała w tym fotelu, przynajmniej próbowała spać. Nie chciała, żebyś był sam, kiedy się przebudzisz.

- Ale byłem sam - odparł Larry; zastanowił się, czy nie powiedział tego jak rozkapryszony dzieciak.

- To niezwykła kobieta.

- Tak.

- Bar-rdzo kochająca kobieta.

Głos Midge był tkliwy, a zarazem twardy. Dwa lata starsza od Larry'ego, odgrywała dziś rolę mentorki.

- Wiem, wiem.

- Przypominam ci tylko.

Więc żyje. I wygląda na to, że nie doznał nieodwracalnych zmian. Czym okryć jawną ulgę? Zamknęła się nagle wyrwa w jego życiu, zszyta gładko jasną dzienną nicią obudzonej świadomości. Odzyskiwał apetyt. Kusiły go do życia tace tłuczonych kartofli i kąsków przyprawianej cebulą wołowiny. Apetyt, pełnia w brzuchu, żyjące ja Larry'ego. „Tak - domagał się akcelerator cząsteczek w jego mózgu - karm mnie”. Gazety, pękate i ostro pachnące, pulsowały niespodziankami, a najpomyślniejszą z nich było to, że świat kuśtyka nadal swoim zwykłym kulawym

krokiem do przodu. Jelcyn nie ustawał w swoich gierkach, w Irlandii rozpoczęło się na nowo zabijanie, miniteatr Billa i Hillary wznowił serię żenujących przedstawień, Bob Dole burczał z ekranów telewizyjnych, ukazując narodowi swoją boleśnie zdziwioną twarz. Wszystko to zakrawało na cud i wszyscy, nie wyłączając neurologa, powtarzali Larry'emu, jakie miał szczęście, że otrzymał natychmiastową pomoc medyczną, jakie nieustające wysiłki przy jego łóżku czynili specjaliści od śpiączki i jakie zbawcze dla ratowania życia jego tkanek okazały się antybiotyki i sterydy.

Larry był wdzięczny, naprawdę wdzięczny. Ale coś go krępowało w tych cichych minutach tuż przed godzinami odwiedzin albo tuż po nich, nic jakiegoś pragnienia. Wiedział, co to jest, i opierał się temu. Tęsknił do tego niemego, nieosiągalnego miejsca, którego nie pamiętał, do cichego gniazda, w którym mógłby uśpić świadomość. Bezpieczeństwo, sen, niewrażliwość. Pragnął się pogrążyć w żłobionej jamie zapomnienia, w której mętnie wyczuwał swój prawdziwy dom. Ciemność. Nie, nie ciemność. Coś bliższego kolorytowi deszczowego dnia. Labirynt bez wyjścia.

Ale nie pozwoli się tak łatwo wyrwać ze swego życia.

Tym, co go ostatecznie ocaliło, była olimpiada transmitowana z Atlanty, stan Georgia. Dnie i noce jego rekonwalescencji kipiały gorączkowym zgiełkiem z południa. Biegi, skoki, pluski, jedne po drugich bez końca, karnawał mięśni i perfekcji, nieporadnych salutów i uścisków trenerów, które Larry śledził wsparty na poduszkach, pochłonięty, zastygły w bezruchu. Z Winnipegu przyleciał na parę dni jego stary przyjaciel, Bill Herschel. Mogliby rozmawiać - spotykali się w ostatnich latach tylko przelotnie podczas spieszych wizyt i mieliby sobie wiele do powiedzenia - a zamiast tego gapili się godzinami w ekran w pokoju szpitalnym Larry'ego, dokąd kolorowa telewizja przynosiła im gorączkowy, zdyszany dramat skoków z wieży, akrobacji gimnastycznych, podnoszenia ciężarów, wioślarstwa, koszykówki, piłki nożnej, zapasów. Larry'emu wydawało się, że ta dziwna ludzka szamotanina spleta się w jeden wielki mecz, jakiś nie istniejący supersport, utkany z rozpędzonego powietrza, piasku i wody, obwarowany surowymi przepisami i serią dziwacznych przeszkód do pokonania, wymyślnych płotków, obręczy, szalonych pułapek nowości. Muzyka tonęła w oklaskach i wzbierała na nowo, powietrze kipiało tykaniem stoperów i wystrzałami pistoletów startowych, a mknące, wyginające się, napinające, skaczące i pocące się ciała mężczyzn i kobiet przywracały Larry'ego powoli jego własnemu ciału.

Nie chcąc nic uronić, skakali obaj z Billem jak szaleni z kanału na kanał. Śledząc, jak Donovan Bailey biegnie na sto metrów i zdobywa złoty medal, napełnili pokój ostrymi krzykami radości. Bill zerwał z siebie koszulkę i, powiewając nią nad głową jak flagą, wykonał u stóp łóżka dziki taniec z przytupami, dziewięćdziesiąt kilo wirującego męskiego ciała, Larry zaś, wciąż jeszcze podłączony do tubek i przewodów, poczuł, jak w jego zmartwiałych tkankach wzbierają ciepłe soki euforii. Szeroki oddech, nowe początki. Przychodzi do siebie, jakby powiedziała jego matka. Chwila nabrzmiała sobą, własną solidną doskonałością. Powietrze przed oczami zdawało go się pieścić. Odżywał w domostwie swojej skóry, swojej krwi. Tymczasem to wystarczało.

*

Larry poznał Charlotte Angus wkrótce po przeniesieniu biura z Chicago do Toronto. Samotnemu mężczyźnie - jak stwierdził - nietrudno było poznawać kobiety, nawet samotnemu mężczyźnie dobrze po czterdziestce, z dwoma rozwodami na koncie i pięcioma kilogramami zbędnej tkanki tłuszczowej na brzuszku. Samotnych kobiet nie brakowało, każdy ze znajomych rozporządzał listą atrakcyjnych, inteligentnych niezamężnych kobiet, żądnych znalezienia partnera. Ale gdzie szukać atrakcyjnych czy nawet nieatrakcyjnych samotnych mężczyzn w średnim wieku?

- Albo porobili się pedałami - mówi siostra Larry'ego, Midge. - Krecha na ich pokręcone fiuty. Albo podłapali młodsze cizie. Albo, trzecia możliwość, są to samolubne palanty, których nie chciałoby się wmeldować żadnej kobiecie.

Sama Midge, po swoim smutnym wczesnym małżeństwie, wylądowała w północnym Toronto z mężczyzną nazwiskiem Ian Stoker, pięćdziesięcioletnim projektantem zabezpieczeń ulicznych przy placach budów, który prowadzi swoje prace, jeśli je ma, z biura w suterenie. Żyją ze sobą od ośmiu lat, ślizgając się w górę i w dół po pionowych koleinach takiego sobie związku.

- Nie oczekuję doskonałości - zwierzyła się Larry'emu Midge. - Wiem, że w moim wieku trzeba iść na kompromisy. Po pierwsze, nigdy nie przepadałam za przyciskaniem moich delikatnych warg do wąsów. Nawiasem mówiąc, dobrze, że się pozbyłeś swoich, Larry, wyglądasz bez nich młodziej i schludniej. Co prawda, między Ianem a mną nie ma ostatnio za wiele przyciskania. Żadnego rodzaju przyciskania. Nie przypuszczam, żeby się spotykał za dnia z jakąś inną babką, chociaż nie wykluczam tego. Jak znoszę tę niewiedzę? Ano tak, że jestem przez cały dzień cholernie zajęta w sklepie. Wracam z pracy do domu, a Ian czeka na mnie z czymś w piekarniku, zwykle czymś przyzwoitym, z nakrytym stołem, jakoś tam nakrytym, tak że mogę, rozumiesz, rozprostować wygodnie nogi. Nie jest od tego, żeby czasami wyskoczyć na kręgle czy na kielicha, ma to w genach. Wystarczająco już wysiedział swoje miejsce na kanapie, ale mimo to zwykle zapadamy w nią na resztę wieczoru, pogrążeni w transie telewizyjnym, rzecz wcale nie taka zła, jakby ci się wydawało. Nie skacze przynajmniej co chwila z kanału na kanał, to punkt na jego korzyść. Co jeszcze? Niech pomyślę. Mój Boże, co jeszcze? Jeździ od czasu do czasu na ryby i wtedy mam cały dom dla siebie, istna rozkosz! Bierze co rano prysznic. Wolałabym, żeby brał wieczorem, ale co można poradzic. Nie używa przesadnie wonnych środków kosmetycznych. To dziesięć punktów dla niego. Hmm. Jak ma pieniądze, to je wydaje. Wystarczył mi jeden kutwa. Pamiętasz, jaki był Paul. Mimo to go kochałam, szczególnie pod koniec. I z początku, Bożyczku, jak ja go kochałam! Ian, ze swej strony, potrafi docenić wartość butelki dobrego wina. Umie rozróżnić czekoladę od czekolady. Nie pogryza wiecznie fistaszków ani precelków, nic z tych rzeczy, no i dwa razy do roku chodzi do dentysty. To wystarczająca baza dla trwałego związku, nie uważasz? Pracuje także porządnie. Moim zdaniem, jego zabezpieczenia przy Gmachu Smithsite były znacznie bardziej interesujące, żywsze niż sam budynek. Wszyscy to mówili. Nie wyraża się także źle o swojej byłej. Jedyne, co mówi, i to tylko z rzadka, to że zawsze przypalała grzanki i zwała winę na instalację elektryczną. Ta historia z grzankami jest właściwie symboliczna. Bo miała zwyczaj szukać poza sobą winy za każde drobne niepowodzenie. Kiedy straciła pracę, obwiniła budzik. Słowo daję, poszła i wyrzuciła go do śmieci. Kiedy poroniła, winiła za to Iana, powiedziała dosłownie, że jego obojętność musiała wytrącić płód z równowagi. Przyznaję, Ian nie jest Adoniszem. Te jego piersi, o rany! Te jego okrągłe ramiona. Na pewno nie rzecz do opiewania. Ale jak się tak rozglądam dokoła, nie widzę zbyt wielu przystojnych mężczyzn. W każdym razie, nie powyżej czterdziestki. Mężczyznom wcześniej rosną brzuszki i podbródki. Natomiast kobiety! Kobiety umieją o sobie dbać. Popatrz tylko na Charlotte. Dobrze po czterdziestce, a wygląda jak róża. Jej cera, jej manikiur, jej wesoly śmiech. Ma bardzo, bardzo pozytywne podejście do życia. Te jej wysmakowane apaszki, jej kolor włosów. Mam nadzieję, że potrafisz docenić, co ci się trafiło, Larry. Serio mówię.

*

Charlotte jest wdową. Jej mąż, Derek, księgowy, który umarł cztery lata temu na raka prostaty, pozostawił ją stosunkowo dobrze sytuowaną. Nie musi pracować, ale jak inaczej ma sobie wypełnić czas - zwykła pytać. Tym bardziej że jej dwaj synowie są już dorośli i jeden mieszka w Albercie, drugi na wybrzeżu. Poza tym ma dyplom z zakresu opieki społecznej i grzechem by go było nie wykorzystać.

Poznali się z Larrym na kolacji u wspólnych znajomych. Wszyscy pozostali przy stole tworzyli pary, a z wysiłonej wylewności rozmów jasno wynikało, że na wokandzie są swaty - przyzwoita niezależna kobieta i ta rzadkość, niezonaty mężczyzna. Posadzono ich obok siebie tak blisko, że łokieć Larry'ego, gdy krajał pieczone kurczę, ocierał się jedwabście o rękaw bluzki Charlotte. „Przepraszam” - powiedziała, uśmiechając się do swego talerza i cofając spowitą w różowość rękę. (Przejawiała, jak później stwierdził, predylekcję do różów, lilaróżów i łagodnych tonacji czerwieni). Rozmowa przy stole miała charakter ogólny, obracała się jednak wyraźnie - zauważył Larry - wokół dwójki samotnych gości, jego i Charlotte Angus. Czy podoba mu się Toronto? Jakie mu się wydaje w porównaniu z Chicago? Czy Charlotte widziała *Statek komediantów*? Nie? A pan, Larry? Nie wolno im tego nie zobaczyć, żadnemu z nich.

Tydzień później poszli razem do łóżka. Pierwszej nocy - działo się to w mieszkaniu Larry'ego, nie w domku Charlotte w Deer Parku - byli oboje onieśmieleni jak prawiczki. Larry nie miał na swoim koncie nocy miłosnej, odkąd go porzuciła jego żona, Beth, dla Charlotte była to kwestia lat. W ogóle, zwierzyła mu się później, miała w życiu tylko jednego partnera. Pobrali się z Derkiem młodo, a oboje wyznawali staromodne zasady na punkcie monogamii. Przynajmniej ona wyznawała.

Jej skóra miała puchową gładkość zadbanego, lecz nie używanego ciała.

- A-a! - wciągała boleśnie dech, jakby przeszywana dawnym wspomnieniem. - A-a!

Larry czuł nie tyle podniecenie, ile swojskość w jej ciele, z tą jej potulną tklivością i tą serią zdyszanych, przytakujących „a-ahów”. Nie chciała się kochać przy świetle.

- Proszę cię - powiedziała z ruchem dłoni w stronę lampki.

Ciemność okryła ich jak chłodne prześcieradło. Larry zachłystywał się nią, upajał jej soczystością. Co do Charlotte, to wstrząsał nią dreszcz, spływał po jej rękach i nogach, sowite drzenie, które Larry chłonał uściskiem.

Zdarzało mu się to już w życiu - leżeć na baczność koło uroczej kobiety (północ, letni wietrzyk za siatkami okien, świerszcze haftujące ciemność, czasami przelotny ruch na ulicy) i zawsze doznawał przyływu wdzięczności tak silnego, tak przemożnego, tak dojmującego, że nie mieści się on w sferze języka, w sferze gestu, nawet w zasięgu próbnej, nieporadnej myśli. W czym tkwi ta błogość? W dotykaniu. W byciu dotykany. W odciążeniu własnego ja, znów półświadomego pierwotnej melodii płynącej skądś zza sceny. W niezasłużonym przywileju kobiecej dłoni na jego ciele. W hojnej pieszczocie, tym skocznym spotęgowaniu czucia zamkniętego w skórze, tak, o, tak. Może do uratowania jest jeszcze to jego stłamszone, odkształcone, przerwane życie. Do uratowania, tak jak w tej minucie, przez kobietę imieniem Charlotte Angus. Teraz, gdy najmniej na to zasługuje.

*

Czasami wydaje mu się, że Charlotte go kocha, chociaż może to być również odczytywanie przelotnego cienia wspólnej nudy. W każdym razie nie mówili dotąd o miłości, jeszcze nie.

Charlotte jest uderzająco macierzyńska w swoich zachowaniach. Dlaczegoż nie miałyby być? Jest w końcu matką od dwudziestego piątego roku życia. (Chwyta go za serce myśl o dwudziestopięcioletniej Charlotte, o jej nieśmiałym uśmiechu, płatkach jej uszu nie skażonych kolczykami). W niektóre dni opiera się jej matkowaniu, w inne -

nie. Powinien zażywać cynk - radzi Charlotte. Gdyby tylko Derek zażywał cynk. Powinien spróbować elastycznych wkładek do butów, poczuje uderzającą różnicę. Kiedy nie może spać, wystarczy, żeby sobie wyobraził, że pisze swoje imię na aksamitnej tablicy, pisze powoli opuszką środkowego palca, śledząc w myśli brzuszek i łącznik każdej litery; jeśli się pomyli, może wszystko wymazać i zacząć od nowa.

Larry poczuwa się do obowiązku żywego, aerobicznego potakiwania: „Tak!”, „Wspaniale!”.

Cóż, myśli, może to już tak jest pomiędzy czterdziestopięcioletnimi kochankami. W tym wieku ciało potrzebuje wszelkiej możliwej zachęty. Troski o dietę, o ruch. Recept na odprężenie. Czterdziestopięcioletni nie tarzają się po jesiennych liściach, na miłość boską, nie lepią w parku pod wpływem impulsu aniołów ze śniegu, nie twistują do białego rana. Co to, to nie! Koncentrują się raczej na ulepszeniach w urządzeniu domu. Czas na przykład, żeby Larry pomyślał o sprawieniu sobie wygodnych mebli; stół i krzesła w jadalni, które przywiózł z Chicago, są rzadkiej urody, Charlotte nie widziała nigdy nic podobnego, ale reszta mieszkania aż się prosi o trochę, no, o trochę zadbania. Zaoferowała mu użyteczne rady co do zasłon w oknach, co do wywabiania plam i sztucznego cerowania. Natomiast to jego szare ubranie nadaje się już jedynie do Pomocy Sąsiedzkiej. A w ogóle pracuje za ciężko, za bardzo się przykłada do labiryntu McCorda, zabija się, żeby dotrzymać terminu, który, jak na to spojrzeć racjonalnie, jest całkowicie arbitralny.

Larry słuchał i kiwał głową. Oto kłopot z wiekiem średnim - zapomina człowiek, co się waży na szali. Na śmierć zapomina.

Nie czas - oboje czują to instynktownie - myśleć o wspólnym zamieszkaniu. Ale dwie, trzy noce w tygodniu spędzają razem w łóżku Larry'ego albo w łóżku Charlotte. Noce długie, rozkoszne. Larry budzi się i patrzy na nią uśpioną obok na ciężkim boku. Oboje stwierdzają często, że lepiej śpią i są w ogóle bardziej odprężeni. Larry przysnął nawet pewnego niedzielnego popołudnia na kanapie w salonie Charlotte. Był chłodny wiosenny dzień i Charlotte, widząc to, okryła go moherowym pledem. (Jest kobietą przykładającą wagę do faktury rzeczy i do drobnych wyważonych atrybutów wygody).

Larry czuł aksamitne dotknięcie pledu okrywającego mu ramiona i, niezupełnie przebudzony, miał świadomość, że się znajduje pod skrzydłami serdecznej czułości, tej przyrodniej siostry pasji miłosnej. Jego oddech się pogłębił, unosząc go - przy zwolnionym pulsie i mrugających mętnie światłach rojeń sennych - ku brzegom doskonałego uśpienia.

Kochana Charlotte. To coś nowego. Coś na swój sposób słodsze niż teatr małżeństwa z jego scenicznymi gierkami i kłamstewkami, Larry nie potrafi jednak wpasować w to ze wszystkim kości. Jest uwięziony między twardą skałą a miękką glebą, oto co czuje, myśląc o Charlotte Angus, której hojnością i słabością jest jej potrzeba służenia - ten jej delikatnie narzucony pled, jej szczodre usta i język, sposób, w jaki zaciskając zęby, brnie w niepewne. Z pobudek, których Larry nie jest w stanie zgłębić, wyciągnęła dłonie ku jego żyjącemu ciału, składając siebie w ofierze.

*

Ojciec Larry'ego, który umarł w 1988 roku, pozostawił instrukcje, żeby jego ciało zostało poddane kremacji. Zaskoczyło wszystkich, że Stu Weller, uparty tradycjonalista, mógł się zdobyć na taką nowomodną, chwalebnią z punktu widzenia środowiska naturalnego decyzję. Teraz, w listopadzie 1996 roku, w ostatnią drogę odeszła za mężem matka Larry'ego, Dot.

- To była wspaniała pani - powiedziała przełożona pielęgniarek w Winnipegu.
- Była gotowa do odejścia - orzekła Midge Weller.

- Tak - potwierdziła eks-żona Larry'ego, Dorrie - te ostatnie miesiące były nad wyraz smutne.
- Pewno życzyłyby sobie także kremacji? - wyraził przypuszczenie Larry.
- Na pewno - odparła Midge.

Midge i Larry polecili do Winnipegu, rząd 23, fotele A i B, rodzeństwo w średnim wieku, dziedzice kodu genetycznego swoich zmarłych rodziców i po trosze ich wiecznego zagubienia. Zostali raptem sierotami. Midge, z czerwonymi oczyma, pociągając nosem, przerzucała kartki „Victoria Magazine”. Wytwornie nakryte stoły, fotografie starej pościeli, przepisy na konfitury z róży - wszystko to przypominało jej nie tyle matkę, ile dystans, na jaki trzymała się ona zawsze od podobnych rzeczy.

- Była taka zwyczajna - powiedziała Midge do Larry'ego. - Nie pozwoliła sobie nigdy rozwinąć skrzydeł. Nigdy żadnego wyskoku, żadnego zbytku.

Larry, który czytał ostatni „Newsweek” - nowe zawołane groźby ze Środkowego Wschodu - nie był przygotowany na taką rewelację. Kochał matkę, nie miał wątpliwości co do tego. Więcej, uczucie, jakie do niej żywił, przerastało wymiar miłości. Kobieta o zmiennych nastrojach, szamocząca się między przyzłowami energii i bezsilnych łez, która późno w życiu znalazła ukojenie w liturgii Kościoła anglikańskiego i miłości do Chrystusa. Dot Weller go urodziła, ssal jej piersi, jest ciałem z jej ciała. Te obrazy stanowiły jednak muzykę w tle życia Larry'ego - istniały, ale nie narzucały się.

Midge i Larry ustalili między sobą, że w dzień po kremacji rozsypią prochy Dot na wody jeziora West Hawk, które przyjęły już prochy ich ojca, Stu. (Podczas prostej anglikańskiej ceremonii żałobnej pochwałę Dot wygłosił syn Larry'ego, Ryan, a po ceremonii przyjęła gości kawą i kanapkami w swoim domku na Lipton Street Dorrie, która siedziała przy Dot do końca, trzymając ją za rękę. Również Dorrie pożyczyła Midge i Larry'emu auto na ich wyprawę z prochami). Droga prowadziła na wschód. Dzień był wietrzny, pola miały szpeciniasty, zmartwiały, monochromiczny wygląd, który poprzedza pierwszy śnieg i zamarznięcie jezior.

- Jedziemy w ostatnim momencie - zauważyła Midge.
- Chcesz powiedzieć, że mamusia zdążyła na ostatni moment - sprecyzował Larry.

Matka powiedziała do niego pewnego razu, kiedy był dzieckiem - przypomina sobie teraz melancholijnie tę rozmowę, jechali płaską manitobską drogą, drzewa potraciły już liście, płoty przeciwnospole leżały powiązane tu i ówdzie na poboczu, miały być lada chwila ustawione na zimę - powiedziała, że ciało ludzkie obraca się w proch. Larry pamięta, że wątpił w prawdziwość tego twierdzenia. Proch to kurz, suchy pył, który się zbiera pod łóżkiem. A ciało ludzkie rozkłada się, gnije.

A jednak to, co wiozą w bagażniku auta Dorrie, to proch, urna pyłu. Larry usłyszał niedawno, że potrzeba godzin intensywnego żaru, żeby ciało ludzkie obróciło się w pył. A nawet wówczas pozostają kawałki, które nie dały się rozkruszyć, twarde cząstki, fragmenty kości czy zęby. Zdumiewająca jest ta trwałość atomów ciała.

Midge nastawiła radio i włączyła ogrzewanie, tak że auto przemieniło się we wnętrze z własnym kojącym mikroklimatem. Larry wiedział, że siostra się obawia chwili, gdy staną we dwoje nad brzegiem jeziora i zanurzą dłonie w suche prochy Dot Weller, ich matki. Tym bardziej że żadne z nich nie było pewne, czy to, co robią, jest zgodne z prawem.

Nie doszło do tego, przynajmniej nie tego dnia. Zaparkowawszy po dwugodzinnej jeździe auto na wyludnionym punkcie widokowym nad jeziorem, Larry otworzył bagażnik i - nie znalazł w nim nic.

- Myślałem, że włożyłaś urnę - powiedział do Midge.

- A ja myślałam, że ty włożyłeś - odparła Midge, płacząc otwarcie i otulając się ramionami przed chłodem.
- Boże, stoi ciągle na werandzie Dorrie.
- To ponad moje siły.
- Nie musimy rozsypywać prochów do jeziora. W końcu to była tylko luźna myśl. Prochy tatusia dawno...
- Tak tu zimno.
- I te fale.
- Co gdybyśmy...
- ... zabrali je do Toronto?
- Samolotem?
- Nie wiem.
- Moglibyśmy je, wiesz, umieścić w naszym ogródku. W tym zacisznym kąciuku przy piwoniami. A może to tylko lenistwo z naszej strony, Larry, nie chce nam się wracać do Winnipegu i jechać jeszcze raz taki kawał drogi tutaj...?
- Mamusia przepadała za piwoniami. Pamiętasz, jak...?
- Ian nie miałby na pewno nic przeciwko temu. Uważasz, że to by było zbyt upiorne? Trzymanie prochów matki w ogródku?
- Nie, nie myślę. Trudno nam to może przyznać, ale przecież to tylko...
- ...prochy.
- Właśnie. Garść pyłu.
- Nie - obwieściła Midge godzinę później. Mieli jeszcze prawie sto kilometrów do Winnipegu. Zgasiła energicznym stuknięciem radio. - Nie możemy tego zrobić. Nie możemy jej zabrać do Toronto. Nie mielibyśmy do końca życia spokoju. Musimy pojechać jeszcze raz jutro i rozsypać prochy w jeziorze.
- Racja - przyznał Larry. Żałował, że nie on to powiedział.

*

Kiedy minionego lata Larry Weller leżał nieprzytomny w głębokiej komie, komie, która mogła się okazać nieodwracalna - lekarze powstrzymywali się od wszelkich prognoz - jego ciało było przedmiotem troskliwych zabiegów i niemal nieprzerwanego nadzoru. Spał snem bez marzeń i nie miał pojęcia - nie czuł, nie rejestrował, nie domyślał się - że ktoś dba o podtrzymanie funkcjonowania jego organów. Karmiono go dożylnie, gdyż nie działały jego odruchy przełykania i krztuszenia się. Niezbędne było częste odsysanie wydzielin z ust i gardła, żeby zachować drożność układu oddechowego. Dbano oczywiście również o higienę jego jamy ustnej, dwa razy dziennie przemycając mu dziąsła i zęby cytrynową gliceryną.

Przewracano go co dwie godziny, żeby zmniejszyć ucisk na skórę i przewietrzyć płuca. Operacja obrócenia ciała wagi Larry'ego wymagała silnego pielęgniarza lub działających razem dwóch pielęgniarek. Trzeba go było ostrożnie ułożyć, z wyciągniętym kręgosłupem, żeby uniknąć ewentualnych późniejszych odkształceń ortopedycznych. Funkcjonowanie stawów podtrzymywano codziennymi ćwiczeniami ruchowymi. Sprawę moczu, który ciągle wytwarzał, załatwiano za pomocą umieszczonego na stałe cewnika, a regularnego usuwania stolców z odbytu dokonywano ręcznie.

Elektroniczny monitor rejestrował jego funkcje życiowe i próbował wymierzać poziom jego świadomości, jakkolwiek mało w istocie wiadomo o fenomenie komy, jej miejsca pośredniego między życiem a śmiercią. Czy organizm w stanie komy myśli i śni, czy słyszy dźwięki i odczuwa otaczające napięcia? Larry'emu golono brodę i

policzki, obcinano paznokcie u rąk i nóg. Nogi miał przytwierdzone do plastikowej deski w kształcie litery L. Bez takiego oparcia jego stopy byłyby pod wpływem własnego ciężaru narażone na trwałe przykurcz mięśni i ścięgien z tyłu kostek, tak że mógłby później chodzić tylko na palcach, jeśli przeżyje.

W ciągu dwudziestu dwóch dni jego nieprzytomności dotykały go setki dłoni. Dłonie profesjonalistów wykonywały zabiegi odnotowywane na karcie jego choroby, utrzymując w stanie życia i elastyczności jego ukrwione tkanki, w stanie drożności i czystości najbardziej intymne otwory jego ciała: nozdrza, odbytu. Twarze obcych ludzi, którzy dokonywali tych czynności, pozostają dla Larry'ego całkowicie nieznane, co mu się jawi jako naruszenie podstawowej równowagi świata. Jego dwa nieudane małżeństwa, dystans, jaki odczuwa między sobą a zmarłymi rodzicami, niemożność zrozumienia własnego syna i narzucenia sobie miłości do Charlotte Angus - różne te niedostatki świadczą o autonomiczności wszystkich, co do jednego, ludzi na ziemi przypisanych do własnego jednostkowego kośćca.

A jednak to nieprawda. Nie można przeżyć całego życia uwięzionym w gorsecie jednego złożonego ciała. Prędzej czy później, czasami przypadkiem, ktoś wyciągnie dłoń czy język, czy kawałek organu płciowego i sięgnie w uwarstwowaną ciemność. Akt ten może zostać odebrany jako krzycząca krzywda albo najdoskonalsza rozkosz. Otworzy się skóra albo ścianka komórki, wyzwalaając - życzymy sobie tego czy nie - ciepłe soki życia, które wypłyną swobodnie w pomieszaną materię świata, ów wzbierający, podatny ocean. Świadomość tego niepokoi Larry'ego Wellera, niepokoi, a zarazem dziwnie uspokaja. Larry zdrowieje; w pewnym sensie trwał przez całe życie w stanie ozdrowieństwa, ale dopiero teraz, w wieku czterdziestu pięciu lat, zaczyna oddychać życiodajnym przecuciem tego, co spotka suwerenne ja, ten zbytorny klejnot, we wnętrzu jego ciała. Chciałby, żeby to ja było bardziej muzykalne i lepiej oświetlone, wyposażone w dociekliwsze poczucie ciekawości, a nade wszystko chciałby mieć kogoś, coś do kochania. Jest tego bliski. Czuje to. Jest na pół przebudzony, niedaleki całkowitego przebudzenia.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Przyjęcie u Larry'ego 1997

Przed przyjęciem

Człowiek, któremu się nie układa życie, nie myśli o urządzaniu przyjęć. Wzdraga się przed aktami gościnności, jeżeli spoglądając w lustro, nie widzi zdrowej, zadowolonej, szczerzej twarzy. Dlatego Larry nie przyjmuje. Prawdę mówiąc, nie pamięta, kiedy ostatnio kogoś gościł. Nietowarzyski, oto jaki się zrobił, odkąd przed trzema laty rzuciła go druga żona, Beth.

Ale teraz Beth ma być w Toronto.

Przypadkiem ma być również pierwsza żona Larry'ego, Dorrie - przyjeżdża na parę dni w interesach.

Dwie eks-żony w Toronto jednego i tego samego weekendu! Co za zbieg okoliczności!

Beth przysłała Larry'emu z Anglii faks, że bardzo by się chciała z nim zobaczyć po tak długim czasie. („To stanowczo za długo, a mam wspianą nowinę”). Dorrie zaś napisała jedną ze swoich kartek. („W sobotę przed południem mam serię spotkań, ale przez resztę weekendu jestem wolna. Może byśmy się zobaczyli na pamiątkę dawnych czasów?”).

- To wspianą sposobność, żeby urządzić przyjęcie - oświadczyła przyjaciółka Larry'ego, Charlotte Angus, jak gdyby sprawa została już przesądzona. - Obiecuję się włączyć, pomóc ci. - Po czym dodała mniej pewnie: - Oczywiście jeśli sobie tego życzysz.

- Jasne, że sobie życzę. Ale jak? Co możemy...? - Larry czuje się nagle osaczony w towarzyskim mateczniku; tyle czasu minęło. - Kiedy? Jakie przyjęcie? O której?

- W sobotę wieczór? Proszona kolacja. Siódma będzie w sam raz. To trochę wcześniej, ale w ten sposób możesz mieć pewność, że wszyscy się wyniosą przed północą.

- Naprawdę myślisz, że to dobry pomysł? Wydaje mi się...

Właśnie, co mu się wydaje? Stawia sobie to pytanie. Mężczyzna czterdziestosześcioletni (w sierpniu będzie czterdziestosiedmioletni) wydaje przyjęcie. Nieczęsto się to zdarza - samotny mężczyzna, dwukrotny rozwodnik, spłaca długi towarzyskie, zapraszając przyjaciół nie do restauracji, lecz na swój własny teren, na kolację. Stół nakryty. Rozmowy, śmiechy. Jedzenie, leje się alkohol. Większość mężczyzn w sytuacji Larry'ego jest raczej zapraszana, niż zaprasza. Tak twierdzi Charlotte. Są zapraszani, zapraszani, zapraszani. Taka towarzyska nierównowaga może trwać latami, zanim ktoś ją poda w wątpliwość. Musi się wytworzyć sytuacja przymusowa, żeby zaszła konieczność odwrócenia ról.

Lecz właśnie nadszedł taki moment. Jednego i tego samego weekendu przyjeżdżają dwie jego byłe żony i obie - Larry jest mile polechtany, nie może się oprzeć uczuciu pewnej dumy - obie piszą z góry, proponując mu spotkanie. Jest to kurtuazja, która mu pochlebia jako mężczyźnie, jako byłemu mężowi i tak dalej, i tak dalej.

- W głowie mi się nie mieści - mówi Larry'emu Charlotte - że one się nigdy nie poznały. Nie uważasz, że przez te wszystkie lata powinny były chociaż raz...

- Z Winnipegu daleka droga do Chicago - odpowiada niezbyt przekonująco Larry. - Raz czy dwa rozmawiały przez telefon.

- Z pewnością uprzejmie.

- Bardzo.

- Obie na wyżynach porozwodowej etykiety, przypuszczam.

Larry musiał się nad tym zastanowić. Doświadczył momentów zazdrości Beth, jej irracjonalnie uszczypliwych uwag o jego pierwszej żonie; pamięta również ostre pazurki Dorrie. Skądinąd to jednak przedpotopowa historia, humory jego żon. Miał dwadzieścia parę lat, kiedy poślubił Dorrie, trzydzieści parę, kiedy się zeszli z Beth, oba małżeństwa wydają mu się teraz odległe, są przypadkościami jego innego, młodszego, mniej solidnego ja. Wie teraz o tyle więcej niż dwadzieścia lat temu, tak przynajmniej chce myśleć. Dźwiga na barkach miliard bajtów informacji.

- Sądzę, że można polegać na nich obu - powiedział teraz do Charlotte.

- To dobrze. Bo sytuacja nosi w sobie zarodki...

- Wiem, wiem.

Fakt, że zapalił się teraz do myśli o przyjęciu. Podniecił własnym zapalem.

Rozmowę tę przeprowadzili z Charlotte pewnej środy przy lunchu. Larry zauważył ostatnio, że jego poczucie pewności siebie robi się ekspansywniejsze podczas posiłków w restauracjach. Przy stolikach w miejscach publicznych rozważają z Charlotte możliwości, przed jakimi się cofają w domu.

Przed południem tego dnia Larry miał krótką konferencję prasową w związku z otwarciem labiryntu McCorda, któremu poświęcił ostatnie dwa lata. Dokładnie za pięć tygodni labirynt zostanie udostępniony publiczności. Jest to projekt stosunkowo powściągliwy, Larry uważa go jednak za najbardziej twórczą przygodę swego życia. Rozwinął tym razem skrzydła, ale dyskretnie, subtelnie. Zamiast sztywnych, formalnych krzewów tradycyjnych labiryntów - ostrokrzewu, bukszpanu, cisu - zastosował tuzin rozmaitych gęstych, nie za szybko rozrastających się, nieortodoksyjnych sadzonek, takich jak pięciolistna aralia (znosząca dobrze zanieczyszczenia atmosferyczne), klon amurski, wiciokrzew, pęcherznica kalinolistna (odporna na wiatr i zimno), mahonia dla jej czerwonych jagód i ciemnych liści, oliwnik wąskolistny, ketmia syryjska, karagana dla jej pierzastej lekkości, trzmielina oskrzydłona oraz forsycja. (Wobec tej ostatniej zaprotestował Garth McCord, oświadczając, że forsycja jest krzewem zbyt pospolitym w dzielnicach willowych. Postawił sprawę ostro, w końcu to jego pieniądze, ostatecznie doszli jednak do porozumienia). Larry wierzy - pogląd ten odczytał rano przedstawicielom prasy z przygotowanego komunikatu - że labirynt, choć realizuje zasadniczą odyseję gubienia i odnajdywania drogi zapożyczoną z historycznych pierwowzorów, pozwoli osobom zapuszczającym się między jego szpalery zapomnieć, że krzewy tworzą rodzaj ściany, i myśleć o nich raczej jako o eksternalizacji świata roślinnego ze snów, z labiryntem i jego zdobywcą zrosniętymi w jeden organizm.

Posiadłość McCorda, podarowana wielkodusznie zarządowi parków miejskich, zniża się w jar z przepływającym strumykiem, tak że labirynt może zstąpić w dół, po czym wspiąć się z powrotem, symbolizując zapadanie w pomrokę snu, a następnie powolne budzenie się. (Na konferencję stawiło się trzech dziennikarzy - Larry przyznaje w duchu, lecz nie wobec Charlotte, że sprawiła mu zawód nikła frekwencja - i wszyscy trzej zanotowali skrzętnie sformułowanie „eksternalizacja świata roślinnego ze snów”).

Larry i Charlotte Angus siedzieli przy stoliku na zewnątrz restauracyjki Pod Mrugającą Kaczką nieopodal King Street, jedząc na spółkę sałatkę z owoców morza, zerkając na zaskakująco czyste niebo i rozważając wciąż

mało sprecyzowany pomysł urządzenia przez Larry'ego przyjęcia. To jest Kanada, owa zimno sklepią kraina ze zmienną pogodą i mężnym sercem, dzisiaj trafił się jednak dzień wyjątkowo ciepły jak na kwiecień, a Larry nieopatrnie włożył szarą wełnianą marynarkę i krawat.

- Dlaczego jej nie zdejmiesz? - poradziła Charlotte ze zwykłą troskliwością i Larry poszedł za jej radą.

Przy stole może usiąść osiem albo dziesięć osób - mówiła Charlotte - więc czemu nie zaprosić dziesięciu, skoro się świetnie pomieszczą. Potrawy proste, lecz eleganckie. Lekkie czerwone wino, może włoskie. Wczesny wieczór.

Po tarasie przemknął wietrzyk, nagły kwietniowy podmuch, unosząc o ułamek cała bliźniacze różki apaszki Charlotte. Wszystko, co Larry wie o kobietach, mówi mu, że Charlotte jest na tym etapie życia, kiedy apaszka na szyi czyni cuda dla podniesienia ducha.

- Jeśli chcesz wiedzieć - oznajmia Charlotte, przesuwając palce po brzegu apaszki - proszona kolacja to niezupełnie to samo co zwykle przyjęcie.

- A to czemu?

Nad różowym papierowym obrusem wykwita na wargach Larry'ego senny uśmiech. Są z Charlotte więcej niż rok i zdążyli się już zgrać. Ich swoboda wyraża się po części w stylu przyciszonego przekomarzania, jaki się między nimi wytworzył, tak jakby zawarli pakt wzajemnego wykradania sobie błyskotek ze skarbcza ironii.

- Och, czy ja wiem. Proszona kolacja jest jakby bezpieczniejsza. Ma większy ciężar gatunkowy. - Głos Charlotte zatacza łuk śpiewnej autorytatywności. Jest ona kobietą nieśmiałą, ma jednak nagle przypląwy energii. - Kolacja jest imprezą reżyserowaną, więc łatwiej nad nią panować.

- Za pomocą rozmówek towarzyskich?

- Cóż - odparła ze wzruszeniem ramion - twierdzą, że należy Bogu dziękować za rozmówki towarzyskie. Są lepsze od zasadniczych dyskusji. Wielkich porażających dyskusji. Estetyka, wartości społeczne. Ludzie sztyletujący cię nazwiskami autorów, o których nigdy nie słyszałeś. Cytujący Kierkegaarda. Słowo daje!

Uśmiech Larry'ego się poszerzył. Nie należy do ludzi szermujących przy stole cytatami, choć czasem żałuje, że go na to nie stać. Charlotte jednak nie wyczerpała jeszcze tematu.

- Próbowalesz sobie kiedyś wyobrazić, jakie milczenie by zapanowało w świecie, gdyby nie można było rozmawiać o pogodzie i cenie nieruchomości? Ani o pladze wiewiórek w ogrodach? Co, gdybyśmy nie mogli paplać o naszych urlopach? Ani o tym, co robią nasze dzieci? Dobry Boże!

- To też nie zawsze jest bezpieczny temat.

Larry, wpatrzony w ruchliwe usta i kołyszące się kolczyki Charlotte, pomyślał o swoim własnym synu, Ryanie, na którym ciąży ostatnio podejrzenie, że stosuje przed biegiem doping, sterydy; sprawa jest w toku.

- I jeszcze jedno - ciągnęła Charlotte - nie można pytać ludzi, co robią. Uważane to jest dzisiaj za niedelikatne, bo co, jeśli się akurat znaleźli bez pracy? Albo jeśli pracują w firmie, która produkuje filmy porno czy podpaski, czy coś podobnego? Tobie to nie grozi, Larry, ty się specjalizujesz w pięknej żywej zieleni.

- Więc uważasz, że proszona kolacja jest bezpieczna? Z punktu widzenia neutralności rozmów?

Charlotte uniosła brwi.

- No, chyba panowanie nad sytuacją jest rzeczą ważną, nie? Myślę, nad dynamiką rozmowy. Bo rozumiesz...

Uczyniła dłonią tnący ruch przed twarzą. Nastąpiła pauza. Larry nie potrafiłby powiedzieć, czy była to długa, czy krótka pauza.

Menu - Przyjęcie Larry'ego

Szampan (Cartier, Imperial, kanadyjski)

Zupa dyniowa z dodatkiem imbiru

Pieczeń barania z rozmarynem

Młoda fasolka limeńska / karotka

(Beauplais)

Salata

Bawarski ~~austriacki~~ tort czekoladowy

(Muscat de frontenac?)

Kawa / koniak

Rozejrzał się dokoła i stwierdził, że restauracja zaczyna się wypełniać młodymi parami, które wyglądają na kochanków. Dwudziestoletni, trzydziestoletni, ich dłonie spotykają się na blatach stołów, palce wykonują drobne erotyczne gesty.

- Jestem podłym kucharzem - oznajmił, kręcąc głową i myśląc o swoim przyjacielu, Billu Herschel, który sam wędzi pstrągi i piecze regularnie chleb dla całej rodziny. - Chociaż Beth wprowadziła zasadę gotowania obiadów na zmianę.

- Naprawdę? Nigdy o tym nie mówiłeś.

- To jeden z jej koników.

- Feministycznych?

- Ale ja umiem robić tylko potrawy męczne.

- Męczne? Hmm. Nie bardzo się to nadaje na proszoną kolację. Nie na dziesięć osób.

- To mamy problem.

- Obiecałam ci pomóc. - Charlotte mówiła teraz głośniej, bo wokół zrobiło się hałaśliwie. - Ale nawiasem mówiąc, jak właściwie masz zamiar, rozumiesz... przedstawić mnie swoim byłym żonom? Jakich słów użyjesz?

- No-o... - Larry, zaskoczony, zrobił pauzę, włączając hamulce bezpieczeństwa. Wiedział, jaka wrażliwa potrafi być Charlotte. - Powiem po prostu, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Bo i jesteśmy, prawda, Larry?

Jej oczy poszukały jego oczu dla przypieczonego deklaracji. A może - wydało mu się - z prośbą o silniejsze potwierdzenie.

- Jesteśmy wielkimi przyjaciółmi.

Larry wytrzymał jej wzrok, kładąc na słowo „wielkimi” nacisk lekki jak stuknięcie opuszką palca. Jakoś ją to jednak zadowoliło.

- A może - powiedziała, marszcząc czoło - lepiej zaprosić osiem osób zamiast dziesięciu. Albo jeszcze lepiej, dziewięć. W ten sposób rozmowa przy stole będzie się toczyła asymetrycznie. Asymetria zawsze zwiększa zaangażowanie.

Skąd ona wie takie rzeczy?

- Pewna jesteś, że tego nam potrzeba? Zaangażowania?

- Oczywiście.

- Zamiast miłej niezaangażowanej swobody? Jak w tym francuskim filmie, któryśmy widzieli, a w którym nie wiadomo było, o co w ogóle chodzi?

- Niektóre produkty na kolację możemy kupić gotowe - pośpieszyła teraz Charlotte, wyjmując z torebki mały notesik. - Na przykład deser. Wszyscy to teraz robią. Bezwzględnie kupny deser. Coś czekoladowego. Od Duffleta.

- À propos deseru...

- O tym samym myślałam. Może weźmiemy na spółkę porcję sernika. Ten z migdałami wyglądał apetycznie.

- Czemu nie.

Wpadli w ostatnich miesiącach w zwyczaj zamawiania potraw na spółkę. Czy to niedostatek apetytu - zastanawia się Larry - czy też geriatryczny odpowiednik trzymania się za ręce? Popatrzył z czułością na Charlotte. Śmiały sztandar szminki na wargach. Oczy. Życzliwe, gorące - jak ona zdołała zachować przez te wszystkie lata takie gorące serce? (Ślad zielonego cienia pod oczami, umiejętnie nałożonego. Docieklive brwi. Jedna powieka opadająca, kiedy Charlotte jest zmęczona). Jaskrawa jedwabna apaszka przywodzi upalne obrazy Ameryki Środkowej, ale Larry wie, że Charlotte kupiła ją zeszłego lata w Prowansji. Czy też w Hiszpanii? Musi być przyjemnie mieć zawiązane coś takiego pod szyją.

Charlotte jest kobietą, która zawsze „robi, co może”, „przyklada się do wszystkiego”, i to właśnie - myśli Larry - perwersyjnie nie pozwala mu kochać jej z takim samym ciepłem, jakie ona ma dla niego. Coś (może śmierć męża przed pięciu laty, może jej struktura genetyczna) każe jej - wydaje się Larry'emu - wgryzać się mocniej od innych w miąższ życia. Wgryzać się i wgryzać.

- Jeżeli zdecydujesz się na baraninę - powiedziała Charlotte Angus do Larry'ego na tydzień przed przyjęciem - musisz do niej podać fasolę.

- Dlaczego fasolę? Nikt nie lubi fasoli. Przynajmniej ja nie znam nikogo, kto by lubił.

- Tak się je baraninę we Francji. Bardzo lekko pieczoną, różową w środku, z białą fasolą. To tradycja. Albo z tą drobną fasolką limeńską. Można ją dostać mrożoną.

- Fasola jest niestrawna.

- Duże porcje fasoli są niestrawne. Masz świętą rację. Dowcip polega na tym, żeby położyć koło mięsa garść ziarenek. Bardziej jako przybranie niż jako jarzynę.

- Ile to jest garść? Dwanaście ziarenek? Dwadzieścia?

- Leżysz na mojej ręce, kochany. O, teraz lepiej.

- Więc podajemy fasolę jako przybranie do mięsa. Czy to znaczy, że nie musimy już przybierać fasoli?

- Można ją trochę posypać pietruszką. Albo świeżą szalwią. Szalwię dostaniesz w hali Saint Lawrence. Bardzo by się nadała, jak się teraz nad tym zastanawiam.

- A czym się przybiera szalwią?

- Wiesz co, Larry? Jesteś niemożliwy. Trzymają się ciebie niewczesne żarty. Męskie żarty o tej porze są...

- ...nie na miejscu - dokończył; Beth też miała mu za złe żarty.

- Właśnie.

- A kiedy jest właściwa pora na męskie żarty?

Wpasował ciało w jej ciało, położył nogę na jej miękkim udzie.

- Nigdy. Myślałam, że wiesz. Nowe zarządzenie. O Boże, popatrz na godzinę. Muszę być rano wcześniej w pracy. Zebranie. Zespół traumatyczny wygłasza referat.

- Dlaczego uważasz, że jestem niemożliwy?

- Powiedziałam, że jesteś niemożliwy?

- Tak.

- Bo jesteś... Próbujesz mnie wyciągać na małżeńskie rozmówki, banalne i głupie. Tak żebyś wyszła na domowego tyrana, podczas gdy jestem tylko dziewczyną, która ci próbuje pomóc.

- Uwielbiam sposób, w jaki to mówisz. Dziewczyna! Wielką literą.

- Raczej rozstrzelonym drukiem. Z tym że termin dziewczyna w odniesieniu do czterdziestosześcioletniej kobiety jest zupełną kpina... O Boże, popatrz na moją spódnicę! Co się ze mną dzieje, kiedy zostaję u ciebie na noc? W domu wieszam zawsze ubranie na ramiączkach. Dbam o siebie. Będę ją musiała odprasować, i to zaraz. Pewnie nie masz w domu rzeczy takiej jak woda destylowana?

- Kupię rano. W przerwie między kupowaniem fasolki limeńskiej a...

- Będziesz potrzebował ze trzy opakowania. Na dziewięć osób to powinno być w sam raz.

- Ma być dziewięć osób? Zupełnie się pogubiłem.

- Dobrze wiesz, że dziewięć. Czemu zaczynasz się nagle zachowywać, jakby to przyjęcie było wyłącznie moim pomysłem? I posłuchaj, Larry, jeśli chcesz podać baraninę bez kości, co ci polecam, to czas najwyższy ją zamówić. Zaraz dzisiaj. U Oliffego świetnie ją preparują. Zamarynują ci. Oliwa z oliwek, cytryna, rozmaryn. Palce lizać.

- Coś jeszcze?

- No, mógłbyś... Nie, dość babskich porad jak na jedną noc. Chociaż może, po zastanowieniu...

- Co?

- Nic.

- Zobaczymy się wieczorem?

Zamilkła, zmierzyła go wzrokiem. Niezglębionym wzrokiem, Larry wiedział jednak, że kryje się w nim gdzieś nagana.

- Może raczej jutro - zdecydowała. - U mnie.

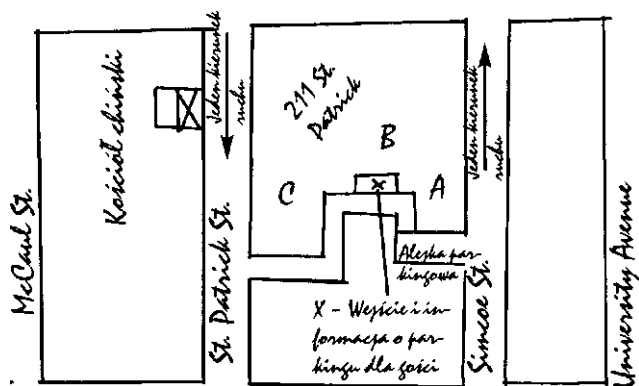
*

Beth porzuciła ostatecznie Larry'ego w 1994 roku, pozostawiając w ich domu w Oak Parku szafę zawieszoną zwiewnymi toaletami, a łazienkę pełną przemyślnych szczoteczek i miniaturowych flakoników z pachnidłami.

Skądinąd porzuciła go jednak oględnie, taktownie, psychologicznie. W ślad za jej spokojnym, osobistym wstępnym zawiadomieniem w restauracji w Southampton, nadszedł parę dni później wylewny list.

Kochany Larry!

*Wszystko to stanie się dla Ciebie łatwiejsze, jeśli pomyślisz, że życie jest księgą, którą każde z nas musi zapi-
sać osobno, księgą, która ma wiele rozdziałów. Obydwoje, sądzę, wiemy, że nasz wspólny rozdział, twój i mój, za-
wierał wiele kart upojnych, kart wspólnego wzrastania...*



Jak trafić do Larry'ego

Do zobaczenia 26 kwietnia

około 7 wieczorem

Pytać o nr 211 St. Patrick St., m. 788

Ciągnęło się to w nieskończoność. Larry z trudem brnął przez meandry jej prozy, tak jakby list został napisany w stanie zamroczenia alkoholowego, co było rzeczą nie do pomyślenia, gdyż Beth nie brała nigdy do ust nic mocniejszego niż woda źródlana - jej uczulenia, jej obawa utycia. Końcowy akapit brzmiał:

Blask twego ducha, słodki Larry, rozświetlał mego ducha i lubię wierzyć, że nasza wspólna mądrość zapalała gwiazdy, zarówno seksualnie, jak intelektualnie, na synapsie naszych zespolonych kart, rodząc rodzaj autentyczności, która żyje nawet po rozstaniu. Czuję jednak, że nadszedł czas, by zacząć niejako zapisywać nową kartę, szukając drogi do zrozumienia i przebaczenia.

Kochana, apodyktyczna, pedagogiczna Beth. Czytał jej list ze ściśniętym sercem, czując zarazem, jak twarz rozluźnia mu uśmiech.

Chwileczkę. Wolnego. Uśmiecha się ze ściśniętym sercem? Coś tu nie tak. Może się uśmiecha, mimo że serce mu się ściska? Uśmiecha na przekór ściśniętemu sercu?

Przemieniając się coraz bardziej w obserwatora, w krytyka, Larry uczynił krok w tył i, ściskając list żony, zaatakował go chirurgicznym, czerwonym ołówkiem. Trójka z minusem. I to z litości.

Zrozumienie i przebaczenie, aha! A więc to jest kuracja, którą mu przepisuje. Czy to wszystko?

Kiedy Beth go rzuciła, nie dla innego mężczyzny, tylko dla pozycji uniwersyteckiej w Anglii, dobiegał czterdziestych czwartych urodzin. Mężczyzna w trzeźwym wieku, to mu przynajmniej podawali do wierzenia romantyczni głupcy. Zrozumienie i przebaczenie powinno mu przyjść gładko. Jak dodanie dwa i dwa. Z pobłażliwym wzruszeniem słabnących ramion. Gdzie w końcu jest powiedziane, że miłość ma być ważniejsza niż kariera zawodowa?

Mój uwielbiany Larry - napisała w postscriptum jego gładkoskóra Beth, świeżo widać dotleniona uniesieniami własnej retoryki - *byłeś tłumaczem dla mojej nie ukształtowanej duszy, ważnym czytelnikiem mego ciała i umysłu, a ostatnio także redaktorem i wydawcą mojej utykającej miłości. Obróćmy teraz oboje, ty i ja, nasze oddzielne karty. I czytajmy dalej. Ano tak. Cóż innego mu pozostało?*

*

Mężczyzna, który sam nie porzucił żony, będzie niezdolny zrozumieć i przebaczyć. Będzie zamiast tego widział w tych bliźniaczych czasownikach miniaturowe narzędzia - szpadel, motykę - na kobiecej bransoletce-

talizmanie, oryginalne i dekoracyjne, i nie przyjdzie mu do głowy zastanowić się przez minutę nad bezmiarem miłosierdzia, jakiego się domagają. Ani, słodki Boże, nad huśtawką winy, jaką mu rozkołysują przed oczami.

Larry i jego pierwsza żona, Dorrie, byli małżeństwem przez pięć lat, kiedy ją zostawił. Pięć lat, jedno dziecko, dom w trakcie odnawiania, w pełni zagospodarowana połać czasu - a mimo to Larry ma kłopot z przypomnieniem sobie, z czego zbudowane było ich życie. Wydaje mu się zawsze, że się poznali z Dorrie w epoce dawnej poetyki, w 1976, kiedy świat się rymował i śpiewał, i sklepienia były wyższe, a nawet jeśli nie były, czuło się możliwość sięgnięcia wyżej.

- Jaka ona była? - spytała kiedyś Charlotte Angus Larry'ego. Pytanie to padło po seansie miłosnym w jej biało-kremowej sypialni.

- Kto?

- Dorrie. Twoja pierwsza.

- Nie uwierzysz, ale ja naprawdę nie pamiętam.

- Była dobra w łóżku?

- Hmm. Trudno to wyrazić w słowach.

- Znaczy, że nie chcesz o tym mówić. Że to nie mój interes.

- Przepraszam.

- To ja przepraszam. Moje nieposkromione wścibstwo.

- Bywała zabawna. Umiała naśladować swego szefa w salonie Toyoty, gdzie pracowała. Także mojego ojca.

Była w tym dobra. Zanim wszystko się posypało.

- Czy wszystko się rzeczywiście posypało?

- Wszystko. No, wszystko oprócz samej Dorrie.

- Dlaczego się nie zwróciliście do poradni małżeńskiej?

- Nie było takiego pojęcia w naszym słowniku.

- Uważaliście, że przyniosłoby wam to ujmę?

- Jaką ujmę! To naprawdę była sprawa słownictwa.

- Gdybyśmy my z Derkiem mieli problemy, z całą pewnością zwrócilibyśmy się o profesjonalną pomoc. Byłaby to najnaturalniejsza rzecz w świecie.

Przy każdej wzmiance o Derku, zmarłym mężu Charlotte, Larry czuje się odrobinę głupio.

- Może ty z Derkiem mieliście takie pojęcie w waszym słownictwie - powiedział ostrożnie.

- Jesteś pewien, że chodzi o słowa? Naprawdę nie wiedzieliście o poradniach małżeńskich?

- Oczywiście, że wiedzieliśmy. Każdy to wiedział.

- No, więc?

Przypomniała mu się matka, która przez długie okresy życia cierpiała na depresję, ale do głowy jej nie przyszło zwrócić się do psychiatry.

- Nie znałem słów ubierających rzeczy - powiedział do Charlotte. - Nie wiedziałem, jak do nich dotrzeć.

- Czasami, Larry, powiesz coś takiego, że ani rusz cię nie rozumiem.

- Ja sam siebie czasami nie rozumiem - odparł, przełykając.

Zdawało mu się, że to, co przełyka, to cała gorycz jego istnienia. Nie jest człowiekiem, jakim był na początku. Jest bogatszy i smutniejszy, utracił umiejętność śledzenia własnych kroków.

- No-o? Co myślisz?

- Wygląda ładnie. Dobry pomysł był z tym obrusem.

- Podkreśla całość, prawda? Cieszę się, że pomyślałeś o zielonych świecach, Larry. Białe wyglądają zbyt kościelnie.

- Dziękuję, że przyniosłaś kwiaty.

- Pamiętałam, co mówiłeś. Przy jedzeniu nie stawia się na stole róż, bo zapach przenika do zupy.

- Moje kwaciarskie nauki! - Larry westchnął. - Musieli nam to wbić do głowy zaraz na pierwszym semestrze. Takie wiadomości pozostają człowiekowi na całe życie. - Powiódł wzrokiem po nakrytym stole. Błysk widelców i noży, lśniące kieliszki, krzesła ustawione na baczność. - Nigdy się tego nie zapomina, prawda? Nic a nic się nie zapomina.

- Mam nadzieję, że się nie rozkrochmalasz, Larry?

- Nie jestem taki pewien. Zaczynam mieć wątpliwości co do całej...

- To nerwy, nie wątpliwości. Normalna rzecz. Kiedy urządzaliśmy z Derkiem przyjęcia, ja zawsze wpadałam w ostatniej chwili w panikę. Że spalę pieczeń, że nikt nie przyjdzie, takie strachy. Przecież wszyscy potwierdzili, prawda?

- Obie żony przysłały faksy.

- Czy to nie zastanawiające?

- Ja też tak uważam. Midge dzwoniła. Spóźniła się parę minut z Ianem. A Sam Alvero zostawił wiadomość, że może być parę minut wcześniej, bo odbiera w sąsiedztwie auto od blacharza.

- A McCordowie?

- Dzwoniła jego sekretarka. Czy spodziewane są stroje wieczorowe? Powiedziałem, że niezobowiązujące.

- To będzie ciekawe. Zobaczymy, co dla niego znaczy niezobowiązujące. Skoro o tym mowa: czy masz się zamiar przebrać?

- Nie podoba ci się ten sweter?

- Podoba. Wyglądasz swobodnie, domowo.

- Tak właśnie chciałem.

- Natomiast ja będę w tej sukni wystawiona na sztych. Na spojrzenia eks-żon. Ich biegające oczki. Krytyczne. Miałam zamiar wziąć apaszkę, ale...

- Wyglądasz wspaniale!

- Nie zanadto tajemniczo albo groźnie? To jest, kochani, ta nowa przyjaciółeczka Larry'ego Wellera. Hmm. Co to może być za jedna, jak pasuje do obrazu? No, niezupełnie młódka, nieprawdaż? O, mój Boże, ale paplę!

- Nerwy.

- Obejmij mnie na chwilę.

- Hmm.

- Już lepiej.

- Wszystko będzie dobrze.

- Czuję zapach pieczeni, ty nie? Boski, boski czosnek. Mam nadzieję, że wszyscy są przysięgłymi amatorami czosnku. Tym gorzej dla nich, jeśli nie.

- Ja nic nie czuję.

- Bo jesteś tu przez całe popołudnie. Widzę, że przygotowałaś marchewki.

- I zupe. Ale może lepiej, żebyś jej spróbowała.

- Mamy jeszcze pół godziny. Moglibyśmy przygotować bileciki, gdzie kogo posadzić.

- Czy ja wiem? Brzmi to strasznie...

- ...formalnie? Może masz rację. Ale zastanówmy się nad tym przynajmniej. Miejmy plan w głowie.

- A czy nie lepiej pozwolić każdemu usiąść, gdzie chce?

- Tego nie możemy zrobić, Larry. Co, jeśli dwie żony wylądują obok siebie? Rozumiem, chcesz, żeby to było nieformalne, ale posadzenie ich koło siebie to - zrobiła pauzę - szukanie biedy.

- Jakiej biedy? Nie złączą chyba wrywać jedna drugiej włosów. Nie są przecież rywalkami.

- Och, Larry!

- Co znaczy: „Och, Larry”?

- Czy ja wiem. Tylko że czasami robisz się taki naiwny.

- Każda z nich zajmowała zupełnie inny segment czasowy. Nie było najmniejszego zazębienia. Nie widzę, w jaki sposób miałyby być rywalkami. Są obie raczej... jakby to określić... współrozbitkami.

- Och, Larry - powtórzyła Charlotte, kręcąc głową. - Ty nic a nic nie rozumiesz.

- Chyba nie.

Coś jednak rozumiał.

- Tak czy inaczej, będą tu lada chwila, więc zastanówmy się lepiej nad strategią rozsądzenia gości.

- No - zaproponował Larry - moglibyśmy posadzić każdą z nich na przeciwnym końcu stołu. Byłyby w ten sposób tak daleko od siebie, jak to tylko możliwe.

Ku jego zaskoczeniu wzięła to najzupełniej serio.

- Hmm. To może zbyt rzucające się w oczy. I niezbyt taktowne. Są w końcu gośćmi honorowymi, nie zapominaj.

- Ty i ja też nie chcemy siedzieć na końcach, grając rolę mamy i taty. Ja w każdym razie nie chcę.

- Nie, ja też odrzuciłam tę ewentualność. To zbyt wykalkulowane, zbyt ceremonialne. Jakbyśmy mieli zamiar sprawować kontrolę nad sytuacją.

- Więc co zrobimy?

- Pomyślałam, że na końcach mogliby usiąść twoja siostra i Ian. Tak po rodzinnemu. Prawdę mówiąc... mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, Larry... zrobiłam dziś w pracy taki wstępny projekt rozsądzenia gości. - Wyciągnęła z torebki złożoną kartkę, rozpostarła ją na stole. - Widzisz, jak posadziłam Midge i Iana. Niestety nie udało mi się zachować przeplatanki, ale...

- To nieistotne.

- Ty siedzisz tutaj między Samuelem a Marcją McCord. Strzelam, ale z tego, co mi mówiłeś, nie przypuszczam, żeby tych dwoje miało sobie wiele do powiedzenia. Samuel jest niedawno w Kanadzie, nie mówi zbyt dobrze po angielsku... Dalej, Dorrie siedzi koło Midge, mówiłeś, że się lubią.

- Kiedyś się nie lubiły, ale teraz faktycznie...

- Garth McCord siedzi naprzeciwko ciebie, z Beth po jego lewej stronie. Zakładam, że mają oboje te ciągoty intelektualne.

- Przemyślałaś to rzeczywiście.

- Masz mi za złe, że uzurpowałam sobie rolę gospodyni? Rządę się za bardzo? Powiedz, jeśli tak uważasz.

- Ale chwileczkę, gdzie ty siedzisz, Char? - Nieczęsto nazywał ją Char. - Nie ma cię na tym planie.

- Ja? Nie ma mnie? O mój Boże!

- Rozsadziłaś tylko osiem osób. Jest nas dziewięć.

- Nie chce mi się wierzyć, że coś takiego zrobiłam.

- Może usiądziesz tutaj? - zaproponował Larry, wskazując miejsce. - Między mną a Samem?

- Albo między Garthem a Dorrie?

- Wybierz sama.

- Jak myślisz, co to znaczy? - spytała Charlotte. Jej głos zabrzmiał jak jęk. - Takie podświadome działanie, myślę. Pominięcie siebie przy stole. Tak jakby mnie nie było.

- Dzwonek!

- Otwórz, dobrze? To prawdopodobnie Sam Alvero. Ja pójde obrócić pieczeń.

- No, zaczyna się.

- Tak, zaczyna.

- Za parę godzin będzie po wszystkim. Będziemy to mieli za sobą. Zostaniemy znów we dwoje.

- Prawda.

Posłała mu uśmiech.

- Jeden pocałunek. Na szczęście.

- Na szczęście. Za nasze szczęście.

Larry zrobił głęboki wdech i ruszył ku drzwiom. Wypuścił powietrze na skrzydłach pragnienia: „Oby ten wieczór był miły i otwarty, obyśmy byli sobie życzliwi, oby nam przyniósł wszystko, czego pragniemy”.

Przyjęcie

Beth była piękna. Larry zapomniał, jaka jest piękna. Chłodne wiosenne powietrze wieczoru zarumieniło jej policzki, zielony aksamitny płaszcz ze srebrnymi guzikami zakolysał się dramatycznie, kiedy wchodziła w drzwi.

- Larry - powiedziała i ujęła jego twarz w zimne dłonie. O spopielona mirro dawnej miłości!

- Jesteś pierwsza - powiedział niemądrze.

W następnej sekundzie poczuł na szyi jej ramiona, na wargach jej usta przywierające z tamtym zapamiętanym gorącem, tym bardziej palącym dzisiaj ze względu na chłód. Serce mu podskoczyło. Było to coś, czego nie przewidział, przywitania, uściski. Co jest dozwolone?

Beth odskoczyła teraz od niego, z uśmiechem na twarzy.

- Larry - zagruchała towarzysko, krystalicznym głosem - to taka cudowna, nieoczekiwana inicjatywa z twojej strony. Proszona kolacja!

- Mam pomoc - odparł, czyniąc głową ruch w kierunku kuchni, skąd dochodził brzęk łyżek i garnków. Po chwili pomyślał, żeby dodać: - Moja przyjaciółka.

Jak fałszywie zazgrzytało mu to słowo na języku: przyjaciółka.

Beth rozpięła powoli płaszcz, po czym go rozpostarła gestem, który się wydał Larry'emu teatralny. Nawet w przyćmionym świetle przedpokoju od razu dojrzał, że Beth jest tryumfalnie, kwitnąco brzemienna. Ósmy miesiąc, dziewiąty? Nie, przecież kobietom nie pozwala się latać pod koniec ciąży, prawda?

- Siódmy miesiąc - powiedziała, jakby czytając w jego myślach, i obróciła się bokiem, żeby mógł jej się lepiej przyjrzeć. - Pisałam ci, że mam wspaniałą nowinę.

Otworzył usta. Co to znaczy? Kto? Kiedy? Ale odezwał się ponownie dzwonek, zaraz po nim dobiegł z kuchni stukot. Nie minęło pięć minut, a on już traci głowę.

*

- Samuel Alvaro, Beth Prior. Sam pracuje tu ze mną przy najnowszym projekcie. Jest hortologiem, przyjechał niedawno z Hiszpanii. Z Sewilli, prawda, Sam? A Beth przyleciała dopiero co z Londynu. Zaczęła mi właśnie mówić, że jest...

- Miło mi panią poznać.

- Mnie również.

- Dzień dobry państwu! Jestem Charlotte Angus. Przepraszam, byłam zajęta w kuchni... Pani jest Beth? No, no! Miło panią zobaczyć, chciałam powiedzieć, jaki to cudowny zbieg okoliczności, że pani przyjechała. A pan jest Samuel. Larry mi o panu opowiadał: jakim uśmiechem losu jest pan w tych gorączkowych tygodniach, pracuje pan dzień i noc przed otwarciem. Czy to znowu dzwonek, Larry? Mógłbyś otworzyć, bo ja muszę jeszcze zajrzeć do kuchni.

*

- Pozwolą państwo sobie przedstawić Gartha i Marcię McCord. Znasz już Sama, Garth, poznaliście się na robocie, w zeszłym tygodniu, prawda? A to jest Beth Prior, prosto z Anglii. Muszę państwa uświadomić, zanim się zjawią pozostali goście, że Beth i ja byliśmy kiedyś, no, to już przed laty, ale swego czasu byliśmy... O, a to jest Charlotte Angus. Charlotte, poznałaś już zdaje się Gartha, ale nie Marcię. Marcia pochodzi z Nowego Jorku, jeśli się nie mylę.

- Z Wirginii. Z Richmond w Wirginii.

- Racja, z Wirginii.

- Ale faktycznie mieszkałam w Nowym Jorku.

- Rozumiem.

- Ponad rok, prawie półtora roku. Ściśle mówiąc, siedemnaście miesięcy. Dlatego pan pewnie myślał...

- Mogę państwu zaproponować coś do picia?

- Uwielbiam Nowy Jork. Ostatnio uwielbiam go tragicznie.

- Uwielbia pani tragicznie?

- Pomogę ci nalewać.

- Poradzę sobie, Charlotte. Może raczej...

- Znowu dzwonek. To pewnie...

- Ja otworzę.

*

- Dorrie.
- Cześć, Larry.
- Nie miałś problemów z trafieniem?
- Wzięłam taksówkę.
- Wchodź, wchodź. Pozwól mi wziąć twój płaszcz. Zimny wieczór jak na kwiecień.
- Wietrzny.
- A wczoraj było wprost...
- Cudownie cię zobaczyć. Ale...
- Co ale?
- To jakoś tak dziwnie.
- Znaleźć się tutaj?
- Tak. Być tutaj. Nie wiem czemu.
- Wyglądasz... uroczo.

Była to prawda. Wyglądała rzeczywiście uroczo - jasnooka, podekscytowana, oczekująca.

- Ty też.
- Na pewno starzej.
- Lucy Warkenten przesyła ucałowania.
- Lucy. Jak się czuje w roli radnej miejskiej?
- Nigdy nie czuła się szczęśliwsza. Kazała ci to powiedzieć.
- Zadzwoń do niej jutro.
- Widzę, że to całe przyjęcie.
- Kilka osób. Dokładnie dziewięć. Ale zanim wejdiesz, jest coś, o czym powinienem cię może uprzedzić,

Dorrie. Powinienem był ci to pewnie napisać.

- Tak?
- Jest Beth. Przyjechała akurat z Anglii.
- Beth! O!
- Zbieg okoliczności, że zjawiłyście się obie w tym samym czasie.
- O!
- Mam nadzieję, że nie będzie cię to krępowało, Dorrie. Wydawało się, że to okazja do wspólnego spotkania...
- Ależ nie! Krępowało? W najmniejszej mierze, Larry. Mój Boże, nie!

*

- Dorrie Shaw-Weller. Pozwól, że ci przedstawię wszystkich po kolei. Garth i Marcia.
- Miło nam.
- Podobają mi się pani kolczyki. Miałam kiedyś prawie identyczne, tylko srebrne. I może odrobinę mniejsze.

Nie mogę nosić dużych kolczyków, przytłaczają mnie. Ze względu na moją twarz.

- Dziękuję pani.
- A to jest Samuel Alvaro, który ze mną pracuje przy labiryncie.

- Więc pani się też nazywa Weller? Rodzina? To cudowne. Nie spodziewałem się tego. Być zaproszonym na przyjęcie rodzinne.

- Miło mi pana poznać.

- I poznaj moją bliską przyjaciółkę, Charlotte Angus.

- Witam panią, Charlotte.

- Tak się cieszymy, goszcząc panią w Toronto.

- A to jest Beth Prior.

- No, no! Więc pani jest Dorrie.

- A pani Beth.

- To... nie wiem, jak to wyrazić... to nie do wiary.

- Prawda, że nie do wiary? Że się wreszcie spotykamy?

- Nie będziesz miała nic przeciwko temu, Dorrie, że cię ucałuję?

- Będę szczęśliwa, tylko... tylko...

- Nic się nie martw o makijaż, nie rozplynie się.

*

- Teraz, kiedy są już prawie wszyscy, czy mogę zaproponować szampana?

- Szampana!

- Bo dzisiaj... dzisiaj jest szczególna okazja.

- Czy nie powinniśmy poczekać na Midge i Iana, Larry?

- Przyłączą się, jak przyjdą.

- Obawiam się, że będę musiała spasować. Szampan i płód nie idą w parze, ja zresztą nigdy nie...

- Ja chętnie wypiję kieliszek.

- Garth lubi szampana, mogą mi państwo wierzyć. Byliśmy kiedyś na zdumiewającym przyjęciu, na jachcie zakotwiczonym koło Cape Cod, i taki przeuroczy mały człowieczek w jaskrawoczerwonych butach uwijał się, nalewając wszystkim...

- Proszę bardzo, Larry. Hmm, świetny.

- Popatrzcie na ten kolor.

- Gładki jak aksamit.

- Naturalnie wstawiliśmy się wszyscy jak niepyszni i jedna kobieta, rozpoznałoby państwo jej nazwisko, gdybym je wymieniła, słyszy się o niej ostatnio ciągle, otóż ta kobieta powiedziała Garthowi, że ma najśłodsze płatki uszu, jakie widziała w życiu, a Garth, czerwony jak burak, odpowiedział...

- Nie piłem szampana od czasu pożegnania z przyjaciółmi cztery miesiące temu. Widzę, że ten jest produkowany w Kanadzie. Zdumiewające.

- Smakuje trochę bardziej gronowo, przekona się pan.

- Czy to był dzwonek, Larry? Pozwól, że tym razem ja otworzę.

- Midge, Ian! W samą porę.

- Weszliśmy sami.

- Larry miał właśnie zamiar wznieść toast.

- Wyglądasz oszłamiająco, Charlotte.

- Ty także.

- Proszę cię, kieliszek. A tu dla ciebie, Ianie.

- Nie będzie to właściwie toast. Chciałem tylko wszystkim serdecznie powitać. Życzyć wszystkim zdrowia i szczęścia.

- No, i wypijmy za otwarcie labiryntu McCorda.

- Tak, nie możemy o tym zapominać.

- Otwarcie?

- Opowiem o tym później.

- Za zdrowie nas wszystkich!

- Zdrowie!

- I powodzenie!

- Naprzód!

- Pozwólcie, że wam doleję, nim usiądziemy do stołu.

*

- Bajeczna zupa. Czy to, co w niej czuję, to imbir?

- I odrobinę limony, jeśli się nie mylę.

- Komu gratulować? Kto upitrasił to чудо?

- Skoro mowa o limonach, to Garth obiecał mi na urodziny suflet limonowy. Człowiek nie wie, że żyje, póki nie skosztuje sufletu, jaki podają w Czterech Sezonach. Mieliśmy zarezerwowany stół i siadamy, kiedy się wydarza najokropniejsza rzecz...

- Jeśli państwo chcą wiedzieć, to zupę robił Larry.

- Larry?

- Ale! Skąd to zdumienie?

- Patrzcie, uraziliśmy jego dumę.

- Nie mogę sobie wyobrazić Larry'ego pitraszącego zupę. O ile dobrze pamiętam, był specjalistą od otwierania puszek...

- Ja pamiętam, że to była zwykła pomidorowa Campbella.

- Właśnie. To była jego specjalność. Teraz sobie przypominam.

- Później awansował do poziomu zupy pomidorowej Campbella posypywanej tartym parmezanem. Wspiął się szczebel po drabinie kulinarnej.

- Dlaczego wy, dziewczyny, tak się uwzięłyście dokuczać Larry'emu?

- Chciałem państwu uprzytomnić, że panie, które dziś gościmy, Dorrie i Beth...

- Rzeczą, której pod żadnym pozorem nie wolno mi jeść, są ostrygi. Mój alergolog twierdzi, że mogłoby mnie to zabić. Konwulsje, nagły spadek ciśnienia, a ja już mam najniższe ciśnienie po tej stronie równika. Ostrzega, że...

- Czasy się zmieniły. Mężczyźni nie wstydzą się obecnie przyznać, że gotują zupy. Ian robi przepyszny krem z brokułów.

- To dobry sposób na wykorzystanie łądyg.

- Wstydziliś się, Ianie. Robisz się świętoszkowaty.

- Dobry Boże, ja świętoszkowaty?

- Maniak ekologiczny.

- Bardziej zielony niż fanatycy z partii zielonych.
- Nawet w Hiszpanii te rzeczy się zmieniają. Hiszpanie uwielbiają zupy i większość mężczyzn, mam na myśli młodych mężczyzn, wie, jak posiekać i ugotować kapustę.
- No, nie jest to taka wielka sztuka, jeśli można to w ogóle uznać za gotowanie.
- Rzecz w tym, że wciąż nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie mężczyzny z nożem kuchennym w dłoni.
- Wyobrazić sobie, że przyjdzie mu coś takiego do głowy!
- Mój mąż, Derek, nigdy, ani razu...
- Mój ojciec, ojciec Midge i mój, powinienem powiedzieć...
- Nie rozumiem. To pani jest twoją siostrą, Larry? Nic mi nie mówiłeś.
- Jego starszą siostrą, muszę dodać. A Ian na drugim końcu stołu jest moim partnerem.
- Pani mężem? Rozumiem.
- Można tak powiedzieć.
- To naprawdę przyjęcie rodzinne. Coś takiego! Czuję się zaszczycony zaproszeniem.
- Prawie zjazd rodzinny, Samuelu. Ale co chciałem powiedzieć, to to, że naszemu tacie zdarzało się czasami zrobić herbatę.
- Pewien jesteś, Larry? Nie przypominam sobie, żeby twój ojciec ruszył palcem w kuchni.
- Ale herbata była absolutnie jedyną rzeczą, jaką robił.
- To znaczy, że stanowisz w rodzinie pierwsze pokolenie mężczyzn gotujących zupę.
- Garth nigdy nie ugotował zupy.
- Ty też nie.
- Co to ma znaczyć?
- Chciałem tylko powiedzieć...
- Ty w ogóle nie lubisz zup. Pamiętasz tamtą historię w Santa Barbara? Odesłałeś zupę do kuchni. Powiedziałeś, że to idiotyzm napychać żołądek chłopską lurą, zamiast poczekać...
- Marcia chce powiedzieć...
- Przypominam sobie tę cudowną zupę szczawiową w Tennessee. Pamiętasz, Larry, to było w czasie naszego miodowego miesiąca?
- Państwa miodowego miesiąca? W Hiszpanii nazywamy to *luna de miel*. Dosłowne tłumaczenie. Jestem zawsze szczęśliwy, kiedy natrafie na dosłowne tłumaczenie. *Luna* to księżyc, a *miel*...
- Kiedy my z Derkiem się pobieraliśmy, powiedzieliśmy sobie, że odłożymy miesiąc miodowy, aż...
- Kiedy trafie na dosłowne tłumaczenie, czuję, że świat robi się mniejszy.
- Święta prawda.
- W Saskatoonie jest restauracja, w której podają zupę cytrynową z bezami.
- Co? Gdzie?
- Słyszę, że pani mieszka w Anglii, Beth. My z Marcją staramy się wyskoczyć do Londynu dwa razy do roku. Tam się zrodziło nasze zamiłowanie do labiryntów ogrodowych. Zobaczyliśmy trzy czy cztery...
- Co najmniej cztery! Ja jestem fanatyczką rejestrowania najdrobniejszych szczegółów, każdy to państwu powie, i pamiętam, że z pewnością odwiedziliśmy co najmniej cztery, jeśli nie pięć...

- Logicznie rzecz biorąc, nie ma żadnego wytłumaczenia dla tych labiryntów. Zrodził je przywilej, nie spełniają...

- Tak nas zafascynowały swoją tajemniczością, wszystkim, co reprezentują w sensie symbolicznym, transcendentalnym, że postanowiliśmy przenieść tradycję tutaj, do Toronto.

- Labirynt ogrodowy nie jest specyficznym fenomenem kulturowym, jak uważa Garth.

- A więc to jest ten labirynt, o którym wspominałeś?

- Otwarcie będzie za parę dni.

- Labirynty są... przypominają odciski palców na ciele planety.

- Im ciaśniejsze zwoje, tym wyższe ciśnienie krwi. Wiedzieli państwo to?

- Im ciaśniejsze co? Tym wyższe co?

- Jeden z dziwniejszych wymysłów naszej cywilizacji, rzecz kompletnie bezużyteczna, jeśli nie brać...

- Wstęgę ma przeciąć burmistrz.

- A Marcia poprowadzi pierwszą grupę.

- Tak jak my to widzimy, sedno labiryntu jest miejscem spotkania człowieka z samym sobą. Sedno wymaga zwrotu w tył, nowego początku, poczucia...

- ...odradzania się. Na zakrętach labiryntu człowiek ulega upadkowi ducha, a potem podnosi się na nowo.

- Co odpowiada współczesnej ludzkiej doli gubienia i odnajdowania się na przemian.

- Garth stał się wierzący, sami państwo widzą.

- Proszę poczekać, aż państwo zobaczą siedmiopunktowy węzeł... W środku ma magnolię i...

- Cechą labiryntu jest to, że może on mieć jedną drogę albo wiele dróg. W sensie symbolicznym oznacza to, że życie jest otwarte...

- Będą radni miejscy, wiele oficjalnych osobistości i te pe. Będziemy oczywiście my z Marcją. Samuel ma objaśniać, jakich użyto gatunków drzew. A Larry będzie nam towarzyszył na wypadek, gdybyśmy faktycznie zabłądzili.

- Zawsze chcieliśmy wierzyć, że historia zmierza do przodu, ku czemuś lepszemu, a przynajmniej ku odnowie. Ale ten labirynt Larry'ego stanowi aluzję do określonej wędrówki, jaką naprawdę, jeśli się nad tym głębiej zastanowić...

- Edmond Carpent twierdzi, że labirynt...

- Weźcie algorytm Ore'a...

- Kontrolowany chaos i prowokowana panika.

- Dokładnie tak, Dorrie. Wspaniale! Ale skąd...?

- Czytałam o tym artykuł. Właściwie całą książkę.

- O! Książkę Spellmana?

- Jesteś zaskoczony.

- Zaskakujesz mnie, Dorrie. Zawsze mnie zaskakiwałaś.

- Obcuję z labiryntem na co dzień, nie pamiętasz? Mam go za oknami. No, połówkę labiryntu.

- I pielęgnujesz go. Zawsze się zastanawiałem dlaczego...

- Nie jest to akt skruchy, jeśli tak uważasz. Chyba... chyba się do niego przyzwyczaiłam. Polubiłam go, jeśli chcesz znać prawdę.

- O czym wy dwoje tam tak szepczecie?
- Czy mogę państwu zaproponować dolewkę zupy Larry'ego? Pan, Garth?
- Kapeńkę.
- Taki dziwny ten wasz język. Kapeńkę.
- Ale czy ktoś się rzeczywiście kiedyś zagubił w labiryncie?
- Larry się zagubił. Podczas naszej podróży poślubnej.
- Labirynt wersalski, niestety zniszczony, miał trzydzieści węzłów, czterdzieści trzy odnogi i...
- Podczas państwa podróży poślubnej? Nie rozumiem. Czy nie mówiłeś...?
- Nie zagubiłem się naprawdę.
- Nie zagubiłeś? W Hampton Court? Pamiętam, jak na ciebie czekaliśmy. Jacy byliśmy niespokojni, kiedy się nie wynurzyłeś ze wszystkimi.
- Niepotrzebna jest żadna specjalna wiedza, żeby pokonać labirynt. Człowiek się rodzi z niezbędnym ekwi- punkiem nawigacyjnym.
- To była inna podróż poślubna.
- A-a!
- Nie miałem okazji wyjaśnić państwu, że obie, Dorrie... i Beth... tak się złożyło, że zbiegiem okoliczności są obie...
- ...obie przyjechały przypadkiem w tym samym czasie do Toronto i dlatego postanowiliśmy z Larrym za- prosić grono przyjaciół...
- A Derek? Co...?
- Nie żyje. Od paru lat. Rak.
- Och, przepraszam. Nie powinienem był...
- Bardzo nam przykro.
- Rak, ta plaga.
- Mój psychoterapeuta uważa, że raka powoduje głównie gniew, fakt, że dusimy gniew w sobie, że nie potra- fimy się z nim uporać. Twierdzi, że jestem najlepszym przykładem, nie znaczy, że mam już raka, jeszcze nie, ale muszę zrobić wszystko, żeby...
- Czy zostawił pan rodzinę w Hiszpanii, panie Samuelu?
- Braci, siostrę...
- A nie jest pan żonaty?
- Umarła przed rokiem. Moja żona. Cierpiała na depresję. Zażyła proszki nasenne.
- Mój psychoterapeuta mówi...
- Dlatego przyjąłem tę pracę w Kanadzie. Żeby wpuścić trochę świeżego powietrza między mnie a moją ża- łobę.
- Stworzyć dystans.
- Właśnie! Stworzyć dystans.
- Kto to powiedział: „tylko się odłączyć”?
- Forster, prawda? Ale on, zdaje się, powiedział coś dokładnie...
- Jeżeli nikt już nie reflektuje na dolewkę zupy...

- Pomogę ci, Charlotte.

- Nie, Larry. Pozwól, że ja pomogę Charlotte. Jeśli pozostanę dłużej w pozycji siedzącej, to dziecko będzie miało nieodwracalnie wykrzywioną szyję.

*

- A-ha! Wygląda to na pieczeń baranią.

- Wydawało mi się, że czuję pieczeń baranią, jak tylko weszłam w drzwi.

- Uwielbiam baraninę!

- Larry, to wieczór prawdziwych zaskoczeń.

- Larry robi zakupy, gotuje, kraje.

- Nakrywa koncertowo stół.

- Co wy, ja tylko...

- I zbiera rzęśiste oklaski.

- Mężczyźni!

- Nie ich wina, że ich jednym tchem wychwalamy i wykpiwamy.

- Mój Boże, dopiero teraz zauważyłam. To nasz stary stół. Kupiliśmy go z Larrym na aukcji w Chicago.

- Piękny.

- Mężczyźni! Pochwały, jakie zbierają za samo to, że są mężczyznami!

- Jak to właściwie jest być w dzisiejszych czasach mężczyzną?

- Właśnie, jak to jest? W ostatnich latach naszego wieku?

- Powiedzcie nam.

*

Krojąc różową baraninę i nakładając nowe porcje na jeszcze ciepłe talerze, Larry doznaje nagle olśnienia - że właściwie nigdy nie urządzał przyjęcia. Wyrósł w domu, który - jeśli nie liczyć rodzinnych obiadów - nigdy nie kipiał zgłębkiem gości. Nie było kinderballi, nic się nie działo w sylwestra, tylko telewizja, transmisja z Times Square w Nowym Jorku i kieliszek słodkiego sherry o północy. Czy jego matka i ojciec pozbawieni byli całkowicie genów gościnności? Czy też, co bardziej prawdopodobne, byli zbyt nieśmiali, zbyt niepodatni na impuls, który owocuje przyjęciem? A przecież taką prostą, naturalną rzeczą byłoby zgromadzenie od czasu do czasu pod swoim dachem grona znajomych, zaofiarowanie im jadła, napitku i ciepła, puszczanie w ruch owej osobliwej i niekiedy niebezpiecznej obrotowej sceny po to, żeby coś się działo.

A jednak nie jest to wcale takie proste - uświadamia sobie teraz Larry, rozglądając się po dyskretnie oświetlonym stole, po twarzach gości, tego grona obcych i krewnych, po twarzach tych trzech kobiet, które znał, które zna tak dobrze, i czuje, że to jego przyjęcie, jego pierwsze i jedyne przyjęcie, osuwa się, wykoleja i zamiera w bezruchu. Czy przyjęcie nie powinno rozluźniać krępujących ludzi więzów? Dobre pytanie.

W tym momencie Larry czuje coś wprost przeciwnego - że błona między ludźmi jest mniej przenikalna aniżeli sądził. Gdzie jest ożywczy blask osobowości, na który liczył? Może powinien otworzyć jeszcze jedną butelkę wina? Wino, wielki rozwiązywacz języków. No tak.

- Właśnie - mówi ze swojego końca stołu jego pierwsza żona, Dorrie - powiedzcie nam, jak to jest być w dzisiejszych czasach mężczyzną.

Jej usta, świeższe niż pamiętał, układają się teraz w zarys uśmiechu czy też może następnego pytania.

Dla Dorrie przyjęciem było zaproszenie do domu drugiej pary na pizzę i telewizję. Larry pamięta owe wieczory w końcu lat siedemdziesiątych - Dorrie w dżinsach i swetrze, z gęstymi włosami zaczesanymi gładko wokół drobnej twarzy, ustawiająca na stoliku do kawy miseczkę chrupek ziemniaczanych i smarowidło do nich, drugą miseczkę fistaszków, mruczająca pod nosem, czy dywan nie wymaga szybkiego przejechania odkurzaczem. Potem odmrażająca pizzę do późniejszego podgrzania, sprawdzająca, czy w lodówce chłodzi się butelka wina, martwiąca się, czy mały się nie przebudzi. Ile było takich wieczorów? Prawdopodobnie wszystkiego kilka - myśli Larry. A jaki on miał udział w przygotowaniach do owych mało zabawnych, wymęczonych spotkań dwóch par? Chyba żaden. Nic od niego, zdaje się, nie oczekiwano.

Zastanawia się, jakie przyjęcia urządza Dorrie teraz. Mieszka wciąż w tym samym domu, ale i dom, i jej życie zmieniło się radykalnie. Jest silniejsza, ale zarazem jakby miększa; Larry przypuszcza, że niektórzy ludzie nazwaliby tę przemianę dojrzałością, ale jest to coś więcej. Ze sposobu, w jaki kraje mięso, ze zręcznych, pewnych ruchów noża, z żywego wyrazu przyjemności na jej twarzy, Larry wnioskuje, że Dorrie porusza się teraz w świecie pewniej niż kiedyś. Ale to nie jej zręczność w posługiwaniu się nożem przykuwa jego uwagę. Nie, to jej oczy, jej zapamiętane duże szare oczy zdają się przechylać pokój w jej stronę. Jej szyja wynurzająca się z kołnierzyka ciemnej sukni i ta szeroka srebrna obręcz przy jej krtani. Czy Dorrie zdaje sobie sprawę, jak wygląda?

- Czy mówimy o młodych mężczyznach? - pyta Beth. - Czy też o mężczyznach, którzy wyrosli w przekonaniu, że należą do dominującej kultury?

- Sądzę - odpowiada Midge - że mówimy o mężczyznach przy tym stole.

Beth prostuje się na krześle, na jej twarzy maluje się zadowolenie. Wyczyściła już swój talerz z jarzyn.

- W takim razie, kto będzie pierwszy?

- To pytanie... Proszę mi wybaczyć, ale nie nadażam czasami z moim angielskim. Proszę powtórzyć to pytanie, które pani zadała.

Beth splata z satysfakcją dłonie na brzuchu.

- Chcemy wiedzieć, jak to jest być kimś takim jak pan, mężczyzną, w obecnym momencie naszej historii.

Beth jest dzisiaj szczęśliwa. Larry pamięta, że zawsze lubiła przyjęcia. Dorastała w domu rodziców, którzy urządzali co tydzień, co dwa proszone kolacje. Kiedy wyszła za Larry'ego, uważała za rzecz oczywistą obecność w domu sreber stołowych na dwanaście osób. Także paru kompletów porcelany, kilku solniczek, każdej z osobną małą łyżeczką. Wkroczyła w życie małżeńskie z chłodnym szacunkiem dla dobrze przygotowanych tradycyjnych dań, ogromnych pieczeni krajanych w grube plastry, wjeżdżających na stół w towarzystwie srebrnej sosjerki. Takie właśnie przyjęcia zamierzała zawsze urządzać z Larrym w ich domu w Oak Parku. Po to właśnie kupili ten dom, po to kupili stół z dziesięcioma pięknymi krzesłami, ten stół, który Beth teraz gładzi przez mięsisty obrus, być może usiłując sobie przypomnieć jego fakturę i połysk.

W rzeczywistości jednak rzadko dochodziło do przyjęć. Beth zbyt była zajęta pracą doktorską i wykładami, zbyt zaabsorbowana, żeby się poważnie angażować w przygotowania, telefonować czy wysyłać pisemne zaproszenia, układać menu, gotować. Ponadto odstawiła zupełnie mięso, a przerażała ją myśl o przyrządzaniu ryb na osiem czy dziesięć osób.

- Jesteśmy winni wszystkim zaproszenia - użalała się Larry'emu, ale czyniła to z przekorną nutką rozbawienia w głosie. - Nigdy się nie wywiążemy.

- Fasolka - ucieszył się Garth McCord. - Nie jadłem fasoli od czasu, kiedy byłem w szkole.

- We Francji ludzie...
 - W naszej rodzinie nie jadło się nigdy fasoli. Ale to długa historia.
 - Jeszcze trochę wina, Marcio?
 - Cudowne wino. Przypomina mi to, jak byliśmy z Garthem...
 - Ten stół, Larry. Jeśli dojdiesz kiedyś do wniosku, że go już nie chcesz, to go chętnie wezmę.
 - Być mężczyzną w tym momencie historii znaczy...
 - Tak, Ianie. Co znaczy?
 - Znaczy... Chcecie naprawdę wiedzieć?
 - Tak!
 - No, na pewno przestaliśmy być opiekunami i żywicielami. To się dawno skończyło.
 - Dla większości, ale nie dla wszystkich...
 - Nie należymy już do organizacji, które stanowiły istotne ogniwo systemu wzajemnego popierania się mężczyzn. Łosie, Byki, Lwy, Rotarianie.
 - Nie wyobrażam sobie siebie w roli uczestnika zjazdu...
 - Także polowania, wyprawy na ryby... odeszły do lamusa. Kobiety pękają ze śmiechu, kiedy zaczynamy mówić o polowaniu, o rybach.
 - To nieprawda, Ianie. Ja bardzo lubię, kiedy jeździsz na ryby.
 - Bo masz dom dla siebie. Przyznaj.
 - Dobrze, przyznaję.
 - Mężczyzna jest dzisiaj tylko przybudówką do penisa i moszny.
 - Nieprawda! Powiedz, że to nieprawda.
 - To wszystko, czego się od nas oczekuje. Nasze ciała są tylko chodzącymi, gadającymi pojemnikami do przechowywania mizernego zasobu naszych komórek genetycznych.
 - I kto to twierdzi, że do tego doszliśmy?
 - Cóż - wtrąca nie bardzo do rzeczy Beth - jabłko nie jest niczym więcej jak pogrubioną ścianką zalążni, która...
 - Będę o tym pamiętać, jak następnym razem wbiję zęby w jabłko.
 - Mężczyzna dzisiaj...
 - Czego my, kobiety, naprawdę pragniemy, to poślubić mężczyznę takiego, jakim byśmy były, gdybyśmy były mężczyznami.
 - Słucham?
 - Bądź poważny, Ianie - odzywa się Midge. Odwraca dłonie, układając je w koszyczek. Pusty koszyczek, czekający na wypełnienie. - Nie rozumiesz, że chcemy naprawdę wiedzieć?
- Pochyliła się tak, że światło świec oświetla pochlebnie pół jej twarzy. Larry przypomina sobie, że jego siostra skończy niedługo pięćdziesiąt lat. Jej ton jest tylko lekko drwiący.
- Więc dobrze, będę poważny. Muszę was jednak ostrzec, że nie nazwałbym się typowym mężczyzną.
 - Ja też na pewno nie jestem typowy.
 - Też bym tego o sobie nie powiedział.
 - Ja typowy! Nigdy!

- Widzi mi się coś, że nadto waściowie protestujecie.
- Czekamy, Ianie.
- Dobrze, dobrze. Pozycja mężczyzny, chyba się ze mną zgodzicie, stała się dzisiaj całkowicie reaktywna. Zredukowani jesteśmy do reagowania na sygnały kobiet, bo inaczej wypadamy z gry.
- Bierna reakcja! Hmm. Ale niech pan mówi dalej.
- Bycie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku mężczyzną to stąpanie po cienkim lodzie. Nie śmiem obecnie powiedzieć kobiecie, że ładnie wygląda. Że mi się podoba kolor jej sukni albo jej nowe uczesanie. Zostałbym oskarżony o napastowanie seksualne.
- Co za kobiety wysuwają takie oskarżenia?
- A przecież nie o to chodzi, prawda? Komplementy. Grzeczność. Otworzyć kobiecie drzwi czy nie.
- Ja tam nie wiem. Częściowo o to właśnie chodzi.
- To zasłona dymna.
- Znalazłam najcudowniejszego fryzjera pod słońcem, przeuroczego, przeinteligentnego malutkiego mężczyznę. Chętnie podam paniom nazwisko...
- Jestem już trochę zmęczony tym - mówi Ian - że z mężczyzn robi się bezustannie pajaców. Robi się pajaców w telewizji, robi się pajaców w filmach, w książkach, robi się głupoli bez jaj, cel wszystkich dowcipów.
- A może faktycznie nimi są. Wiecznymi pajacami.
- Gdzie się podzieli mężczyźni, którzy się nie bali, którzy się nosili z godnością?
- Są nadal między nami, są tacy mężczyźni, tyle że... że się stali trochę...
- ...anachroniczni?
- Właśnie, anachroniczni.
- Dlatego uważam - ciągnie Ian - że od jakiegoś tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku stąпам po cienkim lodzie.
- Pytanie - mówi Dorrie, pochylając się do przodu - na ile ci przeszkadza to stąpanie po lodzie.
- Trafne pytanie.
- Zgadza się z Dorrie. Nie powinno ci w ogóle przeszkadzać.
- Nie w tym rzecz. Rzecz w tym...
- Właśnie, w czym?
- W tym, że stąpaniem po lodzie jest dzisiaj... zwykła ludzka przyzwoitość.
- I szacunek.
- Dla kobiet...
- ...i dla mężczyzn.
- Chcesz powiedzieć, że wszyscy dziś stąpamy po lodzie?
- Coś w tym rodzaju.
- Może rzecz w tym, że to na mężczyzn przyszła teraz kolej stąpania po lodzie.
- Męskie przewrażliwienie. Hmm.
- Nie bardzo się z tobą zgadzam, Beth. Nie jesteś trochę zbyt kategoryczna w swoim...
- Tak naprawdę uważam.
- Ja też.

- Też tak myślę.
- Nie wiem, czy mnie państwo dobrze zrozumieli. Nie o to chodzi, czy mi to przeszkadza. Chodzi o ustawiczne zagubienie. O to, że człowiek jest przez większość czasu zdezorientowany.
- A co ty sądzisz, Garth?
- Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym zbyt wiele.
- Wiedziałaś, że tak odpowiesz. Mogłam się założyć, że o tym nie myślałeś. Powiem państwu, o czym Garth myśli. Wstaje rano i zaczyna...
- Wolnego, Marcia.
- Czego innego można oczekiwać? - obstaje przy swoim Beth. - Zagubienie to klimat naturalny... Jedyne klimaty możliwe w erze postfeministycznej.
- Nie rozumiem, dlaczego ludzie wciąż rozprawiają o erze postfeministycznej - dziwi się Charlotte. - Jakbyśmy już w niej byli. Jakbyśmy wkroczyli...
- Trafna uwaga, Charlene.
- Charlotte.
- Przepraszam, oczywiście, Charlotte. Ale ja twierdzę... no, może twierdzę to zbyt kategoryczne słowo...
- Bardzo jestem ciekaw, co pani twierdzi. My w Hiszpanii...
- Twierdzę, że wszyscy, zarówno mężczyźni, jak kobiety, powinniśmy sobie cenić ten okres zagubienia. Ten nasz obecny okres pomieszczenia to wielki, euforyczny dar. Mamy za sobą pięćset lat absolutnej fallicznej jasności. Wszyscy znali scenariusz. Mężczyźni stroili się w kostiumy tej swojej wyższości...
- Wiedzieliśmy przynajmniej, na czym stoimy i co wolno.
- Siedź cicho, Garth, na miłość boską. Nie wiesz, co mówisz.
- Odpręż się, Marcia.
- A co, jeśli nie chcę się odprężyć?
- Pierwsza połowa stulecia ociekała zbrodnią, druga ocieka pustką...
- Mężczyźni trwali w wyprostowanych postawach...
- Jak palanty!
- O-o!
- A kobiety? Co pani myśli o kobietach?
- Kobiety przemykały się boczkami.
- Na paluszkach.
- Niech pani o tym opowie. Garth zawsze...
- Na paluszkach po cienkim lodzie.
- Ojej!
- To wszystko, co masz do zaoferowania, Larry? Ojej!
- Chciałem właśnie...
- Wiedzą państwo, co mi powiedziała moja matka, kiedy wychodziłam za Larry'ego? „Jeśli chcesz, żeby nie robił skoków w bok"... Ja jestem żoną numer dwa, pamiętają państwo... „to nie możesz utyć więcej niż pięć kilo. Przez cały czas małżeństwa. Pięć kilo to absolutne maksimum".
- O, mój Boże! Ja już...

- A moja matka... to było, zanim się pobraliśmy z Derkiem... moja matka powiedziała, że żona powinna wyprawiać męża codziennie do pracy z czystą białą chusteczką, którą sama wyprała i wyprasowała. To jego wizytówka dla świata. Chusteczka jest wkładem żony w sukces męża.

- I co? Prała pani i prasowała te chusteczki?

- A prałam, prałam. Chryste Panie, kupowałam wszystkie chlorki świata. Nieustająca parada chusteczek trwała do dnia, w którym umarł, Bóg z nim. I Bóg z tymi chusteczkami. Gdybym to miała jeszcze raz powtórzyć, dokonałabym rytualnego całopalenia...

- Chlorek! Ciekawe słowo w grze w scrabble.

- Wiedzą państwo, że gdyby ułożyć rzędem wszystkie kostki do gry w scrabble, toby opasały dwukrotnie Ziemię?

- Moja matka powiedziała mi, że czego żaden mąż nie będzie tolerował, to ociekających rajstop na pręcie w łazience. Wobec tego, kiedyśmy się pobrali z Larrym w siedemdziesiątym ósmym roku i kupili ten dom na Lipton Street, każdziuteńkiego wieczoru, tuż przed pójściem do łóżka, robiłam turę do sutereny, żeby zawiesić rajstopy na sznurze do bielizny.

- Ukryte przed mężowskim wzrokiem!

- Nie miałem o tym pojęcia, Dorrie. W ogóle bym nie zauważył, gdybyś...

- Świadomie może nie, ale matka Dorrie wiedziała, jak takie rzeczy się kumulują...

- ...i dodają do urazy, jaka już się nagromadziła w banku. Niestrudzona maszynka dodająca.

- Jaka znowu uraza?

- Właśnie.

- Naturalna niechęć mężczyzn do kobiet, kiedy te już spełnią swoje funkcje rozrodcze. Prosty darwinizm.

- Ja kocham kobiety.

- Ja też. My z Marcją...

- Zauważyli państwo, jak mężczyźni monopolizują oparcia dla rąk w samolocie? Proszę mi wybaczyć małostkowość, ale to zupełnie tak, jakby kobiety nie miały łokci, które by też może chciały oprzeć.

- Muszę powiedzieć, jeśli mi, kochani, pozwolicie, że dla mnie widok damskich... damskich rajstop... że na mnie taki widok działa bardzo... bardzo...

- Erotycznie?

- Ta-ak, e-ro-tycz-nie.

- W ten oto sposób dziewicze oczy mego brata nie zostały nigdy narażone na wstrętny i nieznośny widok ociekających...

- Moja matka dała mi tylko jedną radę, kiedy wychodziłam za Gartha. „Nigdy nie rób mężowi publicznych uwag. Tego nie zniesie żaden mężczyzna”.

- O-o!

- I dlatego wylądowaliśmy teraz na psychoterapii.

- Na miłość boską, Marcia...

- Garth musi się za mnie ustawicznie wstydzić. Jest to silniejsze ode mnie. Nałóg. Nie mogę się powstrzymać.

- Wszyscy mamy swoje nałogi. Tam gdzie pracuję...

- Ale nie słyszeli państwo jeszcze najgorszego. Najgorsze jest to, że on uwielbia być publicznie zawstydzany. Sam się o to prosi. Rozkwita wówczas, jak państwo pewnie zauważyli. To jego nałóg.

- Nieprawda!

- Cóż, mnie moja matka nie udzieliła żadnych przedmażeńskich porad...

- Szczęściara z ciebie, Midge.

- Czy ja wiem? Może życie ułożyłoby mi się lepiej, gdybym została wyposażona w odpowiedni zasób mądrych, przydatnych rad.

- Jeszcze kawałek pieczeni?

- Jest absolutnie cudowna.

- To dzięki marynacie.

- Wszystko, co chcę powiedzieć, to to, że pod koniec stulecia zarówno mężczyźni, jak kobiety powinni traktować ten okres niepewności jako eksperyment. Mamy okazję wypróbowania rzeczy. Mężczyźni mogą od czasu do czasu upitrasić garnek zupy, nie rezygnując przy tym ze swoich penisów.

- Mogą nimi nawet mieszać zupę.

- U-u!

- Nie do wiary! Wróciliśmy do tematu zupy.

- I penisów.

- Ja to traktowałam metaforycznie.

- Gdybyśmy mogli przeżyć nasze życie wstecz, wykorzystując zasób nagromadzonej wiedzy... Czy to nie Kierkegaard powiedział, że...

- Kto?

- Tak, kto?

- Nie jestem pewna, musiałabym sprawdzić.

- Ja się muszę zgodzić z Beth. Firma, w której pracuję, produkuje karty na różne okazje...

- Dorrie jest skromna. Stoi na czele tej firmy.

- Staramy się wyjść naprzeciw wymaganiom rynku mniej zdeterminowanego płciowo. Na przykład nasze kartki dziecięce. Dawne standardowe różowe i niebieskie kartki ustępują miejsca żółtym i zielonym. Nawet niemowlę jest najpierw człowiekiem, nie od razu nim czy nią. A jeśli chodzi o walentynki, staramy się poszerzyć rynek o kartki do wysyłania przez kobiety do mężczyzn. I o kartki dla sektora gejów.

- Jakiego sektora?

- Jeszcze trochę wina, Marcio?

- Odrobinę. Pół kieliszka. Muszę uważać, żeby...

- Ja tak właśnie mam zamiar wychowywać moje dziecko, kiedy się urodzi. Chcę je traktować od samego początku jako człowieka. Nawiasem mówiąc, to będzie chłopiec. Przeszłam badania. Chłopiec, który wyrośnie na mężczyznę ze wszystkim, co się za tym kryje. Będzie skazany na nagi męski gniew i agresywność...

- Nie wiem, czy to prawda, że mężczyźni...

- Ja dokładnie pamiętam, co Larry mi mówił niedługo potem, jak się pobraliśmy. Że spędzał kupę czasu z pięściami świerzbącymi, żeby komuś dać w nos.

- Kupę czasu? Ja to mówiłem? Może raz kiedyś miałem ochotę, ale żeby...

- Jako mężczyzna mogę powiedzieć, że nigdy mnie nie kusiło, żeby komuś przyłożyć.
- Tak mówisz, Ianie, ale czemu kiedy stoisz pod światłami i światło się zmieni na zielone, twoje auto musi zawsze ruszyć z mety pierwsze?
- To nie to samo, co przyłożyć komuś w nos.
- Nie jestem taka pewna.
- My w naszym kraju nigdy...
- Czy to tylko sprawa hormonów, czy czegoś ukrytego głębiej? Chcę powiedzieć...
- Mój Boże, tajemnice, które mężczyźni kryją przed kobietami. A kobiety przed mężczyznami.
- Pożalowania godne.
- Czy rzeczywiście? Rzeczywiście pożalowania godne?
- Może tak jest lepiej.
- Nie. Nie jest lepiej.
- Droga mężczyzny różni się od drogi kobiety.
- Tak czy inaczej, moje dziecko będzie najpierw człowiekiem, a dopiero potem mężczyzną.
- Życzę powodzenia. Ale muszę panią ostrzec, że jest to balansowanie na linie, to, co pani sobie założyła.
- Co z nas za przeczulone społeczeństwo. Przeczulone na punkcie polityki, na punkcie płci, na punkcie...
- Powiedz nam coś bliższego o swoim... o swoim dziecku, Beth.
- Chodzi wam o ojca?
- No-o, tak.
- Bank nasienia. Od lat chciałam mieć dziecko, jak Larry doskonale wie. Ale jakoś... jakoś to nie wychodziło. Wobec tego w zeszłym roku zdecydowałam się zwrócić o... o profesjonalną pomoc.
- Zdumiewające, co się dzisiaj robi. Ale w jaki sposób załatwia się... sprawę wyboru?
- Przesyłają ci taki mały katalog z informacjami o wszystkich dawcach. O ich rasie, wzroście, wykształceniu, specjalnych zainteresowaniach i tak dalej.
- Wyobraźcie sobie, co by było, gdybyśmy w taki sposób zaczęli wybierać partnerów do małżeństwa.
- I co dalej, Beth?
- Pierwszy, którego wybrałam, nie wypalił.
- Nie wypalił?
- Nie mieli go na składzie.
- O!
- Nie wezmą mi państwo za złe, że położę na parę minut głowę na stole? Ból mi ją wprost rozsadza.
- Marcia miała paskudny tydzień.
- Nie wstawiaj mi tej współczującej gadki, pep-proszę cię.
- Może chciałaby się pani trochę wyciągnąć? W sypialni?
- Nie, nie, stół wystarczy.
- Niech pani mi przynajmniej pozwoli odsunąć talerz.
- Nie mieli go na składzie, mówisz?
- Wybrałam wobec tego innego dawcę, który mi prawie tak samo odpowiadał.
- I co, nie będziesz się teraz zawsze zastanawiała, jaki by był rezultat z tym pierwszym?

- Nie sędzę. Nie będę miała czasu na rozmyślania. Wszyscy mi to mówią.
- Samotnej kobiecie wychowywać dziecko, no, to może nie być takie proste. My w naszym kraju...
- Z początku myślałam, że wszystkiemu z łatwością podołam. Uważałam się za niezłomną. Potem zaczęłam mieć wątpliwości.
- Po zastanowieniu. To zrozumiałe.
- Ale nie mogę sobie teraz pozwolić na wątpliwości, prawda? Muszę myśleć o wypracowaniu realnej strategii, skoro raz się zdecydowałam na zabawę w macierzyństwo.
- Larry mówi, że przyjechała pani tutaj na jakieś spotkania.
- Coś w tym rodzaju. Mam w poniedziałek na Uniwersytecie Torontońskim rozmowę w sprawie pracy.
- W sprawie pracy?
- Szukają kogoś na Wydział Studiów Kobięcych.
- To znaczy... znaczy, że zdecydowałabyś się rzucić Anglię i przenieść do Toronto?
- To piękne miasto.
- Bajeczne.
- Dlaczego tyś się tutaj przeniósł, Larry?
- Mam tu siostrę, Midge.
- Nie wiedziałem o tym, Larry. Myślałem, że się przenieś dla mnie.
- A pani?
- Ja zawsze chciałam założyć sklep z kostiumami, a Toronto wydawało się wymarzonym miejscem.
- Z pewnością, szczególnie teraz, kiedy się zrobiła taka moda na przebieranki.
- Ja się tu urodziłem, mój ojciec się tu urodził.
- A nie czułaby się pani samotnie w nowym mieście, Beth?
- Miałabym Larry'ego.
- A!

Larry jest zaskoczony, jak głośno zabrzmiało to „A”. Zaskoczony, że to on je wypowiedział. Przetoczyło się ono jak kamyk po raptownym milczeniu, które zaległo nad stołem, pomiędzy odsuniętymi talerzami i okruchami chleba, nad niedojedzoną pieczenią baranią w kałuży szklisto zastygłego sosu, i ląduje na schylonej głowie śpiącej Marcii McCord, z linią brzegową makijażu spływającą ukośnie po jej długiej, szczupłej, eleganckiej szyi.

Oto - myśli Larry - pobjawisko po przyjęciu. Po owej idei, która nie powinna była nigdy zostać wcielona w życie. Gdyby to przyjęcie rozgrywało się na scenie, teraz by spuszczone kurtynę. Gdyby to był film, teraz by nastąpiło ściemnienie. Teraz. W tym momencie.

Ale nie. Larry wie, że przyjęcie jeszcze się nie skończyło. Musi nastąpić coś więcej.

Czekał przez cały wieczór na to coś, nie wiedząc, co to będzie, a teraz widzi, że Dorrie uśmiecha się przez stół prosto do niego. Co chce powiedzieć tym dawnym, mądrym uśmiechem, wiedzącym i porozumiewawczym?

Jest to nie do odgadnięcia, lecz Larry odpowiada uśmiechem pełnym możliwości - oto jesteśmy, my oboje.

Coś zaszło w tym pokoju, Larry to rozumie. Wytworzyły się dwie gęstości, jedna w drugiej, i powietrze wokół stołu układa się w miękkim świetle świec w połyskliwe fale ciepła. Może to złudzenie optyczne, miraż, ale raptem jawią się oni oboje, Larry i Dorrie, Wellerowie, mąż i żona. To ich przyjęcie. Są w tej alternatywnej wersji rzeczywistości partnerami w długoletnim małżeństwie, weteranami starych kłótni, dawno zażegnanych. Podróż, którą

zdawali się odbywać osobno, w rzeczywistości odbywana była wspólnie. Wbrew wszystkiemu, wbrew wszystkiemu. Oto co się wydarzyło. Ich rodzice nie żyją, minęły lata, oni sami są rodzicami ukochanego syna, który ma kłopoty. To oni, Dorrie i Larry, powołali ten wieczór do życia, i teraz, jak na holograficznym obrazie, siedzą w otoczeniu przyjaciół i krewnych, sproszonych z serca, witanych z otwartymi ramionami, zachęcanych do rozmów, podbudowanych jadłem i napitkiem, mile widzianych.

Godzina dobiega końca. Starzy przyjaciele wkrótce się rozejdą i oni będą mieli tylko siebie. Kres wieczoru. Rozpływa się wszechobejmujący sen. Widzenie, smuga tego, co im się należy.

*

Tort czekoladowy jest obrazem doskonałości. Tak uważa Charlotte - obrazem doskonałości. Byłaby niepokieszona, gdyby wiedziała, że w lewym górnym kącie jej ust załęgła się czekoladowa pręga, naruszająca symetrię jej twarzy. Nadająca jej złośliwy wygląd, szczerze mówiąc.

Señor Samuel Alvaro oświadczył właśnie, że nie będzie się wypowiadał w imieniu płci męskiej o tym, jak widzi ona samą siebie.

- Jestem dzisiaj w końcu kamiennym gościem. Znają państwo to wyrażenie? *Invatado de piedra*. Może to jest zrozumiałe tylko dla Hiszpanów. Kamienny gość to osoba zaproszona po to, żeby wypełnić miejsce przy stole, wypełnić lukę. Oczekuje się, że nie będzie wiele mówiła. W ogóle wiele robiła. Że po prostu...

- Po prostu będzie.

- Właśnie.

- Kamienna postać.

- Ja się teraz czuję jak kamienna postać - mówi Beth. - Po tym wszystkim, co zjadłam.

- Pycha ten tort - odzywa się Marcia McCord, która odżyła i przygląda teraz włosy. - Przypomina mi to, jak poszliśmy z Garthem w Wiedniu do tej kawiarni i spałaszowałam na lunch trzy kawałki tortu czekoladowego, żeby sobie dodać odwagi przed przekłuciem uszu.

- My w Hiszpanii zawsze...

- A ja dotąd nie mam przekłutych uszu - oświadcza Beth z odcieniem grozy.

- Ze względu na przekonania polityczne?

- Ze względu na to, że jestem śmierzącym tchórzem. Pozostają mi tylko klipsy albo nic.

- Klipsy to śmierć!

- Powiedzcie mi, jak inteligentna kobieta może się decydować na okaleczanie sobie...?

Midge Weller wdaje się w długą opowieść o tym, jak mając czternaście lat, poleciała w Winnipegu po kryjomu do pasażu handlowego, gdzie za darmo przekłuwano uszy, i jak potem leżała przez całą noc z głową owiniętą ręcznikami i uszami broczącymi krwią. Za darmo.

- Ja się zdecydowałam przekłuć uszy, kiedy kończyłam czterdzieści lat - dorzuca Charlotte komicznie poufnym tonem. - Było to późno, późno, późno, ale uważałam, że muszę jakoś uczcić tę rocznicę.

- Małe dziurkowanie na ołtarzu kobiecości.

- Dwa dziurkowania.

- Ha!

- Mnie dziurkowanie urządziła mamusia w domu - oznajmia Dorrie. - Miałam może dwanaście lat. Położyła mnie na kanapie i wzięła rozpaloną igłę. Zemdlałam po pierwszym uchu, a kiedy tylko odzyskałam przytomność, zabrała się do drugiego.

- Przebaczyła jej to pani kiedy?

- Oczywiście. Ale ja w ogóle jestem na takim etapie życia, że przebaczam wszystkim. Może z wyjątkiem samej sobie.

- W moim kraju jest zwyczaj...

- Dlaczego my nigdy nie przebaczymy samym sobie?

Larry podnosi głowę. Kto to powiedział? Kto? Marcia McCord, która siedzi ze wzrokiem wbitym w drugi kawałek tortu i Larry widzi, że ma oczy pełne łez.

Zawsze wiedział, że jest mężczyzną o paru labilnych elementach - mózgu na przykład, z klapką, którą może otworzyć prztyknięciem palca. Myśli teraz: Ach, te kobiety, te piękne kobiety! Patrzy na nie z podziwem. Stanowią osobne byty, są jednak zarazem częścią jego, Larry'ego. I wygląda na to, że zgromadzone wokół prostokątnego stołu tworzą ligę, która raptem próbuje szczodrymi ustami i gestykulującymi dłońmi pchnąć ten wieczór na nowe tory. Larry kocha je wszystkie, naprawdę kocha! Swoją apodyktyczną, lojalną, cierpliwą, nieobliczalną siostrę z ostrym językiem. Swoje dwie wspańskie żony - popatrzcie tylko na nie! Są w migotliwym świetle świec błyszcząco żywe w sposób, jakiego by nigdy nie podejrzewał - pełne wdzięku, elokwentne, poważne, życzliwe. Także swoją łagodną Charlotte. I tak, kocha nawet Marcię McCord, która w tej właśnie chwili rozchyła pogryzione wargi i wdaje się w charakterystykę prawdziwej opinii Gartha o austriackich hotelach - są wylizane, drogie, sensne i pachną przypalonym mlekiem.

Głosy tych kobiet zbijają się nad stołem w zwiewny obłok. W jednej chwili mówią one o imporcie nie pasteryzowanych serów. W następnej przerzucają się na rozważania o wyższości podróży kolejowej nad lotniczą, na ogólnokrajową akcję zwalczania raka piersi, na filmy Davida Cronenberga, na wycofywanie się z czynnego życia Karen Kain²¹. Układa się to w rodzaj skomplikowanego tańca, który wykonują. Albo może w sieć pajęczą. Jak by wyglądało jego życie bez kobiet? Byłby kamiennym gościem na własnym przyjęciu. Osobą do zapelnienia pustego miejsca przy stole. Taka jest prawda.

²¹ Karen Kain (ur. 1951) - światowej sławy tancerka kanadyjska.

Mężczyźni zamilkli na chwilę wokół stołu, przemienili się w aktorów filmowanych przez źle prowadzoną kamerę. Trawią tort - myśli Larry - albo słuchają. Czy też może rozważają owo pytanie bez odpowiedzi, które tak starannie omijali - czym jest bycie członkiem męskiej społeczności pod koniec naszego milenium? Czego pragną, gdy ich imiona zostaną raz zapisane w księdze żywota? Chwileczkę, nie ma żadnej księgi żywota.

Mężczyźni. Te osobliwe wyściełane instalacje kostne, otulająca je trwożna śmiertelność, splot dobrego i złego losu, niemądre wybory, nasienie chłopców, którymi wszyscy kiedyś byli, to nasienie wytryskujące niewcześnie nawet wówczas, gdy przerzedzają się już włosy i wiotczeją mięśnie. Walczą o kawałek miejsca w świecie. Łakną odrobiny ludzkiej uwagi. Odziewają się w nią, rozdziewają z niej. Kiedy to się skończy? Czy kiedykolwiek się skończy?

Larry przypomina sobie fotografię, którą ktoś mu zrobił jako zupełnie małemu dziecku. Uwięziony w dość wymyślnym wysokim krześle, patrzy prosto przed siebie z uwagą i pretensją na niemowlęcej buzi. Czy tym, co widzi, jest jego przyszłość jako mężczyzny? Przyszłość potykającego się osobnika, który wie, że dzień po dniu coś mu będzie odbierane, aż któregoś dnia wyczerpie się miarka?

Dwadzieścia lat temu było inaczej. Tak, to już prawie dwadzieścia lat. Koniec kwietnia, zimny wieczór tak jak dzisiaj. Krocząc samotnie ulicą Winnipegu, dwudziestosześcioletni, pojawił może po raz pierwszy, jakim mężczyzną może się stać. Poczul siłę wiatru i, ulegając impulsowi, zerwał z siebie tweedową marynarkę, poddał się nastrojowi chwili, pozwolił unieść jego zniewalającej fali. Czekala go miłość. Przemiana. Dobroć. Praca. Zrozumienie. Urzeczenie słowami, wyzwolenie, jakie niosą. Odkrycie własnego nieporadnego ciała, które łaknie się łączyć. Także ojcostwo, jeśli szczęście mu dopisze, ale oczywiście że dopisze, to już nie pozostawało w sferze wątpliwości. O pomyślnym losie upewniał go wiatr owiewający obnażone ramiona. On, Larry, musiał tylko trwać i pozwolić, by sprawy toczyły się swoim torem.

*

- Bardzo panu współczuję z powodu śmierci żony - mówi Charlotte do Samuela Alvaro. Przenieśli się z kawą do salonu, siedzą na dość sztywnych krzesłach koło wykuszowego okna. - Z moim mężem, Derkiem, historia była podobna. Proszki, przedozowanie...

- Może wypadek?

- Zostawił list.

- Ale mówiła pani, zdaje się... mówiła pani, że to rak?

- Leczył się. Prognozy były dobre. Zjadał go smutek. Albo gniew na świat. A może na mnie. Niewielu ludziom to mówię.

- Współczuję pani.

- Nie mówię tego Larry'emu. Nie chcę, żeby wiedział.

- Może pani na mnie polegać.

- Wiem po pańskich oczach, że mogę polegać.

- A ja wiem po pani oczach...

- Czy Larry panu wspominał, jak bardzo podoba mi się Hiszpania?

- Tak? Więc była pani w moim kraju?

- Zaczęliśmy od Madrytu, trzy wspaniałe dni, a potem...

- Pogoda była dobra?

- Padało trochę jednego wieczoru, największe krople, jakie widziałam w życiu. Nie było ich wiele, kilkanaście, każda doskonale okrągła, padały na moje ręce. Niebiańskie uczucie.

*

- Mój terapeuta - mówi do Iana Marcia McCord - ma teorię, że ja rozrabiam, bo czuję się na to niejako skazana.

- Rodzaj samorealizującego się przeznaczenia.

- Nikt mnie nie lubi, wiem. Ludzie mnie nie znoszą, więc zachowuję się tak, żeby mieli powód mnie nie znosić. To fakt.

- Ja panią lubię.

- Sposób, w jaki pan to mówi! Mężczyźni to kłamcy, nie uważa pan? Oczekują, że kobiety będą im na każde zawołanie sklejały pęknięcia ich psychiki.

- Niech pani się odpręży.

- Odprężę się, dobrze. O Boże!

- Płacze pani.

- Nie-e, to dym.
- Nikt nie pali.
- A-a!
- Niech pani pozwoli się wziąć za rękę. Proszę.
- Dziękuję.
- Drży pani.
- Wiem.

*

- Nieprawda, że nie muszę się nigdy wstydzić - mówi Garth McCord do Beth. Miesza bardzo skrupulatnie kawę, mimo że pije ją bez niczego. - Palę się ustawicznie ze wstydu.

- Więc czemu pan nie...?

- Kocham ją. Bywa... trudna. Przez całe życie miała problemy. Wiedziałem to, zeniąc się z nią. Trzeba się nią... trzeba ustawicznie... zajmować. Ale ją kocham.

- To jest pan szczęśliwy.

- Pani też, zdaje się, jest szczęśliwa.

- Ma pan na myśli... to? Dziecko?

- Dokonała pani świadomego wyboru. To się nie wydarzyło przypadkiem.

- Tak.

- I teraz myśli pani o przeniesieniu się do Toronto?

- Myślę, tak, ale jest tyle względów do wzięcia pod uwagę. Na przykład, czy nie stworzę Larry'emu niezręcznej sytuacji, jak zamieszkać w tym samym mieście.

- Hmm.

- Przychodziło mi nawet do głowy, że moglibyśmy dojść do jakiegoś nowego porozumienia. On i ja? Ale oczywiście nie wiedziałam o istnieniu Charlene...

- Charlotte.

- Nie mam zielonego pojęcia, jak poważny jest ich związek. Sam pan widzi, przed jakim stoję dylematem.

- Bardzo łatwo jest wyrządzić ludziom krzywdę. Może mi pani wierzyć na słowo.

- Co pan powiedział?

- Że łatwo jest wyrządzić krzywdę.

- Tak myślałam.

*

Larry krąży po salonie, proponuje dolewki kawy, schyla się, dolewa, pochwytuje strzępy rozmów. Midge i Dorrie siedzą ściśnięte na małej kanapce koło elektrycznego kominka i Dorrie wyjaśnia, dlaczego przyleciała na weekend do Toronto.

- Szukam lokum - szepcze do ucha Midge.

Słyszysz to Larry, pochylony z dzbankiem. Midge odstawia filiżankę.

- Nie wierzę uszom. Ty chcesz się wynieść z Winnipegu?

- Żał mi będzie domu. Tyle wspomnień.

- Ale czemu? - pyta Larry.

Co się z nim dzieje? Przelął filiżankę Dorrie.

- Firma od dawna proponowała mi przeniesienie, ale ja nie chciałam wyjeżdżać, dopóki Ryan nie skończy liceum. Ze względu na jego kolegów i tak dalej.

- Pozwoliłaś mu się naprawdę zakorzenić.

- To dla mnie prawdziwe zaskoczenie.

- Ten mój bratanek! Prawdziwy skarb.

- Dobry chłopak. Wygląda, że ten wyskok z dopingiem to była sprawka trenera.

- Ładny przykład!

- Wobec tego to szczęście, że się przeniesie.

- Dzięki Bogu, historia jest zamknięta - mówi Larry.

Zamknięta, owszem. Niemniej jednak jego syn, choć tylko technicznie winny, został napiętnowany na resztę życia, będzie mimo wszystko nosił skazę, jego świat został zbrukany. „Krętacki Ryan” - ochrzciła go prasa. Nóż w serce. Midge zmienia raptownie temat.

- Może my z Ianem będziemy ci mogli pomóc w znalezieniu mieszkania, Dorrie.

- Biorę cię za słowo.

- Ja też pomogę - mówi Larry.

- Hej, ty usiądź, Larry - decyduje Midge. - Pozwól mi się zająć kawą.

- Naprawdę?

- Jestem starszą siostrą, pamiętasz? Ja tu rozkazuję.

- Larry - mówi Dorrie - masz taką dziwną minę. Co ci jest?

- Nic. Jestem tylko...

- Tylko co?

- Nie wiem, Gladdie. Zaskoczony, że będziesz tu, w Toronto. Będziemy mieli w końcu szansę nadrobić lukę.

- Myślisz, że kiedykolwiek nadrobimy? Taką lukę?

- Pewnie nie. Ale możemy próbować.

- Nie patrz teraz, ale Marcia płacze. Siedzą tam z Ianem w kącie. Ma oczy pełne łez.

- Tak mi się wydawało, ale nie byłem pewien.

- Powinniśmy coś zrobić?

- Nie sądzę.

- Ja też dużo płakałam, Larry. Płakałam przez dwa lata, jak odszedłeś.

- Przykro mi, to było...

- Niech ci nie będzie przykro. Ja nie umiałam być wtedy żoną. Nim się nauczyłam, było za późno.

- I nigdy nie wyszłaś ponownie za mąż.

- Miałam paru... przyjaciół. Mężczyzn. Ale niewielu. Byłam zajęta. Pracowałam. Matkowałam. A nade wszystko...

- Nade wszystko co?

- Nade wszystko pracowałam nad sobą, żeby się stać człowiekiem. Dlatego wolałam siedzieć w domu.

- Ja też płakałam.

- Płakałeś?

- Może w inny sposób.

- Jaki inny?
- Nie taki znowu inny. Właściwie w ogóle nie inny.
- Charlotte...? Ona...?
- Jest przyjaciółką. Dobrą przyjaciółką.
- Czy to, co powiedziałeś przy stole, było prawdą? Że się nie zgubiłeś wtedy w Hampton Court?
- Niezupełnie. Zgubiłem się, ale dlatego, że się chciałem zgubić.
- Czemu mi nie powiedziałeś?
- Nie byłem pewien, czybyś zrozumiała.
- Zrozumiałabym. Ale nie wiedziałabym, jak ci powiedzieć, że rozumiem.
- Czy to był nasz problem? Że nie znaleźliśmy właściwych słów?
- Albo nie wiedzieliśmy, co wolno powiedzieć.
- Mogliśmy powiedzieć wszystko. Powinniśmy się byli tego nauczyć.
- Nauka mówienia musi przebiegać dwutorowo. Po pierwsze, są słowa...
- ...po drugie, to, co się za nimi kryje.
- Powiedz mi, Larry... Czy ty dalej chcesz się zgubić?
- Nie, już nie. Chcę się...
- Co?
- Chcę się... odnaleźć.

Nie była to całkiem prawda, ale nie dowierzał jeszcze temu, co było prawdą.

- Tak sobie myślałam przed chwilą, Larry, kiedy jedliśmy deser... jakie wszystko jest teraz inne. A jednak jest... jakby...
- ...takie samo.
- Tak.

Po przyjęciu

- Kocham cię. Zawsze cię kochałem.
- Ja też cię kocham. Czekałam. Tylko nie wiedziałam, że czekam.

*

Larry spał, lecz budził się parę razy, śniąc, a może nie śniąc o pociechach, jakie oferuje ten świat - humorze, fatalizmie, odmianie, przyzwoleniu, akceptacji prawd statystycznych. Umrzemy pewnie na chorobę serca, przeżyjemy zapewne kryzys małżeński lub seksualny, będziemy w dzieciństwie cierpieć na koszmary senne. Przeczytamy 4,3 książki rocznie. Nasze dzieci wylądują na ostrym dyżurze z zadrapaniami na twarzy i wybitymi przednimi zębami. I będziemy się kręcić, kręcić w kółko, w kółko. Patrząc, dokąd zmierzamy. Oglądając się, skąd przybyliśmy.

*

Kochany Larry!

Musiałam dziś iść do biura, bo ci cholerni biurokraci nie uznają sabatu. Więc pomyślałam sobie, że ci wsunę tę karteczkę pod drzwi. Czuję się paskudnie, że wczoraj nie zostałam i nie pomogłam ci sprzątać. Ale szczerze mówiąc, Larry, myślałam, że może zostanie i pomoże ci Dorrie.

Byliśmy wszyscy zmęczeni, więc kiedy Sam zaproponował, że mnie podrzuci do domu - okazuje się, że mieszka tuż obok mnie - nie mogłam się oprzeć. Ma wspaniałe nagrania muzyki hiszpańskiej, gitarę klasyczną, chce, żebym ich posłuchała. Pamiętasz, jakie wrażenie zrobiła na mnie ich muzyka!

Wspaniałe przyjęcie, nawiasem mówiąc. Dopięliśmy swego. Czegokolwiek zamierzaliśmy „dopiąć”.

Charlotte

*

Cześć, braciszku. To tylko Midge wylewa nieskoordynowane myśli na twoją automatyczną sekretarkę. Jest niedziela rano, wpół do jedenastej, i mam kosmicznego kaca. Ian też. Ale mniejsza o to. Pewnie smacznie śpisz i nie słyszysz telefonu. A może nie masz ochoty odbierać. Ale pomyślałam, że należy ci się podziękowanie za wspaniałe przyjęcie. Marcia McCord jest bardzo niegrzeczną dziewczynką, nie uważasz? Poważnie mówiąc, to kupka nie-szczęścia. Biedny Garth. Dlaczego mężczyźni są takimi ofiarami? Między nami: nie jest to pytanie, które wymaga odpowiedzi. Oboje z Ianem uważamy, że twoja zupa była bombowa, i on naturalnie chce przepis. Masz także punkty za pieczeń i za deser, chociaż jestem dziwnie pewna, że ten ostatni nie był dziełem La Cuisine Weller. W sumie interesujący wieczór. Twój kamienny gość był, hmm, nieco kamienny, grał rolę odwiedzającego cudzoziemca tak sztywno, równo, z rozbijającym całowaniem rącek. Ale jakoś nabrałam do niego w końcu przekonania, może dlatego, że był taki miły dla Charlotte, która sprawiała wrażenie lekko... lekko zagubionej. A może nie zauważyłeś? Co za idiotki z tych kobiet! Nie wyłączając niżej podpisanej. Beth była - jakby to określić? - była sobą. Pełna siebie. Pełna dziecka i siebie. Nabuzowana, samozaprogramowana bomba cielesności. Ta sobie poradzi. Mam nadzieję, że na tyle się połapałeś. A co do Dorrie, zawsze się zastanawiałam, jakby to było, gdybyście się ponownie zesłi. Cóż, czułam, że ona czeka na okazję drugiej przejażdżki na karuzeli, nawet jeśli nie zdaje sobie z tego sama sprawy. No to cześć, braciszku! Pogadamy później.

*

Od: samero@mccordworks.com

cześć przyjaciele. piszę w niedzielę po południu żeby powiedzieć cześć. usilnie dziękuję za wspaniałe przyjęcie. byłem zadowolony z wyborowego towarzystwa przy stole, wyborowego jedzenia i wina. i z rozmawiania co więcej można życzyć. wszyscy byliście takie łaskawe a Charlotte też. wasz przyjaciel sam.

*

Tu Garth. Niedziela po południu. Żałuję, że cię nie zastałem, ale znajdziesz tę krótką wiadomość na maszynie. Jest druga dwadzieścia, coś koło tego. Cudowne przyjęcie. Oboje z Marcją świetnie się bawiliśmy. Wprost bajecznie. Wspaniałe jedzenie i towarzystwo. Marcia spała przez całą noc, bez proszków ani niczego. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Pomyślny znak. Przepraszamy za wyboje po drodze. Ale było wspaniałe. Marcia przesyła podziękowania. Kazała powiedzieć, że to było prawdziwe przeżycie. I żeby się o nią nie martwić. Ode mnie też wielkie dzięki.

*

FAX: Od Beth Prior, Hart House, Uniwersytet Torontoński „Do Larry'ego Wellera.

Kochany Larry!

Piszę, żeby ci podziękować za cudowne przyjęcie. Jestem także bardzo wdzięczna Midge i Ianowi, że mnie potem podrzucili do hoteliku. Chciałabym móc powiedzieć, że dobrze spałam, ale faktem jest, że nie spałam całą noc. Myślałam i walczyłam ze zgagą. Nie, to nie wina Twojej pysznej kolacji, to tylko „nasz milusiński” zgłaszał protesty wobec nadmiaru dóbr.

Ten liścik jest zarazem podziękowaniem i pożegnaniem, gdyż właśnie udało mi się zmienić rezerwację i jutro z samego rana odlatuję z powrotem do Londynu. Cała ta torontońska eskapada wydaje się teraz wyprawą głupiego (a raczej głupiej, bo to o mnie chodzi, o kogóż by innego?) i marzę tylko o tym, żeby się znaleźć jak najprędzej w domu, zanim bogowie hormonów pokarzą mnie przedwczesnym accouchement²².

Kochany Larry! Ja zawsze wiedziałam, że Ty ją kochasz. I że ona Ciebie kocha. Wiedziałam! Domyślałam się tego po Twoim milczeniu. I po tej doskonale neutralnej kartce, jaką Ci przysłała na czterdzieste urodziny. Wiem, że ją przechowywałeś na dnie szuflady, pod bielizną. Zawsze mi się wydawało, że trzeba jedynie właściwego momentu czy nastroju, czy też okoliczności. Czy też wzięcia właściwego zakrętu we właściwym miejscu, jak w jednym z tych Twoich labiryntów.

Twoja kochająca Beth. PS. Dziękuję, żeś mnie zaprosił na swoje przyjęcie. Jeśli kiedyś będziesz w moich stronach, ja urządzę przyjęcie dla Ciebie. W każdej chwili, obiecuję. R.S.V.P.²³"

*

Znacie Pasterskie Gony²⁴? Jest to koleina, Co się głęboko w trawę, w ziemię takóŜ wżyna I torem dla kroczących dość szerokim bieży, Labiryntowa dróŜka, dawno a uczenie Sprawiona na zwód oka, a nogi zmęczenie, Lecz dla serca i głowy skarbiec uciech świeży. Wielce to przypomina pisane nam życie Tam gdzieście zaczynali, tam kiedyś skończycie.

(Bradfield, *Sentan's Wells*, 1854)

²² Accouchement (fr.) - poród.

²³ R. S. V. P. (fr. skrót od: *répondez s'il vous plait*) - uprasza się odpowiedź.

²⁴ Pasterskie Gony (*Shepherd's Race*) labirynt ziemny koło miejscowości Boughton w hrabstwie Northampton w środkowej Anglii, podobny do opisanego przez autorkę w rozdziale jedenastym labiryntu w Saffron Walden.